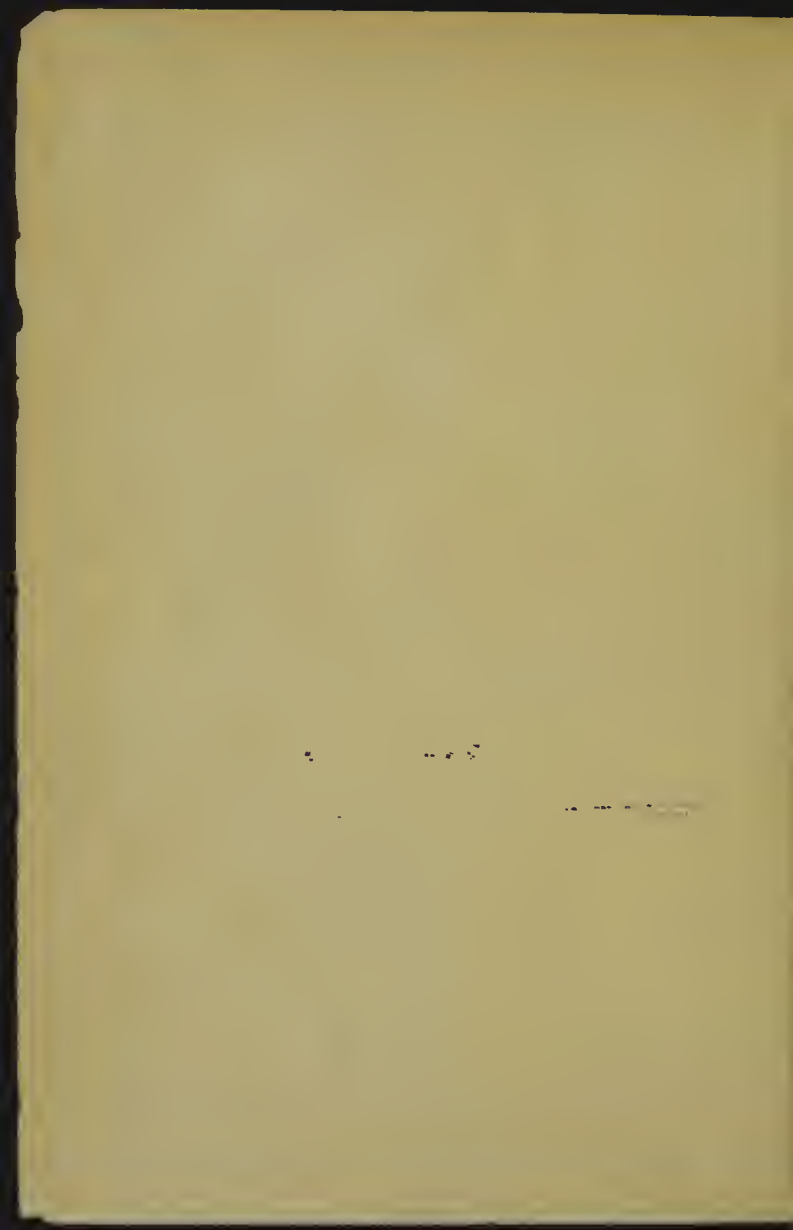






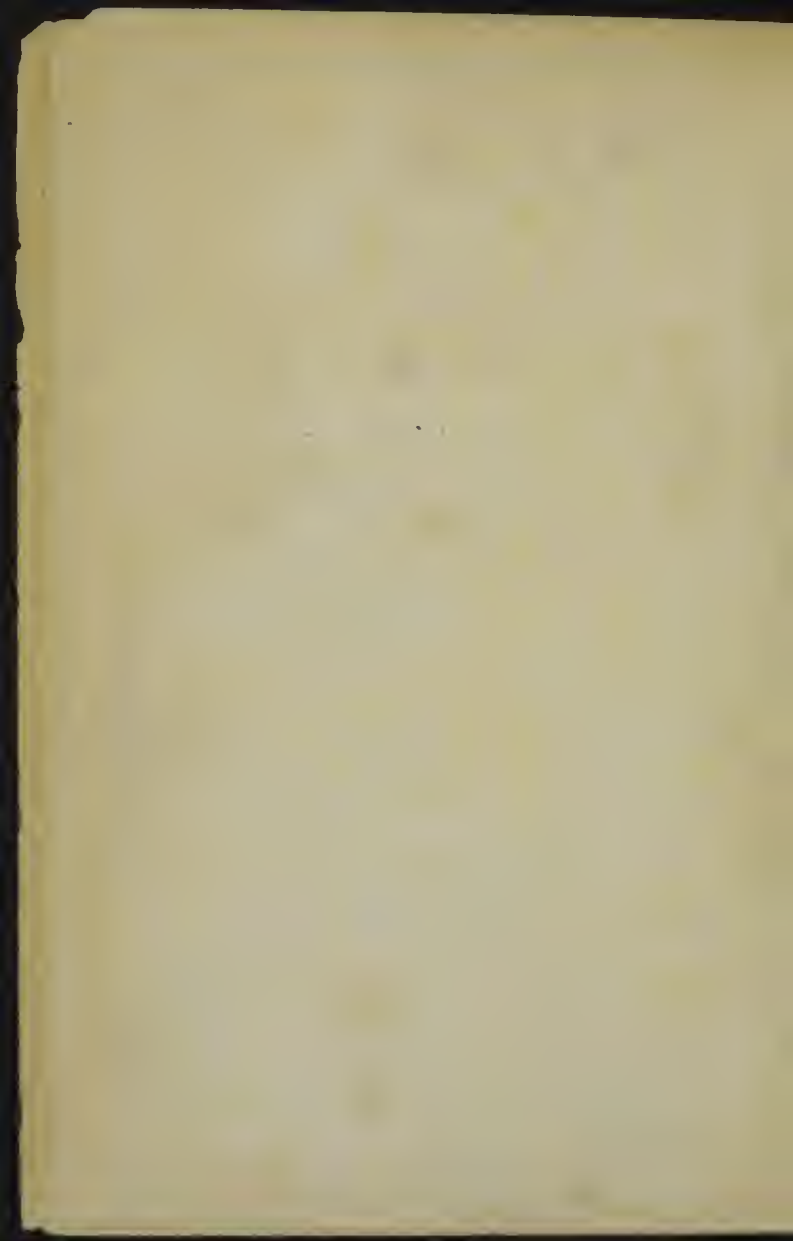
**Gerola F**





WYDANIE JUBILEUSZOWE

J. I. KRASZEWSKIEGO.

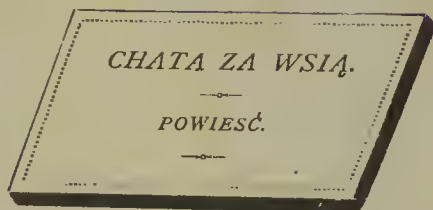


WYDANIE JUBILEUSZOWE.

---

WYBÓR PISM

J. I. KRASZEWSKIEGO.



TOM VIII.

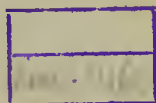
—o— Wydawnictwo na korzyść Jubilat. —o—

WARSZAWA.

DRUK JÓZEFA UNGRA.

ulica Nowolipki, Nr. 3

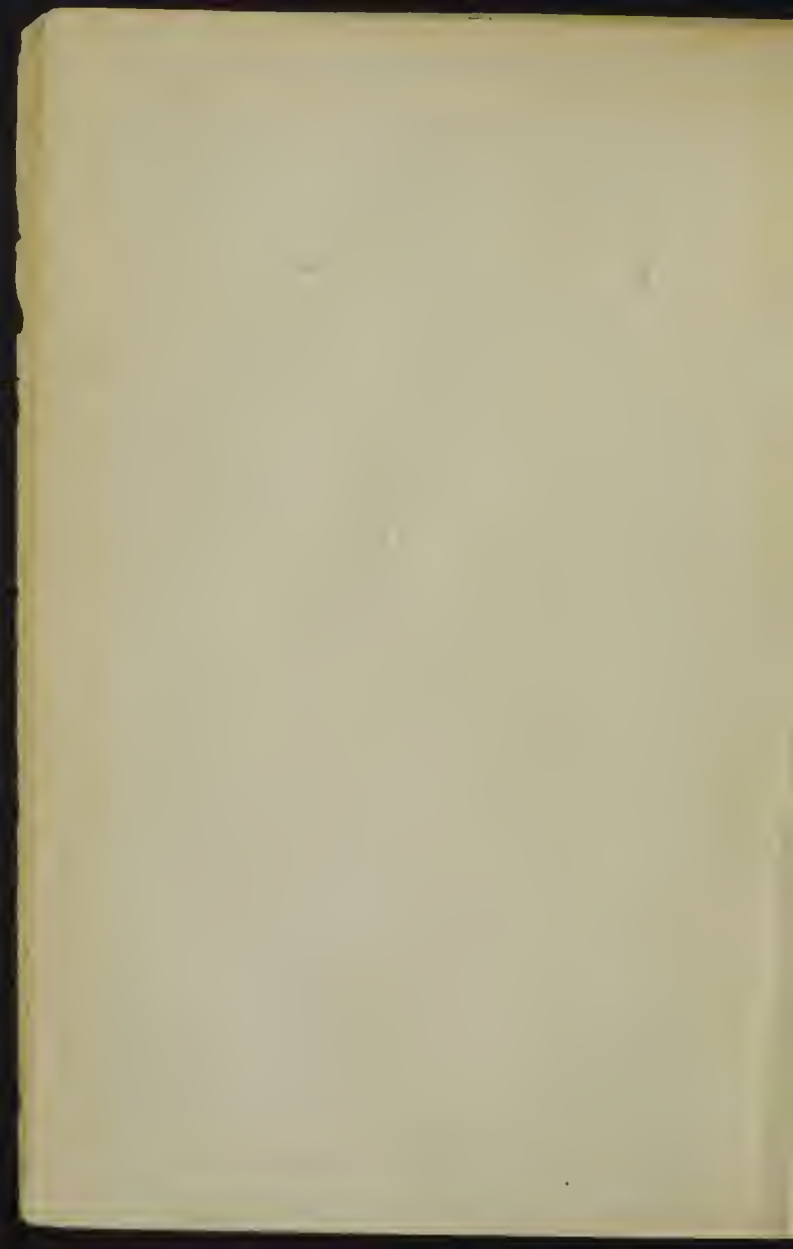
1879.



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 10 Января 1879 г.



CHATA ZA WSIA.



## CHATA ZA WSIA.

Nieboszczyk Syrokomla—Paule mu świeć nad duszą—w jednym z listów do mnie pisanych, żądał na pamiątkę rysunku; ale chciał, by mu co posłać domowego, swojego, coby kraj przypominało. I poszły naówczas gdzieś schwycone w podróży *Stare wrota*, jakie niedawno jeszcze u nas widzieć było można, do gumiń i do dworów prowadzące. Z tych starych wrot poeta stworzył poemat, a rysunek posłużył mu za ilustrację. Tak samośmy z widoku lepianki na rozdrożu za wioską wołyńską, ozłoconej ostatnim zachodzącego słońca promykiem, ulepili tę—*Chatę za wsią*. Łacno się domyślić czytając, że ona pisana była w tych szczęśliwszych czasach, gdyśmy wsie mieli i na wsi mieszkać mogli, gdy się oczy pasło lasami i zielenią, a o uszy obijały się codziennie rozmowy ludu i o życie ludu ocierało się dzień cały. To też *Chata za wsią* cała jest na wzorach z natury, na żywych bytu ludowego materyałach osnuta. Od roku 1852, gdy pisana była, upływa prawie lat dwadzieścia: ludu tego i życia już nie ma. Co było obrazkiem, stało się niemal historią. Zmieniły się stosunki dworu

i wsi, mienia, pracy, obyczaje, mowa—pozostał tylko krajobraz i tło dawniejsze. Powieść drukowana była najprzód w *Bibliotece Warszawskiej*, potem wyszła osobno u M. Wolffa w Petersburgu.

Z tego wydania był dokonany przekład rossyjski w *Bibliotece dla Czenija* drukowany, a w r. 1856 francuzki wyjść miał w Brukselli. Tego ostatniego nigdyśmy w rękach nie mieli; dowiadujemy się o nim z notat pana Estrejchera. Cygański język i obyczaj studyowaliśmy podług źródeł nam dostępnych a mało znanych; za onych też czasów nietrudno było u nas na Wołyniu spotkać się z Cyganami: mieliśmy ich jako kowalów osiadłych po wioskach, i wiele się o nich nasłuchać było można. Rzecz jest całkiem z wołyńskiego bytu wzięta, bo autor naówczas jeszcze w tym pięknym, wesółym i pocziwym kącie mieszkał, od r. 1836 począwszy, aż do 1859, jako gospodarz wiejski, nieustannie na oczach mając wieś, wieśniaków, krajobrazy i życie ówczesne, które już nigdy nie wróci... Z wolą i mimowoli odbiło się ono w tej powieści.

Drezno, czerwiec 1871.

*J. I. Kraszewski.*



Rzadko człowiek postawiony szczęśliwym losem na wygodniejszém nieco stanowisku, chce zwrócić oko na to, co się niżej niego dzieje; używamy, nie chcemy się uczyć, nie lubimy rozpatrywać. Często wejrzenie takie sprowadziłoby łzę, przypomniałoby ciężkie do spełnienia a konieczne obowiązki; wolimy więc wędrować dalej z głową wzniesioną ku marzeniom lub odwróconą ku sobie, a co pod uogami mijamy. Tak idąc, ileż to przepuścimy mimo siebie prawdziwych życia tajemnic, których w żadnej nie znajdziemy książce, na żadnym obrazie, w najfantastyczniejszém marzeniu!

O! szkoda zaprawdę, bo jeden tylko Bóg z góry pogląda na tysiące ubogich żywiołów, w których jest więcej siły, piękności, energii i cnoty często, niż w cisnących się nam na oczy dramatach, którym chyba świecące ramy dają prawo do ludzkiej ciekawości, zajęcia, pamięci.

Nieraz wpatrując się w odartego żebraka, w ubogie dziecię wioski, które zostało sierotą i żyło spleśniałym chlebem jałmużny, myślałem sobie: Ileżby nauki dla nas wytrysnąć mogło z mikroskopowego wej-

rzenia na te pełne bólu, upokorzeń, nędzy i odrzucenia życie nieznanych, nieszczęśliwych, odrzuconych istot ledwie widnych na świecie...

Wiemy doskonale, jak płyną godziny szczęśliwym, bogatym, znaczącym, spowitym w cieniuchne pieluchy od urodzenia, i w bronzowanych spoczywającym trumnach; wiemy, jak ich wodzą na paskach, jak musztrują dla przyszłości, jak chodzą, jak się kłaniają, co jedzą, jak się stroją, żenią, zwodzą i rozwodzą, starzeją, głupieją, ziewają i umierają: a któż kiedy wypowiedział formy żywota nędzarza? Przecież przed Bogiem i w oczach badacza ludzi, te dwie egzystencje, z których jedna tak się błyszczy, druga tak kryje niepozorna, równie są wielkimi i znaczącymi. Motyl i najmizerniejszy robak zarówno są potrzebni na świecie, i jedno mają prawo życia. Naturaliści zarówno śledzą obyczaje i instynkta drobnej muszki i ogromnego sępa; czemużby powieściopisarz nie miał też równie prawa opisywać drobnostkowo życia jednej z tych liszek, które pełzną po czarnej ziemi, zdeptane nogą niebaczną, giną niepostrzeżone i niepożądane?

W ogromnej a dziewiczej jeszcze przestrzeni historii człowieka, ileż to zakątów ciemnych, niezbadanych, opuszczonych!

Jak owi pisarze dawni, co mijając drobne twory, szli naprzód poznać się z temi, co im w oko wpadały ogromem, kształtem lub barwą—myśmy też w historii człowieka do zbytku i przesytny namalowali już obrazów nderzających, mijając równie wdzięczne, ale mniejsze, skromniejsze i nie tak łatwe do pochwylenia.

Dopiero dzisiaj postrzegać się zaczynamy, żeśmy w wielki błąd popadli: że wszystkie nasze obrazy

społeczności są niepełne i kulawe, że im brakuje jednej strony, żeśmy wzięli część za całość, i odjęli wszelką ważność temu, co w istocie jest może najważniejsze.

Z innego stanowiska, obrazy te pod względem sztuki, przechodzą i przechodzić muszą jak sztychy wyobrażające mody paryzkie, które się wkrótce śmieszni stają. To, cośmy przywykli zwać społecznością wyższą, jest kosmopolitycznym amalgamem prawie wszędzie i zawsze, na którym się więcej odbija barwa uprzywilejowanych stolic mody, niżeli kraju, z którego łona powstaje. Tak niegdyś Ateny, potem Roma, dziś Paryż i Londyn, dają światu konwencyonalnemu, zwanemu wyższemu, ton i koloryt. Salon najświetniejszy jest ten właśnie, który się najwięcej zbliża do cudzoziemskiego ideału. W Londynie ideałem bywał Paryż, w Paryżu trochę małpując Londyn, a po całym świecie obie stolice; a nigdzie, tylko u nas małpują wszystko co obce. Wartoż tak upokarzającego szalu rysować wzorki i uwieczniać tak niesłychane zaparcie się siebie, poddaństwo mniemanej wyższości?—Nie wiem. To pewna, że jakkolwiek życie wyższych towarzystw wielce być może miłe, swobodne w pewnym względzie (bo na straży wszystkim wybrykom stoi na szyldwach konwenans), ja tego życia sznurowanego i krochmalnego nie lubię—przynajmniej malować. Musimy w niem żyć—ha! żyjemy; musimy pod klątwą małpować zagranicznych dudków—małpujemy; ale żeby nasze kuse fraczki i kuse zfrancuziałe rozmowy, zasługiwały na malowanie i studia!... *nego! nego! nego!*

Spojrzyjmy niżej! — Brudno — powiecie? Niestety! brudno istotnie; ale jak dla malarza dziedziniec opusz-

czonój chaty daleko jest lepszym przedmiotem do obrazka, niżeli wywoskowany salon z kolumnami, tak i dla powieściopisarza łachman daleko bardziej malowniczy od krochmalnej sukni balowej i wernikso-  
wanych bóćików eleganta.

Cały ten ustęp ma jedynie na celu wytłómaczyć mnie przed czytelnikami (nie myślę się bowiem uniewinniać przed krytyką, której u nas rzemiosłem hałasować i czernić),—wytłómaczyć się z przedmiotu téj powieści. Darujcie mi, że was wprowadzę między odarty tłum, do ciasnej chatki; że wam dotykać każe łachmanów, i żyć godzinę w towarzystwie ludzi, co nie umieją po francuzku i nigdy się nie uczyli grać na fortepianie! Może też na końcu téj bajki znajdziecie i do waszego życia pożyteczny sens moralny, który często mimowoli nawija się autorowi: bo autor każdy wzoruje z dzieła bożego, a w bożych tworcach sens moralny jest w najdrobniejszym kamyczku. Chodzi tylko o to, żeby kamyczek przemówił, a człowiek zrozumiał.

---

Była to sobie... wioska (niestety! niestety! znowu na pograniczu Wołynia i Podola), trochę jeszcze wołyńska, już nieco podolska; leżała w dole, co na jakiś jar zakrawał. Po nad nią, na równinie szerokiej, ciągnęły się złociste łąny zbóż niewielkimi czarnymi rzęciętę łaskami; środkiem siola biegła ledwie dojrzana rzeczulka, w dość duży staw zebrana. Chaty poprzymocowane do ścian wzgórza, w zielonych drzew wiązkach biegały wesoło, spoglądając z wysoka ku stawowi, który je w czystych wodach odbijał.

Cicho, zielono, spokojnie, dobrze jakoś było w tym rozdole, który w czasie potopu umyślnie wyżłobić musiały wody, kierowane Ręką, co wiedziała, że tu kiedyś ludzie osiedą. I drzewom, i chatom, i ludowi było tam jak u Pana Boga za piecem; kawałek nieba zawsze jasny prawie świecił nad nimi, rzadko maleńki orzeźwiający wiaterek przeniosły tędy opiekuńcze duchy, a burze zawsze szły sobie gdzieś bokiem na lasy i bory.

To też osada, rozkrzewiając się coraz dalej a dalej, posuwała się jarem nad rzeczka, i coraz to nowa chata biała zaświeciła w krzakach leszczyny i tarny,

zarastających boki rozdołu. Na wysokięj płaszczyźnie wzgórza, jeden tylko cmentarz nad wioskę wyniesiony po nad nią krzyżami górował; to też bardzo był sinutny, i nie wiem jak ci ludzie, do tak rażnych cha-tek śmiejących się przywykli, mogli spać potém na tak opuszczonym rozłogu. Musiało tam dużo wstawać upiórów wygnańców, i po nocy powracać do zacisz-nych siedzib swoich.

Cmentarz ten, była to jedyna część osady zupełnie brzydka, jeśli go jęj częścią nazwać można. W isto-cie, łączył się on z nią prawie; chaty czepiając się góry, wychodziły aż ku niemu, rozsypane po nad dro-gą; na wierchołku góry były wrota na łan, a aż do nich przypierał cmentarz. Nie wiem, czyście kiedy przypatrzyli się wiejskiemu cmentarzykowi w okolicy żyznej, gdzie każda piędź ziemi droga? Jak to tam skąpo wymierzono gruntu umarłym! jak im tam ciasno i duszno! Sąsiedzi w strachu, żeby się cmentarz w ich grunta nie worał, opasali go wałem i rowem; ale nikt nie pomyślał posadzić drzewka, coby szumia-ło i płakało nad mogiłami. Tylko badyle ostów i ziel-ska, co się wszędzie uczepią, obrosły i stare groby, i przeszłoroczne nawet mogiły; tylko trochę pokrzyw i dziewanny w żółte strojań dzwonki, gdzie niegdzie zielenieje na tyłą łez użyźnionęj roli.

Ale za to co za las krzyżów i krzyżyków! Nie każdego stało na mocny dębowy, na wielki i malowa-ny; ubożsi wystrugali go sobie z kijów, wypilowali z kruchęj tarcicy i zatknęli krzywo, niedbałe, na nie-długo; pierwsza burza je wywróci, kilka lat w próch-no zamieni. Tam żółci się jeszcze świeżuchny grób na którym nie miała czasu trawa się zasiać i uśmiech-nać, zielenią: owdzie zamiast pagórka, dół już wkłęsły

tylko. Takto i z żalem, jak z mogiłami bywa: gdzie rósł do góry, wkrótce próżnię tylko zostawia... Na wale, na rowie, jedno wejście, jedna bramka ciasna, ale nią wchodzi umarły, i jeszcze mu za szeroka, nad nią krzyżyk, a wrotka dawno służą za mostek, bo dyle jego rozpadły się i zgniły, leżąc w rowie głęboko.

Jeśli we wsi zaciszniej, wiatru i burzy nie słybać, za to nieboszczyków na tej górze żaden wichur nie minie, żeby nie odwiedził; dużo on tu już krzyżów podruzgotał! Miarkujcie, jak to smutno, jak ciężko być musi umarłym, a coś dopiero żywemu!

Bo tuż, przez drożynę tylko, o sześć kroków od wrot, nie widzicie? stoi chatka, przyparta jedną ścianą do góry obrywn, drugą obrócona na ementarzysko.

Chatka!... oj!.. złe nazwanie—lepianka chyba, i to jeszcze za wiele może—szałas, ale nie szałas jeszcze—stoi to coś, co się nazwać nie może, a jednak to nie jama zwierzęca, to widocznie pomieszkание człowieka. Trudno jest sobie coś nędzniejszego wystawić. Najprzód, że to w bezlesiu, zbudowano ją z kawałków drzewa<sup>o</sup> pozbieranych gdzieś po drodze, może przyniesionych z wiatrem lub burzą, bo większe i lepsze polana nosi dobry wichur, gdy się rozhuła. Ale czego to nie dokażą we dwoje: człowiek z nędzą! Za dwie ściany służyła góra wilgotna, którą deszcze wygładziły; dwie drugie zlepione jak gniazdo jaskółcze. W istocie, znajdziesz w nich to, co w gniazdku tej przemyślniej ptaszyny: drzewko, słomę, glinę, błoto, zbite razem i misternie zlane w całość, która się trzyma i stoi. Zamiast dachu, narzucono kołków z płotu, i krzywych gałęzi leśnych, i słomy jcszeze, i nie wiem tam czego, a pokryto darnią! Resztę Bóg

dokończył, zasiawszy na téj płaszczyźnie bujne bylice, pokrzywy, dziewanny, trawy i zioła liściowe, które związały kruche pokrycie lepianki. Szumi tam na dachu cały łąn chwastów tak dorodnych, tak bujnych, jakby na mogile! Z pośrodku nich wypleciony z chróstu, olepiony gliną, wystąpił dymnik, kawałkiem starój maty przyrzucony, i udaje komin z wielkim talentem—komeanty!

Nie nudźcie się, nie nudźcie, kochani czytelnicy! to coś ciekawszego doprawdy od opisania pałacu w stylu odrodzenia lub willi gotyckiej. Idziemy dalej.

Ściany, żeby się nie obaliły, bo jednakże całkiem im nie wypadało dowierzać (coż na świecie nie zdradza? kołki nawet!), ściany obwiodł przemyślny budownik przyźbą, która je trzyma i nie puszcza. Górą już się chyla, dołem ani sposobu. Dwa czy trzy drągi krzywe zamiast skarp służą. W tych dwóch ścianach minęliśmy drzwi i okna, niemniej przecię od reszty opisania warte. Okna? nie wiem czy tak nazwać można te dwa otworki nieregularne. gliną oblepione, w które wstawiono bez ram kilka brudnego szkła kawałków. Jużciż to okna, bo choć nie puszczaają powietrza, a światła dają niewiele, ale oszukują przechodzących, zaręczając, że w chacie widno być musi.

Ze drzwi trudniej się było budowniczemu wykreścić, ale wielki to budowniczy nędza: tworzy z niczego; zaden Palladio tego nie potrafił. Cud to prawdziwy te drzwiczki, tylko się im pilno przypatrzcie. Sięgają aż pod sam dach zbytniki, i mówić się zdają: „Niech się wchodzący nie schyla.“ A i one razem z kominem i oknami grają komedję, bo przyszedłszy bliżej, masz ich właśnie po pas! Ale i na takie drzwiczki nie-



mało potrzeba było pracować, niemało! W bezleśnym kraju któżby to tak deskę porzucił, żeby ją można wziąć, nie powiedziawszy nawet: „Bóg zapłać!” A ten, co lepiankę stawiał, widocznie musiał po zapłatę odsvlać do Boga. Oddałbym te drzwi do muzeum, gdyby ci, co szanują starożytne naczynia potłuczone na kawałki, umieli przeczytać z rozbitych drzwi-czek, ile westchnień złamało pierś, co je lepila. Patrzcie, ile tu sztuczek spojonych misternie, ile klinów, wstawek, kawałków, dziur kołkami pozabijanych, drążków pozamienianych na deszczułki tępą siekierą i słabą ręką. Co tu się zeszło rodzajów drzew zdziwionych, że im przyszło jedną pełnić służbę: sośnina, dębina, osika, brzoza i harda nawet grabina, co tylko młynarzom służyć zwykła, musiała dostarczyć kołków. Byłoż tu pracy, było! ale to dawno, bo deszcz i powietrze jedną szatą szarą pokryły tych wszystkich przybyszów, których nierówność stanu ledwie teraz rozpoznać było można.

Wystawcież sobie taką chatkę, takie schronienie bez nazwiska, przylepione do góry, na wprost cmentarza, na łysym wzgórku, od wsi o staję, a spytacie pewnie: któż tam mógł budować się i mieszkać?

Ten, co zwykle mieszka w lepiankach—ubogi; istota często winna sobie swą nędzę, często niewinna przed Bogiem, choć przez ludzi wyklęta; biedne stworzenie, która śpieszy się umrzeć, żeby odpocząć, bo mu żyć nie ma po co.

Mógłże być stosowniejszy widok dla nędzarza nad miejsce wiekuistego spoczynku?

---

Wioska, którąśmy widzieli, zwała się Stawisko. Dalej, dalej w jarze, ku górze już nieco, w kłębach zieloności, u rzeczki zakrętu, miała dwór bielejący z daleka; śliczny dwór, nowiuteńki, czyściuchny, a tak posadzony zręcznic, że z niego widać było co tu najpiękniejszego dał Bóg: wodę, góry, chatki, cerkiewkę, kościółek i lasy w dali. Cmentarza ztamtąd ani słychu, ale też po co tam cmentarz?

Kto mieszkał we dworze, dowiemy się później; teraz zwrócimy się do chatki.

Przed laty kilkudziesięciu, nim jeszcze ten wspinały dwór stanął i angielskie ogrody zajęły miejsce warzywnych, do Stawiska przywlokła się raz gromada Cyganów, której naczelnik jak zwykle zajmował się kowalstwem, krewni byli pomocnikami, a rodzina wróżyła i kradła. Że już naówczas coraz rzadszemi stawały się pielgrzymki tych zagadkowych włóczęgów, których pochodzenie i język dotąd nieprzebitą pokryte są tajemnicą, przeto cała swobodna część ludności powybiegała przyglądać się przybyszom, co po secinach lat wygnania jeszcze nosili wypiętnowany na czołach ślad pochodzenia swego, kędyś z ogorzalego Wschodu czy Południa.

W istocie: w twarzach i stroju tych przybłędów było coś tak nie naszego, tak obcego, że obojętny nawet wieśniak zwrócić musiał oczy na tych ludzi innego świata i innego życia, nie umiając pojąć ani ich wygnania, ani dobrowolnej koczującej doli.

Wszystkie baby, nawet te, które miesiły chleb z zakasanemi po łokcie rękawami, powybiegały przed sień, wiodąc ciekawe a przestraszone dzieci za ręce i trzymając je silnie, w obawie, żeby ich Cygani nie porwali; wszyscy starzy wystąpili aż na drogę, a po-

wracając z pola, był to bowiem wieczór letni, zatrzymywali się z plugami wśród ulicy. Banda tych Cyganów składała się z kilkunastu głów i szła powolnym krokiem aż pod karczmę; najdorodniejszy, słusznego wzrostu mężczyzna prowadził wóz, na którym widać było mały, połatany mieszek kowalski, złożony namiot, przenośne kowadelko i inne żełaztwa i manatki. Wśród tych rupieci siedziała siedmiego wieku kobieta, niewygodnie skurczona, z dziecięciem u piersi.

Istna to była czarownica: czarny włos spadał do kola jej ogorzałej twarzy, o oczach błyszczących i korzałowych szerokich ustach; faldzista wielka chusta osłaniała ją całą. Na kolanach leżało dziecko nagie zupełnie i ustami przyczepione do macierzyńskiej piersi.

Wzrok tej kobiety, na której twarzy widać było znużenie, boleść i smutek, nie odwracał się od dziecka ani na chwilę; zdawała się coś roić o niém, a na resztę świata nie chciała spojrzeć nawet. Mężczyzna, który siłą dlonią wiódł za sobą wóz ich podróżny, był nadzwyczaj barczysty, ogromnego wzrostu i srogiej a chmurnej fizyognomii. Czarny, z piersią obnażoną i kudłami porośłą kruczemi, okryty ledwie koszulą dziurawą, zasmoloną i zdartemi spodniami, szedł boso, z odsłoniętą głową, której tylko włos kędzierzawy bronił od słońca i wiatru: ale mimo łachmanów szedł tak dumnym krokiem, z tak poważnym wejrzeniem, żeś zaraz poznał w nim wodza gromady, *Romów* (tak się zowią często Cygani).

Koło niego, po za nim, wlokła się reszta rodziny: troje dzieci nagich, różnego wzrostu, od dwunastu do ośmiu lat mieć mogących; chłopak dwudziesto-kilko-

letni; dziewczyna smukła, pięknej kibici, może ośm-nastoletnia, trochę wykwintniej ubrana i oryginalnie ładna; zgrzybiała baba; postarzały, o kiju z kędzierzawym łbem, popychający wóz, krępy a niski człowiek; wreszcie dwie czy trzy jeszcze kobiety, obwieszane kołdrami pasistemi, wlokącemi się po ziemi.

Wszystko to szło cicho, jakby czekając rozkazu wodza i poglądając niekiedy na niego. Wóz zatrzymał się pod karczmą, starszy podniósł głowę i obejrzał się dokoła.

Właśnie na próg gospody wyszło kilku gospodarzy i przodkujący im wójt w wysokiej czapie baranięj; patrzeni oni i milczeli, czekając, z czém się też odezwą podróżni? Cygan tylko okiem ich porachował, i instynktowo, czy po nowój czapce może, domyślił się pana wójta, podszedł krok ku niemu, i skłonił się nisko:

— Bóg z wami, panie gospodarzu, odezwał się łamanym językiem z ruska, głosem silnym i pełnym szczególnego jakiegoś dźwięku, jakby po za tą mową pożyczaną inna obca, druga się ukrywała.—Pewnie wy tu jesteście starszym?

— A jakby tak, to cóż? spytał dosyć się szanując i z wysoka Maksym Lach.

— A jakby tak—odparł Cygan, powoli pot ocierając z czoła resztą podartego rękawa—tobym was prosił, żebyście mi pozwolili przenocować we wsi.

— Ba! ba! a jutroby jakiego konia nie stało! rzekł śmiało wójt, biorąc się w boki.

— Nie macie się co o to obawiać, z westchnieniem i półśmiejchem odpowiedział Cygan.—Wy koni nie macie podobno, a my nie z tych Cyganów, co na

cudze patrzą. Swojami rękoma na chleb pracujemy. *Ciurachanów* (złodziei) między nami nie ma.

— Ale zkądże u dyaska wiedzieć już możecie, że ja nie mam koni? z zadziwieniem zakrzyknął Maksym Lach, który aż podskoczył.

— Cygan wszystko wie, dobrodzieju! obojętnie mruknął dowódca bandy.

— Toć i lichy... czerwiciąc się, a na swoich oglądając, ciągnął dalej niespokojny pan wójt. Gdyby wam to nie było potrzebne na złe, żeby wiedzieć wszystko, tobyście się nie starali o te wiadomości. Patrzajcie go! jeno do wsi wjechał, już wie, że u mnie koni nie ma. To znachor!

— Jaki to znachor? rzekł powoli ruszając ramionami Cygan. Ot zaraz wam opowiem zkąd co wziąłem, a dziwić się przestaniecie, że tak mądry. Od tygodnia już siedzieliśmy w Piątkówce, o półtoręj mili ztąd; chwała Bogu ludzie się tam na Aprasza nie poskarżają; dużo się roboty przez nasze ręce przewalilo. Jakiśmy wychodzili, powiedzieli mi drogę do Stawiska i zalecili do was, panie wójcie; a stary Murynec dodał: „Tylko jemu koni nie podkujecie, bo ich nie ma”. Otoż cały sekret!

Gdy się ta rozmowa toczy, Cyganów reszta znużona drogą, jak stała, rozłożyła się na ziemi. Starsi pospuszczali głowy, młodszy je podnieśli, przypatrując się wiosce; a dziewczę cygańskie stanęło obok dowódcy w postawie wdzięcznej i zdawało się chcieć czarnymi oczyma zmieścić ostro dosyć i nienfnie poglądających wieśniaków.

— No, no! jak ono tam jest, to jest, zawołał Maksym Lach; a wy sobie ruszajcie z Bogiem dalej.

— Ale no, tylko przenocować pozwolenia prosim.

— Jeszcze słonko nie zaszło, dobiejecie się do innej wsi; u nas tu Cyganów nie bywało i bez nich się obejdzie.

Starszy westchnął, zamilkł chwilę, wsparł się na biczysku, podumał, a powolnie głowę podniósł. Podstąpiła dziewczyna.

— A cóż to wam złego mogą zrobić Cygani? odezwała się śmiało, wyraźnie i czysto po rusińsku. Was tu tyle, a nas maleńka kupka: wstydalibyście się obawiać nie wiedzieć czego. W Piątkówce cały tydzień siedzieliśmy, i chwała Bogu nie uciekliśmy z niej, ale nas ludzie pożegnali dobrém słowem i prosili z powrotem.

— Cicho Azaoro, cicho! tupiąc nogą przerwał Cygan: co się tobie w to wdawać? Za wóz mała! a do babl.. Nie wypędzajcie nas, panie wójcie, a rozmyślcie się: teraz pora robocza, kowal o dwie mile, ciężko wam niejednemu dzień tracić dla naprawy łemiesza lub naradnika, pozwólcie nam przyzostać; a i my kawałek chleba mieć będziemy, i wy z nas wygodę! Za co u was drugi weźmie złoty albo dwa, ubogi Cygan robi za dziesiątkę lub półzłotka, i dzień jeszcze zyszczecie, a to także grosz znaczy. Powietrza wam, ani ziemi, ani wody nie weźmiemy z sobą, a miejsca dużo nie potrzebujemy także. Ot—dodał wskazując—kawalek wygonu, aby namiot rozbić i kociełek powiesić, to dla nas dosyć...

Gdy Cygan słów tych domawiał, gospodarze poczynali kiwając głowami spoglądać po sobie; znać było po nich, że się łakomili na kowala. Sam pan wójt poskrobał się w głowę, kilka razy czapki poprawił, i obejrzał się w milczeniu na swoich, jakby rady szukał.

Aprasz uczuł, że przy nim wygrana, i nieznaczące półuśmiechu prześliznęło mu się po ustach spalonych. Śpiesznie począł mówić dalej, bijąc żelazo póki było gorące... a mówił tak skutecznie, tak zręcznie i trafnie, że wkrótce pomimo wstrętu, jaki wójt miał do Cyganów, zaprowadzono ich na odlóg nad stawem, i tam namiocik rozbić dozwolono.

Cyganom tego tylko było potrzeba: kawałka ziemi do wbicia czterech kołków przenośnego ich domku, miejsca na ognisko i nadziei jakiegokolwiek zarobku. Pierwszego dnia nawet nie rozsypali się po wsi jak to zwykle bywa, kobieta nie włóczyły się po wsiach, Aprasz nic nie pożyczał. Ustawiono kuźnię, przyprawiono miech, wbito kowadło i już nad wieczór podkuto konia jednemu chłopowi z wielką jego radością, za bardzo taną cenę, w której wypłatę wchodził chleb zczerstwiał, obrok dla konia i chuda kura od dawna niepotrzebnie gładząca.

Nazajutrz już robota płynęła do kuźni Cygana; a gdyby się był chciał trzeciego dnia oddalić i namiot swój zwinąć, myślę, żeby go byli chłopci siłą, mocą wstrzymali, tak wiele jeszcze pozostawało do zrobienia, taki ścisk był na wygonie. Prawda, że też *Rom* (Cygan) niesłychanie był zręczny: konie przedziwnie kuł, kurował i sprawiał, chętnie się wdawał w rozhorwor, nie szczędził rady, a tak wiedział co do kogo przemówić! Na wsi też, jak wszędzie na świecie, temu najlepiej, kto się w porę z sobą popisać umie, i pracą swoją pochwalić, i zalety jej pokazać, a Aprasz celował w umiejętnem pochwaleniu się najnniejszą drobnostką.

— Patrzaj-no—mówił do milczącego i już zawczasu admirującego chłopka—przypatrz-no się, co to za

podkowa! Widziałeś ty kiedy w życiu taką? Ot, jaki u twój szkapy róg kruchy i zadzierliwy, a jak ona się tu gładko przylepiła, jakby przyrosła! popatrzaj-no! gdyby rękawiczka! I niezakuty koń nie zakuleje, nie bój się, bo ja nie zagwożdżę! Podziękujecie, i będziecie Aprasza wspominali.

Slowem wszyscy kowale okoliczni, którzy zwykli byli robić do Stawiska, stracili na raz zajęcie: Cygan wszystkich ku sobie pociągnął. W tydzień wierzono, że nikt na świecie nie włada tak obcęgami i młotem, jak ten cudowny Aprasz; stękano za wczasu myśląc, co to będzie gdy go nie będzie?

Trzeba też przyznać, że postępowanie całej bandy wiele się przyczyniło do tak ochoczego przyjęcia Cyganów. Nie widziano dotąd nic podobnego: szpilka nie zginęła na wsi, kobiety siedziały przy wozach dni cale, ani ich było słychać. Baby same już po leki i po wróżby przywlekały się do nich, ale niełatwo było wymódlz ohoje: Cyganki były smutne, dzikie, ostrożne...

---

Po tygodniu, Cygan śpiesząc dalej, chciał zwijać namiot i wóz pakować; ale gdzie zaś! tyle jeszcze złamanych było lemieszów i koni bosych, tyle dla niego zajęć! Sam wójt go przytrzymywał.

Siedzieli Cygani i siedzieli w Stawisku; a wkrótce tak się dobrze osiedlili, że Aprasz jamę wykopać kazał, darnią ją pokrył, i pod namiotem znalazła się niespodzianie „ziemlanka”. Nikt przeciwko temu nie miał ani słowa, i owszem, cieszo się z kowala włas-



nego, pozbywszy pożyczanych; a z innych wsi nawet szli do Stawisk z naradnikami i siekierami.

Rodzina tych przybyszów składała się, jakśmy wspomnieli: z samego wodza bandy, z owój kobiety z dziećciem, która się zwała jego żoną, z trojgą wyrostków, dwudziestoletniego chłopaka, kilkunastoletniej dziewczyny, oryginalnie pięknego stworzeńka, które miało instynktowe poczucie swego wdzięku, starcej baby, posługacza, co przypominał Kalibana poczwarnością, i trzech kobiet nieznanym jakimś węzłem łączących się z rodziną.

Lecz była-li to rodzina? Kto tu ojcem, matką, siostrą, bratem, żoną, mężem?—nie można było z pewnością powiedzieć. Zwali się wszyscy dziwnymi imionami; tylko władza jednego despotycznie rządziła nimi. Dwoje starych nie miało tu powagi swojemu wiekowi właściwej; traktowano ich jak posługaczy, jak dzieci, oni słuchali pokornie. Zresztą nie był to pospolity motłoch cygański, ale coś niby szlachetniejszego grało na ich osmalonych czołach, w oczach czarnych, na mlecznych białkach osadzonych, biła z ich wejrzeń tęsknota wygnańców, znużenie osieroconych, piętno wyroku dzieci Kainowych.

Całemi dniami owa niewiasta, żona Aprasza, siedziała z dzieckiem, którego nie spuszczała z kolan, pod rogiem namiotu, milcząca jak posąg, nieruchoma, z oczyma wlepionemi ślepo w drugi róg namiotu, i nie rzekła słowa, nie ruszyła się do jadła, nie zajęła niczem. Czasem mąż zagadał do niej, ale mu nie odpowiadała; przybiegły do niej nagie dzieciaki, nie spozierała na nie; tylko gdy niemowlę zapłakało, przyciskała je silniej do suchej piersi i dwie prostopadłe zmarszczki przecinały chmurne jęj czoło. Stara baba

posługiwała jój w podobuém milczeniu, a krępy Kaliban (zwany po cygańsku Cynonem niskim) uwijał się przy kuźni. Trzy kobiety warzyły jedzenie, pilnowały dzieci; młody chłopak z Apraszem stał za kowadłem i pomagał majstrowi, w milczeniu więcej robiąc od niego.

Ostatni, pomimo że w rysach jego twarzy, w oczach i ustach przebijała krew cygańska, wielce się różnił od swojej braci Romów, jak gdyby obcego plemienia pierwiastek, myśli i żądze grały mu w piersi. Włos jego nie miał kruczój czarności i kędzierzawości Aprasza, i spadał w prostych strugach na szerokie ramiona; twarz także była bielsza, oko inaczej wycięte i osadzone, wargi mniejsze i szczuplejsze. Ogół twarzy podłużny, miał coś w sobie typu Rusinów, ale zmieszanego z krwią tułaczy.

Chłopak ten, choć posłuszny rozkazom wedza, choć pracujący z nim razem, nie był mu jednak tak uległy jak inni; często na słowa ostre odpowiadał niemniej żywo, mierzył się wejrzeniem z Apraszem. Starszy w drżącój dłoni młot nieraz podnosił do góry, jakby go chciał uderzyć, i zęby ścinał, i brwi nań marszczył, jak iskry sypały się im słowa... ale po chwili zwada uchodziła, i znowu głucho a przerywane tylko biciem młota następowało milczenie.

Po dniu pracy młody Cygan nie spoczywał z towarzyszami pod namiotem, rzadko sięgał do kociołka ich strawy; z suchym chleba kawałkiem biegł na wzgórze, siadał zadumany, i tam go oblanego rosą wieczorną noc chwytała, sen zaskoczył.

Uparte żony milczenie, częste z czeladnikiem spory, nie uszły oka chłopków, którzy na tę tajemnicę rodzinną dziwacznie spoglądali zaciekawieni i niespo-

kojni. Nawet dla nich, co nie nawykli nic badać i śledzić, czuć było jakiś dramat pełny krwawych tajemnic w węzle, co łączył tych dziwnych włóczęgów. Ta matka, co się zdawała żyć tylko dla dziecka; ten pomocnik, który dawał pracę swoją, a nie chciał oddać naczelnikowi duszy i siebie, ci starzy wreszcie; jak bydłęta spełniający najcięższe posługi, i ta dziewczyna piękna, wdzięczna, zalotna, zdająca się wszystkim a nawet wodzowi panować,—budziły ciekawość i roje domysłów.

Z gromady całej najdobitniej Cyganami byli Aprasz i Aza. Ta mogła mieć lat ośmnaście; i prócz wdzięku świeżej młodości, miała tę piękność nie naszą, dziką, osobliwą, bronzową, ognistą, której próbki widzimy w indyjskich posążkach, w indyjskich malowaniach, zdobiących stare ich poemata. Oczy jój czarne siały ogień, i zdawały się więzić wzrokiem niepokonanym, przed którym każda najśmielsza zniżała się powieka; nos kształtnie zgięty, usta nieco wydatne, policzki jednostajnej barwy ciemnozłocistej, okalały sploty włosów hebanowych, tak obfite, tak ogromne, że niemi i głowa opasana była, i szyja otoczona, a reszty jeszcze splecione, przez ramiona na barki spadały...

Na jój czole, w oczach, ustach i całej postawie szatan czy anioł w kolebce napisał: „Ty będziesz panował!” I szła za swém przeznaczeniem śmiało, pewna jutra; a było coś zadziwiającego w tej nędzy i łachmanach, okrytych purpurowym płaszczem poczucia swój potęgi.

Kibić jój, bo i kibić ma potęgę swoją, wdziękiem przechodziła twarz jeszcze; czuleś pod obcisłymi łachmany, które ją okrywały, że to ciało wykute było ze śpiżu, na wzór jakiś pierwotnych wieków, co się

o ideał postaci ludzkiej otarły. Śliczna jej nóżka, czar-na, ale mała ręka, godne były deptać złociste wez-głowia i obwijać się drogiemi tkaninami Wschodu. Na tej piersi lada płócienna zasłona zmieniała się w szatę bogatą, i posłuszna fałdowała się jak naj-cieńszy rąbek.

A jednak piękność ta nie była powszednią: nie każdyby ją był postrzegł, rzadki się nią zachwycił; potrzeba było pocucia nieśmiertelnych typów piękna, żeby w niej ukryte cudo odgadnąć.

Śmiecie się jeśli chcecie: gmin ją miał za dosyć brzydką młodą Cygankę, a poeta biegłby za nią jak za cuduëm zjawiskiem.

O! umiała się, umiała stroić zalotnica! Białego płótna kawał, pstry rańtuch, pas czerwony, sznur ko-rali, garść pstrych kwiatów polnych, świecące szkieł-ka,—wszystko jej było strojem i wszystko do twarzy. Stawała nad wodą, myślała trochę i obwieszała się coraz inaczej od stop do głowy w ubogie swoje świe-cidła; często godzinę tak wdzięczyła się sobie sama, lecz gdy wróciła potem pod szary zakopcony namiot, jaśniała w nim sama jedna odnowioną urodą tak, że Aprasz nieraz podniósł głowę od roboty, ażeby się jej przypatrzeć, a spojrzawszy, smutnie się uśmiechał czegoś.

---

Jeden chłopak, dziki ów Cygan, co to z wozem nieraz się śmiał spierać, ani patrzył na piękną towa-rzyszkę swoją; zdawało się to w nim raczej silném postauowieniem, niżeli dobrą wolą.

Oparta o namiot, w cieniu, błyszcząc tylko czar-nemi ognistemi oczyma, Aza śpiewała, lub słowy jak strzałami zatrutemi drażniła i jątrzyła milczącego. Ale te słowa były jak liście, co padną na wodę: wo-da się zmarszczy, liść plynie, i znowu niebo się w niej przegląda. Tumry—tak zwano chłopaka—nie słuchał, nie patrzył, nie odpowiadał. Czasem się zachmurzył, niekiedy do siebie uśmiechnął, i kuł żelazo jak nieży-wy młot, jak posłuszne narzędzie, spoglądając, rychło zajdzie słońce i ogień pod hornem zagaśnie, żeby uciec na góry samemu i z sobą odpocząć.

Aprasz i dziewczyna czasem dzień cały dogryzałi mu ostrzonymi widocznie wymówkami, szyderstwem, śmiechem lub łajaniem; on cierpiał, oburzył się cza-sem na starego, bryzgnął słowem na dziewczynę, lub częściej zmilczał, dobil końca dnia i niekał. Innego dnia znowu i stary i Aza chcieli go ku sobie pociąg-nąć piosenką, miodowém słówkiem, długa nanka, lub słodkimi obietnicami: Tumry milczał uporczywie i udawał głuchego.

Wszystko to i wiele innych scen dramatu widzieli nieraz wieśniacy, czekając na swe łemiesze i radła, i pojąć nie umieli, co się tam działo pod tym namio-tem wędrownego Tubalkaina. Rozmowy przybyszów gorące, żywe, szybkie, odbywały się wszystkie w tym języku niezbadanym, którego nikt dotąd dobrze nie zrozumiał, nikt się nie wyuczył; bo język ten zmie-nia się umyślnie, jak wąż barwiąc się coraz inaczej, i jak wąż sunąc pod trawy i liście od ludzi. Któż tam wie, ile krajów, wieków, ludzi i pamiątek stwo-rzyło tę mowę splecioną z dźwięków najdziwaczniej-szych! Może w niej brzmia jeszcze wyrazy robotni-ków, co wołali z wierzchołka wieży Babel; może

dźwięczy zakłęcie kapłanów Brahmy lub Ozyrysa może... ale któż to odgadnie?

Był jednak we wsi Stawisku ktoś jeden, co język Romów umiał: Cygan, który za przyhyciem swój bra-  
ci zamknął się w chacie, by ich nie widzieć; ale pa-  
lony niepokonaną żądzą usłyszenia choć z daleka  
dźwięków mowy, którą jak sen dzieciństwa pamiętał,  
nocą się podkradał tajemnie pod szatrę, i godziny ca-  
łe łącząc na zicmi, pił głos rodzinnego języka, co mu  
się odzywał to w piosence Azy, to w narzekaniach  
kobiet, to w rozkazach Aprasza.

Stary Lepiuk w istocie był pochodzenia cygań-  
skiego, ale w nim tylko jego pamięć pozostała, bo  
się długim życiem przetworzył zupełnie i rzadko kto  
w twarzy nawet mógł wyczytać ród jego. Ludzie mó-  
wili, że dawnymi czasy znaleziono którejś ciężkiej zi-  
my, na drodze między Stawiskiem a Rudnią pod ku-  
pą nawianego śniegu, dwoje zmarzłych ludzi: był to  
nagi Cygan i Cyganka. Oboje napadnięci mrozem  
i zawieją, czując widać zgon swój, ratowali już tylko  
dziecię, które mieli z sobą; sen śmiertelny ich zmo-  
rzył nad drogą skulonych przy kilkoletniem dziccie-  
ciu, które ocalało zasłonięte skostniałymi trupami ro-  
dzieńców. Jakiś litościwy gospodarz, okrywszy kożuchem  
dziecinę, zawiózł ją do wsi, odchuchał, a zmarzłych  
Cyganów pochowano na rozdrożu bez krzyża, i mogi-  
ła ich dotąd zasypywana kamieniem i gałęzmi, zowie  
się: Cygan-Cyganicha. Lepiuk właśnie był owym znaj-  
dą. Ochrzczono go, wychował się w Stawisku, wyrósł  
na parobka, przejął obyczaj wiejski, mowę, postawę  
i twarz nawet, zdawało się, że zabył swoich na wie-  
ki. Gospodarz, co go uratował, dał mu krewniaczkę  
za żonę; objął z nią chatę, odziedziczył nazwisko

dochował się dzieci, i wżył się w wioskę jak w swoją.

A jednak, o wspomnień siło! krwi potęgo! cnda nieodgadnione! węzły niestargane! ile razy staremu już Lepiukowi przyszło przechodzić koło mogiły na rozstaju, stał tam długo, i myślał, i wdychał; a kiedy do wsi przybłąkali się Cygani, Lepiuk głowę stracił. Uczuł, że mu się w niéj mąci, że stare, zastygłe serce przejechało wzdłuż i w szerz całą pierś, jakby z niéj chciało wyskoczyć. Rzucił się do drzwi, zarygłował je sam przed sobą; w nocy nie spał, we dnie chorował. Potém jął od braci Cyganów uciekać, bojąc się ich spotkać, lękając się, by na jego czole nie wyczytali odstępstwa; a nocami wykradał się jak złodziej pod szatrę Aprasza, i stary płakał nad pieśnią, której z początku nie rozumiał.

Język ten jego dzieciństwa był w nim jakby uspio-ny, nie zaś zapomniany; spał on gdzieś w sercu, czy w głowie, a gdy go iskra uczucia dotknęła, przebudził się i powstał. Z razu Lepiuk nic nie rozumiał prawie; był to tylko szum jakiś, szemranie jakieś, jak gdy gwarny tłum jedzie śpiewając pieśń; chwytasz ją już, a jeszcze zrozumieć nie możesz. Potém po jednem—któż wie jaki wyraz spał głębiéj, leżał ciężéj przykryty?—z kolei wstawać poczęły słowa, ożywiać się, poruszać, ukazały się jaśniejsze, jedno drugie wiodło za rękę, aż wszystkie do jednego podniosły się, i zaśpiewały starcowi uroczą pieśń młodości.

A stary płakał rzewnymi łzami, i wstydził się swych oczu, i krył z niemi, a boleść i wstyd kamieniem go gniotły. Kochał przeszłość, a bał się do niéj powrócić.

---

On jeden słyszał wśród nocy dziwne rozmowy włóczęgów; widywał wybiegającego z szatry Tumrego, wyglądającą za nim Azę, klnącego Aprasza, i czarne oczy jego żony, niecruchomie wlepione w dziecię, którym żyła.

Nieraz, gdy starzy i posługacze usnęli pod wozem na darni, pod namiotem płonął jeszcze ognik i slychać w nim było długo szmer słów, jak iskry z rozżarzonego pryskające węgla.

— Słuchaj Azaoro, to daremnie—mówił raz Aprasz do dziewczyny, która wyciągnawszy rękę, groziła nią po za namiot ku siedzącemu z dala na urwisku gliniastém Tumremu:—trzeba zapomnieć o tym zdrajcy. To krew nie nasza: to krew *Gadziów* (niecyganów) to dziecko mojego brata, ale nie siostry mojej, matka jego była jasnowłosą *Gdzią* (chrześcianką). Daremnie, byle krwi ich kropla zmieszała się tylko z naszą, zwycięża i bierze górę... Wielki duch, *Mroden-oro* (Bóg) skazał nas na wszelakie zniszczenie. Ile razy połączymy się z innym rodem, krew obca zatłumi krew *Romów*. Zostawmy go losowi, który go czeka: niech idzie na złamanie karku, gdy mi odsłuży co winien za naukę.

— A! byleście go odepchnęli, to pójdzie! odpowiedziała dziewczyna. Ptaka ziarnem wabią, nie strzają...

— Małożem go wabił i głaskał? ty i ja?

— Ja może, ale ty nie bardzo; zawsze w nim nie-nawidziłeś obcego.

— Mamże kochać obcych? szydersko uśmiechając się odparł Aprasz. Dla nas przez nich ani na ziemi kąta, ani kropli wody, ani cienia, ani spoczynku. Powitałże nas kto słowem pocziwém, pożegna dobrém



życzeniem, powie nam kto: bracie?... Wyklęci, musimy przeklinać!

— A cóż temu winien Tumry, że się urodził z jasnowłosej matki?

— Winien, nie winien, każdy pokutuje za grzechy cudze; za nasze męczyć się będą wnuki, my za pradziadowskie jęczym... — I klął nieznany szatanem. — Słuchaj Aza — dodał — dosyć tych wabień i przyciągań!... On myśli, że się bez niego obejść nie potrafimy i w dumę się wzbija. Znajdziesz innego męža, niech go tam *Bynk* porwie (dyabeł)!

Cyganka uśmiechnęła się, i dwa rzędy białych zębów błysnęły z pod warg rumianych; ale w oku jej nie było uśmiechu... zadrżały jej usta odpowiedzią i zamknęły się milczeniem. W czasie tej rozmowy Cygan po kilkakroć rzucił okiem na kobietę z dzieckiem, zbliżył się do dziewczyny, i szepnął znowu, wezwawszy *Bynka*:

— Albo ta! albo ta! widzisz ją? i w niej gra krew cudzych ludzi, krew *Gadziów*. Już lat trzy milczy i łyzy nawet nie puści, i wędruje z nami, a serce gdzieś zostawiła za sobą. Nie! nie! Cyganom się nie bratać z białowłosymi: nasza dola wygnanie, nasz los wieczna włóczęga, a to ślimaki wiecznie do skorupy przykute. Oni się rodzą do jednego miejsca, a skoro je z oczu tracą, mirą powoli...

— Daj jej pokój — odpowiedziała Aza — wypłakała już łyzy, wyjęczała słowa; pewna jestem, że gdy dziecko od piersi jej odskoczy, ona martwa upadnie...

Aprasz tylko ramieniem ruszył obojętnie, wyjrzał za szatrę, popatrzał na gwiazdy i powalił się na ziemię, jak bryła bez życia.

Aza pozostała na miejscu, patrząc gdzieś daleko.

---

We dworze w Stawisku mieszkał naówczas młody, świeżo na świat wypuszczony człowiek; imię mu było Adam; a nazwisko... do czegoż wam nazwisko? Puszczek ledwie jasny porastać mu zaczynał na wardze i brodzie, dwudziestu wiosen nie pamiętał, budził się dopiero do życia, a już mu ono smakować przestało. Rodzą się tak ludzie w wiekach przeklęstwa, bez sił i ochoty do życia, bez ognia w duszy, bez ciekawości w głowie, bez popędu, bez chęci żadnej, bez zwierzęcego nawet szału. Otwierają oczy gnuśne na świat bezbarwny, i sen obojętny je zamyka; nic ich nie bawi, nic nie rozgrzewa, nic nie pędzi z kolebki pierzem wyslanej na drogę skalistą i krwawą nadziei, pracy i zawodów... Śmierć i życie dla nich równe zupełnie, ludzie bracia obojętni, świat niepotrzebną, spłowiałą dekoracją.

Jednym z takich młodych starców był Adam. Wypieszczono go dzieckiem na martwego człowieka, brakło mu więc teraz ochoty i materyłu do życia. Nudził się śmiertelnie; a że nudy sprowadzają gniew i złość, więc gniewał się i złościł na to, co go otaczało. Cóż winni byli świat i ludzie, że on był tak martwy?

Czasem, kiedy się przypatrzył jak iuni wesoło i ochotczo krajali swoją kromkę razowego nawet żywota, zrywał się ze snu i próbował coś począć; ale wnet znużenie odtrącało mu ręce, szerokiemi ziewaniem kończył piosnkę, głowa opadała na piersi i powieki się zamykały. Przychodziły nań także napady myśliwstwa, pragnienie jakiejś krwi chorobliwej, jakaś żądza dziwnej miłości, silnych wzruszeń, bojów, kąpieli ognistej, coby odrodziła, śmierci, męczarni, uczucia... ale te chętki chwilowe przelatywały jak widma i nikły w snach gnuśnych spowite. Adam nigdy nie ko-

chał jeszcze, choć cały scraj dziewcząt ścisnął go kolejno białemi rękoma i oblewał łzami przymusu, choć niejedno może zabiło do niego młode serce... Bawił się tylko kobietą i nie mógł dotąd odgadnąć, gdzie dla niej bije serce... jak ją kochać można? Nasycony, przesycony, zużyty, odpychał raczej niżeli pragnął nowych prób miłości, przekonany, że był na dnie tego raj, który dla innych wydaje się bezdennym.

Życie mu się wlekło, wlekło, pełzło tak powoli, że często dzień jak wiek się wyciągnął, a minuta wydała rokiem. I były chwile, że patrzył na wskazówkę zegarka, a nie mógł się doczekać, żeby z miejsca ruszyła.

Jednego wieczoru, po długim ziewaniu, wstał Adam powoli; przyprowadzono mu konia, gotowe były psy i przyjaciele. Odepchnął skinieniem konia, psy i towarzyszków, i poszedł sam pieszko, nie wiedząc dokąd: — żeby się rozechodzić, uczuć, że jeszcze żyje! Los go pędził na wygon ku namiotowi Cyganów. Słońce czerwono świeciło nad zachodem, i ukośne promienie jego, w pasy złote i czarne, jak wschodni kobierzec, stroiły ziemię już w mrokach zacisznych kątków pokrytą rosą srebrzystą... Świat w tych blaskach dziwnych cały się jakoś zdawał odmienny od powszedniego; coś w nim było fantastycznego, uroczego, wspaniałego. Ten wyraz jego oblicza uderzył oko zdrętwiałe Adama; stanął i obejrzał się. Było to właśnie przed namiotem Aprasza.

Przed nim, z rozpuszczonemi włosami czarnemi, siedziała smagła Cyganka, piękna ogniem i młodością: rzekłabyś, że dwa węgle kowalskie płonęły w dzikich jej oczach. Wzrok biednej wygnanki wkradł

się pod powiekę osowiałego chłopca, i Adam zadrżał. Aza spostrzegła to i uśmiechnęła się, aż dwa rzędy zębów jak śnieg białych wypłynęły z pod warg różowych. Zalotnica odrzuciła w tył głowę na ramiona podniosła wzrok, wygięła kibić sprężystą, jak gdyby, ze wszystkimi skarbami swych lat siedmnastu pochwalić się przed nim chciała.

Adam stał, patrzył i poił się; serce mu nawet biło, krew nawet żywiej pływała: pierwszy raz może w życiu silniej zapragnął — pokochał prawie.

W te suche serca kiedy iskra padnie, to jak pożar na posusze: w okamgnieniu płomień bucha niewstrzymany, niepowściągniony, niszczący. Tak było z Adamem, bo nim się ruszył z miejsca, powiedział sobie: „Ona musi być moja!“ i dodał cicho: „choćbym ją krwią miał zapłacić!“

Ledwie odszedł wolnym krokiem, Cyganka pobiegła z uśmiechem radości do starego Aprasza.

— Słuchaj ojczy — rzekła — słuchaj *dadlos*, rzuć ten młot, odpoczniój, będziesz mógł użyć wczasu. Dziwne się rzeczy stroją! *Rahlora* (dziewczyna) złowiła rybkę!

— A co ci się tam znowu uroiło w młodej głowie? odparł Cygan.

— Co? wiesz? ja się znam na ludziach! Bóg, co nas posłał na wieki stałą włóczęgę po świecie, dał nam węch jak staremu *szukeli* (psu) szukającemu sobie lekarstwa. My także instynktem czujemy ludzi, i czytamy w nich lepić, niż oni w swoich książkach. Przed chwilą przechodził tedy koło namiotu *raj* (pan) tutejszej wioski, młody dziedzic wsi, o którym wiesz co powiadają, że mu woda zamiast krwi w żyłach płynie. I prawda! O biedne chłopię! zdaje się nie

mieć w sobie także i siły do jutra!... A jednak moje oczy go rozgorączkowały. O! bo też dobrze, dobrze patrzałam na niego, aż zadrżał, aż się zwinął jak wąż, gdy go nogą nastąpisz. I powoli rumieniec trysnął mu na twarz, ręce drgać poczęły; wstrząsł się, poleciał jak szalony.

Klasnęła w dłonie.

— Azaora będzie miała bogate *bucaki* (suknie), złoto na głowie, złoto w warkoczach, pasy czerwone, co zechce!

— O! tybyś się sprzedała, *rakloro?* chmurno zapytał stary Cygan.

— Ja? na wieki, nie... na godzinę, czemuż nie? Wszystko się sprzedaje na świecie, chodzi tylko o cenę. Czego nie kupisz za grosz, można mieć za milion! Serca mu nie sprzedam, ale oko, warkocz i rękę zimną... czemuż nie? czemu nie?

— Wszetecznica! zawołał stary przez zęby—wszetecznica! *Bynka gasina!* (dyable dziecko).

Aza odskoczyła jak piorunem rażona; wzrok jej zapłonął.

— Słuchaj stary! zakrzyknęła groźnie: nie masz jeszcze prawa mnie bezcześcić i *Bynkowi* oddawać; ty nie wiesz co ja myślę. Sprzedam się; ale się nie zwalam, bo to tylko mieć będzie za pieniądze, co daję wszystkim: śmiech, spojrzenie i piosnkę... A ty myślisz, że ja dłużej wytrwam w tych waszych łachmanach i brudzie! Nie! nie! ja się i wami i sobą brzydzę; ja jestem stworzona na *rani* (panię), do bogactw i dostatku; mnie trzeba sukni, łańcuchów, błyskotek, szkiełek i państwa... A potem — dodała tęsknie się zamyśliwszy — gdy ta burza młodości minie, gdy za-

gaśnie co we mnie świeci... ubierzcie mnie w łaachmany znowu, pójdę jak pies za wozem posłuszna.

Kowal głową tylko pokiwał, ale w ręku drżały mu obcegi i młot.

— Psia natura! zamruczał — nie może sobie Cygana zwabić, będzie panicza łaskotała. Nie wytrwał! Oj młodość! oj młodość!

— Tyś nigdy nie był młodym, odpowiedziała szybko Aza; bo kobiety tylko młode być umieją, a mężczyźni od powicia są starzy. Waszą dolą praca, a naszą śpiew..... Jak śpiewać o głodzie i nędzy?

— Głowa ci się zawraca!

— Zawrócił! krzyknęła tańcząc po namiocie Cyganka. Szaleję, stroję się myślą, śpiewam, bawię. Jutro będę w *khera* (domu, pałacu), jutro będę *rani*! Bywaj zdrów, stary kowalul

---

Z ociężałym czołem Adam powrócił do domu. W ganku powitały go psy i przyjaciele; on usiadł nie głaszcząc ani ręką, ani słowem, jednych ani drugich. Chmura zawisła nad czołem, oczy nabrzmiały nagle gwałtowną żądzą, i o cudo! chciał, pragnął, kochał! Myślał powrócić nazad, i podać rękę Cygance, i prowadzić ją do swego domu, by chwili żądz nie stracić; ale się wstydził sam siebie, i przyjaciół, i ludzi.

Całą noc walczył jak potępieniec, a ta noc przecie wydała mu się krótką, choć powiek sen nie stulił. Blask słońca oblał go wstydem; począł się śmiać z siebie.

— O! o! panicz pokochał się w Cygance, w czarnej, brudnej Cygance, co siedziała zasmolona w namiocie kowala. Panicz, co mógł mieć na skinienie białą dziewę ze stolicy, w której bułki i dziewczęta

się sprzedają, zażądał razowego chleba nędzy! To być nie może, niepodobna! wołał do siebie i śmiał się.

Odpędzał myśl. a myśl jak pijawka wpiła się mu gdzieś koło serca, koło głowy, i targała nim bezlitośnie. I rozpadł się na dwóch ludzi, jak to zwykle bywa, gdy nami szarpie namiętność silniejsza od rozumu i wstydu. Jak owi skazani na potarganie dziełami końmi zbrodniarze, myśmy naówczas rozerwani na dwoje, i jeden z nas szydzi, gdy drugi boleje. W cierpieniu każdej namiętności jest takie człowieka rozdzielenie.

Ku wieczorowi dnia tego wielki gniew opanował pana, i kazał zawołać ludzi, żeby ich spytać, kto dozwolił Cyganom rozgościć się na pustym pod wsią wygonie? Nie śmiał już sam iść do namiotu, ale chciał, żeby namiot przyszedł do niego; i w gniewie, w okropnym gniewie kazał przyprowadzić Cyganów do siebie.

Zniewu już słońce zapadło, a Aza siedziała strojna od rana u namiotu, wywdzięczona, uśmiechnięta, a Aprasz z niej szydził niemiłosiernie. Gdy przyszli ludzie po Cyganów do dworu, wójt przestraszony i kilku wylekłych z gromady, Aza aż w ręce klasnęła.

Ludzie patrzali na nią jak na szaloną, bo się obawiali pańskiego gniewu, który dla niej jednej był zrozumiały.

Gniew ten był pragnieniem, bo gniew bywa różny: jest nienawiścią, miłością, żądzą, i jak suknia pokrywa różne postacie.

Aprasz szedł do dworu zadumany, a Aza podśpiewując wesółą, wystrojona, prawie piękna. Ona tak doskonale umiała uczynić się wdzięczną, gdy chciała! a tak chciała być teraz piękną i do reszty oczarować panicza!

Ani psów, ani przyjaciół w ganku nie było, tylko sam pan. Aza szła śmiało, prosto do niego, z uśmiechem siły, ze wzrokiem zwycięstwa.

Adam aż uląkł się tych czarnych węgli jój oczu, i zamiast gniewu, blady uśmiech proszący o litość prześliznął się po jego ustach.

— Kto wam tu pozwolił się zatrzymać? Zkądście tu przyszli? spytał po chwili.

— Mój stary nie umie dobrze mówić, szybko występując naprzód poczęła Cyganka: pozwólcie mi się wytłómaczyć.. Milcz Aprasz, i dozwól mi się z nim rozprawić — dodała po cygańsku.

To mówiąc, przystąpiła bliżej, przysunęła się pod ganek, przełamała główkę na karczku gdyby ptaszek, podparła ją dłonią, i wlepiając węże oczy w młodzieńca, coś cicho, niezrozumiale, jakby zakłęcie mruczeć poczęła. Adam chwilę popatrzał, chciał się odwrócić, czując, że wzrok Cyganki szarpie mu coś głębiej w piersi, niż dotąd kiedykolwiek czyje wejrzenie i słowo.. ale już było za późno. Zręczna dziewczyna miała go już w sieci: spuścił głowę milczący, bezsilny, opętany..

---

Nazajutrz Aza była we dworze, a Cygani z kuźnią na wygonie; ale Azy ani poznać! Czarna Cyganka wstała pod dachem pańskim królową bajeczną z nad brzegów Indu, marą z poematów sanskrytu, i brakło jój tylko może kwiatka Lotusa w rękę, by wyglądała na bóstwo Lakszmi, na krewniaczkę Wisznu i Brahmy.

Adam u nóg jój leżał, a na ramionach młodziana spoczywały dwie nóżki upierścieniowane, różowe, dep-



cąc poganina, niewolnika. Co było szat bogatych, szat starych po pradziadach i prababkach; co było świętości w domu po bohaterach umarłych, bezdzietnych: wszystko to teraz stroiło dziecko włóczęgów, obwieszane złotogłowami, perłami i muślinami. Najmniejsze puchy otaczały jęj cialko, najwdzięczniejsze wonie kołysały się nad nią w powietrzu. Psy i wczorajsi przyjaciele stali w sieni: Adam dni całe, tygodnie, leżał sam u stop czarownicy.

A dzień sam upływał w osobliwszym zajęciu: ona patrzyła, on słuchał. Czasem szyderskim uśmiechem uderzyła go jak sztyletem, to znów polyskała wejrzaniem: rzekłbyś zapaśnik, co walczy z przyswojonym dzikim zwierzem. Adam gorzał; ona się śmiała z niego, i codzień pragnęła więcej, postępowała zuchwałej, stając się dumniejszą i dzikszą. W miarę jak była pewniejsza siebie i swego panowania, gniotła go nielitościwiej.

Biedne skarłałe dziecko wielkich pradziadów! Co to był za widok! W tym dworze jeszcze świętą, pocziwą woniejącym stęchlizną, ten dzieciuch wielkich rodziców, w komuacie ubłogosławionej pracą i boleścią ojców, u nóg włóczęgi, którą ustroił w pamiątki poszarpane, w pokalane świętości!! I ściany nie zatrzęsły się nad nimi, i stropy nie załamały się, nie zapadły podłogi!! Tylko wszystka woń przeszłości uniosła się z przybytku tego gdzieś daleko pod niebiosa.

Aza zwycięzka żyła tylko swoim tryumfem; jęj nic więcej nie było potrzeba nad widzenie się piękną, nad przeżycie chwili żywotem bogatych, którego nie kosztowała, nad upojenie się jakimś zwierzęcem wszystkim co poi. Ten męczyzna leżący u nóg jęj, blade, schorzały, zmęczony, którego piekła gorączka żądzy

bezsilnej, nie wzbudzał w niej nawet litości. Było to dziecię boleści, co przywykło mężczyznę widzieć pracownikiem i mężem; przypatrywała się więc temu karłowi z ciekawą jakąś pogardą. Czasem śmiała się z niego, lub spragnionemu rzucała tylko jak psu kość, uśmiech dwuznaczny.

W nim miłość wrzała z gniewem, 'ale nie miał tyle siły, aby obojgiem wybuchnąć; paliły go wewnątrz tylko.

Aza latała i bawiła się wszystkimi fraszkami, które próżnowanie, zbytek, przepych, fantazyja nagromadziły w starym domu. Codzień potrzeba jej było nowego stroju, nowego cacka, nowego jakiegoś zajęcia; za wszystko płaciła tylko dziwnym swoim uśmiechem i dziwniejszém wejrzeniem czarnych oczu. Adam nawet zimnego nie dostał od niej pocałunku, — tak dziewczyna dobrze wiedziała, że jej potęgą była żądza zużytego młodzieńca, co mogła w pierwszym nściśku zagasnąć. Dmuchała w tę iskrę oczyma i usty, pielęgnowała ją i żyła, żyła szybko, ogniście, piersią całą, jak się żyje snem rozkosznym, z którego człowiek co chwila lęka się obudzić. Chciała spróbować wszystkiego, dotknąć, spożyć co tylko było pod ręką w tej szybkiej godzinie jej doli; a ile razy łachman zrzucony przypomniła sobie, dreszcz ją przebiegał, i jak struś zamykała oczy, by przychodzącego niebezpieczeństwa nie widzieć.

---

Długo tak trwać nie mogło, a trwało jednak dosyć długo... Dziewczyna paliła zwiedłego panicza na żar i popiół; on się zżymał, ale czując życie w sobie pierwszy raz od dawna, nie wyrывał się z niego-

Aza myślała o jutrze, o brudnej szatrze cygańskiej, o starym łachmanie, który zrzuciła jak wąż przyodziewający się na wiosnę, o życiu niedostatku i gołego nieba; myślała, walczyła z sobą...

Tu ją trzymały błyskotki, tam pociągała cygańska swoboda... Cztery ściany malowane zamykały niewolnicę, a przez okno widać było zawsze jedną, smutną, ciemno-zieloną gałąź świerka, co się uwiesił przy dachu dworca. Nie czuła wiatru, który tylko świstał, szumiał i huczał w kominach; nie piła powietrza żywego, które latało około domu; nie biegła ku nieznanemu, jak przywykła: i tęskno, tęskno jój było ku wszystkiemu dawnemu, nawet już trochę ku nędzy.

O! któż ludzką pojmie naturę i ludzkie przeczyta serce? Często najsprzeczniejsze chwycą je żądze i szarpią, a obie tak nam drogie, że żadnej z nich odpuścić nie mamy siły. Tak było z Azą. Tu ją cieszyły i bawiły miękkie poduszki dostatku i strój bogactwa; tam ciągnęła tęsknota po bożym świetle szerokim. Bo to było dziecię *Errumanselów* (Cyganów), wygnanców bezdomnych, wyrosłe pod skrzydłami burzy, wykołysane wiatrami, opalone od słońca, myte rosą poranną; i jemu wędrówka jak bocianom rozwijała skrzydła, od gniazda pędząc do gniazda, zawsze w tęsknocie do czegoś nieznanego.

W tydzień Aza płakała: chciała ulecieć, bo czuła, że więdnę, że tęskni, że zamiera; a żal jój było błyskotek, wdzięku, który jój dawały, i życia, którego skosztowała. Kochanek blady, zmęczony, zesłabły, był dla niej pogardliwą istotą, i brała ją litość nad nim, lecz jeszcze więcej obrzydzenie; po dotknięciu tej ręki wyschłój w próżnowaniu i rozpuszcie, ocierała dłoń

swoją jak po ślinie ropuchy. Adam milczał, palił się, kochał — ale żył.

Jednego wieczoru pokazał się księżyc z za drzew, i Aza ze drżeniem pobiegła do okna. Gdy jój nocna gwiazda zabłysła, roztworzyła szyby, wlepiła oczy, wychyliła pierś na wieczorne powietrze. Księżyc ten srebrzysty przypomniiał jój wszystkie od dzieciństwa wędrówki po świecie, i zdawał się wzywać do nowych.

— Co ci jest? spytał Adam.

— Co? z szyderskim odpowiedziała uśmiechem, ledwie zwróciwszy się ku niemu: albo to ty panie zrozumiesz? Żal mi nędzy, chłodu, głodu i włóczęgi mojej; bośmy widać przeznaczeni na wiekuiste blądanie się po świecie... Prawda, że ci to niepojęte, żeby tęsknić można do czarnego chleba, do czarnej doli i do wędrówki bez końca? Mówią ojcowie nasi, że w kraju, z któregośmy wygnani, cześć oddawano ptakowi, który i do was zalata... Patrz, oto jego gniazdo na tém drzewie. *Cierik* ten (ptak) zowie się u was bocianem... Bocian w podaniu cygańskim jest przeklętym jak Cygani.

— Coś ja ciebie doprawdy nie rozumiem, dziewczyno! rzekł ziewając Adam.

— Poczekaj, zrozumiesz może. Bocian, jak my, nie ma swojej ziemi. Dawno, dawno, lat temu tyle, ile ziarn w wydmie piasku, co gwiazd na niebie zimowém — wielkie było na ludzi nieszczęście. Ludzie naówczas jeszcze byli wielką jedną rodziną, ale ją już toczyły robaki... i Bogu nie upodobało się stworzenie jego, *Mroden-oro* chciał je zniszczyć całe. Między synami ludzkimi był tylko jeden z rodziną siwo-brody starzec, którego Bóg przeznaczył na odnowienie rodzaju; starzec ten zwał się *Noa-oro*. I ka-

zał mu Bóg budować statek wielki, w którymby się mogły pomieścić wszystkie zwierzęta ziemi po parze i trochę ludzi wybranych. Kiedy się niebieskie otworzyły wrota i wody potokiem łąć się poczęły na ziemię, uchodziło co żyło do wielkiego statku, i co żyło zegnało swoją matkę ziemię wejrzeniem żalu i tęsknoty. Nie było oczu, coby nie zapłakały, rozstając się z kątkiem rodzinnym; jeden tylko bocian wszedł do statku z żabą w pysku, nie obejrzawszy się nawet na gniazdo swoje. *Mroden-oro*, co patrzył z wysoka, przeklął go za tę nieczułość i skazał odłączyć na wieczną tęsknicę. Gdy potem wody osiąkły, bocian rozpoczął wiekuistą wędrówkę od jednej do drugiej ziemi, bo Bóg tak uczynił, ażeby zawsze jedną żałował i po jednej płakał... Ten bocian, to Cyganie panuś — dodała dziewczyna. Tęsknimy zawsze, idziemy wiecznie, i nigdzie nie ma dla nas ojczyzny i spoczynku.

To mówiąc, wstrząsała się Cyganka i rzuciła się ku drzwiom, jakby chciała uciekać; ale Adam rozwartemi zatrzymał ją rękoma.

— Ty musisz zostać ze mną! zawołał.

— A czemuż ty za mną pójść nie masz? odpowiedziała dumnie Cyganka. Tyś mi ani miły, ani potrzebny; jam potrzebna tobie. Ofiarą być nie chcę: bo gdybym nawet wlała w ciebie wszystką młodość moją, jutroby w tych lodach skrzepla i zagasła.

— Ale ty nie pójdziesz! wrzasnął Adam z rozpaczą prawie.

— Nie, nie dziś jeszcze — zimno odpowiedziała Aza. Gdy księżyc dojdzie pełni, *ciomut-oro* (księżyc) wskaże drogę... mówię ci, że wówczas pójdę, i pójdę.

---

Tak było we dworze, a pod namiotem Aprasza jak dnia pierwszego, rozlegał się młot, przeklęstwa i swary. Niewiasta z dziecięciem u piersi siedziała nieruchoma, chłopcy nago latali po wygonie. Tumry o zachodzie uciekał z pod szatry. Jednemu Apraszowi tęskno było po czarnych oczach Azy, po jój wesołej czy tęsknej piosence, i po szyderczych jój rozmowach.

A ze wsi biedny stary Lepiuk, w którym kipiała krew *Romów*, co noc chodził pod namiot braci, by słuchać choćby dźwięku głosów, które z niego wychodziły, i pić język zapomniany od dzieciństwa. A w jego chacie na przyzbie, zadumana, na łokciu podparta, siedziała wieczorami długimi córka jego Motruna, i czegoś ciągle aż po za wieś poglądała. Motruna miała lat siedemnaście i niepodobna była do dziewcząt wiejskich, tak, że kiedy między niemi szła do cerkwi, to ją poznać wśród nich było można, jak lśniące ziarno hreczki w kupce złotej pszenicy. Zmieszala się na jój licu krew potępionego ludu ze krwią słowiańską, w jój sercu łagodność i miłość spokoju z tęsknotą i wiekuistą trwogą wygnańców. Była piękną jak Cyganka, a miłą jak Rusiuka; i gdy z jój oczu błyskał żar Południa, z ust śmiało się życie Północy, białe i jasne jak śnieg. Córka Lepiuka była jedną z najpiękniejszych we wsi, i jedną z najdumniejszych; jakby wcześniej na czole napisaneniosła, że więcej przecierpi od wielu i mężniej niż rówiennice. Nie lubiła śmiechu, ani tańca, ani nic co weseli dziewczęta; nosiła w sobie przyszły smutek, jakby pączek nierozwiniiony. Nigdy jój nikt w taniec nie wywołał, ani pieśni wesołej wyuczył, a najmilszą zabawą jój bywało usiąść na wysokim pagórku

i patrzeć daleko, daleko, jakby ją ktoś z drugiej połowy świata wołał.

Matka jój umarła dawno, ojciec niewiele na nią dotąd patrzył, choć kochał; bracia, że byli jasnowłosi po matce i weseli, i żywi, tęsknicy jój nie rozumieli. Dla niej męką było w chacie wysiedzieć długo; często płakała, czując się przykutą do przyźby, a gdy przyszło iść po wodę, to leciała do najdalszej studni, byle nieznaną jakąś splondrować ścieżynkę.

Jednego wieczoru idąc z wiadrem, Motruna spotkała Tumrego błakającego się po wzgórzach, i raz tylko na siebie spojrzeli — a nie wiem czemu odtąd o sobie nie mogli zapomnieć. Tumry był tyle hardy, że nie chciał zbliżać się do dziewczyny, która go mogła ze wzgardą odepchnąć; Motrunie brakło mężstwa, żeby go sama zaczęła. Ale silniejsza od nich obojga wola losu i potęga rodzącego się przywiązania, sprowadzała ich ciągle, stawiając naprzeciw siebie. We dnie często droga wiodła Motrunę około cygańskiej szatry; wieczorem Tumry błakając się, mijał codziennie chatę Lepiuka. W jego sercu rodziły się razem dwa uczucia, które często są z sobą w koniecznym związku: przywiązanie do dziewczyny, i potrzeba, żądza przykucia losu swojego do kątka, na któryby się zlać mogła część miłości wezbranego serca.

Tumry nigdy nie lubił włóczęgi, a teraz bardziej niż kiedy wzdychał do własnej chaty, do własnego ziemi kawałka, z którego by go bicz włóczęgi nie spędzał. Marzył on o domu, o żywocie przy ognisku, o spokojnej śmierci pod swoją strzechą.

Tymczasem rosła w nim zarazem i miłość ku Motrunie, a w sercach obojga choć milcząca, równą już

była. Brakło tylko jednego słowa, jednego skinienia, żeby ten związek tajemniczo poczęty, na wierzch wypłynął. Spotkali się raz za wioską; ona szła z głową spuszczoną z pola, on wybiegł z szatry rzuciwszy młot, na świeże powietrze i ciszę nocną. Nad wsią unosiły się wyziewy dymów szarych, jesienne opary i woń żniwa; tęsknota na siwych chmurach wisiała nad nimi. Spojrzeli ku sobie, ale tak już znajomo, serdecznie, bratersko, jakby lata przeżyli z sobą. Motruna niosła naręcze suchych gałęzi, pod którymi się ugiwała. Tumry pożałował jój znoju!

— Ej! rzekł zbliżając się: gdybyście mi to do waszjej chaty zanieść pozwolili, lżejby wam było...

— Ależ wy idziecie w przeciwną stronę?

— Ja nigdzie nie idę.

— A biegliście?

— At! na powietrze! żeby odetchnąć! Nałykałem się dosyć iskier i dymu.

— Toście się i wy zmęczyli?

— Ej! nie!

To mówiąc, wziął Tumry gałęzie, zarzucił lekko na ramiona, i zrobiwszy w ten sposób znajomość z dziewczyną, poszedł z nią razem ku wiosce. Wieś była niedaleko, ale czas! czas! to niepojęta zawsze zagadka: w krótkiej chwili można całą wypowiedzieć duszę. Co oni tam wypowiedzieli sobie!?... cały żywot i wszystkie nadzieje!

Gdy się zbliżyli do chaty Lepiuka, Tumry i Motruna byli już doskonale znajomi. On wiedział wszystko, co był powinien; ona знаła całą przeszłość Cygana. W marzeniach i rozmoworze doszli tak do podwórka, i już Motruna przypomniawszy sobie, że



ojca tu zastać mogą, chciała odebrać swój „oberemek“, a Tumrego odprawić, gdy głos donośny przeklątwem ich obudził oboje. Lepiuk stał oparty o wrotka z fajką w ręku; patrzył, i takim srogim wzrokiem mierzył córkę i jej towarzysza, że w Motrunie serce zastygło ze strachu.

— Ho! ho! zawołał stary: co to ty sobie myślisz, włócząc się ponocku z Cyganami! Patrzącie-no ją! A i tyś śmiały, odartusie, żeś się już do gospodarskiej córki przypyta! Co to się znaczy?

Tumry cały się oblał krwią i zimnym potem, a Motruna już była znikła przez przełaz, uciekając przelekła i zmieszana, gdy się zebrał na odpowiedź:

— A cóż to tak wielki grzech, żem waszjej córce pomógł?

— Obejdzie się bez tych posług! drwiąco zawołał stary, ale ze złością źle pokonaną. Ruszajcie sobie swoją drogą, a nie róbcie tu znajomości, bo się czasem poznać możecie z kijem dębowym, który stary Lepiuk trzyma na córkę i na nieproszonych gości.

To rzekłszy, odwrócił się stary cały drżący, i wytrząsając popiół z fajki, mruczał pod nosem:

— Ha! tego mi tylko brakło, żeby się znowu krew cygańska do mojej przyplątała! Ej! *Bynka ciawa!* (dyabli syn), potrzebajcie, już się powąchalili! Ale ja to Motrunie wybiję z głowy! Taki krew krwią: — Cygan jej pachnie! Nie można się wytrzeć z tego cygaństwa; tyle lat pracuję, żeby ludzie o niem zapomnieli, a tu mi ono znowu wchodzi w drogę. Trzeba wcześniej zaradzić; a to powiedzą, że Cygan stary umyślnie ją swojakowi poswatał. O! o! niedoczekanie wasze!

I biło staremu serce. Wpadł do chaty, gdzie już córka około pieca się zwijała, zasapany od gniewów ledwo hamowanych.

— Słuchaj-no, Motruna! słuchaj! nie odwracaj się i nie udawaj mi, że w garnku głowę chowasz i uszy. Ze mną żartów nie ma. Co tobie do Cyganów? co Cyganom do ciebie? Będzie źle, mówię, że będzie źle; ja tego nie zniosę. Ty gospodarska córka, a Cygany ci pachną.

Chwilę milczała dziewczyna, aż nareszcie podniosła głowę.

— A cóż to tak złego—odezwiała się po cichu — że się przyczepił?... Jam go nie prosiła o to.

— To go było odprawić.

Ruszyła ramionami.

— A jak mi i pomógł, to cóż się złego stało?

— Patrzajcie jaka mądra! ona mi tłumaczy! A wiesz ty, głupia głowo, od czego się złe zaczyna, i jak się najlepsze kończy? Nie, dziś się nic nie stało, ale jutro już byłby ci znajomszy i poufalszy, pozajutrobyś tęskniła; a kto wie, możebym cię potem kijem za nim z chaty wyprosił!

Dziewczyna milczała.

— Ej wara!—dodał Lepiuk rzucając się na ławę—wara od takich znajomości! Z Cyganem nam nie ma drużby: on jutro pójdzie w świat jak dziki zwierz,—a jak plamę po sobie na nas zostawi, staremu ojcu na siwe włosy!? Nu! nu! Motruno, pilnuj się! ja nie darnię! ty mnie znasz.

---

W kilka tygodni, właśnie gdy we dworze już królowała Aza, Motruna i młody Cygan zbiegali się na

wzgórzu za wioską, ale ostrożniej, odgłędniej, tak, że ich ludzkie nie dojrzało oko. Motruna pomimo bojaźni ojca, szła za dolą swoją; Tumry już był w sercu postanowił nie opuścić Stawiska i pozostać tu, gdy Cygani odejdą dalej. W nędzy, niedostatku, upodleniu rzadkie są gwałtowne namiętności: im także potrzeba słońca, swobody, spoczynku; ale gdy trafem zrodzi je serce, co o sobie nie wiedziało, buchają straszne, gwałtowne, niepohamowane. Nic ich już nie złamie, bo cóż zagrozić może temu, co wszystkiego spróbował i doznał? W naszych salonach częściej wąta miłość nie oprze się wrażeniu, jakie robi suknia wytarta; nie oprze się myśli, że kochać się będzie trzeba w lichym domku, w pracy, bez liberyi i bronzów: tam nie nie przeraża, nawet cielesne męki głodu, chłosty i żebractwa. Nasze przywiązania są jak kwiaty oranżeryjne: nie wytrzymują ani ostrego wiatru, ani przymrozków; chłopska miłość—kwiat rzadki, kwiat co w sto lat raz zakwita, ale przetrwać umie burze, chłód i boleść, i urągać się przeznaczeniu.

Takiem wyjątkowem przywiązaniem był związek tych dwojga istot: w Motrunie przemogło ono nawet bojaźń ojca; w Tumrym nawet myśl, że dwie nędze sto razy są cięższe od jednej. Oboje nie zaklinając się i nie przysięgając, pewni już byli, że zwyciężą i ojca, i ludzi, i nędzę.

Gotowość obojga na wszelkiego rodzaju ofiary była jakby potrzeby ich przeczuciem; poczęły się one szybko następując po sobie i nie dając opamiętać się dwom biednym istotom, których miłość podwajała poświęcenie. Nic nie ma skuteczniejszej podniecającego to uczucie, nad tak zwane w języku starych romansów

*przeciwności*; niejedna skłonność gwałtowna im winna rozwinięcie swe i siłę. Przeciwność drażni i pociąga człowieka.

---

Dość długo Aprasz i jego gromadka stali obozem na wygonie pod Stawiskiem; kuli póki było co kuć, a resztę czasu spoczywali, i ośmieleni, kręcili się po wsiach i bliższych osadach. Aza tymczasem królowała we dworze, a Tumry latał za piękną Motruną.

Jednego wieczoru jesiennego, pod otwartém oknem dworu zjawił się stary Cygan z brwią namarszczoną i wejrzeniem surowém. Z okna tęskna, posmutniała, blada i zmęczona wyglądała piękna Cyganka z załzawioném jakoś okiem. Patrzała ona w księżyc i dumiała; Adama przy niej nie było.

— Słuchaj Aza, a długo to tego będzie? zapytał stary z uśmiechem szyderskim, pełnym goryczki.

— Alboż ja wiem? tęskno odpowiedziała dziewczyna. Mnie tu nic nie trzyma za serce, a odlecieć jakoś trudno. Ot tak jakoś, jak gdy czasem w podróży człowiek trafi na *kaszt* (drzewo), i wysiedzi pod niém na murawie miejsce wygodniejsze, to mu się z niego wstać nie chce. Nie wiem co się dzieje ze mną: chwilami tęsknię do naszój włóczędzy, do *Rumów* włóczędzy; to znowu boję się nędzy naszój, i żal mi tego cichego dachu, pod którym tylu ludzi i porodziło się i pomarło! Kto wie? coś jest co sprzega miejsce i człowieka: jam już zatęsknić gotowa! tęsknić do was, gdybym tu została, do tych ścian szarych, gdybym od nich odeszła.

— Popsułaś mi się Aza, popsuła; mówisz to nie po cygańsku, rzekł grożąc Aprasz. A nam czas

dalej, bo zgnuśnięciem, i nie ma już tutaj co robić; wszystek *trast* (żelazo) wykuty... Kto wie, może ci już żal twojego panicza?

Stary rozśmiał się z gniewem stłumionym.

— A może i żal — odparła dziewczyna spokojnie dumając — choć doprawdy, wierz mi stary, chyba litość tylko i żal. Biedne to stworzenie, któremu świata nie ma jak ślepemu z urodzenia; on już swoje przeżył nim mu broda porosła. A takie to znędzniałe, tak biedne, tak schorowane i nudne! Co ou pocznie, gdy innie nie będzie?

— Co? znajdzie drugą! rzekł stary ruszając ramionami.

— Takićj drugićj nie znajdzie! zawołała trzęsąc głową Cyganka. Jam go zrozumiała, jam go umiała trzymać na wodzy i podniecać, a kto inny nie potrafi.

— A! myślałabyś z nim zostać! przerwał Aprasz z błyskiem oka, jakby zgadywał dziewczynę.

— Ja? zostać tutaj! tu! tu! Ojczel! ej, jak bo wy mnie nie znacie!... żywo obruszyło się dziewczę. Zostać z tym trupem zamkniętą między czterema ścianami, żeby mnie jutro wygnał, gdy dla niego nie będę ciekawością i potrzebą? Oj nie! nie, stary! Zrzucę ja te świecidełka i pójdę w świat z wami. Życie mi to dojadło; dzień do dnia tak podobny, jak dwie paciorki; godziny wloką się jak konie kulawe; człowiek czuje, że drętwieje i nsypia. A jednak — co powiesz stary? — żal mi będzie i tój chaty; poniosę ztąd z sobą dumę w świat, dumę długą, długą aż do starości może...

— Oj dziewczę! dziwne z ciebie stworzenie! pokłiwał głową Aprasz. Jam nigdy nie wątpił prze-

cię, że gdy namiot zwinę a *kakabię* (kocielek) na wóz włożę, ty wylecisz ze dwora i pobiegнешь boso za nami: boś ty prawa *Romów ciał* (cygańska córka). Gorzej podobno z Tumrym!

— No? a co się z nim stało?

— Tydzień jak mu ostatni rok czeladnictwa wyszedł, i porzucił szatrę, nie kiwnąwszy mi nawet głowę za *mandru* i *toń* (chleb i sól), za przytulek i naukę.

— Poleciał sam w świat?!

— O! nie: pokochał się tu podobno w dziewczynie ze wsi, i czeka tylko naszego odejścia, żeby tu stałe osiąść. Jemu nigdy nie smakowała wędrówka: ma taki białą krew w sobie, korci go osiąść i drzemać. Ale nie tak mu łatwo pójdzie jak on sobie myśli. Ojciec dziewczyny, sam podobno *Errumansel*, za nic mu córki nie da, i zaklął się na siwy włos swój, że póki żyw, nie pozwoli na małżeństwo. Dziewczyny uprowadzić nie może, bo gdzieżby z nią sam poszedł? Zginie Tumry jak *szukela* (pies).

— A szkoda go, stary! Oj! szkoda nam!

— Szkoda? co za szkoda? Chce przepadać, niech łbem idzie na dno. Nam ciężiej będzie bez jego rąk, ale lżej bez jego złości i uporu. No! i ty Aza gotuj się w drogę. A żebyśmy biedy nie mieli, żeby nas nie gonili: porzuć tam co ci twój panicz podarował, ubierz się w swoje łachmany, i dalej w świat!

— Tak! w świat! w świat! dalej a dalej! powtórzyła Cyganka, kryjąc twarz w ręce splecione. Zawsze dalej a dalej bez końca, do ostatka, do śmierci i po śmierci nawet...

— E! babo! *egasz!* (kobietko)—krzyknął Aprasz—nie stękaj! Wstydziałabyś się! Tyle twojego, coś dzieci

jaki nędzny odkradła; dosyć stać i w puch wrastać.  
W drogę! w drogę!

— Jutro! żywo odpowiedziała dziewczyna, zamykając okno — jutro!

— Tak! pamiętaj! jutro!

---

Nazajutrz z rana jeszcze Aza była we dworze panna Adama, a już szatry Cyganów znikła z wygonu; już *uerden* (wóz) ładowano, dzieci dźwigały kocielki i młoty, podając je staremu, kobiety zwijały *plasty* (kołdry, pokrycia), a milcząca matka patrzyła na te przygotowania suchém okiem niemiej, obojętniej rozpacz. Stare baby piszczały i krzyczały, kręcąc się koło niej.

Z wierzchołka dalekiego wzgórza Tumry przypatrywał się tym przyborom z dziwném w sercu uczuciem. Nie żał mu było starego Aprasza i Cyganów, jedyniej rodziny na szerokim świecie; a jednak w chwili rozstania, kiedy już miał pozostać całkiem sam z sobą tylko, czegoś biła krew do skroni i rzucało się serce ściśnione. Przyszłość stawiała przed nim czarna i pełna strasznych tajemnic, jak jesienna noc burzliwa, w której głębiach świszczą tylko wichry i miotają się szatani. Tumry przecie postanowił tu pozostać: bez kawałka chleba, bez chaty, bez przyjaciela, dla jednej dziewczyny, której ojciec z daleka mu nawet na nią spojrzeć nie dozwalał.

— Co będzie jutro? pytał sam siebie, zasypiając pod gołém niebem u tarniowych krzaków w jarze — co będzie jutro? Umrę z głodu może, będę schwytany jak złoczyńca? Kto wie? lub wywalczę cierpliwością gdzieś róg słomianego dachu i kątek spokojny?

Nadzieja obiecywała niewiele, bojaźń przestraszała marami, ścisłał żal po odchodzących; lecz Tumry nie ruszył się, gdy cygański *werden* zaskrzypiał, tylko oczy zakrył i pogрузzył się w senną jakiegś zadumie co nie była ani jawą, ani marzeniem, ale czémś do obojga podobnym.

*Werden* (wóz) był już u końca wioski, gdy przez ogrody i pola przyskoczyła ku niemu zdyszana Aza, w dawnym swym stroju cygańskim, zarumieniona pośpiesznym biegiem, milcząca czegoś i gniewna.

— Jesteś? rzekł Aprasz z uśmiechem. Zwątpilem o tobie.

— Jak widzisz, stary; ale miejże litość, ruszajmy co żywiej, coś mnie nazad ciągnie, obejrzeć się nie mogę; tęskno mi, ciężko mi. Oj! w drogę! w drogę z piosenką cygańską! daleko a prędko!

— *Egasci!* mruknął przez zęby Aprasz, zacinając konia. No! samaż zanóć piosenkę wesolą, zakryj głowę, zakryj oczy, a jeśli i to ci nie pomoże, nachyl blaszanki, wypij *targimom* (wódki), to ci serce rozpowinie...

— A Tumry?

— Psi syn! krew *gadziów!* został tam gdzieś ze swoimi; niech go robacy strawią!

Tak półsłowami rozmawiając, spuścili się Cygani w jar głęboki, i wioska znikła im nagle z oczu. Aza szła żywo przodem; nie oglądając się za siebie, milcząca i jakby lękająca się pogoni, coraz jeszcze przyspieszała kroku, tak, że za nią reszta bandy ledwie zdążyć mogła.

Nagle droga zatętniała, zakurzyło się, zahuczało, i mijając wóz Aprasza, konny jakiś przyskoczył do



śpiewającej Cyganki, która nie krzyknęła nawet, gdy ją za ramię pochwycił.

— Co to jest? odezwał się głos drżący i ochrypliwy Adama — co to jest Aza? powiedz mi, co to jest?

— Co? odwracając się obojętnie zawołała Cygan-ka — a co ma być? idziemy dalej!

— Ty idziesz z nimi?

— Chciałeś może, żebym w téj klatce waszój została?

— Ale ty nie pójdziesz!

— Ja! a dla czego?

— Bo ja cię nie puszcze.

Uśmiechnęła się dziko dziewczyna.

— Jakiem prawem?

— Tyś mi obiecała zostać!

— Nigdy! nigdy! A po cóżbym tam została? dodała zatrzymując się. Żebyś mnie za pół roku, czy za tydzień wypędził, albo rzucił jak ogryzioną kość któremu ze swoich lokajów, jak było z innemi?

Adam osłupiał.

— Ja ci dam — rzekł zdyszany — ja ci dam co zechcesz...

— O! o! kręcąc głową poczęło dziewczę: a jeśli zechcę ślubnego pierścionka?

— Ty sztydzisz!

— Widocznie; ale gdybym go zażądała?

— Tego żądać nie możesz, bo wiesz, że ci dać nie mogę...

— Ja też nie chcę ni ciebie, ni twego pierścionka, ni domu, ani nic w świecie... Ty myślisz — dodała goręcej, z okiem jak żar płonącym — ty myślisz, że ja bym wyżyła tam w twojej *khera* (domu), w téj klatce, zamknięta jak niewolnica? O! to życie nie dla

mnice: dla was pieszczochów, dzieciuchów, starców bez... krwi i serca... Dosyć mi było spróbować... Bywaj zdrów paniel Aprasz! zaoínaj *grami* (konia)!

Cygański *werden* zaskrzypiał, Cyganka puściła się przodem, a pan Adam pozostał jak wkuty do ziemi, blady, gniewny, bezsilny, przewracając w głowie myśli suche, jak liście jesienne, żółte, zimne i nieżywe..

Nareszcie ziewnął szeroko, zawrócił konia, i stępo, coś mruczając pod nosem, pociągnął powoli ku staremu dworowi swojemu.

---

Tumry pozostał sam jeden. zmuszony w początku ukrywać się przed Lepiukiem, który wyszpiegował, że chłopak od swoich odstał i około wsi się błąka. Szczęściem dla zbiega, kował był taką dla wioski potrzebą, że o jego bytności i ochocie osiedlenia dowiedziawszy się kilku gospodarzy, wpadło na myśl, by go w Stawisku zatrzymać. Widzieli oni, że Tumry był prawą ręką Aprasza i bardzo zręcznym rzemieślnikiem; uśmiechało się im, że go u siebie trzymają: poszli więc do pana do dworu z prośbą i powiedli z sobą chłopaka.

Ale pan Adam kłął właśnie wszystkich Cyganów świata, i poprzysiągł zemstę całemu plemieniu *Rómów*. Poselstwo przyszło nie w porę; odprawił je więc kłutwą i gniewem, tak, że Tumry cały drżący wyszedł ze swymi opiekunami.

— I'o wszystkiém! po wszystkiém! zawołał na progu. Nadzieja stracona: albo się powiesić, albo uciekać.

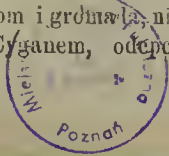
— Cyt no, cyt! rzekł stary wójt, kładąc mu rękę na ramieniu: kiedy ludzi nie znacie, nie mówcie nic naprzód, nim się stanie. Pan łaje, i klnie, i pędza zawsze w początku; ale go tylko ponudzić trochę, niechaj się wysapie, zapomni gniewu. Niech mu wierzchowca okné nie będzie komu, to się to wszystko polepi. Tymczasem poparobkowalibyście u mnie i poczekali cierpliwie.

Tak się stało jak wójt radził i przewidział. Pan Adam przeboleł wkrótce i gniew, i tęsknotę, a dla Francuzki guwernantki, którą odmówił komuś w sąsiedztwie, trzydziestoletniej już awanturnicy, zapomniał Cyganów i Cyganek; bo niepiękna i niemłoda już wdowa (która jednak nigdy zamężną nie była), poznawszy dobrze pana Adama, wiodła go na pasku aż do ołtarza. Wójt więc wkrótce potrafił z łatwością wyrobić pozwolenie zamieszkania Cyganowi w Stawisku.

Lepiuk, który na to wszystko z boku patrzył, starał się o ile mógł przeszkadzać; rady jednak przeciw panu i całej wiejskiej gromadzie dać sobie nie nmiął. Dowiedziawszy się o tém, o mało z gniewu nie pękł. A tu mu i jego własne cygaństwo zawadzało, że głosił przeciw Tumremu mówić nie mógł; ustał miał zamknięte, gdy najwięcej chciał się odezwać.

— A! rzekł w duchu—pozwolili mu osiąść, niechże sobie siedzi; ale zje kaduka, żeby za mego życia do Motruny się przybliżył. Nie chcę więcej cygańskiej krwi w moim rodzie!

Gdy przyszło na chatę i kuźnię wyznaczyć miejsce we wsi, Lepiuk tak potajemnie i otwarcie zabiegał, że dwór, ekonom i gromadza, niby ognia się bojąc, niby brzydząc się Cyganem, odepchnęli go aż za wieś



poł cmentarzysko, i tam na pustce pozwolili się budować. W początku panowie gospodarze zobowiązali się jednak dopomódz pospóln ze dworem do postawienia chaty; ale gdy przyszło do rzeczy, Tumry przekonał się, że nie będzie miał pomocników nad dwie ręce swoje. Słowa nie rzekł, otrzymał czego chciał: szmat ziemi, pozwolenie zamieszkania; więcćj domagać się nie śmiał, ażeby i tego nie stracić.

Smutne to było miejsce, gdzie mu się wskazano budować; wygnanie raczćj, niż ludzka sadyba, naprzeciw mogilnika, ode wsi daleko, głosu ludzkiego nie słyhać; ni zkąd ognia, ni zkąd wody, ni cienia, ani kawałka ziemi; ale wygnańcowi, co nigdy nie miał nic swojego, i to jeszcze dobrém było. Tumry położył się spać na gołej ziemi, i całą noc przedumał, jak tu tę chatę skleić. Na nikogo rachować nie mógł, nikogo poprosić: Lepiuk mu wszędzie szkodził.

Nazajutrz oblany rosą, wstał biedak rano rozglądając się w pustce swojej; dojrzał obrywu góry, do którćj mógł się jednym bokiem lepianki uczepić, i uśmiechnął się z radości. Glina do obmazania ścian była tuż blisko; ale z czego dach zrobić i ściany?

Po godzinie rozmyśłów poszedł do wójta, który z plugiem i chłopcem ciągnął na swój sznór.

— A co, panie majster? spytał żartobliwie stary.

— A cóż, panie wójcie? odparł Tumry: coś mi się widzi, że ani dwór, ani gromada nie ma ochoty chaty dla mnie wykuć; od dnia do dnia zwlekają, i nic z tego nie będzie.

— Nie wiem, nie wiem... mrknął Lach powoli; ale niewiele i ja na tę zbieraną robotę rachuję. A cóż myślicie?

— Myślę się sam budować!

— Z kim? jak? najmem?

— Toż wiecie, że grosza przy duszy nie mam; ale rąk dwoje nie na żarty!

— Eylebyście sobie jeden klocek położyli sami, jak zobaczą ludzie, że się sami bierzecie, nikt wam i palcem nie kiwnie.

— Czy tak, czy tak, wszystko jedno,

— A jakże sobie sam rady dać potrafisz?

— Powoli sklecę lepiankę; nie będzie to *khera*, ale *bukunia*, dodał Cygan po swojemu (nie dom, ale buda na ustroniu).

— Któż drzewo ci zwiezie?

— Ja je zniosę.

— Oho! ho! rzekł wójt: coś poczynacie pleść od rzeczy.

— Dostańcie-no mi tylko kwitek do lasu na material, i podarujcie choć starą *lowez* (siekiere).

— Siekiery ci nie pożaluję... to mi później odrobicie za nią—rzekł wójt. Mam właśnie tępicę, ale jeszcze niezbitą i wcale niczego: warta od siebie rzucając więcej złotych. A kwit i jutro mieć możecie. Ale czyż taki doprawdy myślisz się sam brać do dzieła?

— A cóż? rzekł Cygan—nie mam czego czekać, próbuję.

Nazajutrz rano, naprzeciw cmentarza kopał już drewnianą łopatą o suchym chleba kawałku Tumry, odrzucając twardą glinę, zbijając chwasty i oczyszczając kilkołokciowe miejsce na „ziemlanke” swoją. Człowiek zostawiony sam sobie, przygnębiony i zmuszony do pracy, wiele może: daleko więcej, niżeli wyobrażamy sobie! Prawda, że na każdym kroku szafuje siłą podwójną ciała i duszy, ale wyszafowana powra-

ca mu we trójnasób. Cudem prawie licha kletka Cygana, jedną siekierą i dwiema dokonana była rękami. Każdy kawał drzewa potrzeba mu było lub na plecach dźwigać z lasu, albo zaprząglszy się do niego „samotużkiem“, ciągnąć powoli przez jary i góry; każde bierwiono samemu ociosać, domyślić się budownictwa, stworzyć całe rzemiosło nieznane. A ile razy stępiło się stare toporzysko, musiał Tumry, nie mając kowalskich narzędzi, iść mil dwie do kowala, i służyć mu dwa dni za pomocnika, by tym kosztem znowu siekierę nastalić i poprawić. Tymczasem gdy go nie było, przejeżdżający drogą, przechodzący ze wsi, kradli mu w pocie czoła nagromadzone drzewo, słota psuła robotę, góra namokła osuwała się, źle spojone kłocę rozchodziły się i spadały, i nie wiem ile razy runęła budowa, nim ją lichemi beleczkami i łatami pokryć potrafił, zamiast krokwi liche pozatykawszy kluczyny. Bog tylko jeden policzył, ile tam kropel potu upadło na ziemię, ile pracy poszło marnie, ile się spotrzebowало wytrwałości i siły!

Ale nieraz same niepodobieństwa jątrzyły człowieka, by je przemógł; wznagały w nim ochotę, budziły myśl, podnosiły męztwo. Śmieli się ludzie poglądając na tę, powoli wychodzącą z ziemi, lichą i niepočieszną lepiankę, która przy całej swój biedocie jeszcze była cudem przemysłu i pracy. Tumry tak się przywiązał do dzieła swojego, tak się z nióm zjednoczył i spoil, że nie miał spoczynku, póki go nie dokończył. Dwa razy tylko w dzień odbiegał roboty, żeby wyskoczyć przeciwko Motrunie, spojrzeć ku nićj, uśmiechnąć się do nićj z daleka lub przemówić słowo.

Rzadko się to jednak wiodło, bo stary Lepiuk stał na straży i zbliżyć się im nie dawał; a nada-

remnie usiłując wygnać Cygańczuka ze wsi, wciąż poprzysięgał, że gdyby Motruna dziewczką unirzeć miała, nie da jej za przybłędę i włóczęgę. Motruna nie drażniąc ojca, milczała cierpliwie; ale gdy do niej przyszli w swaty, pomimo groźb i łajania, odprawiła z niczém. Lepiuk kłął, bił, rzucał się, ale to nic nie pomagało. Dziewczyna wszystko znosiła, odpowiadając jednem słowem: „Nie chcę.“

Jednego poranku, gdy Tumry około najcięższej części swojej chaty był zajęty, starając się na niej postawić coś, coby belki i dach zastąpić mogło—ujrzał w brzasku i w mgłach wschodnich, zbliżającego się ukradkiem Lepiuka, który podparłszy się na grubym kiju, zamyślony stanął przy drodze, i żarzące się gniewem oczy wlepił w pracującego chłopaka.

— Buduj, buduj, zamruczał nareszcie półgłosem po długim milczeniu: na głowę twoją, na głowę! Nie-doczekanie twoje, żebyś ty tu mieszkał!

I ze złością dodał głośnieji:

— Co ty sobie myślisz, klekąc ten chlew, słyszysz?

— Co myślę? że w nim będę mieszkał, odparł spokojnie Tumry, nie przerywając roboty.

— Czegoś ty się na swoją biedę przywłókł? dodał stary—po co? Mało ci było świata? słyszysz? he?

— A cóż ja wam zawadzam? rzekł Cygan. Powietrza nie wydycham, wody nie wypiję, chleba nie odjem, stanie ich dla nas wszystkich.

— Ale dla czego przyszło ci do głowy przyczepić się do naszég wioski?

— Albo wam to co szkodzi?

— Ej! dyabełby cię porwał! nie udawaj głupiego—podechwycił Lepiuk—bo ja nie myślę gadać długo. Ot w dwóch słowach: jeżeli sobie ztąd pójdziez gdzie

cię oczy poniosą, zapłacę ci za robotę i kupię ten chlew; słyszysz? bylebyś się wyniósł nie oglądając; a jak nie..

— To co, panie gospodarzu?

— To co! powiem ci tylko, że się tu cało nie osiedzisz!

— Czémże ja wam szkodzę?

— Hol ho! ty lepiej wiesz za co mam ząb do ciebie; nie potrzeba mówić długo. O Motrunie myśleć tobie wara, z tego nic nie będzie, a ciebie dyabli wezmą.

Tumry umikł, ciosając coś powoli około brzoźowej krzywěj belki.

— Słyszysz? dyabli cię wezmą! powtórzył Lepiuk, którego zimna krew Cygana jątrzyła.

— Kto to może wiedzieć, kogo *Bynk* pochwycił! zimno odpowiedział chłopak: zobaczmy!

— Zobaczmy!... I nie chcesz ztąd iść? Mów!

— Nie pójdę, to darmo; nie pójdę, panie gospodarzu...

Lepiuk stuknął kijem o ziemię, zgrzytnął zębami, odwrócił się i odszedł szybko.

---

W tydzień potém, gdy się już kłotka do ukończenia zbliżała, Tumry ze stępioną siekierą puścił się wedle zwyczaju do sąsiedniego kowala i bawił trzy dni. Powracając, marzył i rozpamiętywał o spotkaniu swém ze starym Lepiukiem, o jego groźbach i swoich nadziejach. Wtém na zawrocie drogi, gdzie się ukazy-



wało Stawisko, ujrzał na spokojném niebie wieczoru wstęgę sinego dymu, unoszącą się w powietrzu... Tknęło go coś, bo ogień zdawał się pochodzić z miejsca, gdzie stała rozpoczęta chatajogo. Przyśpieszył kroku, i wkrótce stanął wryty, postrzegłszy, że praca jego była już garścią dymiącego się popiołu. Na ziemi widać było żarzące się jeszcze opadłe głównie, stos rumowisk i niedogasłe pożaru ognisko.

Nie miał siły zbliżyć się Turmy, tak mu pogorzelisko to odjęło odwagę, taką boleść uczuł w piersi. Pierwszy raz od dzieciństwa dwie łzy puściły się mu z oczu czarnych, paląc twarz do nich nieprzywykłą. Stał i patrzył z załamanemi rękoma, przygnębiony, nie wiedząc co począć, nie myśląc, jak obłąkany.

Ale ta rozpacz niema, straszna, która przejść mogła w szal i zemstę, gdyby z niej łzy nie trysły, trwała tylko chwilę. Cygan podniósł głowę, westchnął, otrząsnął się, i odzyskując przytomność i mężstwo, żywym krokiem posunął ku zniszczonej lepiance.

Myśl jego zwróciła się znowu ku wytrwaniu i pracy.

— Com raz zrobił, potrafię i drugi, rzekł w duchu; może łatwiej, może lepiej, a na swoim postawię. Niech się Lepiuk wścieka, bo to jego sprawa, ja się nie dam wykurzyć jak pszczoły z ula i komary z izby.

To mówiąc, zbliżył się pod samo pogorzelisko, ciekawém szukając oknem, coby z niego jeszcze ocalać było można; ale ogień nie oszczędził ani patyczka, drzewo spłonęło wszystko, i trocha węgla a popiołów dymila tylko jeszcze. Obejrzał się Cygan smutnie, i padł na ziemię pod gliniastym obrywem, który od ognia wypalony na czerwono, kruszył się i sypał; zwiesił głowę i utonął w zadumie.

Wtém usłyszał idących drogą ludzi i sunący się po ziemi przewrócony pług, za którym szedł wójt.

Stary z dala ujrzał przy pogorzelisku Cygana, przystanął, usta otworzył, ale nie śmiał zaczepić, czując co się tam w duszy jego dzieć musi.

Tumry sam zerwał się raźnie i przystąpił do niego.

— Dobry wieczór, panie wójcie.

— Oj! niebardzo wam dobry! odrzekł gospodarz powoli z wyrazem litości: coście się to darmo napracowali! Wszystko jedua skra wzięła i z dymem poszło!

— Skra temu niewinna, ale ręka czyjaś, odpowiedział Cygan z westchnieniem. A no, cóż robić, toć się dla tego nie obwieszę...

— A cóż myślicie?

— Co? rzekł Tumry spokojnie: jutro do lasu, i znów się buduję.

— Czyś ty oszalał! a gdzie ci starczy siły?

— O! o! jeszcze jój jest dosyć, zawołał Cygan. Myślę tylko jak się zabezpieczyć, żeby mi znowu mój przyjaciel węgla nie napalił, nim kuźnię postawię... udając żart dorzucił chłopak.

Wójt ostrożny zamilkł, nie wywołując zwierzeń, ani się rozpytując na kogo padało podejrzenie, choć w tén wątpliwości nie miał, że Lepiuka Cygan posądzac mni.

— I doprawdy—zagadując ozwał się po chwili—myślicie się na nowo budować? doprawdy?

— A nie dalej, tylko jutro, głosem stanowczym rzekł Tumry. Siekiera ostra, odpocząłem trochę przy kowadle, pójdę w las.

— Ha! szczęść Boże! popędzając woły zamruczał

wójt, z poruszeniem ramion znaczącém. Tęgi z was chłopak; co za szkoda, że Cygan!

Ostatnich słów nie dosłyszał już Tumry, który powrócił na popielisko, drżącą je rozgarnął ręką, i wyjąwszy z zanadru kilka kartofli, rzucił je w prysk na wiczczerzę, którą one i kawał chleba suchego składać miały. Ale spaliły się kartofle, tak się Cygan zadumał znowu, nie myśląc o jedzeniu; a gdy ranek świtał na niebie, wstał złamany i zbity, tepór zarzucił na ramię i skierował się ku lasowi.

Szczęściem dla niego, porąb, z którego mu materiał na chatę wyznaczono, nie był bardzo daleko, choć go dwa jary i wzgórze od nadanego gruntu oddzielały.

Na ścieżec, którą szedł, widać było ślady tylko co zmarnowanej pracy, przypominające Cyganowi krwawy znój jego wczorajszy i dzisiejszy. Gdzie niegdzie zeschnięte wały się gałęzie; po ziemi kłody ciągnięte powyrzynały pasy wyslizgane; tam i sam rzucona wiec dębowa zerwana, kawał sznura, odciosany kolek, zatrzymywały idącego Tumrego, który je zbierał powoli, myśląc zużytkować. Wczorajszy żal przepalił się już w jego sercu; zastąpiła go silna wola pracy, tłumiąca najskuteczniejszą boleść.

Tak dumając, spuścił się w jar, nie patrząc przed siebie, gdy go głos znany ocucił.

— Dobry dzień Tumry, dobry dzień!

O kroków parę przed nim stała z dwojaczkami w ręku piękna Motruna, której czerwone oczy o niedawnych łzach świadczyły.

— Dobry dzień, z uśmiechem rzekł zbliżając się do Cygan. A co słyszać?

— Chyba nic nie wiecie? Byliście koło chaty?

— El nocowałem tam przy ogniu, udając obojętną wesołość odczuwał się chłopak. A cóż? spaliła się, trzeba myśleć o drugiej.

— Znowu tak samo? a to wy się zarzniec! z li-  
tością i wejrzeniem głębokióm rzekła córka Lepinka.

— Nic mi się nie stanie! zawołał Cygan ochoczo:  
bądźcie spokojni; trzeba swojego dopiąć... nic nie pomoże.

— A wiecie z czego chata spłonęła? badawczy  
wzrok rzucając na Tumrego, spytała dziewczyna.

— Wiedzieć nie wiem, ale domyslić się łatwo:  
twój ojciec musiał ją spalić.

Motrana smutnie spuściła głowę.

— Wiesz? rzekła po cichu, i oglądając się: zawczo-  
raj Ilryhor Skorobohaty przysłał znowu swatów do  
mnie; ojciec wziął mnie do komory i zagroził, jeśli  
ich odeszłę, ale nic nie pomogło; powiedziałam, że  
nie chcę... Wieczorem jak szalony wyleciał gdzieś,  
wziąwszy z sobą krzesiwo z kaletką. Tknęło mię za-  
raz, że to będzie nieszczęście; poszłam płakać na  
ogród... aż w godzinę widzę dym na górze przy cmen-  
tarzu, a tu i ludzie powybiegali, patrzą, wołają: „Pali  
się chata cygańska!“. Musiałam skryć się, bo na  
mnie patrzali wszyscy, a ja aż ryczałam z płaczu...  
Nieprędko powrócił ojciec, trzęsący się czegoś, gniew-  
ny, położył się nie jedząc wieczery, nakrył ko-  
zuchem i do dziś dnia choruje!

Motrana ciężko westchnęła.

— Oj! na biedę to naszą—dodała po chwili—przysta-  
liśmy do siebie; na biedę i niedolę... ale tak nam są-  
dzono! Duszy nie odebrać kto ją raz dał komu...  
Już i to nie na los, kiedy ojciec nie błogosławi,  
ale przeklina...

— Słuchaj! rzekł Cygan, biorąc ją za rękę cały

wzruszony: jeśli tobie strach mojej doli i ojcowskiej klątwy, powiedz słowo Motruno... Ja choć Cygan, mam sumienie... gubić ciebie nie chcę... pójdę ztąd!

Motruna czarne oczy podniosła na niego, ocierając je z łez fartuchem.

— Duszy nie odebrać, kto ją raz dał, powtórzyła—nie czas nam się powracać! Wola boża! sądzono!

— Niech ci Bóg płaci za pocziwe słowo, odparł, silniej coraz przejmując się Tumry. Nie pożałujecie tego, coście dla mnie zrobili. Pokażę wam, że cygańskie ręce żelazne i siła żelazna: nie dadzą mi tu rady ani bieda, ani ludzie... Widzisz Motruno, znowu szedłem z toporem do lasu. Pocznę chatę nową, i da Bóg prędej ją i lepiej dokończę niż pierwszą; nie przepadniemy!

To mówiąc chciał ją uścisnąć, ale Motruna spojrzawszy nań tylko, jakby przełęczniona, rzuciła się ścieżynką na pola wiodącą.

— Bracia na łanie czekają na obiad, trzeba śpieszyć. Twój bochenek chleba pod kamieniem, gdzie zawsze.

I kiwnęła mu głową, oglądając się długo, nim znikła w krzakach kaliny.

Cygan stał chwilę w miejscu, a potem zapomniawszy chleba, puścił się w las na robotę. Doświadczenie dawało mu teraz wprawę, której nie miał, rozpoczynając pierwszą swą lepiankę; lepiej potrafił wybrać drzewo, ociosać, zręczniejsze się do kłód grubszych zaprzęgał, i ścieżki wypatrzył mniżej strome, gdy je ciągnąć przyszło. Wszakże nie na wiele przydała mu się ta umiejętność: sił jego podwoić nie mogła, ani lepianki pokaźniejszą uczynić. Znown ją począł

kleić z takich samych kawałków, równie niezgrabnie, prędkiej tylko trochę; a podzielił tak pracę, że wprzód wszystko wyrąbał w lesie, co mu potrzebném być mogło, i w bezpieczném miejscu ukrył, potem dopiero rozpoczynając ściąganie materiału na grunt przeznaczony.

W kilka tygodni stos drzewa leżał już naprzeciw cmentarza, a Cygan opaloną górę skopywał znowu na ściany lepianki. Przechodzący ze wsi zastanawiali się, kiwając głowami i nie wierząc oczom swoim; tak im się upór i przemysł Cygana niepodobnemi do prawdy wydawały. Stare baby szeptały między sobą, z daleka palcami wskazując ziemiankę rozpoczętą:

— Niedarmo Cygan! On coś zna!

Posądzano go o pomoc szatana, a myśl ta przyjęła się łatwo u wszystkich; nawet biedna Motruna, choć głową potrzasała słysząc o tém, zalekła się trochę. Ale serce, które wytłómaczy co zechce, rozpedziło tę bojaźń chwilową.

Stary Lepiuk leżał tymczasem ciągle chory, nie wstając z tapczana, i przekleństwami okrutnemi ścigał córkę, ile razy mu się nawinęła na oczy. Nie śmiał on nawet dotąd nikogo zapytać o Cygana, tak go jątrzyła myśl sama, że mógł, pomimo spalenia chaty, pozostać.

Któręjs niedzieli nareszcie przyszli do niego w gości dwaj sąsiedzi, i siedli przy chorym, rozpytujać go, co mu jest, a radząc po swojemu: to Żydówki znachorki, to baby, co zamawiać umiały. Lepiuk słuchał tylko, nic nie odpowiadając. Po godzinie jakoś się trochę rozruszawszy, posłał po flaszkę wódki; wycylił kilka kieliszków—błysnęły mu oczy, wstał z tapczana.

— A co tam słyhać na wsi? zapytał ochrypłym głosem.

— Co ma być słyhać! rzekł Skorobohaty: co zawsze. Pańszczyznę pędzą a pędzą, ludzie stękają, chleba niewiele, a biedy dosyć.

— Czemuż bo nie powiecie—przerwał mu drugi—o Cyganie? ta to jest czego posłuchać!

Lepiuk się wstrząsnął i drżącą ręką sięgnął po wódkę, której trzeci kieliszek wychylił.

— O Cyganie? o Cyganie? pomruczał, oglądając się w okół. A no! gadajcie, kiedyście o téj bestyi już mówić zaczęli. Czy jeszcze jest we wsi?

— I jest, i nie słyhać, żeby się wynosił, rzekł Skorobohaty. Wszyscy mówią, że coś zna, i to pewna. Myśleliśmy, że jak mu się spaliła ziemianka, plunie do licha i Stawisko porzuci; a on już drugą począł stawiać!

Lepiuk się zerwał z tapczana, klnąwszy nieprzytomny z wielkiej złości po cygańsku, czego się strzegł, i chyba w największym gniewie wyrwał mu się ten głos staréj natury:

— *Bynka ciawa!* (dyabli syn).

Zaledwie słowa te usłyszał, ochłonął i usiadł znowu, patrząc przerażony, czy go zrozumiano. Trząsł się cały, ale uśmiechem nadrabiał.

— A to prawda—skreślił nagle—że Cygan twardy! Drugiby i nie pomyślał próbować! Napatrzyłem się ja, jak belki z lasu samotkiem ciągnął, lub na plecach nosił: myślałem, że mu oczy ze łba wylizą, a krew nosem buchnie; ale nie! jeszcze się drugi raz zaprzął do swego! No! no! uparta natura!

Słowa te wyrzekł szybko, chcąc widocznie omamić udanym spokojem swoich gości; ale nazbyt był gniew-

ny, więc nie sposób mu było zdobyć się na malowaną obojętność.

Oczy mu latały pod brwią, zapalone niecierpliwem rozdrażnieniem, pierś szybko się wznosiła, dłoń miotła jak w febrze.

— Ej! połóżcie się lepiéj! rzekł wstając Skorobohaty: nie jesteście jeszcze zdrowi, to zaraz widać; z chorobą nie ma co żartować. Komu jak komu, a nam starym najmniej.

Pożegnali go gospodarze i odeszli. Lepiuk się położył mruczając. Wieczór przeszedł w milczeniu posępném; noc nadchodziła i spać się już kładziono w chałupie, gdy stary począł jęczeć i stękać.

Przybiegła córka, ale ją odepchnął z przekleństwem i silnym głosem zawołał starszego syna. Zaświecono łuczywo, wszyscy się zerwali na nogi, synowie, najmici, kobiety i dzieci.

— Co tobie ojciec? spytał starszy, przybliżając się.

— Co? rzekł powtarzając pytanie zwyczajem ludu Lepiuk: ot pora przyszła umierać... i żebyż pora! ale bez pory skończyć muszę! Niechaj Janko jedzie po księdza... a ty słuchaj, co ci powiem.

Obejrzał się po izbie, brew zmarszczywszy.

— Won baby! zakrzyknął.

Kobiety usunęły się do sieni i alkierza, on sam pozostał z synami.

— Wiecie—zawołał — że Motruna pokochała się z tym Cyganem... Jam mu chatę spalił. Nic nie pomogło: buduje się, słyszę, i siada czyhać na nią. Ja sam jestem cygańskiego rodu — dodał ciszej, oglądając się po izbie — ale nie chcę krwi cygańskiej więcej, żeby nas palcami ludzie więcej nie wytykali. Nie puszczajcie Motruny za Cygana, choćby wam po



nogach łaźła płacząc, choćby umrzeć miała! Słyszycie! słyszycie?! Jeżeli się uprze niepocziwa, to ją ożogiem z chaty wygnajcie jak psa, i ani szmaty na koszulę, ani grosza nie dawajcie wyprawy! Ja tak chcę, słyszycie!

— A jak dwór pozwoli? spytał starszy syn ci-cho — co mam robić?

— Co ja każe. Zechce iść na zgubę i hańbę, niech idzie; ale to nie będzie wasza siostra, ani córka moja... Precz z nią!

Długo tak jeszcze mówił stary, a Motruna przytłona do nieszczelnych drzwi alkierza, słuchała płacząc, lecz nie śmiejąc odezwać się; z jękiem powtarzała tylko jak nieprzytomna:

— O dolaż moja, dola! o dola nieszczęśliwa!

O północy nadjechał ksiądz, a nadedniem stary Lepiuk w gorączce, nieprzytomny, z krzykiem i miotaniem się zmarł, cygańskimi wyrazy niezrozumiałe jakieś nęcąc pieśni, opowiadając dzieje i wiodąc rozmowy. Przytomnych dreszcz przebiegał, tak straszliwie męczył się w ostatniej godzinie, nie znajdując w uściech słów innych nad pierwsze wyrazy dzieciństwa... Może czuł, że się wydaje sam z pochodzeniem swoim i utajoną naturą, a nie mógł się powstrzymać, bo własna mowa zdawała się go jątrzyć i w coraz większy szal wprawiać.\*)

Nareszcie sił zabrakło na walkę, oczy stanęły słupem, usta okryła piana, oddech wyrwał się z piersi rozbitej ciężki, głośny, przerażający... Lepiuk skonał.

---

\*) Ten fenomen, że człowiek umierający zawsze prawie powraca do języka, którym mówił w dzieciństwie, był wielokrotnie sprawdzony. Trentowski umierając, mówił ciągle po polsku.

P. A. 1871.

Krzyk rozległ się w chacie natychmiast i płacz pobudził sąsiadów. Motruna jedna pozostała w alkierzu skulona i przybita do ściany, płacząc łzami bez jęku, jakby się jeszcze obawiała ojca, i powtarzając swoje: „O dolaż moja, dolaż“

Ledwie ją bracia i bratowe potrafiły zagnać do pracy; bo w życiu wieśniaka i najsroższe cierpienie nie uwalnia od niej: nie ma się kim wyręczyć. Bóg tak dał biednym, by zajęciem boleść ośłodzić.

---

Tymczasem nędzna za wsią lepianka znowu się powoli podnosić zaczynała. Stały już słupy, zarzucały się ścianki mizernemi kołkami, które glina pokryć miała; a krzywe uszaki oznaczały miejsce ciasnych drzwiczek i małego okienka. Tumry nadźwigawszy się drzewa, spokojniej teraz na placu już się krzątał, pilnując swego dobra ostrożniej. Trochę słomy rzuconej na pochyło wspartych żerdziach, zasłaniało go od deszczu i stanowiło tymczasowe jego schronienie. Wybiegał on czasami w jar poblizki, czatując tam na przechodzącą w pewnych godzinach Motrunę; ale od dni kilku widzieć jej nie mógł. A że z ludźmi wiejskimi, oprócz wójta, mało się spotykał, nie domyślał się więc ani choroby, ani śmierci Lepiuka, przypisując bojaźni ojca ostrożność Motruny.

Dnia jednego ku wieczorowi robił Cygan około belki, gdy z dala słyszeć się dały śpiewy i płacze, postępujące drogą ku cmentarzowi. Niejeden pogrzeb; tak przeszedł już mimo jego chaty; Tumry tylko w czasie obrzędu rzucać musiał pracę i z odkrytą głową

stał wsparty o ściankę swojej kletki, szanując przypomnienie śmierci, wielkiej *Mutes-oro*, którą i *Romowie* nawykli z przestрахem spotykać.

Siekiera jego przestała ciosać; Tumry odstąpił kroków kilka, zamyślił się, ręce na piersi skrzyżował. i oczy jego z zabobonną trwogą zwróciły się ku wozowi, po nad którym już poczynwały powiewać wierzchołki różnobarwnych chorągwi, a między niemi porzec czarny śmierci z trupiami głowy i łzami. Orszak postępował powolnie i rozwijał się na drodze. Szli bratczycy, diak, ksiądz, nareszcie dwa siwe woły wielkie, wolno stąpając ciągnęły prosty wóz na górę, a z nim białą trumnę wieśniaczą, na której bochenek chleba w starym ręczniku spoczywał—ostatni chleb pożegnania! Za wozem tuż ujrzał Tumry idących dwóch braci Motruny i ją samą zawodzącą boleśnie. Serce na chwilę bić mu przestało, wlepił oczy, pobladł, domyślił się, że *Mutes* zabrała mu nieprzyjaciela. Dziekie dziecię włóczęgów nie uczuło ani politowania, ani żalu: jakieś uczucie radości i nasyconej zemsty, pogąńskie, poruszyło jego sercem; ale razem z niém przyszedł wstyd, i Tumry schował się za węgiel lepianki, by nie stać zwyciężonym na oczach. Motruna ani spojrzała na chatkę ukochanego, przed którą zastanowił się wóz żałobny, bo przez bramę cmentarzyska wjechać nie mógł, a trumnę wniesiono na barkach do przygotowanego wprzód dołu.

Przez cały ciąg smutnego obchodu, Cygan nie słyszał ani śpiewu, ani narzekania: tak silnie miotała nim nadzieja odrodzona doścignienia celu, pochwycenia Motruny... „Stary nie żyje—powtarzał zadumany — stary nie żyje, bracia nie będą mi się sprzeciwiali,

wójt mi dopomoże: ona moja! Byłem chaty dokończył, ona moja być musi!"

Ani się spostrzegł, jak sucha ziemia zasypała zwłoki starego Lepiuka; zaskrzypiał wóz, rozeszli się ludzie, i znowu milczenie głuche, przerywane tylko krakaniem wron zbierających się na słotę, zaległo puste wzgórze. Niepokój pędził go do pracy; pochwycił siekierę i wybiegł z za węgla, rzucając okiem ku mogilnikowi. Nikogo już tam nie było, tylko naprzeciw wrot żółta świeża mogiła, a po drodze ślady świeżych kół i stop ludzkich świadczyły o obrzędzie, który bez nich mógł się dla Cygana snem wydawać.

Nie spostrzegłszy nikogo, już podnosił toporzysko, gdy go ktoś z cicha pozdrowił. Odwrócił się przerażony. Wójt z twarzą zafrasowaną stał niedaleko na kiju oparty.

— A cóż tam Tumry? odezwał się stary: pracujecie, pracujecie, ani myślicie spocząć?

— Póki sił, panie gospodarzu: „co się zaczęło potrzeba skończyć“ mówi cygańskie przysłowie i cygańska natura.

— A ot i my tu przyszli nie w porę z temi odwiedzinami — dodał Lach kiwając głową, — i przyprowadziliśmy sąsiada, któremu nocką może niebardzo rad będziesz.

Cygan trochę się zmieszał, ale chciał udać, że nie wie kto umarł.

— A któż to zmarł? spytał obojętnie.

— Niby to nie wiecie! odparł wójt. Toż Lepiuk, i bez czasu! Gryzł się, gryzł podobno Motruną i nie wytrzymał.

Cygan milczał z głową spuszczoną.

— A tak—dorzucił wójt—i umierając swego nie darował, bo synom, słyszę, surowo przykazał, żeby Motruny za was nie dawali.

Tumry wzdrygnął się cały, podrzucił głową.

— Co mówicie? zawołał—doprawdy?

— Najpewniej... słyszałem od sąsiadki, która słuchała z sieni, jak synów uczył przed śmiercią. No! a co myślicie teraz?

— Cóż? rzekł powolnie chłopak: nie zląkłem się ojca, nie przeleknę i synów. Co Bóg da, to da, a ja swoje robić muszę.

— Ej! porzucilibyście, odparł wójt. Chatę sobie budujcie, kuźnię stawcie, ale gospodarskiej córce dajcie taki pokój; bo bracia nie pozwolą, a i gromada za nimi... chybabyście ją gwałtem porwali.

— A któż gwałtem bierze żonę! zawołał Tumry. To u was niewidziana rzecz, i gdzieżbym ją poprowadził? Nie mówmy lepiej o tém, panie gospodarzu.

Wójt poczuł, że go nie przekonał, i ramionami ruszył tylko w milczeniu.

— Toć wola twoja, nie gadajmy... nie chcecie dobrej rady, to jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz... co mnie do tego! Ot księżyc wschodzi, czas do domu, dobranoc!

— Dobranoc! odpowiedział Cygan, i znowu wziął się do swojej roboty.

Słońce już było zaszło, księżyc w pełni wypłynął powoli na niebo, ostatki wieczornych brzasków i światła nocnego miesząc się z sobą, stanowiły zmrok przejrzysty,—a Tumry z nadchodzącą nocą nie przerwał ciesielki. Praca była mu potrzebą, bo myśleć nie dawała, płakać i trapić się. Spoczywać też nie mógł obok téj świeżej, żółciejącej mogiły, którą oczy jego

spotykały wszędzie, która mu się mnożyła w około i w tysiącznych przedstawiała kształtach.

Całą tę noc pierwszą spędził zapalczywie rąbiąc co napadł, przy świetle pełni na czystém niebie, co chwila się wstrząsając za każdym wierzby niedalekiej szelestem, bo szmer ten śmiechem mu się zmarłego wydawał. Zimny dreszcz przelatywał mn po plecach, gdy myśl pobudzona szalem uczucia, wywołała Lepiuka z mogiły, a z nim tysiąc nieboszczyków wstających na pomoc.

Nawet cisza nocy, wśród której każde uderzenie jego siekiery rozlegało się z dziwném brzmieniem rozchodzącém się daleko, przerażała Tumrego. Pot łał się z niego strumieniem, siły się wyczerpywały, oko mgłą zachodziło, wśród której żółte skakały mogiły. On rąbał, siekł aż do brzasku; a gdy słońce zarumieniło wschód chmurny, rznciwszy nareszcie siekiere, padł na ziemię bezprzytomny.

Nocna pora zniszczyła niemal cały zapas drzewa, porąbanego w nieforemne kawałki.

Gdy się obudził, słońce piekło skwarne, a z dała huczała nadchodząca burza. Poprzedzający ją wicher szalał na wzgórzu, i on to chłodząc pierś jego, przerwał mu sen dziwny, znużenia i gorączki. Tumry z dreszczem i spaloną wargą obejrzawszy się po niebie, zaledwie potrafił zwlec się pod słomiany swój daszek, na garść zeschlłej trawy, na której upadł znowu, czując, że żelazna ręka choroby ciśnie mu pierś i głowę.

Wypadki wczorajsze, pogrzeb, rozmowa, nocne szale—wszystko mu się mieszało w kłębek różnobarwnych nici, nierozpętany, który ręka *Nusuo-oro* (choroby) targała i miotła bezlitośnie.

— Umierać! to umrę! zawołał Cygan, waląc się na ziemię. Tak lepiej niż się męczyć.

---

Wkrótce Tumry stracił znowu przytomność. Myśli jak burza na niebie wiły się mgliste, jasne, czarne, piornnowe, i poczęły przebiegać rozpaloną głowę; czas, miejsce, wszystko znikło z przed niego, a pozostało niewysłowione, dziwne, a zarazem rozkoszne cierpienie, coś nakształt snu utkanego z przypomnień ziemskich i widzeń niebieskich. Była tam i nędzna młodość, i śpiew Romów, i wykrzywione ich twarze, i taniec Azy, i stukot młota Aprasza, i dymy cygańskiego kotła, i skrzyp ich wozu, i Motruna, i stary Lepiuk, pogrzeb, mogiła, noc, pożar chaty, i postacie, jakieś nieznane, straszne i wdzięczne, i przeczucia niewysłowione, i wszystko czém brzmi życie i czém mówi śmierć nadchodząca.

Zdawało mu się, że umiera, a umrzeć nie może.., że leży martwy w jednej trumnie obok Cygana Lepiuka, a w pierś jego wbijają krzyż i wbić nie mogą, bo krew buchająca wypycha.

Po widzeniach tłumnych, ciszej się jakoś poczęło robić w jego duszy, jak gdyby już zmarł; ustąpiły dręczące widma, szaro zawlókł się widnokrąg i spokój mogiły skrzydłem go chłodném otoczył.

Otworzył oczy: zdawało mu się, że śpi znowu, bo ujrzał przed sobą płaczącą Motrunę, która dzbanek do ust jego nachylając, śledziła w nim ostatki życia. Kropla wody orzeźwiła go wreszcie, mgły gorączki rozchodzić się poczynęły, pojaśniało mu w oczach,

ruszył się, podniósł powoli. Nie był to sen: piękna Motruna klęczała przy nim oblana łzami, i mówiła do niego, ale słów jej jeszcze zrozumieć nie mógł. Brzmiały mu one w uszach jak pieśń jakaś dźwięczna, którą napróżno silił się schwycić.

— Tumry, Tumry—wołała dziewczyna—co ci to jest? Odpowiedz mi? co ci się stało?...

— Co mi się stało? Nie! Był pogrzeb, potem rąbałem noc całą, potem usnąłem, śniłem burzę, mogiły, i nie wiem jak spałem długo.

Dziewczyna klasnęła w dłonie.

— A toż trzeci dzień jak mego ojca pochowano! zawołała. Tyś chory, tyś trzy dni leżał bezprzytomny...

— Chory! może... słabo odpowiedział Tumry—ale cóż zrobić chorobie? Głód i sen ją przemoże, lub ona człowieka; na to tylko *Mroaen-oro* lekarzem...

— Ja pójdę do dworu—przerwała dziewczyna—do pani... Juścić nie dadzą tak umrzeć człowiekowi bez pomocy: oni się znają, oni poradzą...

Tumry nic nie odpowiedział, ale wzrok obłąkany, bezsilny i bezmyślny, którym rzucił na Motrunę, przeraził ją do reszty. Zerwała się.

— Oto woda! oto chleb! zawołała—a ja polecę do dworu. Jeśli nic zrobić nie zechcą, sama powrócę. Niech bracia zabijają mnie jeśli chcą, ja ciebie tak nie opuszczę.

I rozplakane dziewczę wprost przez jary i krzaki puściło się ku pańskiemu dworowi, myśląc a frasując się, jak i do kogo z prośbą swoją przystąpi? Ani się spostrzegła biedna, jak ją ten los, który często tak rozumny bywa, że mu w pewnych razach wcale inne



wartoby dać nazwisko, zaniósł w piękny ogród otaczający dwór pana.

Mieszkał tu jeszcze pan Adam, ale już żonaty, gdyż wykradziona guwernantka, *Madame Le Roux*, szybko poprowadziła sprawę małżeńską, i ani się obejrzał kochanek jak mężem został. Wielkie zmiany zaszły we dworze, w którym już nie pan, ale pani panowała, silną dłoń chwyciwszy męża i wszystko, co ją otaczało. Pan Adam był, co najdziwniejsza, zawsze zapalonym kochankiem i pierwszym jęj sługą, choć kilka miesięcy upłynęło już od pierwocin szczęścia jego. Tę stałość winien on był niepospolitęj znajomości serca ludzkiego, z jaką umiała nim kierować żona. W istocie była to najlepsza ze wszystkich guwernantek, jakie kiedy z Francyi do nas przybyły, guane biedą lub nadzieją. Wiele doświadczywszy na świecie, napatrzywszy się ludzi z blizka, pani Le Roux, a drudzy mówili panna Le Roux, doskonale świat i człowieka znała. Co dla drugieję zdawać się mogło niepodobieństwem: ujarzmienie i ustalenie takiego jak pan Adam człowieka—dla nięj było igraszką. Potrafiła go zaciekawić, przyciągnąć, utrzymać i rządzić nim, najpospolitszēj do tego używając sprężyny:—miłości własnej; na inne bowiem uczucie rachować tu było niepodobna. Adam ubóztwiany, czuł jakby mu się z wdzięczności na czulsze sentymenta zbierało, i dawał się prowadzić zguśniały, gdzie mu iść kazało. Przypomnijmy sobie, że nasza powieść dzieje się przed kilkudziesięciu laty, a może odgadniemy, jak wyglądała Francuzka. Był to szczątek kobiet sentymentalnych, które strojąc się na nótę wieku, bez uczucia grały nieustanną egzaltacyę i rozczulenie. Pani Adamowa wiecznie krążyła w tych sferach d'Arlinecour-

towskich, z Ipsiboe i innemi heroinami, na świat spoglądając okiem, które wszędzie widzieć chciało co wyczytało w książce. Romans był jęj zajęciem, namiętnością, pokarmem; łowy uczucia całego życia celem. W sercu wszelako spokój panował największy, bo cały ów szął był sprawą zabałamuconej głowy. Zimna, wyrachowana, ostrożna, grała egzaltacyę poświęcenia, męczeństwa, a po świecie tak szukała książkowych awantur, jak Don Kichot ciemężycieli niewinności i uciśnionych heroin.

Nieszczęściem mało znajdowała pokarmu pani Adamowa w coraz bardziej prozaicznych czasach, których rzeczywiste oblicze z całą swoją poezyą niepostrzeżenie przed nią się usuwało.

Właśnie w chwili gdy zapłakana Motruna wpadła do pańskiego ogrodu, chodziła pani Adamowa z książką rozczulającą o przypadkach jakiegóś nieznajomęj, po ścieżce nad wodą, wdychając, choć się jęj bardzo poziewać chciało. Szelest liści rozbudził ją z odrętwienia. Z razu sądziła, że z krzaków wystąpi rycerz, przykłąknie, załamię ręce i wynurzy swe płomienie przed piękném zjawiskiem, za które siebie poczytywała; zdziwiła się więc mocno, ujrawszy zapłakaną wiejską dziewczynę, która biegła ku dworowi z oznakami przestachu i niepokoju.

Ale że Motruna była pomimo swego stroju wiejskiego wcale piękną, a boleść dodawała jęj jeszcze wdzięku i wzniosłości, przeto pani Adamowa, przezuwając w tém wszystkiém jakąś romansową awanturę, trochę nawet podejrzewając męża, co ją przestraszyło, wstrzymała dziewczynę. Pobyt jęj w Polsce wyuczył ją tyle języka ludu, że go zrozumieć już

mogła; przystąpiła więc ku zapłakanéj i spytała jéj, czego i dokąd tak leci?

Motruna, która pani szukała, na nią tylko rachując, ze złożonemi rękoma poczęła jéj opowiadać najprzód o Cyganie, potem o sobie, potem nagłona zapytaniami, odpowiedziała całe smutne a krótkie dzieje poznania, pokochania, śmierci ojca i choroby Tnmrego.

Francuzka słuchała z nateżoną uwagą, chwytając łakomie wyrazy, szczęśliwa, że nareszcie w żywym świecie znalazła kochanków, miłość prześladowaną i caluteńki romans, wprowadzie w zgrzebnéj koszuli, z bohaterem Cyganem, z heroiną chłopką, ale zawsze niezmiernie dla zgłodniałéj wrażeń łakomy.

Chwyciła za rękę dziewczynę, składając książkę, zapomniawszy nawet o miejscu, w którém czytać przestała, i ożywiona pobiegła z nią do dworu. Pan Adam drzemał po obiedzie; obudził go stukot szklanych drzwi i tak szybkie opowiadanie żony, że z początku, rzucając oczyma to na nią, to na zapłakaną Motrunę, nic a nic zrozumieć nie mógł.

Przyszedłszy trochę do przytomności, znudzony zawsze i obojętny, pozwolił na wszystko, czego piękna Fanny wymagała po nim. Posłano natychmiast wóz po Cygana, konie po doktora do miasteczka, ruszono wszystkich ludzi, którzy pluli i kleli zmuszeni krzątać się dla włóczęgi,—i nim słońce zaszło, Tumry leżał na folwarku, a w głowach jego łóżka siedziała Motruna, stała pani Adamowa i doktor.

W chorym oprócz gorączki pokazało się wyczerpanie sił pracą—skutki długiego cierpienia i niedostatku; ale natura potężniej jeszcze walczyła w nim z ca-

łym młodości zasobem, by go podźwignąć. Potrzeba mu było najwięcej spoczynku, pociechy i posiłku.

To wszystko znalazło się we dworze, a pani Adamowa zajęła się zaraz losem dwojga kochanków, zaprzysięgając, że musi ich połączyć.

---

Pani Adamowa, która już wówczas dla odżywienia męża podróżą, a raczej dla zobaczenia Francyi i ukochanego Paryża, wybierała się za granicę, nie patrząc na to, że chata Cygana nie była ukończona, że świeżo zmarł był ojciec Motruny, zaprzątnięta była z właściwą sobie żywością połączeniem kochanków.

Jak tylko doktor uspokoił ją o zdrowiu Tumrego i zapewnił, że żyć będzie, rozkazała natychmiast przywołać do dworu braci Motruny. Przyszli oni smutni, zafrasowani, nie wiedząc co począć, poniekąd domyślając się o co chodzi, bo cała już wieś wiedziała, że Cygana do dworu przeniesiono, i że nim się sama pani opiekowała. A że do traktowania z nimi nie czuła się zdolną pani Adamowa, ani pan Adam, wysłano ku nim totumfackiego, przybyłego do Stawiska jakoś wkrótce po pobraniu się nowożeńców, kapitana Harasymowicza.

Słówko o panu kapitanie nie zawadzi. Był to ranny w kampanii którejś przeciwko Turkom, mężczyzna w sile wieku jeszcze, zdrowy, olbrzymiego wzrostu i pięknój postawy. Mały majątek, jaki posiadał w sąsiedztwie, złożony z dwóch chat tylko, puszczał dzierżawą, a sam przebywał to tu, to owdzie, włócząc się od komina do komina, z jednymi polując, z drugimi

grając w karty, z innymi pijąc i hulając ochoczo. Był to *natus* sekundant do wszystkich pojedynków, pretendent do każdej młodej wdowy i gość przy wszystkich imieninach: jedném słowem rodzaj pasorzyta, któremu mienie własne choć niewielkie, dawało trochę niezawisłości i dozwalało głowę podnosić do góry.

Oprócz tych zajęć, kapitan handlował chartami, strzelbami i wszystkiém, co miał; a miał zawsze ładne rzeczy, jak gdyby umyślnie dla facyendy. On i pani Le Roux znali się od lat kilku, a złośliwi ludzie nawet mówili, że w bardzo czułych byli stosunkach. To pewna, że zaraz po przeniesieniu się pani Adamowej do Stawiska i on się zjawił, zajął kwaterę w oficynie, rozgospodarował się, charty sprowadził, i здавало się, jakby tu miał zamieszkać. Pan Adam mówił nawet o powierzeniu mu majątku na czas podróży za granicę. Niedołęztwo pana Adama, który rad się każdym wyręczał, dało pole kapitanowi do schwycenia rządów majątku, dworu i opanowania Stawiska. Zręczny przytém umysł, charakter silny i przewaga jaką mu otrzymać było łatwo nad gospodarzem, codziennie go mocniej na tém stanowisku ubezpieczały.

Z panią porozumiewali się jedném wejrzeniem, i jak służba mawiała, znali się jak łyse konie; a we dworze tak osiodłali znużonego pana Adama, że wydawał się w własnym domu rezydentem na łasce. Pieszczono go za to i pochlebiano mu co wlażło, a wlażyło co chcieli.

Kapitan miał wysokie rozumienie o swych zdolnościach, urodzie, zręczności i w ogóle przymiotach, któremi go obdarzyła natura; nie mu się nie wydawało trudném. Wyszedł też do Lepiuków z miną gro-

mowladcy, z cybuchem, którego jeden koniec krył się pod wąsem, a drugi włókł prawie po ziemi, w bok ręką się wsparł, i był pewien, że tylko rzeknie słowo a przekona ich.

— No! rzekł siadając na ławce w ganku naprzeciw dwóch chłopaków: wiecież czego was zawołano do dworu?

— Nie, jasnie panie! nisko się kłaniając, odpowiedzieli chłopcy.

— A zatém—dodał kapitan uśmiechając się—chcecie, żebym wam powiedział o co chodzi. Słuchajcież.

— Słuchamy! szepnęli podnosząc głowy chłopci.

— Pani i pan chcą, żebyście waszą siostrę Motrunę dali za tego Cygana, który tu na kowalstwie osiada; to ich wola i tak być musi.

Lepiuki spojrzeli po sobie i zamilkli. Starszy wystąpił po chwili z nowym pokłonem aż do ziemi, i odezwał się, dusząc czapkę:

— Toćby my to jasnie panie nie sprzeciwiali się temu, kiedy taka wola pańska, ale jest przeszkoda wielka.

— Jaka? co za przeszkoda? ofuknął kapitan.

— A cóż poradzić z nieboszczykiem, który tego nie chciał i zaklął nas, żebyśmy Motruny za tego włóczęgę nie dawali. Słowo ojcowskie, słowo boże; synowi słuchać, nie rozbierać.

Kapitan, który moralność pospolitą zawsze uważał za doskonałą rzecz dla gminu, ale nieobowiązującą dla siebie, uśmiechnął się wzgardliwie.

— Co tam ojciec! rzekł machając ręką. Ojciec umarł, a wy róbcie co wam każą.

— Kiedyż myśmy się ojcu obiecali, odparł Lepiuk.

— Jakżeście mogli obiecywać, co nie w mocy waszój dotrzymać? zawołał głośniejsz kapitan. Dziewczyzna tego chce, dwór pozwala i rozkazuje, cóż wy możecie przeciwko temu?

— Motruna nie może tego chcieć, kiedy wie, że ojciec nie pozwolił, przerwał młodszy Lepiuk.

— Cicho!! wrzasnął kapitan, stukając fajką z energicznym gestem. Nie wdawać się w rozprawy. Słyszycie rozkaz, słuchać i po wszystkim. Tak pan chce, tak być musi.

Bracia jakby naradzając się, spojrzeli na siebie, trochę przestraszeni zapalczywością pana Harasymowicza.

— Ale jaśnie panie... ośmielił się starszy.

— Tu nie ma „ale,” przerwał wściz; nie, nie, posłuszeństwo i po wszystkim. Dacie Motrunie co się należy, wyprawicie wesele...

Lepiuk młodszy podniósł głowę, jakoś zadraśnięty rozkazem zbyt absolutnym kapitana; rumieniec wybił mu się na twarz, ręka zadrżała.

— Kiedy taka wola panów, a my przeciw temu nic nie możemy, to cóż gadać? Ale dla nas święta wola ojca, który umierając mówił, że jeśli Motruna pójdzie za Cygana, on się jój wypiera za córkę, a my za siostrę. Niech państwo robią co chcą, ale wesela nie sprawimy i z chaty nic nie damy, choćby nas nie wiem jak karać miano.

To rzekłszy, umilkł Lepiuk zagryzłszy wargi, a kapitan hardością niespodziewaną uniesiony, aż podskoczył z ławy.

— Co ty śmiesz mówić! zakrzyczał—łajdaku jakiś! Będziesz się ty woli pańskiej sprzeciwiał! A wiesz ty czém to pachnie?

Lepiuk ani drgnął, ani się ruszył, ani okazał zmieszonym, tylko zimne oczy zwrócił na kapitana i stał milczący; ale widać było w nich tak silną wolę, tak nieprzełamany opór, że Harasymowicz uczuł się zbitym z tropu, i nie wiedząc co począć, zabełkotał tylko:

— Ruszajcie, a com mówił, to się zrobić musi. Z tobą zaś będzie inny porachunek, dodał grożąc Lepiukowi. Idźcie precz!

Bracia skłonili się i poszli, a kapitan ochłonawszy nieco, wszakże nie swój trochę, weisnął się powoli do salonu.

Naprzeciw niego wybiegła z iskrzącymi ciekawością oczyma pani Adamowa.

— A co, kochany kapitanie? spytała wdzięcząc się.

— Nic, chłopci jak zwykle chłopci: trochę się upierają, ale musi się tak zrobić jak chcecie.

— Mówisz, że się opierają?

— At! plotą, że ojciec umierający zakazał im dawać tę dziewczynę za Cvgana, że się jój wyprą... głupstwa plotą. My zrobimy jak pani każesz...

— Jak to! mówisz, że się nie godzą?

— Ale któżby ich pytał!

— Są więc z ich strony przeszkody?

— Dzieciństwo! wola twoja, pani, jest tu wszechwładną.

— Ale ja nie chcę jój nadużywać, wolę środki łagodności!

Kapitan ruszył ramionami.

— Co tam środki łagodności! U nas jest jeden tylko środek powszechny na wszystko: kij. Ten działa lepiej i skuteczniej niż najwyszukańsze argumenta. Będą się sprzeciwiali, każemy ich ochłostać i kwita.



Czuła Francuzka wzdrygnęła się, upadła na krzesło i twarz zakryła rękami białymi.

— Ach! barbarzyństwo, kapitanie! Chyba żartujesz! Ja tego nie chcę, ja tego nie pozwalam! ja się oburzam na samą myśl przemocy.

— No, to rób sobie pani co chcesz, odparł kapitan ruszając ramionami; a ja się do niczego nie wdaję.

— Pan bo się musisz wdawać, i musisz robić jak ja każe, zawołała niecierpliwie Francuzka, tupiąc nogami. Zawróć tych ludzi i staraj się ich ująć łagodnością, datkiem, pieniędzmi, czém chcesz, ależ przecię nie kijem!

— Ale' zmiłuj się pani! tego się nie podejmuję! oburzył się rezydent. Dziś ich zawracać, a toby dopiero nosa do góry zadarli! Jutro się pomówi z nimi, bądź pani spokojna.

Tak się w pokoju zakończyła rozmowa nadejściem pana Adama, który ziewając wsunął się przez przeczucie godziny herbaty. My przenieśmy się na wieś z powracającymi Lepiukami.

Koło karczmy oczekiwało na nich kilku poważniejszych z gromady, wiedzących już, że ich zawezwano do dworu, a ciekawych jak tu sobie państwo postąpią. Usposobienie ludzi, jakkolwiek Cyganowi niezbyt w początku nieprzychylnych, skłaniało ich ku Lepiukom raczej; przeczuwali bowiem, że przeciw nim będzie dwór, i oburzali się na to wtrącanie się w domowe ich sprawy. Ztąd i Cygan, będący przyczyną wdania się panów, coraz im bardziej obmierał. Nie mieli z niego posługi żadnej dotąd, a tu im zagrażało, że się z nimi bracić będzie, co dla wszystkich nie-

miłém było. Nim Lepiuki powrócili ze dworu, w kupce oczekujących już żwawo rozprawiano o tém małżeństwie i jego skutkach.

— Co to? mówił Skorobohaty, poprawiając pasa i podskakując jak miał zwyczaj na jednéj nodze—co to? lada przybłęda, wołokita, będzie nam z przed nosa brał gospodarskie córki i na naszój ojcowiznie osiadał! Tego u nas nie bywało! Co tu panu do tego, co my robimy z naszemi dziećmi? albo to nie krew nasza, o którą tylko pan Bóg spytać może?

— A to prawda! ciszej dodał tchórzliwy Symiach. Ale nie gadajcie-bo tak głośno! jeszcze kto posłysz! Cyt! cyt! A ot i Lepiuki: chodźmy z nimi do ich chaty, bo tu przed karczmą niezdrowo; zaraz dworaki doniosą, że już się wieś buntuje, i bieda będzie.

Skorobohaty ruszył tylko ramionami, ale przyjąwszy radę, posunął się ku chacie Lepiuków, do której i oni ze spuszczonemi głowami powolnie zmierzali.

— A co? zapytał ciekawie: czy taki o Motrunę?

Bracia radzi zasięgnąć od doświadczonejszego zdania, opowiedzieli mu całą swą rozmowę z kapitanem i ostatni wyrok jego. Starszy powtórzył, co mu trochę uniosłszy się zwiastował.

— Dobrześ powiedział, chłopcze, rzekł Skorobohaty: tak się i należało, i tak róbcie; dwor się pomiarkuje, ta *chrancuzka* się zleknie, a kapitan... *oj! sławny buben za horami!* Alboż to pan! nic z tego nie będzie...

— No! a jak się uprą? rzekł młodszy Lepiuk.

— To niech ją wydają do trzystu dyabłów! gorąco podchwycił stary; niech ją sobie wydają za kogo chcą; a jeśli Cygan ją weźmie, cała wioska wyprze się i jej

i Cygana, nikt do nich słowa nie przemówi, nikt im ręki nie poda, nikt ich znać nie zechce. O! co będzie...

Spojrzał Skorobohaty po gromadzie: wszyscy widocznie poklaskiwali mu i potakiwali.

— Tak! tak! niechaj siedzą w chacie pod mogiłkami, a do wsi się nie pokazują nawet, bo ich psami wyszczujemy!

— Psubrat Cygan—podchwycił drugi—będzie sobie dziewczki u nas wybierał! ho! ho!

Stało więc na tém, że bracia jeszcze mocniej w oporze swoim podtrzymani przez gromadę, zaprzysięgli siostry nie wydać po dobrej woli, i wrócili do chaty nie mówiąc Motrunie, ale chmurni jak noc.

Ona przeczuła co się tam działo na wsi: widziała jak szli do dworu, dostrzegła narady ze Skorobohatym, domyśliła się co za wyrok padł na nią; ale udawać musiała, że o niczem nie wie, że się tém ani zajmuje. Jako na najmłodszą, spadły na nią najcięższe domowe posługi; bratowe gromiły ją nieustannie: milczała i płakała. Ciężko nawet było teraz wyrwać się do dworu dla widzenia się z Cyganem, bo jój nie spuszczano z oka; a gdy przyszło na pańszczyznę, posyłano inną, żeby nie miała zrzęčności zajrzeć na folwark.

Nazajutrz wieczorem znowu posłano po obu Lepiuków, a kapitan z instrukcją nową wyszedł ku nim prawie uśmiechnięty.

— No! rzekł: musieliście się namyślić od wczoraj. Nie ma co wody warzyć. Motruna musi pójść za Cygana, a zatém przygotujcie jój uczciwe weselisko...

Lepiuk się pokłonił do ziemi, gdyż wieśniak wo-

łyński kłania się nawet gdy słuchać nie chce, z nałogu.

— Niech sobie państwo robią co chcą, odezwał się z pokorą i jakąś rezygnacją zastanawiającą: my ani wesela nie sprawim, ani możemy na to się zgodzić, co ojciec zakazał; to już ja panu wczoraj mówiłem.

Kapitan spojrzał w oczy chłopcu, i zdziwił się, spotkawszy w nich toż samo wejrzenie zimne na pozór, ale niewypowiedzianie potężne, które go wczoraj tak zastanowiło. Czytał w niém bezwładny opór człowieka, który już przygotował się na wszystko, i czeka co z nim uczynią, nie myśląc się dać pożyć na groźbie, ani prośbie, ani boleści. Nie-ofuknął się tym razem pan Harasymowicz, ale rozśmiał, choć go to niepospolicie podrażniło.

— Gdyby to moja była sprawa—odezwał się powoli—wiedziałbym jak począć. Wasi państwo aż nazbyt są dobrzy i łagodni; nie chcą was siłować, wola ich! Powiem wam więc od państwa, że pani bierze na siebie i koszt wesela, i posag Motruny, i jeszcze obiecuje wam wasze posłuszeństwo wynagrodzić, ale żąda, żebyście tak zrobili jak ona każe.

Lepiuk schylił się znowu do ziemi.

— Bardzo dziękujemy państwu... odezwał się nieporuszony—ale kiedy taka była wola ojca!

Kapitan już się zżymał, świerzbiał mu cybuch w rękę.

— No! pani wam daje parę wołów, byleście tak zrobili jak się jój podoba... Słyszycie!

Lepiukowie spojrzeli po sobie, starszy się zgiął, westchnął i rzekł:

— Cóż my poradzim, kiedy ojciec tego nie chciał!

— A cóż u stu tysięcy dyabłów! zakrzyknął kapitan: więc i to odrzucacie?

— Wola pańska i bozka! westchnął starszy.

Napróżno kapitan prosił jeszcze, fukał, groził, gniewał się, ofiarował pieniądze: nic nie pomogło. Lepiukowie zostali przy swoim i odeszli przygotowania na wszystko co los przyniesie.

Gromada jednogłośnie oświadczyła się za nimi, i trudno wyrazić, jakie uczucie pobudził w niej ten tak mało na pozór znaczący wypadek. Im silniej nalegał dwór, tém uporniej obstawali przy swoim bracia, a cała ta sprawa wywołała w Stawisku niechęć ku panom i gorszą jeszcze nienawiść do Cygana.

Nareszcie pani Adamowa przekonana, że inaczej niż siłą nie zwycięży, rozkazała Motrunę zabrać do dworu, posłała na zapowiedzi, i wbrew woli wszystkich, zajęła się weselem, przyspieszając je z powodu wyjazdu za granicę, który natychmiast miał nastąpić.

Smutneż to zaprawdę było wesele! Napróżno zastawiono wódkę, piwo i sute przyjęcie: nikt ze wsi nie przyszedł, bracia ani się pokazali, żadna dziewczyna nie chciała być druhną, żaden parobek swatem i marszałkiem; wszystkich urzędników wesela musiano wybrać z ludzi obcych i dworskich. Upór zacięty gromady był nie do pokonania.

Nikt prócz państwa nie pobłogosławił biednej dziewczynie. Płatka nie dano jej z chaty ojcowskiej; bracia pochowali się, żeby się z nią nie spotkać. Widząc to Tumry, i przeczuwając jakie ich czeka życie, chciał uciec i wyrzec się swego szczęścia; ale lży Motruny, bojaźń wystawienia jej na późniejszą zemstę rodziny, sama w ostatku miłość, przemogły.

Dziewiczy wieczór zszedł bez pieśni prawie; korowaj upieczono we dworze bez tych obrzędów, jakie towarzyszą zwykle mieszanu i przygotowywaniu symbolicznego placka; w cerkwi pustka, w siole jak wy-miótł, a wieczorem na tańcach sami dworscy, hałastra pijana. Nikogo krewnego, nikogo swojego, nikomu przytulić, pocieszyć i ośmielić sieroty. Motruna za-lewała się ciągle łzami: tak ją już przerażała przyszłość, którą widziała przed sobą. Cygan siedział zadumany, przeleżał swym losem, jak żywy posąg smutku; tylko czarne oko z pod brwi nawisłej błyskało.

---

Na tém, jak myślicie zapewne, powieść nasza skoń-czyćby się powinna. O nie! w książkach tylko wesele wszystko zamyka: w życiu od niego się dopiero po-czyna historia ludzi; za niém idą pierwsze rozkosze, cierpienia, nadzieje, zawody, rozczarowanie, praca i cały szereg znanych wprzód tylko z nazwiska uczuć i wypadków. Właściwiej daleko bohaterowie powin-niby się żenić w pierwszym rozdziale; ale w ten spo-sób smutniejszą choć może więcej zajmującą byłaby powieść, odarta z chwil nadziei, zamknięta w rzeczy-wistości. Dopóki miłość (a miłość, niestety! nie z na-tury malowana, ale tak prawdziwa jak pejzaż Bouche-ra lub Watteau), była jedynym przedmiotem powieści—ostatnią jój kartą ślub być musiał. Dziś wcale ina-czej: — przedmiotem powieści jest życie samo, ze wszystkimi objawami swemi i w całej swój nieprze-branej różnaitości; miłość i wesele w niém chwilą i je-dną tylko kartą w opowiadaniu.

Wracamy do Motruny i Cygana.

Nazajutrz po ich pobraniu się, państwo Adamowie ruszyli za granicę, zostawując rząd majątku kapitałowi, i co z nimi się stanie, nie bardzo się już troszcząc. Francuzka sądziła, że dopełniła do czego się czuła obowiązana, czuła parę łącząc na wieki węzłem nierozzerwanym; nie przyszło jej na myśl nawet, że nazajutrz po ślubie może im chleba zabraknąć.

Tak było w istocie. Chata Tumrego stała niedokończona; drzewo nawet przygotowane na nią popsute był owój nocy po pogrzebie, kiedy nim dziwny strach owładnął. Pani zostawiła im tylko jedną krowę, bracia nic nie dali, a małżeństwo nazajutrz po weselu nie wiedziało gdzie się podziać i czém się dalej żywić.

Kapitan, który pozostał w Stawisku, po odjeździe dziedziców wcale nie myślał się kłopotać losem nowożeńców. A że izba, w której przytulono Cygana, była potrzebna, i nie było ktoby się zaopiekował sierotami, oddano im najgorszą krowę z obory i rozkazano szukać sobie schronienia na wsi.

Tak ledwie skrzypki ucichły, biedni zostali bez dachu, bez przytułku, nie wiedząc gdzie się podziać, i całą wieś mając przeciwko sobie. Ani pomyśleć nie można było zapukać do drzwi chaty: niktby ich nie przyjął. Ze dworu wypędzony Cygan, wziął Motrunę za rękę, która małeńkie zawiniątko niosła tylko pod pachą, i w milczeniu wyszli, kierując się ku cmentarzowi.

Kawałek wczorajszego korowaju całym był ich zapasem. Tumry unikając dla żony przechodzenia przez wioskę, wyszukał instynktem ścieżkę po za ogrodem, i jakkolwiek była niewygodna, wolał się nią

puścić, niż spotykać się z ludźmi, coby z nich sztydzi. Szedł ze spuszczoną głową i zadumany, myśląc jakby tu sobie poradzić. Chacie brakowało dachu, części ścian, drzwi, okien, pieca i całego gospodarskiego sprzętu; nie mieli ani grosza, ani inaki, ani chleba, ani nawet dzbana, którymby wody zaczerpnęli... Co począć? od czego zacząć? gdzie tę krowkę zamknąć? czém ją karmić?

Motruna płakała, i po cichu łamała ręce, niekiedy przypominając przekleństwo ojcowskie. I szli tak nie śmiejąc się odezwać jedno do drugiego, pod górę drożyną, aż ku pocztowej chacie zagrodnika.

Zdawało się, że oboje radzi byli przedłużyć drogę, oddalić chwilę stanowczej rozmowy; ale ścieżka krótsza niż inne, zawiodła ich wprędce przede drzwi cmentarza i lepianki.

Tumry w milczeniu przywiązał krowę do słupa, a Motruna wsparła się o ścianę, oczy nieprzytomnie wlepiając w cmentarz, na którym jeszcze żółciała ojowska mogiła.

Jej łzy bolały nieszczęśliwego Cygana, który czuł, że z jego przyczyny płynuły. Choć bezsilny i sam cierpiąc, wymógł na sobie uśmiech i odwagę.

— Nic płacz! rzekł do niej po cichu, przybliżając się: płacz nie pomoże, potrzeba myśleć co z sobą zrobimy. Ja chatę dokończę przed zimą, tymczasem choć jedną izbę zamknę za dni kilka; ale żyć nie będzie z czego, trzeba najprzód krowę sprzedać.

Motruna gotowa się była zgodzić na wszystko, choć w sercu żal jej było tego stworzenia, które czémś więcej dla niej było niż datkiem pieniężnym: było zajęciem, towarzystwem, nadzieją.



— Szkoda krówek! szepnęła: ale cóż robić? Jak trzeba, to mus...

— Czémże ją przekarmimy, a czém wyżyjemy sami! Wszak to jesień!

— Poszłabym do braci...

— Do braci? podchwycił Cygan brew marszcząc: nigdy! nigdy! Gdybyśmy konali z głodu, ręki do nich nie wyciągniemy; trzeba sobie wystarczyć. Nie mów mi o tém... Czasu nie możemy tracić; idź z krówką do miasta, sprzedaj ją, wiesz co na gospodarstwo potrzeba; ja muszę z chatą śpieszyć... Tylko śmiało Motruno! niech się ludzie wściekają, a ja im pokażę, że coś wart!

To mówiąc, Cygan z zapalem jakimś pocałował ją w czoło, zrzucił z siebie oponczę, porwał siekierę, oczy mu się zaiskrzyły, chwycił się do roboty. Motruna patrzyła na to, i odwaga powoli wstępowała jej do serca. Dumiała chwilę, potem odwiązała krówkę od słupa, otarła oczy fartuchem, i z niejakiem wahaniem, żegnując męża w milczeniu, skierowała się drogą ku miastu wiodącą.

Cygan tymczasem jak w gorączce rwał się do roboty. Od czego tu począć? jak sobie dać rady? Opa-dały ręce, czuł rozpaczliwie niemożność, to znów pragnienie pokazania swęj siły podniecało go i utrzymywało. Robota w takiem usposobieniu szła szalenie szybko, a ręce dźwigały ciężary, które chyba dusza pomagała im podnosić, bo w zwykłym stanie nie byłby się nawet o nie pokusił. I był to widok zajmujący tego człowieka z czołem chmurném, z usty zacisnionemi, oblanego potem, miotającego się jak cyklop wśród nawału bierwion i drzewa różnego, które w silnych dłoniach jego chrzęściało. Siekiera gorzała

mu w rękę, trzaski leciały świszcząc w powietrzu, a wola dokazywała cudów; co chciał, robił z taką pewnością, z takiem jakiémś przeczuciem skutku, że się ani zawahał przed niepodobieństwem. Nie pomyślał nawet o spoczynku, o jadle, o wytchnieniu; a im więcej pracował, tém praca stawiała mu się lżejszą. Ani się spostrzegł, jak noc chmurna nadeszła i nagle ściemniło mu się zupełnie.

Powłókł okiem po niebie osłonióć, dobył krzesiwa, naniecił ognia z trzasek i odłamów, i nuż znów do dzieła! Wiatr rzucał mu w oczy dym gorący, migało światło rozdmuchywane i gasnące na przemiany: Tumry na nic nie zważał, a sama robota podnosząc go coraz bardziej na duchu, potęgowała w nim wszystkie władze, przechodzące zwykle normalnego stanu granice.

Szło mu o zarzucenie jakiego takiego stolowania na maleńką izdebkę, w której chciał żonę swą ukryć; z rana nie było jeszcze belek, musiał je pozaciągać, a łąty i koły wsparte na nich wieczorem, zastępowały jako tako brakujący daszek. Zarzucił je Tumry słomą, ziemią, trzaskami, czém miał; okienko niezaszklone zasuwą naprędce wystruganą obwarował; lecz drzwi nie było zrobić z czego...

Gdzie tu dostać lada jakich choćby desek lub tarcicy? Zadumał się Tumry, zadumał, ale nic w głowie znaleźć nie mógł: na drzwi rady nie było.

Północ już nadchodziła i kury piałły na wsi, a księżyc rozbiwszy chmury, półtwarzą wychylał się ku ziemi, gdy Cygan siadł znużony, myśląc i przemyślając nad drzwiami. Gdyby nawet mógł kupić tarcic, jak tu je przywieźć? Wójt przyjaciel, teraz trzymając z gromadą, nie pomógłby już biedakowi.

Sen wreszcie zamknął powieki spracowanego, ale i we śnie drzwi nie dały spoczynku. Ciało zasnęło, dusza pracowała jeszcze, latając po świecie myślami niespokojnemi. I jak się często zdarza silnie zaprzęt-nionym praguieniem jakimś, we śnie dopiero Tumry znalazł drzwi swoje. Przed samém cmentarzyskiem, naprzeciw w rowie leżał zbutwiał i przepróchniał mostek, nieużyteczny zupełnie, bo wrotka cmentarza teraz położone w poprzek, miejsce jego zajmowały. Tumry mógł zabrać kilka desek zgniłych, nie czyniąc szkody nikomu.

Na tę myśl serce mu zabiło, obudził się, oczy przetarł: potrzeba było zaraz to spełnić, by po dniu kto kradzieży nie dojrzał; i choć się lękał zbliżyć do świeżej mogiły, wola gorąca popchnęła go gwałtownie — poszedł ku cmentarzykowi.

Księżyc jakby go śledził, zakryty na chwilę, ukazał się znowu, zajaśniał i pomógł biednemu, który wlaższy pod drzwi leżące, namacał kilka desek, zgar-nął je, pochwycił i uciekł, czując jakby go cmentarne gonilo powietrze.

Długo potem jeszcze dyszał niespokojny, ale radość ze zwycięstwa dodawała mu odwagi; położył się nareszcie, pokrywając sobą wilgotną zdobycz swoją, i usnął.

Zbudził się ze dniem, a przypomniawszy, że miał już z czego zbić drzwiczki, porwał się znowu do roboty. Ale zaledwie ciosać zaczął i przymierzać deski, czoło się jego zasepiło: ujrzał na nich głęboko wyrżnięty krzyż, rok i jakieś znaki, po których kradzież jego łatwo poznać było można. Ręce mu znowu opadły.

Odrąbać tych znaków nie było podobna; spróbował je zgładzić, ale wilgoć przejadła deskę na wylot prawie, i krzyż choć zdarty, plamą czarną w głębi drzewa wychodził ciągle. Jakiś zabobonny strach na widok tego niezagładzonego godła owładnął Cyganem; chwycił wszystkie deski znowu, przebiegł drogę z nimi i zarzucił je pod mostek.

Chwilę tylko jednak trwało wahanie, bojaźń, niepewność; założył siekierę na ramię i puścił się w las. Żywěj duszy nie spotkawszy na polu, wbiegł w zarośla szumiące jesiennym suchym szelestem, rozglądając się w nich i nie wiedząc co począć. Myśl pracowała w nim tak żywo, że wszystkie deski, jakie gdzie spotkał w życiu, przychodziły mu na pamięć, widział je ze wszystkimi ich szparami, sękami, ćwiekami w nich sterczącymi, ale żadna nie mogła mu na te nieszczęsne drzwi posłużyć.

Szedł tak sobie dalej a dalej, wiedziony instynktem jakimś, bez drogi, ścieżki, gdy go przestraszył głośny śmiech dający się słyszeć tuż blisko. W każdym spodziewając się nieprzyjaciela, Tumry stanął gotując się do obrony i brwi nasrożył; obejrzał się — pod sosną siedział mały człowieczek.

Dobry to był znajomy Cygana: zwano go we wsi głupim Jankiem; nieokreślone stworzenie, pół waryata, pół mędrca, postać osobliwsza i człowiek nie jak drudzy. Głupi Janek mógł mieć lat dwadzieścia kilka, ale znacznie wydawał się starszym. Twarz miał blado-żółtą, schorzałą, wykręconą jakby od wielkiej choroby, i żaden włos jój nie zarastał; oczy ciemne, małeńkie, sterczały wśród niej, jak dwie tarnki okrągłe. Małego wzrostu, rąk bardzo długich, nówek cienkich i nieproporcjonalnie krótkich, co się jeszcze dziwniej

przy rozrosłej i olbrzymiej głowie wydawało, Janek podobny był bardzo do tych poczwar leśnych, któremi wyobraźnia ludu zasiewa puste ostępy i bory. Od dzieciństwa za bezsilnego i na nic niezdatnego uznany w chacie, Janek włóczył się i robił co chciał: albo na piecu i za piecem wysypiając się na grochowinach, lub po lesie wałęsając się — co wołał. Znały go we wsi wszystkie psy i dzieci, bo jedne zawsze za nim ujadały, a drugie go prześladowały nielitościwie; krewni, siostry, bracia, wszyscy nim poniewierali, a często mizerny kawalek chleba, który wyprosił, gorzko mu wymawiano, choć niesprawiedliwie, bo Janek spełniał dobrowolnie najcięższe posługi. Nosił wodę, dźwigał drwa, zbierał grzyby, obijał konopie, i podejmował się ochotnie czego kto inny zrobić nie chciał. Janek nawet mimo głupoty, którą mu przyznawano, wcale nie był głupi; ale że się śmiał prawie ze wszystkiego, co widział i słyszał, ruszano nań ramionami i nazwano szalonym. Dziwne położenie biednego karła nie rozjątrzyło go wcale przeciwko ludziom; owszem, wesoły był zawsze, uśmiechnięty dla każdego, do rozmowy, chociaż szeplecił i trudno mu z nią szło, gotów; chętny do pomocy każdemu, od niejednego rozumnego wart był więcéj. Ale we wsi, jak na szerszym świecie, gdy kogo raz głupim okrzykną, niechże się z tego wypłaczé! — Janek pozostał głupim, i może temu winien był swoją swobodę.

Spotykali się oni z Cyganem w lesie nieraz, a biedny włóczęga uczuł dla podobnego sobie biedaka jakieś politowanie; rozpoczynał z nim rozmowę, pokazywał mu gdzie jakiego drzewa trzeba było szukać w lesie, dawał czasem parę grzybów. Tumry oswoił

się powoli z głupim Jankiem, i już go nie liczył za nieprzyjaciela.

— A! a! odezwała się poczwarka siedząca pod starym dębem, z uśmiechem, który podobniejszy był do skrzywienia niż do wesołej miny. Dobry dzień, panie młody! Czegoż to w lesie szukasz?

Cygan potarł czoło, wstyd mu było powiedzieć, ale Janek mógł pomóc.

— Może kalinowego stołu? może cisowego progu do chaty? mówił dalej chłopak, i począł śpiewać jakąś piosnkę weselną o kalinowym moście. Zanócił piszczącym, schrypłym głosem, przerwał i zbliżył się do Cygana.

— Gadażże kochanku! rzekł przymilając się. Czego ty taki zadumany? co to tobie? A to brzydko nazajutrz po weselu patrzeć po lesie, jakbyś już gałęzi szukał! No! czego tobie trzeba? może ja ci pomogę?

— Podobno ani ty, ani nikt, chyba dyabeł, rzekł chmurno Tumry.

— E! fe! kochanku, Cyganku, serduszko, gołąbku! począł Janek. Na co tobie tego szlachcica wzywać w takim ciemnym miejscu? Ja się go i na polu boję! O! lepiej powiedz czego tobie braknie, już ja ci pewnie pomogę i bez niego.

— Gdzie tam! rzekł Cygan: chatę jak chatę, polepię jakkolwiek; ale drzwi, pęknię, nie mam z czego zrobić! Deski nie upiłuję, ani kupić ję, ani nawet ukraść.

— A tybyś ukradł!? śmiejąc się i grożąc spytał Janek. Cyganku, kochanie, nie dziwuję się, że tego jegomości wspominasz! Fe! gołąbeczku! na co tobie cudze brać, kiedy i tak poradzić sobie można?...

— Jakim sposobem? spytał Cygan.

— Wszak to, co niczyje, z tego wzięwszy człowiek nie kradnie.... rzekł, zamyślając się z udaną powagą, głupi Janek.

— A zapewne.

— Otoż tu w lesie jest stara buda — szepnął pocichuteńku chłopak — bardzo stara, tylko że się nie wali. Kiedyś w niej mieszkał leśniczy jakiś, ale się na drzwiach powiesił; od téj pory opuszczono chatę, a drzewa z niej nikt nie weźmie pewnie: może tybyś był odważniejszy? Jabym go nie ruszył, ale kiedy chciałeś dyabła (nie mówiąc złego słowa) prosić o tarciczkę, toż i tę wziąć możesz.

— A gdzież to? zapytał gorąco Cygan.

— Chodź, ja cię zaprowadzę — odpowiedział Janek, schwycił kij ogromny, wyższy od siebie, i nuż sadzić przez pnie i krzaki.

Choć niezgrabny i krótkonogi, Jauek tak był wprawny do chodu i tak się dobrze znał z lasem, że Cygan ledwie go mógł napędzić. Niekiedy obejrzał się, uśmiechnął, przystanął, i znowu dalej. Po drodze to grzyba chwycił do torby, to krzak jagód wyrwał z ziemi, to się zaczął na wiewiórki przebiegające od drzewa do drzewa. Tumry nie spuszczać go z oka, siedł w milczeniu.

Kręcili się po lesie około godziny, aż nareszcie w gąszczu zapustów młodych, Janek pokazał z daleka palcami Cyganowi coś nakształt zrujnowanej chaty. Trudno było poznać teraz, czém to dawniej było, bo dach opadł, ściany się porozsuwały, postarzały kłuczyny, komin pleciouy się rozwalił, a zielska i trawy objęły w swoje władanie tę dawniej ludzką siedzibę. Pod jedną z jój ścian jakoś przysłonioną od deszczu,

stały nieforemne drzwiczki, na których wisiała jeszcze resztką sznura przegniłego. Cyganowi aż oczy pojaśniały; rzucił się ku temu skarbowi, schwycił go, ale drzwi ledwie dotknęte, w ręku mu się rozsypały.

— Otoż masz! krzyknął Janek: szkoda naszych nóg, Cyganeńku! i to próchno!

Nie było to jednak próchno całkowite: kilka się tarciczek choć podziurawionych przydało. Tumry podziękował swemu doradcy, zarzucił je na plecy i zawrócił.

— Cóż to ty myślisz sobie sam wziąć wszystko? odezwał się towarzysz: a mnie to gołąbeczku nic nie dasz?

— Albobyś ty dźwignął? uśmiechając się z politowaniem odparł Cygan.

— Dajże mi połowę, a spróbuję! odpowiedział głupi Janek.

Zdziwił się niepomału Tumry, ujrzawszy jak nieodłączne to na pozór stworzenie, lekko, zręcznie i bez trudu niosło swoje brzemię, podśpiewując.

Ani się spostrzegli, gdy rozmawiając stanęli nad brzegiem lasu. Tu Janek deski swoje porzucił, ukłonił się słomianym kapeluszem Cyganowi i szepnął:

— Ruszaj sobie kochanku sam; bo jakby mnie z tobą ludzie zobaczyli, powiedzieliby, żeśmy obadwaj czarownicy, a mnieby może i chleba za to w chacie nie dali. Bywaj zdrów! Ot patrzaj, że i głupi Janek na coś się zdał. Cha! cha! jaki ja wielki pan, co jeszcze drugiemu świadczę! Gwałt! gwałt! a to cud!...

Wziął się w boki: „Cha! cha!” i śmiejąc się do rozpuku, poleciał do wsi co miał tchu.

---



Motruna z krówką swoją powoli szła do miasta i płakała biedaczka; płakała, aż za łzami świata jój widać nie było. Droga wiodła przez wioski, przez wielki gościniec; ludu na niej wiele, a każdy co przechodził, zwracał oczy na piękną, młodą, ustrojoną kobietę, która z chudą krówką szła płacząc. Żydzi zwłaszcza domyślając się, że bydlę było na sprzedaż, a łzy dowodziły potrzeby pozbycia się, kilka razy Motrunę zatrzymywali. Dawano jój coraz mniej za staruszkę, której chude boki i najeżona sierść niebardzo zachęcały, — i tak dowlekła się do miasteczka.

Wiatr trochę łzy osuszył, myśl się rozkołysała widokiem bożego świata, potrzeba było pomyśleć o przyszłym gospodarstwie, i Motruna stanęła na targu, zadumana co pocznie.

Tu ją zaraz obstąpili Żydzi, Żydówki, Żydzięta, wieśniacy, i targ się rozpoczął na bydlę, którego niepozorność a zatém i taniość zwabiła wszystkich uboższych. Ani się obejrzała, jak przybito ręce, jak wyliczono pieniądze, wzięto postronek i krówka z oczu jój zniknęła. Na dłoni miała młoda gospodyni trzydzieści kilka złotych; ale jakże to było mało na tyle potrzeb, na cały dom! Poszła kupować, zapomniawszy płakać; ale nowa bieda gdy się to wszystko zebrało: i garnuszki, i wiadro, i dzbanek, i sito, i dziezka, i niecułki — niepodobna jój było zabrać tyle sprzętu.

Musiała szukać kogoś, coby z targu jechał na Stawisko do domu i powracał próżno: ledwie więc pod noc zwlókłszy co kupiła, ruszyła ku domowi. Jechali wołami, najety chłopak był pijaniuteńki; po drodze góry wielkie, noc ciemna, jeden Pan Bóg strzegł i prowadził. Z każdego pagórka wóz staczał się z łośkotem, i zdawało się, że w kawałki polecą; ale stawał

jakoś szczęśliwie w dolinie i woły szły dalej powoli, choć gospodarz ich, wsparłszy głowę na nową dziecę, usypiał szczęśliwie.

Dobrze już dniało, gdy wóz się zastanowił naprzeciw cmentarza. Motruna ujrzała Tumrego zbijającego drzwi i z dumą poglądającego na swoją lepiankę. Młoda kobieta oczom swym wierzyć nie chciała: cudem się zapełniły ściany, zapełniła ściel, przygotowały nawet drzwiczki! Stała, złożyła ręce i zlekła się nawet trochę, bo pomyślała, że kto wie — Cygan czarownikiem być może. Czary to były woli i odwagi...

Zniesiono co kupiła Motruna, ale na rozmowę, na pociechę, na spoczynek, nie było chwili czasu: on musiał tworzyć swój szalas, ona myśleć o chlebie i wodzie, bo tych dotąd nie było w chacie. Trzeba było iść po wodę do dalekiego źródła, żeby się z kim ze wsi nie spotkać, zamiesić choć placek, ho na chleb pieca jeszcze nie było, i zwarzyć choć garść kartofli przywiezionych z miasta.

Cygan tymczasem siekiery z rąk nie puszczał i gnał się z robotą. Drzwiczki wreszcie prawie całe się zlepiły, choć więcej w nich było sztuki niż w najmisterniejszego snycerza pracy, około wytwornego sprzętu. Stare deski rozpadały się za doknięciem, dziur w nich było mnóstwo; musiał je Cygan łątać, zabijać, sztukować i wiązać, gdzie kołkiem, gdzie znów listewką, a nawet sznurkami; wszystko mu było dobre, byle trzymało. Ale co za zwycięstwo, gdy na wrzeczadkach osikowych skrzypnęły raz pierwszy drzwi chaty Cygana, gdy je zamknął i zasunął, gdy pomyślał, że je z niczego prawie utworzył!! Za te drzwi

oddałby był całą chatę, taką mu w sercu sprawiły uciechę.

Uśmiech jego wywołał wesela trochę na smutną twarz Motruny. Siedli w kątku nowój izby, na kupie mchu, którym mieli resztę szpar pozatykać, rozłamali pierwszy kawałek chleba pod ścianą swój chałupki, i Cyganowi łyż strumieniem polały się z oczu.

Zobaczył przyszłość przed sobą.

Jest w człowieku siła, na której rzadko kto się poznał: rzadko kto użyć jej umiał, siła czarodziejska, która dokazuje cudów; która podbija pod swą władzę wszystko, co ją otacza, pęta żywioły przeciwne, walczy zwycięsko z czasem, przestrzenią, zniszczeniem; której potęgą wznoszą się dzieła olbrzymie, stają się cuda niepojęte. Tą siłą jest wola.

Słówko, ale co w tém słowie! Jakie skupienie władz wszystkich! jakie spotęgowanie człowieka! Rozbierz wolę, a znajdziesz w nich treść i istotę najwyższych przymiotów ludzkich. Tą jedną sprężyną pociągnięone, wchodzi w ruch i działanie siły nieznane, uśpione, nadziemskie, których nic nad nią poruszyć nie zdoła. Ustaje woli działanie, a zmienia się cały człowiek: słabnie, osuwa się, upada, niknie!... Wola nie jest wyłączną potęgą geniuszu, talentu, rozumu; każdy ją mieć może, kto ją w sobie wyrobił, i od najlichszego robaka ziemi, każdy nią cudów dokaże. Całe życie praktyczne stoi na woli; brak jój czyni niewolnikiem \*), jak posiadanie jój władcą. Na téj osi obra-

---

\*) Wyraz cudowny, malujący nie-wolę, to jest człowieka bez woli.

cają się koła losów niewidzialną kierowane dłonią, ale poruszane jedną siłą woli.

Nie wiem, czy więcéj się dziwić potrzeba olbrzymim piramidom egipckim, celi pustelnika wykutéj dłonią drżącą w twardéj skale, czy chacie Cygana zlepionéj niczém z niczego?

Zmierzcie siły i ich skutki, a otrzymacie wypadek sprawiedliwy, bo wielkość dzieła rachuje się władzą jego twórey. Drobnny, niewidzialny otworek, który wyrzył robaczek w drzewie, dla mnie przynajmniéj jest tak zadziwiającą budową, jăk tunel pod Tamizą złożbiony ręką i myślą ludzi tysiąca. Ciężar, jaki mrówka dźwiga na swój *tumulus*, złożony prawie z mikroskopijnych okrucichów, wzbudza większe podziwienie we mnie, niż obelisk luksorski przyciągniony do Paryża. Tak samo i w sprawach ludzkich: bylebyś wpatrzył się w ten świeatek maluczki, na który mało kto oczy obraca, znajdziesz w nim i piramidy, i dzieła olbrzymie, i cuda stworzone jedną tylko wolą, może bardziéj zdumiewające niż to, czemuśmy codziennie dziwić się przywykli.

Naprzeciw cmentarza w Stawisku wznosiła się już chatka, dzieło jednéj silnéj woli, zdumiewające ogromem, choć liche z pozoru. Nikt nie pomagał dźwigać drzewa, nikt go prócz Cygana nie ciosał i nie spajał, nikt nawet dobrém życzeniem nie wsparł osamotnionego robotnika; a jednak sklecił tę lepiankę, po każde polano drzewa chodząc z osobna do lasu, każdy dyl dźwigając na plecach pod górę, i za wyostrzenie siekiery pracując u kowala, bo mu inaczej niż czasem swoim zapłacić nie mógł.

W kilka tygodni po weselu i po opisanych wypadkach, chata Tumrego była prawie na dokończeniu.

Wielką w tém pomocą stała się dla niego żona, bo jój widok zagrzewał go, zachęcał, a pracowite dłonie niejedno polano przywlekły pod cmentarzysko. We dwojgu praca już lżejszą stała się Cyganowi; a gdy wicczorem uznojony upadł na lichéj ławie odpocząć, miał ku komu zwrócić oczy, miał już przemówić do kogo.

Motrunie przywyklój do domowego gospodarstwa, które się dostatniém w porównaniu do nagich ścian ich chałupki nazwać mogło, ciężko było oswoić się z tym bytem, dla którego utrzymania wszystko niemal stworzyć było potrzeba z niczego. Tak mało zdaje się znajdziesz w ubogiej chacie wieśniaka, a jednak ile tu niepostrzeżonego sprzętu, drobnostek, które pozwolić nabywać, robić, dostawać musi! W chałupie Tumrego, prócz kupionych przez Motrunę na targu najpotrzebniejszych rzeczy, nic a nic nie było. Cygan obchodził się upieczonym kartoflem i zaczerpniętą w dłoń wodą. Począwszy od wiadra—sprzętu pierwszej potrzeby—przy którém jeszcze czerpak być musi lipowy, ileż to brakło co chwila! Stół, ławy, niecki, cebry, dzieżkę dostać musieli, bo się bez nich obejść nie mogli we dwoje. Jednym też chlebem żyć było trudno, a ogród zasadzać za późno.

W początku myślała Motruna, że wieś i bracia, którzy się tak nieprzyjaźnic ku nim stawili, dadzą się przekonać i nakłonić do przebaczenia; ale zaraz pierwszych dni przekonała się, że albo wiele na to czasu byłoby potrzeba, lub nigdy może dokonać się to nie da. Wieśniak ma to do siebie, że w raz powziętém uczuciu i myśli trwa uparcie. Nie ma on czasu na rozmyślanie, na rozbiory tego, co uczuł i przedsięwziął; czyn zajmuje mu niemal życie całe: raz więc

stanąwszy na drodze, zbić się z niéj nie daje niczém. W sercu jego rozbudzone wzruszenie dzień jeden podaje drugiemu dniowi, a myśl, z którą usnął z wieczoru, wstaje z nim nazajutrz rano.

Bracia Motruny stanęli właśnie na gościńcu, z którego ich nie sprowadzić nie mogło; owszem, dwór wdaniem się swoim przyparł ich jeszcze do niego; a cała wieś, oświadczając się za nimi i pośmiertną wolą starego Lepiuka, niepodobném prawie czyniła dla nich cofnięcie się.

Jakkolwiek kowal był bardzo wiosce potrzebny, zarzekli się wszyscy, że Tumrego nie użyją, choćby o mil kilka z naradnikami chodzić mieli. Bracia Motruny zerwali z siostrą zupełnie, i z dala nawet nikt nie spojrzał litościwie na tych wygnańców z pod cmentarza, których lepianka powoli się nakrywała i kończyła.

Przejeżdżając drogą, każdy z ciekawością poglądał na chałupę Cygana; ale skoro znajomy zobaczył Motrunę w progu, popędzał konie, żeby ją minąć, odwracając twarz ku cmentarzowi, bez powitania i dobrego słowa. Najodważniejsi nawet z gromady, starym zwyczajem trzymali z gminą i słuchali jéj wyroku.

Dni tak upływały, a żywa dusza nie przestąpiła progu, i nie słyszeli głosu nad swój własny: a gdy długa noc jesienna nadeszła z wichrem i burzą, tulili się do siebie z zabobonnym strachem, bo obojgu w téj pustee na myśl przychodził rozgniewany Lepiuk i sąsiednia jego mogiła.

Pracy tak było wiele, a znój tak nieustanny, a przyszłość tak straszna, że oboje nie mieli jeszcze czasu boleć nad dniem dzisiejszym. Toć-to jedyna ulga

wielkiej nędzy, że ona przed sobą daleko nie widzi. Szczęśliwi dręczą się jutrem, płacąc za pomyślność dzisiejszą nispokojem o przyszłość; biedny w opasanym zewsząd dolą swą dodniową widnokregu, na nią już tylko boleje. Tak i z nimi było.

Tumry zwłaszcza w znoju kończąc swą chatę i poczynając kuźnię, ani się oglądał na nadchodzące—głód i zimę. Motruna, czasem myślą wybiegła po kobiecemu naprzód, ale ją odciągnęła troska powszednia. W istocie, przyszłość była groźna, a nawet dla najnędzniejszych zastraszająca. Dwór pusty z kapitanem Harasymowiczem na gospodarstwie, nie mógł być żadną pomocą; wieś odsunęła się od nich całkowicie, bo nawet Maksym Lach unikał ich teraz; do postawienia kuźni więcej jeszcze potrzebował Cygan pomocy niż kiedy, a z kąd było wziąć żelazo, młoty, kowadło i pierwszy narząd rzemieślniczy?

Jakkolwiek przywykł Tumry po cygańsku obchodzić się lada czém, wszakże i micch, i cęgi, i młot, i kowadło były konieczne. Na horno, potrzeba było cegły, i Cygan sam zbudować go nie umiał! A bez kuźni jakaż znów dla nich przyszłość? i z kąd wziąć chleba kawałek?

Podtrzymywała go nadzieja, że gdy warsztat swój postawi, gdy ludzie zobaczą tuż blisko to, czego dotąd daleko szukać musieli, powoli zaczną się udawać do niego z pilnicjszą robotą choćby ukradkiem, a za przykładem śmielszych pociągną i bojaźliwsi.

Wiele jeszcze jednak potrzeba było do tego.

To, co pozostało Motrunie ze sprzedaży krówki, wychodziło powoli na kupno najpicwszych potrzeb do życia: mąkę, krupy, omastę i nieustannie odkrywające się jeszcze nowe w domu niedostatki. Ani pemy-

śleć mogli o przysposobieniu kuźni i potrzebnych do niej narzędzi z téj odrobiny, którą jeszcze mieli, bo ta musiała być obrócona na pilniejsze wydatki.

Cygan jeszcze jednak nie tracił serca, nie postradał odwagi, a praca nie dawała mu czasu na próżne narzekania i rozpacz. Choć chatka jako tako zlepiąca była powierzchownie, jeszcze w niej ściel musiał zakładać i lepić, ze szczątków szkła połapanych na śmieciach jakie takie porobić okienka, postawić lawy, stół, łódeczko. Krzątał się więc nieustannie łatając do lasu, a w domu ciosając i przybijając od świtu do nocy. Ledwie im pozostawała chwilka na południową strawę i odpoczynek z rozmową wieczorną.

Motruna także miała co robić. Trzeba było chleba upiec, zgotować jedzenie, i na to wszystko nanosić wody co najgorsza. Najbliższe źródło było w jarze nad drogą do wioski, o dobre staje od chaty, u brzegów stawu, a do niego trzeba było schodzić ścieżynką po gliniastym biegnącem obrywem, którą lada deszczyk prawie nieprzebytą czynił dla ślizgoty; cóż dopiero, gdy nią z ciężkimi wiadrami na plecach powracać musiała, drapiąc się pod górę Motruna! Po wodę zaś najmnij dwa razy na dzień zejść było potrzeba. Szczerem jeszcze, że mało kto chodził do téj studzienki, i biedna Motruna nie spotykała tam kobiet, których milczenie lub ucieczka byłyby ją boleśnie dotknęły.

W kilka tygodni po przeniesieniu się do ubogiej lepianki, nic o tém nie mówiąc mężowi, zajętemu jeszcze końceniem lichéj budowy swojej, Motruna postanowiła spróbować szczęścia i zakolatać do serca rodziny i braci. Nie widziała ich od chwili, w której przeciwko ich woli opuściła chatę ojcowską, i wi-



docznie unikali nawet przejeżdżania drogą przez cmentarz wiodącą, kołując dalej na pańszczyznę i w polc.

— Nie jużciż ja im już obca? mówiła sama w sobie. Wszakże chowaliśmy się pod jednym dachem, jedną pierś ssałi. Czyżby tak odepchnąć mnie mieli na zawsze? Swój pożaje, pogniewa się, ale pożałujc. Jak im opowiem biedę naszą, taki serce się im otworzyć musi, i pomogą, i przebaczą!

Takimi zagrzewając się myślami i dodając sobie otuchy, której w istocie jój brakło, Motruna ku wieczorowi dnia jednego, gdy Tumry zabawiał się w lesie, wzięwszy wiadro na plecy na przypadek, aby się miała czém przed nim wymówić, zeszła niby ku studni. Tu w krzakach schowała naczynie i nosidła, a sama choć tęskno i bojaźliwie, pociągnęła w drogę ku dawnéj chacie ojcowskiej.

O! było jój było biedne serce, gdy ten dach słomiany ujrzała, dziś całkiem obcy, a dawniej tak dobrze, tak serdecznie znajomy! Każda tu na dachu mchów plama, każdy snopek świeży i żółty, każda kluczyna usunięta na stodółce, tak przypominały dni, w których patrzyła na nie spokojna i szczęśliwa może! Toż samo stado wróbli świegotało na płocie i w bzach ogródka, i dym z komina tak się zwijał jak dawniej, i wrotka tak były na bok leżąc otwarte; wszystko jak było, wszystko—a jednak ten dom tak do serca przyrosły, już nie jój, już obcy, już cudzy.

Strach ogarniał zbliżającą się do niego Motrunę, a łzy kręciły się w oczach, bo całe dzieciństwo i młodość wybiegły przeciwko niej za wrotka, powitać wracającą wygnankę, i uiosły w ręku pęki niezabudek... Ale prócz tych mar, nikt więcej nie wyszedł.

Wahała się czy przejść próg chaty, czy się ośmie-

lić zajrzeć tam, i przemówić do dawniej swoich, dziś cudzych ludzi? A nuż nie zastanie braci, tylko ich żony, które zawsze krzywém okiem patrzyły na nią, choć z serca starała się im pomagać, i zastępowała je w pracy około chaty i na dworskiem! Wsparła się na płocie biedaczka i zapłakała gorzko, tuląc oczy fartuchem, i stała tak długo zadumana, nie wiedząc co począć, gdy uczuła się trąconą w ramię.

Serce jój zabiło, otworzyła oczy—a nuż to brat? a nuż to siostra? Nie... był to stary kot czarny, który ją poznał z daleka, wskoczył na płot i łasił się Motrunie.

— A! pocziwy burek! zawołała: choć on nie zapomniał Motruny. Dziękuję ci, dziękuję!

Kot nie sam przecię przypomniał sobie rękę, która go dawniej karmiła: wkrótce otoczyły ją kury nadbiegające z podwórką, zwiedzione, sądząc, że im ziarna posypie, i para szarych gołębi zaczęła się kręcić nad głową.

To powitanie istot, co tak mało mają zwykle pamięci, poruszyło biedną wygnankę, sierotę, i do łez ją rozczerpiło. Witała się ze wszystkimi, głośno wywołując nadane im nazwiska; a gromadka krzykliwa kręciła się dokoła, coraz głośniej szczebiocąc. Nie ośmieliło to jednak Motruny wstąpić do chaty, która stała zawarta, i nikogo z niej dotąd widać jeszcze nie było.

Dzień był przecię sobotni, i pewnie żadnej we dworze ani w polu roboty, bo całe dwa dni lał deszcz, a od południa dopiero przesyhać zaczynało. Już miała odejść przejęta strachem, gdy znajomy skrzyp drzwi od izby dał się słyszeć, i wyszedł z nich starszy brat, widocznie tylko co przebudzony, bo przecią-

gał się jeszcze. Na gwar ptactwa sądząc, że może jas-  
trząb zwija się w okolicy, przyłożył rękę do czoła  
i spojrzal; a z za wrot postrzegł głowę Motruny, i sta-  
nął, widoeznie zafrasowany. Jedną już ręką chwycił  
za skobel od drzwi, jakby chciał nazad powracać,  
a drugą rzucił zniechęcony. Walczył z sobą, to ucie-  
kać myśląc, to odprawić siostrę kilku słowy; ale brew  
jego namarszczona nie dobrego nie zwiastowała.

Motrunka wyciągnęła ku niemu rękę:

— Bracie! bracie!

— Nie ma tu tobie ani braci, ani siostry, ani rod-  
ni, odparł surowo jak sędzia gospodarz: tyś już nie  
tutejsza! Precz Cyganicho od drzwi i progu naszego,  
precz! Po co ty tu? Może wypatrujesz dla męża, któ-  
rędyby konie nasze wyprowadził?

— Maksymie! na miłość bożą! godziź się tak sios-  
trę przyjąć! Odpędź, nie przyjm, ale nie łaj tak bo-  
leśnie! Co wam zrobił mój mąż? com ja wam winna?

— A ojcaście zapomnieli? zawołał Maksym groźnie.  
Kto go zabił, jeśli nie wy dwoje? i kto potem szukał  
we dworze pomocy i opieki przeciw nam? No! niechże  
i teraz dwór was ratuje i dwór wam pomaga! My to-  
bie nie bracia!

— Maksymie! choć dobrém słowem pożegnaj! My  
z głodu poumieramy: ty nie znasz naszej nędzy! Z wa-  
szój namowy cała wieś na nas, chleb nam z gęby wy-  
rwaliście. Nie chcecie mnie za siostrę, ja wam się nie  
narzucam, ale przestańcie prześladować!

— Nie, nie! krzyknął Maksym: będziemy was mę-  
czyli, aż sobie precz ztąd w świat, za Cyganami, brać-  
mi waszymi, pójdziecie. Obchodziła się wioska tyle  
lat bez kowala, obejdzie się i dalej, a my was nie  
chcemy mieć na oczach.

Motrunie ta nielitosna mowa odezwała się aż w sercu, i ścisnęła je gniewem prawie.

— Prześladowajcie nas Cyganami—zawołała, podnosząc się—a i wyście synowie Romów! Prześladowajcie nas, a lepsi jesteście sami, co odpychacie krew waszą na zgubę i głód, byle wam z oczu uszła!

— Precz mi jedź! bo cię psami wyszczuję! krzyknął Maksym, wypadając z chaty na próg.

— Psy lepsze od ciebie, rzekła Motruna, bo mnie wszystkie znają za panią, kiedy ty wyparłeś się siostry.

— Boś ty się wyparła ojca i jego woli, przerwał Maksym.

Motruna spuściła oczy obeschłe z łez i gorejące, wstrzęsła się, i wzgardliwe rzucając wejrzenie na brata, odstaąpiła o kilka kroków od chaty. Kot, kury, gołębie, nadbiegły w téj chwili; stary kasztan, pies podwórzowy, który się wśród wrzawy obudził, zlaźł z przyżby; wszystko poszło za dawną karmicielką.

Maksym znikł już za drzwiami.

Burek zeskoczył z razu z tynu, i ocierając się o Motrunę, kilka kroków włókł się za nią powoli; ale widząc, że minęła wrota i kierowała się ku drodze, przystał, usiadł, łapki pod siebie podłożył, i w początku poglądał za nią, a nareszcie że słonko mu przygrzewało, zdrzemnął się wśród podwórka.

Kury napróżno pozierając na fartuch Motruny i szczebiocąc, poskakały za nią kilka kroków, dziobiąc ją po nogach i chwytając za spódnicę; ale i te zobaczywszy, że schodziła ze zwykłych granic ich państwa, zaczęły się grzebać w śmiecisku i porzuciły ją samą.

Para gołębi leciała nad jój głową, przysiadując na

gruszech, na studniach, na dachach; zdawała się ją wyzywać nazad i gruchała ku swój paui; ale niedaleko jęj towarzyszyła, samica pociągnęła ku gniazdu pierwsza, a samiec wrócił się za nią.

Kasztan stary wytrwał podobno najdłużej; wyprowadził ją za podwórko, za wrotka, aż na drogę, i lizał po rękę i mruczał, zapraszając niby, aby się nie oddalała od chaty. Ale kasztan tak już był stary! Boki miał wypelzłe, ogon niemal nagi, nogi sztywne i suche, trudno mu chodzić było; zwykle najdalszą jego podróżą były wycieczki za wrota, a na drogę nawet nie puszczał się nigdy. Miał na przyźbie wyleżały barłóg słomiany, do którego był tak przywykły. Jakże mu było wrywać się nie wiedzieć jak daleko z Motruną? Szedł, szedł, i zatrzymywał się kiwając ogonem; zrobił krok jeszcze, szczerknął nawołując, i spojrzał na chatę i na Motrunę, jakby rozmyślał co robić z sobą. Nareszcie, gdy nie odwracając głowy biedna sierota szła dalej, kasztan podtuliwszy ogon, spuściwszy głowę, zawrócił się po cichu do swojej przyźby, powoli podreptał ku niej, i mruczac spać się położył znowu.

Uciekając ze wsi ze łzami w oczach, żona Tumrego przechodzić musiała koło stodołki ojcowskiej, w której cep słyhać było. Wrota jęj na pół otwarte, dozwoliły spojrzeć wewnątrz, i ujrzała młodszego brata w jednej koszuli, zwijającego się koło kilku leżących na toku snopów żyta.

— A może też on litościwszy będzie! zawołała w duchu, i wsunęła się cicho we drzwi, a cień jęj obudził zamyśłonego pracownika.

Podniósł głowę, spojrzał i zdumiał się, widząc siostrę.

— A ty tu czego? zawołał raczej niespokojny niż gniewny; ty tn czego Motruno?

— Do was Filipie! do was! Byłam u Maksyma po dobre słowo tylko, po przebaczenie; Maksym mnie jak włóczęgę i obcą przepędził... czy i ty tak zrobisz jak on?

— Maksym cię przepędził? rzekł, wspierając się na cepisku Filip, a cóż ja ci pomogę? co ja ci poradzę?

— Choć pożałujcie! choć przemówcie! zawołała biedna kobieta. Cała wioska z waszój przyczyny od nas jak od zarażonych ucieka; nikt słowa dobrego nie powie; twarz nawet, spotkawszy się, odwracają! Czyż taki litości nad biednymi nami mieć nie będziecie?

— E! to darmo, rzekł żywo zmieszany brat młodszy,—to darmo... Kiedy Maksym cię przepędził, to cóż ja poradzę? Z całą gromadą zmówili się na was, żeby nie przyjmować i wypędzić, to darmo! Ty wiesz, że ja sam w chacie z Maksymem ledwie wytrzymać mogę, a tobym się miał i z nim i z gromadą zadzierać! Toby mnie ani żonie pokoju nie dali, i z chatybym uciekać musiał. Idź sobie, idź! bo jak cię tu zobaczę, to i mnie prześladować będą!

Motruna płakała, stojąc oparta o wrota.

— O mój Boże! mój Boże! do kogo się tn już ndać, kto pomoże, kiedy bracia własni opuszczają i wypędzają!

— A było ojca słuchać—rzekł cicho Filip—tobys teraz nie biedowała Motruno. Trzeba było dla Cygana świata sobie nie zawiązywać i wstydu nam nie robić!

Motruna milczała.

— Co się stało, tego nic powrócić, odezwała się po chwili; ale nie daj Boże dzieciom waszym takięj doli, bo my z głodu pomrzemy, jak zima przyjdzie...

— A dwór? spytał brat.

— Nie ma dla nas nikogo we dworze!

— Dali wam, słyszę, krowę?

— Już ją dojadamy, bośmy sprzedać musieli.

Brat Filip zamyślił się chmurno.

— Idź-no! idź! inż ja tobie tu nie poradzę, rzekł cicho. Ot, nabierz w fartuch żyta co dzwigujesz, a nie mów nikomu, zem ci dał, słyszysz! Przed Maksymem powiem, że kopa była z brzegu, więc ją gęsi wytłukły i wróble nadpiły... Bierz, bierz, nie sromaj się; dla miarki nie przepadniemy. A idź, bo jak cię Maksym zobaczy...

Nie tak ta drobna ofiara kiłku garncy żyta, jak pocziwe serce brata, do którego się odwołać mogła, bo dla niej nie było jeszcze stracone, uradowało Motrunę, i ze łzą w oku poczęła go całować w ręce, wołając:

— Al! mój brateńku drogi! niech ci Bóg płaci za pocziwość twoją dla mnie! Dawno już nie słyszałam słowa, nie poradowałam się tak jak dzisiaj!

Filip zdawał się także wzruszony; ale wejrzenia jego rzucane za wrota, malowały obawę. Począł sam zgarniać żyto, i prawie gwałtem wsypywać je w fartuch Motrunie.

— A dla tego—mruknął z cicha—idź ty sobie, idź! Póki Maksym cię tu nie zdybie, to ja ci czasem choć kradzioném pomódz będę mógł; ale uchowaj Boże, gdyby zobaczył, i mnieby zjadł, i tobieby przepadło, co ja tam czasem dać mogę. Taki idź Motruno.

Żyły kręciły mu się w oczach, poprawiał końcem cepiska słomę, zgarniał ją, odwracał się, i wyprawiał biedrą.

— Maksym—dodał w końcu—głowa domu; on wie co robi, i ojciec wiedział co robił! Nie trzeba było za Cyganem latać, bylibyśmy żyli razem, a teraz wszystko przepadło!

— Jak to! płacząc zawołała Motruna: czyż u was takie serce z kamienia, że mi nigdy nie przebaczycie?

Filip potrząsł głową.

— A jak my mamy odmienić co ojciec postanowił? On umarł z wolą swoją i nie ma go, żeby ci przebaczył. To nie my, to on rozkazuje; na to sposobu niema!

— Nigdy! nigdy! chwytając się za głowę, zawołała kobieta.

— Musi być, że nigdy, odparł Filip, i popychając ją z lekka, dodał żywo: Taki bo idź Motruno, bo bieda będzie, a i mnie czas zgarnąć żyto, bo wieczór nadchodzi.

Milcząca, rzuciwszy okiem na litościwszego młodszego brata, który jakby się swego serca wstydził, inrucząc coś, koło zboża robił i oczy chował, Motruna wyszła bogatsza o kilka garncy żyta, którego jój brat w fartuch nasypał, ale smutniejsza, ostatnią straciwszy nadzieję.

Od stodółki drogą po za płotami przebrała się do grobelki, przeszła staw i zbliżyła się do studni, aby tam zabrać zostawione wiadra.

Nie było nikogo u źródła, a gdy przyszła odszukać wiadra i nosidła, Motruna klasnęła w ręce z rozpaczy, spostrzegłszy, że jój najpotrzebniejszy sprzęt skradziono.

Tumry długo bawił w lesie, bo musiał wyszukać drzewa na przysochy do kuźni i przysposobić kluczy-



ny, o które było trudniej w wyniszczonym borze niż o inny materyał. Późno już więc mrokiem wrócił do chaty, i gdy się zastanowił przed progiem lepianki, chcąc ciężar zrzucić z ramion namulanych, postrzegł Motrunę, która fartuchem oczy zasłoniwszy, siedziała płacząc przede drzwiami.

Twarz Cygana zapalała ogniem: pomyślał, że mógł kto krzywdę wyrządzić żonie w niebytności jego, i wszystkich ciężar swój rzucił o ziemię, śpiesząc do niej.

Kobieta wstrząsła się na stukot padającego drzewa, porwała się na nogi i stanęła przelekła.

— Co ci to? na *Mroden-oro*, co ci to Motruno? A! *gadziowie* przekłęci! rzekł, przypominając sobie język cygański: już ci coś zrobili!

I pięść ściśniętą podniósł do góry.

— Klnę się — dodał — że już dłużej nie wytrzymam. Sam zginę, ale wieś pójdzie z dymem w popiół, za łzy i krew naszą! Niech poginą jak *szukela* (pies), kiedy jak *szukela* nie mają serca!

To mówiąc, Cygan, którego oczy gorzały, tak był straszny wściekłym gniewem, że się Motruna aż cofnęła, żegnając mimowoli.

— A! Tumry mój! zawołała: czegoż się gniewasz i grozisz? Nic się nie stało na prawdę, nic mój kochany.

— Dla czegoż płakałaś? *Row* (płacz) nie przychodzi bez przyczyny!

— Nad swoim głupstwem płakałam... odpowiedziała Motruna, chcąc wszystko utaić przed mężem. Ot! przepadły mi wiadra z mojej winy, nie z niczyjej.

— Wiadra? jakim sposobem?

— Poszłam po wodę, ale przez lenistwo nie chciało mi się czerpać z krynicy, więc ziaźłem aż do stawu. A że tam woda płynie żywo, a mnie nogi drżały, potopiłam wiadra... Zabrała je rzeka... młyn porozbijał.

Cygan spojrzał jój w oczy i głowę pokiwał.

— Gdzie? co? rzekł powoli. W stawie moczą konopie, a tybyś tam wodę brała! Nadto z ciebie dobra gospodyni! Gdyby i poszły wiadra z wodą, toćby nie daleko popłynęły, bo trzciny rosną od brzegu, a tobie nie nowina po kolana się zamoczyć! Ej! to coś innego, Motruno! Ty mnie nie oszukasz! inaczej te wiadra zginęły!!!

Motruna nie bardzo kłamać umiała: zarumieniła się cała, przemówiła coś niewyraźnie, ruszyła ramionami, udając trochę zagniewaną.

— Co to gadać! dodał Tumry: mów prawdę kobieto, bo się ona nie skryje!

— Ależ ci mówię jak było... wchodząc do chałupy, zmieszana odpowiedziała Motruna.

Cygan w ślad szedł za nią, i w téj chwili, choć zmrok padał, spostrzegł na środku izby leżący fartuch pełny żyta, który Motruna, nie myśląc co robi, rzuciła powróciwszy.

— A to co? spytał wskazując ręką.

— To żyta miarka, którą kupiłam za złoty u przejeżdżającego z Rudni człowieka.

— Za złoty! kiwając głowę odpowiedział Cygan, już nie dając wiary. Nie wierzę Motruno! Mów prawdę, to się nie godził Tyś płakała... ja chcę i będę wiedział wszystko, choćby mi przyszło nie wiem gdzie pójść po to!

Motruna milczała jeszcze, zbierając końce rozrzuconego fartucha.

— Ale boś mnie zastraszył swoim ogniem i gniewem, Tumry... rzekła powolnie. Mamy już i tak dosyć gniewu ludzkiego, dość złości ludzkiej; nie sprowadzajmy ich więc na głowę naszą!

— A gdybym ci dał słowo, że bez woli twojej nic nie pocznę?

Motruna odwróciła się zapłakana.

— Daj ci Boże zdrowie! Ot! Lżej mi będzie, gdy ci powiem wszystko, i powiem, ale się mścić nie będziesz?

— Na *Mroden-oro* nie będę, póki mi stanie cierpliwości, Motruno; bom wiele już przebaczył, i zmęczyła mnie nienawiść ludzka. Ale mów, a prędko, bo się trzęsę.

Motruna wtedy rozpoczęła całe opowiadanie swoje, przerywając je łzami, i omijając, co jej Maksym, wygnawszy z podwórka, powiedział; a Cygan słuchał w tak posępném milczeniu, tak upornie ścisnąwszy usta, że pary nie puścił, aż skończyła.

— Psyl zawołał podnosząc się: psy bez serca! Nie chcę ich jałmużny! nie potrzebuję! Z głodu zdechnę, ty i ja, a ziarna tego przekłętogo zboża nie ruszę!...

— A Filipże co winien? nieśmiało wrzuciła Motruna.

— Filip baba, *Egaszi'* krzyknął Cygan: boi się mnie, boi się brata, boi się dworu, i daje jałmużnę, żeby się pozbyć! Rzucę mu jutro w oczy!...

— A! na miłość Boga! podbiegając przerwała żona: i jego, i mnie, i siebie zgnibisz! Maksym, gdy się dowie, pokoju mu nie da i zagryzie; a za dobre serce odplacam mu biedą! Ja na to nie pozwolę!

— A nie skamienieje ci ten chleb w ustach, ko-bieto? zapytał Cygan. Chleb jałmużny jak psu rzucony siostrze przez *Pechrala*! A będziesz ty go mogła jeść? a da ci on życie? Nie! o nie!

— Wyrzuć go jeżeli chcesz, ale nie oddawaj bratu! blagając, krzyknęła Motruna. Nie gub go i nie gub mnie!

Jeszcze Tumry odpowiedzieć nie miał czasu, gdy do drzwi niedomkniętych ktoś powoli zaskrobał.

Szelest ten nieprzywykłym do niego uszom wygnańców tak się stał dziwnym, że oboje przejęci strachem, stanęli jak wryci; a Cygan przeczuwając nieprzyjaciela, bo się już wszystkiego obawiał, poskoczył ku progowi.

Motrunie przyszły na myśl duchy cmentarne, upiór ojca mściwy, i drżąc przeżegnała się.

— Kto tam? silnym głosem, odmykając drzwi, zawołał Cygan, usiłując okiem przebić ciemności — kto tam?

— A, a, dobry wieczór! dobry wieczór! Cytl cytl! nie bójcie się; a toż goly rozboju się nie boi, a u was pewno się nie ma na co połakomić?

Słowa te zająkliwie wymówione i przerywane cichym śmieszkim, wyszły z ciemności powoli; a przed zdziwionym Cyganem pokazała się dziwaczna postać głupiego Janka, który na ramionach dźwigał dwa wiadra pełne wody. A że był bardzo mały, ledwie z niemi przez próg mógł przeleźć, bo się niemal po ziemi wlokły.

— Wiadra moje! krzyknęła Motruna, plaskając w ręce z radości: doprawdy to wiadra moje... to głupi Janek!

— Otoż nie taki głupi jak myślicie — odpo-

wiedział gość — kiedy znalazł to, co mądry zgubił.  
A! al

— Bóg ci zapłać, rzekł Cygan: ot już drugi raz winienem ci przysługę!

— Coś ty tam mnie winien! skrobiąc się w głowę, wybelkotał karzeł.

— Ale gdzieżeś je znalazł? spytała Motruna. Jakiś ty pocziwy! Patrzcie, nawet mi je z wodą oddał!

— A jużciż kiedy wiadra to z wodą! Po coby się o téj porze zdały bez niój? odparł Janek. A gdzien ja je znalazł? o! o! to długoby o tém gadać.

— Powiedzże choć gdzie i jakieś je odebrał?

— Ja ich nie odbierałem, rzekł Janek.

— A jakże ci się dostały?

— A! al jak to wam gadać łatwo, to się zdaje, że i mój język tak chodzi jak wasze. Poczekajcie-no, poczekajcie!

Tumry i Motruna stanęli przed Jankiem, który siadł w progu.

— Ot jak było — zabrał się opowiadać powoli. Idę ja sobie, idę; ot tak! wypędzili mnie z chaty, bo mieli jeść wieczerzę, zamknęli drzwi: poszedłem... Idę, idę gdzie oczy poniosą przez grobelkę, przez mostek, i jakoś się zaszło do studni. Tu, myślę sobie, siadę, i choć wody się napiję, kiedy jeść nie ma czego... Ale jak tu się wody napić, kiedy woda głęboka, a zaczerpnąć nie ma czém? Myślę, myślę... a musi to być jakiś sposób, i niech-no ja się tylko położę, a pocznę go szukać, to znajdę! Odstąpiwszy tedy od studni kilka kroków, buch w krzaki! Buch, i zbiłem sobie boki o coś! A! żeby cię wciornaski! Obejrzę się: para wiader, a jeszcze nowe, i nosidło! Ot i sposób. Ale kto

to tu porzucił je? Oglądam się—żywej duszy... Nadchodzi Naścia Lachowa: Dobry wieczór, Naściol — Ta mi głowę nie kiwnie.—Możeby ci wody wyciągnąć?— Idź do dyabła. — Tylem skorzystał. — Moja Naściu, spytałem, nie wiecie czyje to wiadra? — Wiadra! oj! poskoczyła jakby jęj dał kułakiem w bok, i nuż wołać: A to moje! a ja ich szukałam! — Twojej rozśmiałem się: taka to prawda jak mysz kaszle! Zapewne... — No, moje nie moje, odpowiedziała, ale ja je biorę sobie. — A to za co? — A już ci ty mi oddasz. — Nuż ja na nią głowę kiwać: Ażeby ci kto wziął? — Zaczzerwieniła się. — Powiedz lepiej, spytam, bo ty znasz całą wieś: czyje to one są? — Popatrzała dobrze, pokiwała głową: — Nowe, rzekła, nie znam... taki nie znam... Z téj strony wsi co jest wiader, to bym poznała, ale to nie nasze!... Ot i to poznam, dodała, że kupione na jarmarku w miasteczku, bo to robota nietutejsza, tylko bednarza, co wozi na targ, het! od Piątówki aż...

Mnie już więcéj nie było potrzeba, dodał głupi Janek: zastukałem sobie w główkę i zaraz mi odpowiedziało, że to wasze być muszą. Ale jak zaczęła Naścia gadać i to i owo, a ja z nią śmiać się, a tu nadeszła i Hrycycha, i we troje bajdurzyli, tak i do nocy przebałakaliśmy. Dopiero ja, żeby nikt nie widział, po ciemku wody nabrawszy, przyciągnąłem je tutaj.

— Niech ci Bóg płaci, Janku! Ot i poczęstować cię nie mam czém... rzekła smutnie Motruna: a nas ubogo...

— Co tam dziękować i na co częstować! rzekł mały potwór: mnie się jeść nie chce, bo wodę piłem! A taki w domu gdy przyjdę, choć łąją i wypychają,

coś mi w garnku zostawia. Ale u was tu golo, Motruno!

— A zkad co wziąć? rzekł Cygan. I to, co widzisz, dwoje rąk robiło, jedne plecy dźwigały... a teraz coraz to ciężej, coraz to gorzej, serce się drze... Nie wiedzieć już jak radzić!

— Czy to ja tego nie wiem? odpowiedział Janek po cichu. Kto jak kto, a ja na to patrzę ciągle i dziwię się, aż mnie kark boli od kiwania głową... Taki darmo—żebyś ty miał jeszcze głów trzy i całą górę ochoty, nie dasz na to rady!...

— Muszę, rzekł Tumry.

— Muszę! cha! cha! choćby zgubić duszę! wykrztusił mały. Tu i „muszę“ nie poradzi! Zlepiłeś chatkę, a z czego to zrobisz kuźnię?

— Koło cegielni jest dużo kawałków: będę powoli wybierał i nosił.

— No! no! a dalej? a kto horno zlepi? spytał Janek.

— Mularz z Rudni...

— Darmo?

— Nie! ja będę tydzień robił u kowala, kowal za to mularzowi zapłaci, i horno stanie.

— A dalej co? Myślicie, że ja kuźni nie widziałem! Byłem ja i w Rudni, i w Piątkówce, i w Czumarze na jarmarku, napatrzyłem się kuźni cygańskich, i chrześcijańskich, i żydowskich!

— Będę rok pracował u majstra dniem i nocą—odpowiedział Tumry—to taki zapracuję na łatany wiech, kowadło, obcęgi i na kawał żelaza do młota.

— A żona tymczasem?...

— Pójdzie sobie pracować! rzekła Motruna żywo.

— A potem co? spytał Janek. Pójdzicie we dwoje w świat! No, toć lepiej teraz!

— E! jak ludzie zobaczą kuźnię i węgla kupę, jak jeden, drugi podróżny pochwali się okuciem konia w karczinie, a przyjdzie transport w gołoledź albo z radłami w pole...

Janek głową pokiwał.

— Ta! ta! ta! to wy naszych nie znacie Stawiszczan, rzekł. Ho! ho! u nich jak u Żydów, kiedy *cherin* to *cherin*! Może toby i było za dziesięć lat, za dwadzieścia, ale wy tymczasem z głodu pomrzecie!

Motruna westchnęła; Tumry zamilkł posępnie.

— To darmo, rzekł Janek: już gromada się schodziła, i ręce dawali, i wódką zapijali, i zmówili się, a ja ich znam. Jakby kto tylko do kuźni zaszedł, toby go z wioski na Podole wypędzili: takby go przesładowali. Żeby jeno wiedzieli, że ja tu był i z wami gadał, toby mi drzwi chaty nie otworzyli. O tém nie myślcie.

— Tak ci się zdaje, Janku, rzekł Tumry.

— Niech i zdaje się! odparł mały. Jak moje nie w ład, ja ze swoim nazad. To nie słuchajcie głupiego Janka, bo na to on głupi. Ale taki wam powiem, że jak ja co zaczął gadać, a do głowy mi się uczepi, to czy dziś czy jutro, to się zrobić musi. Już jak tu starego Lepiuka na cmentarz przywieźli, a posłyszałem, że braci do dworu wołali, zarazem sobie powiedział: „Będzie kuźnia, ale chleba nie będzie.“

Motruna westchnęła, Janek wciąż prawił dalej:

— Ot i ze mną, rzekł, ze mną tak jak z wami się stało. Albo to ja gorszy od Iwasia, od małego Czuryły, od Andrzejuka kulawego? a jak mnie okrzyczeli za głupiego, wszystko przepadło. Już mnie w cha-



cie dla nich nie ma; ani ja do dzieła, ani do gospodarstwa, ani do swadźby; co i myśleć o tém! Jak potrzeba robić, a ciężko, a do potu, a nad siłę, to mnie wypchną; a jak kożucha, strawy, ławy, czy dobrego słowa, u nikogo nie wyproszę. I tak to już poszło na całe życie!

— No to pójdziemy ztąd—zawołał Tumry—do drugiej, trzeciej, do dziesiątej wioski, a pracując, znajdziemy kawałek chleba nie tu, to tam. Ale nie porzucę im lepianki, która mnie tyle pracy kosztowała, póki mnie głód nędza z niej nie wygnają!

— Róbcie jak chcecie, wstając rzekł Janek; a mnie czas do domu. Dostanę i tak szturchańca, zem się zapóźnił; a byle drzwi były zaparte, to mi ich już nie otworzą, i w chlewku lub w plewniku wyspać się będzie trzeba. Ale mnie to wszystko jedno; skóra już twarda! cha! cha! cha!

To mówiąc, Janek wysunął się z chaty i znikł w ciemnościach, po cichu zbiegając do wioski. Tumry i Motruna zostali sam na sam znowu, milczący i zamysłeni.

Zabłyśło trochę światła w kominie, rozweseliła się chatka, i na krzywym stole ukazała się misa wieczorna.

— Na pohybel im! zawołał siadając do niej Tumry. Nie damy się, nie damy, choćby przyszło całe życie czekać, jak ten powiedział: aż źli wymrą, i pójdą na cmentarz, a dobrych Bóg nagrodzi!!!... Nie płacz Motruno! nie płacz! bo za te łzy zapłacić będą musieli bracia!

---

W takich to drobnych przeciwnościach i ciągłej pracy, upływały pierwsze miesiące młodego małżeństwa. Za chwilę spoczynku i marzeń, potrzeba było płacić drogo znojem i gniewem, który nie miał się wylać na kogo, bo z przed nich uchodziła wioska, omijając cygańską chatę, cygańską żonę i Cygana z daleka.

Ale czy byli szczęśliwi oboje?

O! inna to rzecz marzyć o szczęściu, a inna mieć je w dłoni. Szczęście jak motyl mieni się rychło w poczwarkę, której opadają skrzydła. W swych schadzkach wieczornych, w pierwszych chwilach po poznaniu, nie domyślali się oboje, ilu łzami przyjdzie okupić zbliżenie się do siebie i wspólne życie. Motruna choć kochała Tumrego, zamyślała się często o swobodniejszej doli dni młodych; łązy jój wyciskał ten rozbrat ze wszystkimi, to jój wygnanie ze środka rodziny, która się rozstała przed nimi. Często wśród nocy wzdychała, a sen nie przychodził, i żałowała przeszłości; a gdy na pamięć przyszło przeklęctwo ojca, dreszcz przelatywał po niej. To znowu myślała o jutrze, o zimie, o długich może latach, które w tej pustce spędzić będzie potrzeba, męcząc się i patrząc na cudze męczarnie,—chwytając się za głowę przerażona i wylekła.

Ale wracać się nie czas już było!

Przed sobą miała jeszcze może wygnanie, opuszczenie tej wioski, na którą choć z dala patrzeć lubiła; i los dzieci, i nędzę, i żebractwo, i włóczęgę.

Tumry dopóki od rana do nocy pracował, póki choć trochę miał nadziei, nie myślał o niczym, tylko o najpilniejszej robocie, dodając sobie sam sił, których nikt mu udzielić nie mógł: ale gdy praca się za-

stanowiła dla deszczów jesiennych, i zostawała mu tylko kuźnia, której sam postawić nie mógł, gdy całymi godzinami i dniami siedzieć było potrzeba bezczynnie, i dumać, dumać i dumać,—wtedy i jemu ciężko się zrobiło na sercu. Przyszła tęsknota do życia swobodnego wędrownego, pełnego coraz innych widoków, w którym wczoraj nie było nigdy do jutra podobne,—i przypomniła się Aza wesół, dziwaczna, ale zapalająca jak iskra ogniska kuźni Aprasza, i wszyscy ci, których dla jednej opuścił kobiety: biedna milcząca żona wodza, jej małe szczebiotliwe dziatki, stare wróżki, co się za obozem wlekły, kuźnia pod namiotem w polu, skrzypiący wóz, który ją z miejsca na miejsce przewoził—całe, całe życie cygańskie, pełne nędzy, ale też pełne ruchu i żywota.

Po niém dziś nagle Tumry siadł grzybem przy swojej lepiance, skazany na przykutą dolę, na jeden mały, smutny widok cmentarza z okienka, na jedną rozmowę, na niewidzialnych wrogów i pustkę!

Z Motruną przebrało się uczucia i rozmowy; rychło kielich wypili do dna, a nic nowego żywiołu nie przyniosło ich losowi. Tumry chciałby był choć walczyć jak dawniej, jak wówczas cierpieć, byle czémś wyjść z odrętwienia, które jak na mrozie mających skołowaciec, snem martwym opanowywało. I codzienną myśl uporniej zawracała się do lat młodych, znienawidzonych, które wczoraj przeklinał, a które na teraz wydawały się z daleka prawie uroczo ze swemi łzami i boleścią.

Z początku błaganie się po lesie rozrywało go i ulgę mu robiło; ale i las jednostajny spowszedniał. Czuł coraz żywiej wyradzające się uczucie jakiegoś potrzeby ruchu, wędrówki, włóczęgi, iunego nieba

i ludzi. Był to nałóg stary, budzący się po przygaśnięciu pierwszej gwałtowności uczucia, które wprzód go stłumiło. Niepokój jakiś go trapił,—wychodził na próg, włókł się drogą, powracał, i znów go coś z chaty ciągnęło.

A gdy się przemógł i wytrwał w miejscu dzień cały, to wpadał w skamieniałość, ledwie iskrę życia mającą w sobie. Motruna widziała to i milczała; starała się go pocieszyć, bo nie pojmowała tego inaczej, tylko jako udręczenie przyszłością i niepokój o jutro,—ale jój samój dzień za dniem tak było ciężko!

Myśli ich prędko się rozbiegły: jedna ku wiosce, co dymiła w dolinie; druga w siny świat nieznany, szeroki, nieprzejrzany, a pociągający ku sobie. I tęskno im było we dwoje, choć się kochali jeszcze; ale potajemnie obojgu się już płakać chciało rzuconej za sobą przeszłości!

Motruna siedziała na pagórku, i na dłoniach wsparłszy głowę, z za łez patrzała na spokojne Stawisko. Myśl jój lecąc na skrzydłach tęsknoty, biegła aż na podwórko ojcowskie, na strzechy chaty starój, do znajomój studni, do kochanego ogródka; gościła tam długo, długo, póki jój widok mogiły ojca nie odwołał do rzeczywistości.

A ile razy spojrzała na żółty pagórek i jasny jeszcze krzyżyk, co stał na nim, tyle razy żegnała się z przerażeniem, ze strachem, i biegła ukryć się do swojej lepianki, aby nie widzieć mogiły, z której mówił do niej groźny głos ojca.

Tumry, gdy go opanowała tęsknota, wylatywał ze swój chaty, i z włosem rozwianym, z nagą piersią biegł gdzie go oczy poniosły. Czasem wpadł w las i pędził zaroślami, gęstwiną, aż się znużył do upadłe-

go, jak koń, co się wyrwie ze stajni na swobodę i hasa choćby się miał rozbić; to znów przerzynał góry i lasy bezwładnym biegiem, aż się gdzieś oparł o staw, o rzekę, o jar, i upadł na ziemię cały drżący i bezsilny.

Wśród tego ruchu szalonego, który nim miotał jak nieprzytomnym, nieraz w milczącym powietrzu obila się pieśń cygańska, nieraz łzę niepojętą poniosły wiatry w stronę przeciwną, i śmiech dziki zawarczał z ich szumem. A choroba ta w obojgu rosła i rosła olbrzymio! W początku była to tęsknota chwilowa, którą lada wrażenie rozpedzić mogło; później stała się codziennym pokarmem prawie, wreszcie robakiem, który pożerał w dzień i w nocy.

Często dni całe nie przemówili do siebie słowa. Cygan jak zwierz w klatce kołował po izbie; Motruna patrzyła na ścianę, przez którą widać było jak na dłoni wioskę, a we wsi chatę, starego kasztana. burka, kury, parę gołębi i ciche podwórko ze staruszką gruszą...

Po smutnej jesieni przyszła zima szybko, a taka straszna w swym białym całunie, taka mrożąca do kości! W lepiance zrobiło się chłodno i poczęły świecić szpary, przez które wiatr wlatując, wygrywał za wczasu dzikimi tony złowrogą śmierć spustoszenia. Tumry lepił, otykał, pracował znowu; ale na wysokim wzgórzu i deszcze i wiatry silniej niż gdzieindziej czuć się dawały, i pierwsze mrozy przejęły biednych dokości. Napróżno rozpalano ognisko, do którego każdą zgniłą gałąź i spróchniałe polano musiał na plecach Cygan przynosić: kwaśny dym tylko wyjadał im oczy, a ciepło uciekało szparami!

Były dni, że śnieg zawiął ich całkiem, to znowu

woda z niego zalała sień i izbę; a gdy po wodę z góry iść przyszło, Motruna padała na ścieżce lodem pokrytej.

Chleb i grosz ciągnęły się jeszcze, ale już były u schyłku,—i dnia jednego wyniosłszy resztki mąki, upiekłszy podpłomyk zamiast chleba, Motruna załamała ręce nad bodnią próżną jak przepaść... Tumry już wprzód zajrzał był do niej, i widział, że węzelek chusty, w którym ostatni grosz się mieścił, pusty, rozplątany wisiał na kołku w alkierzyka... A kuźni nie było, i roboty nie było, i ze wsi ani głosu żywego.

Jednego wieczoru, gdy oboje drżeli od zimna, Cygan westchnął głęboko i długie przerwał milczenie:

— No! Motruno! rzekł: już chleba nie ma, a *Man-dru* sam nie przyjdzie. Myślałem ja długo; nie ma rady: trzeba pójść i za lichy grosz robić młotem w drugiej wiosce... A jak ty tu sama zostaniesz?

Motruna poczęła się bawić końcem fartucha, spuściwszy oczy w ziemię.

— Zostanę—rzekła—zostanę; pilnować będę chaty i ciebie wyglądać...

— Ja taki przyjdę choć raz w tydzień, co niedziela, i chleba lub grosza przyniosę... ale iść potrzeba...

— Może też we wsi choć prąść mię kto weźmie.. cicho odezwała się kobieta.

— Nie! nie! zawołał Tumry: darmo i nie próbować, ani darmo prosić! Nie chcę i łaski: obejdziemy się jeszcze bez niej.

— No! to się obejdziemy, odpowiedziała Motruna; będę siedziała w chacie.

— Ale sama, sama jedna naprzeciwno cmentarza! Gdy przyjdzie noc, wytrwaszże ty ze strachu, kiedy

mnie nieraz, gdy wiatr poświśnie, ciarki po plecach przechodzą?

Motruna wstrząsła się cała.

— Wyżyję, rzekła smutnie; a jakbym i umarła, to ci lżej będzie. Pochować, taki bracia pochowają przez litość; do mogiły nieść niedaleko, a ty pójdziesz w świat znowu.

— Cicho! cicho! krzyknął Cygan: nie mów mi tego! Tylko tę zimę przebyć; a nie postawię kuźni, to chatę podpale i pójdziemy w świat...

— A! ale ta zima taka długa!

— A! długa Motruno! ale i życie długie, a przeżyć je trzeba! Ale kto ci tu wody nosić pomoże, drew przysposobi, i choć słowem do ciebie przemówi?

Motruna nie odpowiedziała ani słowa; a że ogień wygasł i nie było go czém podpalić, ustała rozmowa, i dumi obojga poszły przebijając ciemności, każda w swoją stronę.

Nazajutrz rano Tumry mimo chłodu i zamieci, z myślą jakąś wybiegł z chaty i skierował się ku wiosce, jakby szukał kogo, jakby chciał napatrzeć. Ale we wsi było pusto, że ledwie człowiek worcem okryty, lub kobieta ze spódnicą narzuconą na głowę przesunęli się przez ulicę; i tylko dym na słotę włókł się i szarą mgłę rozpościerał nad czarnymi dachami Stawiska.

Tumry do południa chodził po za stodołami, po drodze, po brzegu lasu, i z niczém zmokły powrócił; tylko oberemek suchych gałęzi przydzwigał do domu i milczący siadł w kącie. Motruna rozpałała ogień, a Cygan po krótkim spoczynku wybiegł znowu. Trochę się było wypogodziło, wiatr chmury rozpędził, i kawałkami sine na mróz zaczęło się pokazywać nie-

bo. Tumry bładził wciąż koło wioski. Już zmierzchało, kiedy się z głupim Jankiem spotkał.

Janek szedł dźwigając wór z młyna, bo na taki czas i błoto żałowano wołów, i bracia go posłali, żeby chudoby zaoszczędzić. Aż przykro patrzeć było, jak skulony biedny potwór, pod ciężarem wora uginając się, brnął boso w zamarzającym błocie. Ale gdy go Tumry pozdrowił, gdy podniósł żółtą twarz swoją, nie znać na niej było tego wyrazu męki i znużenia, jakiego się na niej spodziewać było można. Owszem uśmiech latał na wargach skrzywionych, i oczy błyszczały swobodnie.

— A dokąd to Janku? spytał Cygan. Ja cały dzień szukam ciebie i znaleźć nie mogę.

— Boś źle szukał, Cyganku kochanie, odparł stawiając wór na kamieniu Janek. Było mnie szukać gdzie ciecze, gdzie biją, gdzie mokro, gdzie chłodno i głodno, tobyś mnie pewno znalazł.

— El dziko się rozśmiał Tumry: taką rzeczą powinienem cię być znaleźć u siebie, nie szukając i nie ruszając się z miejsca, bo u nas to wszystko w chacie.

— Cha! cha! i głód? spytał Janek.

— O! i nie dziś... bo już chwała Bogu i chleba nie stało.

— Cha! cha! rozśmiał się Janek po swojemu, chuchając w skostniałe ręce. No! a cóż będzie?

— Słuchaj Janku! jak ty nie pomożesz, to zginiemy!

Mały człowieczyna aż się za boki porwał od śmiechu, gdy to usłyszał.

— Aj! aj! daruj życie! zawołał: dalibóg umrę ze śmiechu, kiedy to i głupi Janek ma się zdać na coś



na świecie, oprócz rąbania drzew i noszenia worów z młyna po błocie!

— Ratuj Janku, pocziwa duszo! rzekł Tumry,— a nie, to poginiemy.

— Oj! oj! mucha prosi komara, żeby ją ratował! Dalibóg pękne! dalibóg pękne!

— Chleba nie ma, rzekł Cygan; mąki ani odrobinki, pieniędzy ani grosza...

— No! no! dawno się tego spodziewałem; a co dalej?

— Trzeba iść zarabiać gdzieindziej, a Motrunę samą porzucić!

— A dokąd pójdziesz?

— Do kowala, do Rudni...

— I zarobisz? co ty tam zarobisz?

— A choćby bułkę chleba na tydzień. Ale co zrobić z Motruną!

— A co, Cyganie braciszku? to i ją weź z sobą.

— Nie przyjmą nas we dwoje.

— A cóż będzie? śmiejąc się, ale litościwie spytał głupi Janek,—i co ja to mam zrobić?

— Gdybyś ty był taki jak ja myślę, rzekł Cygan otwarcie: tobyś choć połano drzewa przyniósł czasem Motrunie, a pod noc tobyś mógł na chatę naglądać.. niechby miała do kogo cboć słowo przemówić.

Janek się zadumał, pokiwał głową i począł się bić po piersiach rękami długimi, wywołując tym ruchem trochę ciepła. Zdawało się, że ani myśli o czém mu Tumry mówi, a z pod przymrużonej powieki sączyła się łza... może wyciśnięta przymrozkiem wieczornym. A! bo też ledwie łachman miał Janek na sobie, i nogi bose, i słomiany, dziurawy, ze śmieciska gdzieś zdjęty kapelusz na głowie.

— Cha! cha! rzekł w końcu: a jak ja ci żonkę zbałamucę? A to się tego nie boisz, Cyganie kochanku? Taki piękny mężczyzna jak ja, to niebezpieczna sprawa.

— Ej! ciebie się żarty trzymają, a mnie się serce kraje! zawołał Cygan. Ratuj kiedy możesz, a nie szydź z nędzy!

— Oj! oj! co ja wam poradzę! Popróbuje co zdołam, ale niedaleko wy ze mną zajedziecie! niedaleko! A ty myślisz, Cyganku kochanie, że mnie to tak łatwo swoją chatę porzucić i pójść do was na służbę za miarkę powietrza? Myślisz, że to mnie u panów braci nie dobrze? A to ja się tam wylegam czasem nawet w izbie, a bywa i na ławie pod piecem! I taki szmat mi na plecy dają, i odzienie niczego, i poczęstują codzień kułakiem, żebym nie zapomniał, że mam plecy... A jak raz do ciebie pójde na parobka, już gdybym wrócił kiedy do nich, wyszczują mnie psami; stary indyk nawet oczy mi wydrapie... Ot taki wóz i przewóz: jak zechcę co dla was zrobić, panów braci potrzeba będzie pożegnać.

Cygan milczał.

— Czy ci to tam tak dobrze? zapytał.

— Cha! cha! Cyganku kochanie, albo mi to u was będzie lepij, myślisz? Od swojej doli się nie wykrecić: człowiek ją na plecach nosi, i żeby się jak trząsł, to jęj nie zrzuci. A swoja chata, to taki swoja chata. Cyganku serce moje, ty tego nie znasz, ale do niej jakby za nogę przywiązał! Jam się bo tam urodził. O! dodał ciszej spuszczaając głowę—i tam miałem matkę...

Ten wyraz wybiegł mu z ust ledwo dosłyszany,

a za nim westchnienie, a za niém łza, i głupi Janek stał się nagle poważnym.

— Słuchaj-no, rzekł inaczej już i głos zmieniając: ja chaty dla was opuścić nie mogę, bo w niej chcę umrzeć; a gdybym raz przestał im służyć jak wół, nigdyby mnie już nie puścili do niej. Ale na to jest rada.

— A jakaż rada?

— Będę i im, i wam służył. Prawda nabiją mnie trochę więcej, ale moja skóra twarda! Nocką pójdę chaty pilnować, ale nie wprzód aż się u nas pośpią, i powracać będę o drugich kurach. A żeby nie spostrzegli, że się wałęsam, będę już spał w plewniku, choćbym zmarł.

— Ależ to zima! nie wytrwasz!

— Już ja wiem, co ja wytrwać mogę, kiwając głową rzekł Janek. To moja sprawa. Polano drew i czasami suchy chleba mego okrawek przyniosę Motrunie... Bądź spokojny, idź do Rudni, idź Cyganku... tylko wszystko mi strach, żebym ci żony nie zbałamucił!

I znowu się śmiać począł głupawo a szydersko.

— Niech ci *Mroden-oro* płacił zawołał Cygan.

— Chyba że ten ktoś, bo że nie wy mi zapłaciecie za służbę, to pewna! rozśmiał się Janek. I ja też taki bogaty, że płacy nie potrzebuję. Ot widzisz, że wam się na coś przydałem i dobrodziejem jeszcze będę! A! gwałt! ratujcie! głupi Janek dobrodziejem! Umrę ze śmiechu...

To mówiąc, pochwycił wór lekko i żwawo, i nie odwracając się do Cygana, kilka kroków z nim podskakując zrobił, i obejrzał się.

— Cyganku kochanie! zawołał: już ty mi bądź

spokojny! Janek nie da wam nic złego zrobić, i co powiedział, to dotrzyma. O! Janek wielki pan! cha! cha! Janek dobrodziej!

I na całe gardło śpiewać począł, wlokąc się dalej samym środkiem ulicy i błota, ku chacie swojej.

Cygan zadumany poszedł napowrot ku cmentarzysku, i spokojniejszy nieco począł się zbierać do drogi.

— Jużem tobie tu Janka namówił—rzekł do Motruny—że ci służyć będzie. Na całą wieś jedna dusza pocziwa, i to w takim kadłubie, że gdyby jęj kto sto lat szukał, w nimby się nie domyślił. Janek ci drew przyniesie i w nocy pilnować będzie: ale jutro jak świt iść trzeba...

Całą noc płakali, a pożegnanie jak śmierć smutne było; jednak Motruna myślała: „Gdy jego nie będzie, to choć spróbuję na wioskę wybiedz trochę,—a Tumry jakoś dumał, że nową wieś i nowych ludzi zobaczy. Ale gdy u progu podali sobie ręce skostniałe i spojrzeli na twarze zbladłe, na oczy zapadłe i wypłakane, na drżące i sine usta, gdy przyszło się rozstać, jakby ich co przykuło rozejść się nie mogli i ani Motruna wrócić do izby, ani Cygan wyruszyć w drogę.

Tumry wreszcie pierwszy pocałował ją w czoło, podniósł kij i skoczył na gościniec tak prędko, jakby go kto gonił.

Boć goniła go troska, zgryzota, niepokój i nędza, których połowę zostawił Motrunie, a pół wziął do torby podróżnej.

Zdawało mu się, że staje tak ubiegł z oczyma zamkniętymi. Podniósł głowę, spojrzał i zadrżał: wprost sama jedna z całego cmentarza pokrytego

suiegiem zółciała mogiła Lepiuka, a na krzyżyku siedział kruk czarny, przekręcał głowę i krakał.

---

Motruna została sama w chacie, a gdy po odejściu męża weszła do środka, ścisnęło się jej serce na myśl, że już niecrchło ujrzy jedyne go swego opiekuna. Potrzeba było samój sobie wystarczyć rękami, głową i sercem; krzątać się, by nie umrzeć z głodu krzątać się, by nie zginąć z nudy i strapienia.

A w chacie tak było pusto, tak pusto! Prócz kilku wróbli, które już przy nowój lepiance zajęły sobie w strzesze mieszkanie i świergotały przerywając milczenie, żywego nie spostrzegłś stworzenia: ni psa, ni kota, ni kury, coby szczebiotała w sieni, ni gołębi na dachu, ni głosu krówki z obórki, ni żadnego z tych towarzyszków pracowitego wieśniaczego życia, z którymi jakoś weselej.

Cały dzień ten zszedł na placu. Nie zapaliła nawet ognia, i przesiadła w kącie izby na garści słomy, obwinięta kożuchem i świtą, nie poczuwszy, że marznie i kostnieje. Mrok padał, gdy kroki dały się słyszeć koło chatki; ktoś zaszemrał w sieni, zrzucano brzemień drewek, i głowa Janka pokazała się przez drzwi wpół otwarte.

— Dobry wieczór, gosposiu! odezwał się wesoło. Ot i ja, wasz stróż i parobek! A co, u was i ognia nawet nie ma w piecu!

— Al Bóg ci zapłać! odpowiedziała Motruna—Bóg zapłać, żeś przyszedł, bo pod noe straszno mi się robić zaczynało. Nie rozpalałam ognia, bo mi się już nie chciało, a zimna nie czułam.

— No, to ja go rozpale, rzekł wchodząc głupi Janek. Z ogniem, to jakoś weselój! Przyniosłem także trochę kartofli, bułkę chleba i co tam mogłem znaleźć, bo podobno zapasów nie macie.

To mówiąc, złożył na ławie swój węzelek, zgromadził gałęzie i trzaski, dobył ognia, i jak najlepsza gospodyni zajął się około pieca.

— Oj! coś bo u was—rzekł rozglądając się po garnkach—straszenie jakoś gospodarstwo kulawe. Motruno! co to się tobie stało? A toż bywało chwalili na całą wieś, że z ciebie taka doskonała gospodyni!

— E! Janku, szepnęła kobieta wzdychając: było gospodarstwo, gdy było na czém gospodarzyć, a teraz!...

— Ale bo to nie sztuka—odparł śmiejąc się i jękając Janek, który się krzątał przy piecu—nie sztuka gospodarzyć, gdy jest na czém; ale jak nie ma z czego, a dla tego i ład jest, i ciągnie się...

— Wiecie, jaka nasza dola; mnie już ręce opadły.

— To źle! cha! cha! to bardzo źle, Motruno! Jak wy sobie pozwolicie, to i mąż nie da rady domowi.

— Ani on, ani ja... zginąć nam podobno...

— Aj! żebyż to człowiek mógł tak zginąć gdy zechce, i gdy mu źle ustąpić się; ale to bieda, że chudy pies najdłużej żyje: nie zabijają go dla skóry...

Mówił, garnki pomywał, wodę nastawiał, a niekiedy rozglądał się po chatce i okiem rzucał na Motrunę siedzącą w kącie i odrętwiałą.

— A ot i nowiny mamy! rzekł po chwili. Wy nic, widzę, nie wiecie, co się na wsi i we dworze dzieje, kiedy się mnie nie pytacie nawet!

— Tak mi z tém, jak bez tego! odpowiedziała obojętnie kobieta.

— A może i niebardzo! przerwał Janek. Wszak to pozawczoraj jeszcze nasz pan z za morza powrócił!

— Pan powrócił! a pani? poruszając się z miejsca zawołała kobieta.

— Poczekajcie-no, rzekł Janek: ot zaraz wam powiem jak to było. Trzeba wam wiedzieć, że mnie nigdy na pańszczyznię nie posyłają, bo ekonom takie-goby cherlaka nie przyjął, chyba za dziecko lub babę. Głupi ekonom! nie wie, że ja za dwóch zrobię, choć i na pół człowieka nie wyglądam! Wczoraj posłali mnie za bratową do młockarni... Otoż wszystkiego się dowiedziałem. Byle uszy, to się jest czego we dworze nasłuchać: gotuje się jak w garnku!

Zaciekawiona Motruna wstała, i zbliżywszy się do pieca, na którym palił się ogień: usiadła na przypiecku. Janek wieczерzę gotował.

— Wójt, gumienny, ekonom i cała gromada nic nie robili—kończył—tylko gadali a gadali o panu, który powrócił.

— Czemużeś ty Tumremu o tém nie powiedział? spytała Motruna.

— Myślałem, że wiel rzekł Janek.

— My tu jak na pustyni! zawołała kobieta; co my tu wiedzieć możemy? chyba kto umrze we wsi, to na cmentarz przywiozą! Ale cóż tam mówili?

— Ot zaraz, coraz rozgadując się mówił parobek: bo najprzód potrzeba wiedzieć, że pani umarła gdzieś daleko, i jegomość sam, słysząc, powrócił.

— Umarła! krzyknęła z żalem w ręce uderzając Motruna. Ach! ja nieszczęśliwa!

— No! no! nie lamentujcie, bo może i Harasymo-

wicza się zbędziemy, rzekł Janek: to lichy dokuczliwe... Pan, słyszę, jak pojechał żółty, blady i słabeńki, tak i powrócił nielepij. Nic tam jemu doktory nie pomogły. Zaraz, słyszę, jak tylko na próg dworu stąpił, kazał zawołać kapitana, i coś jemu takiego powiedział, że kapitan poleciał do oficyny i pakować się kazał... Mówią, że ma wyjechać... Czegoś się kłócili, i jegomość mu jakieś papiery rzucił w twarz... Ot co ludzie gadają. A dziś gromada hurmem idzie do dworu ze skargą na Harasymowicza.

— A! cała nadzieja była w pani! westchnęła Motruna. Jój nie ma, umarła i ta bieduiaczka!

— Prawda, że to ona was pozeniła, rzekł Janek: musicie jój żałować... i krowę wam dała... Hm! ale nie macie za co jój dziękować, że wam do biedy dopomogła. Byłaby was doła wasza nie minęła... A i pan niechły, gdyby tylko nie lenistwo, że mu się czasem do człowieka gęby otworzyć nie chce... Moglibyście pójść do niego.

— To darmo! cicho odpowiedziała Motruna: to darmo!

Janek spojrzał na nią, ruszył trochę ramionami, i począł łamać gałęzie u progu, przygotowując je do utrzymania ognia.

— Mnie trzeba będzie iść—rzekł, —ale na chatę z daleka naglądać będę. Macie tu gałęzie i łuczywo; świećcie sobie póki nie zaśniecie... I żebyście chcieli dobrej rady posłuchać, tobyście tak rąk nie opuszczali... Jak człek się kręci, to mu na sercu lżej jakoś... Dobranoc Motruno!... Ja tu niedaleko przenocuję...

Motruna znów spuściwszy głowę, nic nie odpowiedziała Jankowi, i wpatrywała się w palący ogień, który dwie łzy łączące się po jój twarzy oświecił...



Żegnała niemi kobietę, której fantazya więcej niż serce, związała ją na wieki z losem Cygana.

— I ona umarła! mówiła w duchu. Czasem mi na myśl przychodziło, że powróci, że pomoże, że się choć ona ulituje... Bóg ją wziął, żeby i tę nadzieję nam zabrać...

W takich myślach, dając wygasnąć ogniewi i pozastygać garnkom, biedna żona Cygana przetrwała do późna. Wśród ciszy nocnej słyhać było już trzecie kogutów pianie na wsi, gdy sen powieki jęj zmrużył.

Ze dnem zjawił się znowu Janek, który poleciał był do swojej chaty pokazać się braciom, i wrócił dopomódz Motrunie ogień nanieść.

Zdziwił się, spostrzegłszy ją uśpioną na tém miejscu, w którym wczoraj porzucił z wieczoru, ogień niepoprawiowy, niezgarnięty, a garnki ostygłe i nie-  
tknięte.

Skrzyp drzwi przebudził kobietę, a płomień ogniska ożyłomnił znużoną.

— E! e! Motruno kochanie! odczuwał się Janek po swojemu: coś ty mi się nie poprawiasz, nic z ciebie nie będzie! Jaka z ciebie gospodyni—drzemać pod piecem! I wieczery nie jadła, i obiadu gotować nie myśli. Ja za ciebie wszystkiego zrobić nie mogę, rusz się i sama!

— Do czego? spytała kobieta: do pustych bodni i porozsychanego naczynia?

— A czemu bodnie puste? spytał Janek: toś ty winna! Czemu naczynie się porozsychało? nie przez kogo tylko przez ciebie!

— Przezemnie?

— Dawniej bywało—mówił głupi Janek—Motruna i za Cygana, i za siebie pracowała: wodę nosiła, chatę

lepila, krzątała się, aż miło. Jam nieraz z daleka patrzył. Teraz ję ani napędzić! Wstyd! wstyd!

— Coś ty mnie łajesz, Janku?

— A muszę, Motrunko kochanie! odpowiedział, wciąż się krzątając koło chaty parobek; bo mnie za ciebie wstyd! Piękna z ciebie żona i gospodyni! W chacie nie zamieciono, w piecu węgle zgasły, garnki brudne! Coś miała Cyganowi pomagać, to mu będziesz ciężył! Wstawaj do roboty!

Jakoż tak szczęśliwie i śmiało przemówił Janek, że Motruna zerwała się przecięż z ławy i pobiegła do ognia. On się rozśmiał i zniknął.

— Doprawdy—mówiła w duchu kobieta—może głupi Janek i prawdę mówi: co ja wysiedzę pod piecem?

Wtém zaszczębiotało coś i zaskomlało w sieni.

— A toż co? stając zapytała kobieta, i serce ję zabilo, choć na głos zwierzęcy tylko, bo i tego tak dawno nie słyszała, a tak się ję żywo przypomniła chata rodzinna!

— Wszak-ci to kura gdacze w sieni, i coś skomli! Otworzyła drzwi, przyświecając łuczywem.

Sionka była od podwórza zamknięta, a po niej zwijała się para kurek ślicznych, i młody, żwawy kogucik, który spostrzegłszy światło, wbiegł na próg, strzepnął skrzydłami i zaśpiewał. Motrunie aż serce zabilo.

— A mój Boże! zawołała: czubaty! czubate! i jakież śliczne!

Tuż pod progiem leżało kilkodzińskie szczenię, skomląc, pełzając i nie mogąc przeleźć przez próg, który na jego nóżki był za wysoki.

— I pies! a! to będzie kasztan! krzyknęła, chwy-

tając na ręce rudego pieska, który piszczał ze strachu. Pocziwy Janek! a niechże mu Bóg płaci! Ukradł chyba gdzieś dla mnie szczeniaka i te kury, boby mu ich w chacie nie dali.

Kury tymczasem wszystkie powskakiwały do izby, i poczęły się rozpatrywać w nowém mieszkaniu, rozbiegając się po kątach, a Motruna oczyma chodziła za niemi.

— Jakież śliczne! jakie tłusciuchne! jakie wesołe! wołała wesoło, latając za niemi z psem na rękę. Wychowam kasztana na stróża naszej chaty, a z kur!...

Zamyśliła się.

— A czémże je będę karmiła?

Zasmuciła się tą uwagą biedna Motruna; w istocie, ani na śmietniku ubogiój lepianki, ani w izbie nagięj i pustej, kurze nawet nie było się czém żywić, tak każde ziarnko i pyłek były tu drogie. Poczęła rzucać oczyma po kątach, jakby szukała pożywienia dla swojego nowego gospodarstwa, i dopiero wtedy spostrzegła węzełki, które przynosił z sobą Janek.

Było tam nawet trochę dla drobiu pośladu, a Motruna co najspieszniej posypała go na podłogę. Myśląc także o jedzeniu dla szczenięcia, znalazła chleb, a na widok jego obudził się i w niej głód, przytłumiony smutnym odrętwieniem.

Tak staraniem pocziwego Janka, który się już nie pokazał przez dzień cały, Motruna miała zajęcie, towarzyszków, głos, który ją budził, i jakiś nowy żywioł w życiu, pełném dotąd dni jednostajnie grobowych.

---

Głupi Janek, dumny opieką mu powierzoną, pracował za czterech, żeby wszystkiemu zaradzić, a w domu nie dać poznać swych wycieczek do cmentarza; bo jakkolwiek mało mógł korzystać od swoich dla Motruny, zawsze cokolwiek przynajmniej tajemnie jęj ztąd przynosił. Nie wzdrygał się też wcale ukraść, i nie pojnował, żeby co złego czynił, biorąc kawałek chleba, trochę strawy, warzywa, lub parę kur dla żony Cygana. Wszystko to, czém z bogactwem jęj lepiankę, prawdę powiedziawszy, aż do szczenięcia, kradzione było; ale tak zręcznie, że się nikt nie domyślał złodzieja. Janek sam potem wysyłany na wzwiady, szukał po wiosce tego, co pochwycił, i wieczorem doskonale braci i siostry oszukiwał opowiadaniem o wszystkich kurach sąsiedzkich i kurnikach, które zwiedzał. Co się tyczy szczenięcia, to, zdaniem jego, żarłoczne jakieś stworzenie bednarza pożreć miało; a że najmniej dbano o psa, nie bardzo się też zniknięciem jego kłopotano.

Z największą usilnością głupi Janek ledwie mógł dniem i nocą wystarczyć na dwie chaty oddalone od siebie. Ale się rozdzielał jak mógł, i o siebie nie dbał. W domu zrzucano na niego najcięższą pracę, którą że na pozór leniwie odbywał, stawało mu czasu na dobieżenie do cmentarza i najrzenie na chatę Cygana. Motruna nie miała potrzeby ani po wodę chodzić, ani o drwach myśleć, ani się chlebem kłopotać: dla niej jedynę, knr i szczenięcia było dosyć.

W niedzielę rano nadbiegli Tumry wybladły, żółty, zasmolony, z oszczędzonym chlebem i kilkun groszami w węzélku, i zdziwił się, widząc Motrunę weselszą, witającą go w progu i chwającą się bogactwem swo-

jego podwórka, a nawet psem, który już czekać i burczeć poczynął.

Łzy zakręciły się w oczach Cygana, gdy mu żona opowiadać zaczęła o Janku; ale się razem zafrasował myśląc, zkąd to wszystko biedny karzeł mógł dostać?

— Ani chybi, musiał *ciurawa* (kraść), rzekł w duchu. Poczciwy *ciurachan*! (złodziej), ale nuż złodziejstwo się odkryje? Jego nie posądzą nawet, a na nas bieda spadnie!

Nie śmiał jednak powiedzieć tego Motrunie, która tak się cieszyła gospodarstwem swoim, że i Cygan przy niej poweselał.

— A wiesz? rzekła po chwili: wszak to i nasz pan powrócił, i kapitana, słyszę, wypędził, a nasza poczciwa pani umarła!

— Trzeba iść do dworu! zawołał, nie tyle zważając na śmierć pani, co na powrot pana, cały sobą zajęty Cygan: może nam co pomoże?

— Tak to i Janek radził! dodała Motruna. Ale ty pana nie znasz. Przystąpić do niego trudno. Kilka dni chodzić trzeba nim słowo przemówi, a taki chory, taki senny, że sam nie pomyśli o człowieku...

— Ha! spróbuj! rzekł Tumry.

Jakoż z południa, obnywszy się trochę, Cygan nie bez obawy powlókł się do dworu.

Ale tu przyszedłszy w dziedziniec, opędziwszy się psem, które na niego zajadle ujadły, potrzeba było stanąć opodal od ganku. i czekać zmiłowania losu i ludzi. Chodzili słudzy, mijali, żaden nie spojrzał. Któryś spytał i ręką kiwnął; drugi rzucił słowo, że pan nie ma czasu; a Cygan stać i stać musiał. Nie miał on jeszcze wprawy częściej do dworu chodzą-

cych ludzi, którzy umieją podsunąć się pod okno, zakaszleć gdzie podedrzwiami, i tak znudzić samą cierpliwością swoją, że ich nareszcie albo z niczém odprawia, albo do sieni wpuszczają. Szczęściem dla Tuniego, pan Adam spojrział ziewając przez szybę, i dostrzegł chmurną, uderzającą wyrazem twarzy i smutkiem postać Cygana, który wsparłszy się o drzewo, z oczyma w ziemię wlepionemi, jak zdrętwiały czekał co los postanowi, sam sobie radzić nie śmiejąc.

Pan Adam nudził się znowu jak dawniej. Wyjechał był z żoną za granicę, leczyc wyżycie się swoje; ale nigdzie dłużej nad kilka tygodni bez ziewania nie wysiedział. Francuzka szalała, ciągnąc go jak przykutego niewolnika za sobą, a on niecierpliwił się tylko, lub zastygły śmiertelnie się nudził. Los tak chciał, że to małżeństwo, które przypadek skojarzył, prędzej niż się spodziewać było można, rozerwać się miało. Pauli Leroux, późniejsza pani Adamowa, zaziębiła się wychodząc z balu wśród tłumu adoratorów, których jój nigdzie nie brakło, wpadła w suchoty i umarła.

Wypadek ten przerwał monotonie żywota Adama chwilą prawdziwej rozpacz, bo z razu zdawało się, że pójdzie za żoną: tak się był do niej przywiązał, tak strata jój wielkie na nim uczyniła wrażenie. Ale gdy karmiąc żal swój, po kilku tygodniach pan Adam począł szykować pozostałe po żonie pamiątki, wpadł na jój papiery, i te z żalu w gniew i rozdrażnienie go wrzuciły. Tyle tam znalazł miłosnych bilecików, tyle dowodów oszukaństwa, tyle szyderstwa z siebie, że przy najgorętszej chęci zaślepienia się, musiał ze wzgardą pamiętać téj kobiety, która z zimną krwią urągała się jego sercu, odepchnąć. Powrócił do kraju i dawnego życia swojego, a na wstępie znalezione

listy kapitana Harasymowicza rzucił mu w oczy, dając odprawę. Kapitan próbował pomimo tego ostać się w Stawisku, korzystając ze słabości Adama, bo mu zarząd majątkiem i życiem cudzém bardzo był dogodny, ale się nie udało. Adam wysłuchawszy skarg gromady, które dodały jeszcze gniewu, wyprawił w kilka dni dawnego faworyta swój żony.

Znowu więc dwór w Stawisku stał pustką, zamieszkaną przez najstraszniejszą ze wszystkich nud: nudę z użycia, wyczerpania, bezsilności. Adamowi nie na świecie nie smakowało, nie go rozerwać nie mogło: konie, psy, ludzie, zarówno mu byli obojętni. Całe dni spędzał w pół-senném dumaniu sybaryty, który przemyśla czémby się potrafił rozbudzić. Przychodziły mu dzikie zachcenia Neronów i Kaligulów, i wzdychał żałując, że dla rozrywki nie może spalić Rzymu, by pieśnią pogorzeliśko jego uczcić, lub ożenić się z koniem i ubóztwiać bydłę, a lud, co go czcić będzie, zbydlęcić...

Ludzie jego nie mogli dać rady zdziwaczemu, tak osobliwszemi chęciami i niespodziewanemi miotał się gniewami. Były dni łagodności i dobroci bezsilnej, w których się wszystkim powodować dawał z uśmiechem obojętnym. W innych rzucał się, rozpalał, bił i wściekał bez przyczyny. Po namiętym wybuchu, następowały dni całej apaty, mileżenia, nieruchomości przerywane potem wulkanicznemi wybrykami. Niekiedy przypuszczał sługi niemal do poufałości, słuchał opowiadań, zdawał się zajmować ich losem; a nazajutrz karcił nie tylko słowo, ale ruch i szelest, który go podrażnił.

Taki był pan Adam pomimo swój młodości, zniszczony rozpieszczeniem, próżnowaniem i beczynno-

ścią umysłową. Szczęściem dla Cygana, dzień, w którym przyszedł, był dobą dobroci. I pan spojrzawszy przez szybę na człowieka, który godzin kilka stał nieruchomy oczekiwaniem, począł jakoś swoją nędzną dolę porównywać do jego doli.

— Słota, chłód! jak ten człowiek wytrwać tak może? Musi mieć bardzo coś pilnego, kiedy tak stoi upornie.

Jeszcze z pół godziny przechadzał się pan Adam po pokoju, coraz to poglądając przez okno na Cygana i obserwując go, jakby naturalista studyował robaka. Jakoś go to zajmowało, nie śpieszył się więc z przywołaniem zagadki. Nareszcie, gdy się już zmierzchać zaczynało, a Tumry jeszcze się nie ruszył, posłał człowieka, aby go zawołał do przedpokoju.

Tu pan zasiadł z fajką w podaném krześle, i począł się bawić przybyłym.

— Słuchaj-no! rzekł: coś ty za jeden, i czego mi tu stoisz przed oknami?

— Jestem kowal... odparł Tumry—Cygana... dodał ciszej.

— A! a! przypominam coś sobie: jakaś historia, ożenienie!... moja żona... Co to było?

Cygan, któremu się w głowie pomieścić nie mogło, żeby kto dotkliwój jego nędzy zapomniał, spojrzał na ziewające paniątko wielkimi oczyma.

— Mówże mi to—dodał. Adam—od początku, bo nic nie pamiętam.

Cyganowi niełatwo było się wytłómaczyć, i dla zbytku rozdrażnienia, i dla niepokoju, jakim go ten zastygły pan przejmował, zdający się nic nie czuć i nic nie pamiętać. Zebrał się wreszcie na historję



swoją, a pan Adam wysłuchał jęj nie przerwawszy słowem.

Pomimo że w opowiadaniu był tylko szkielet ciężkiego losu młodęj pary, że z niego niepodobna było pojąć co wycierpiała, paniątko zdawało się zajmować kowalem.

— Śmieszna była myśl mojęj żony, rzekł w duchu: pożenić ich, psa z kotem, i wystawić na prześladowanie wioski. Cygan byłby poszedł dalęj, a dziewczynę we wsi wydaliby za mąż. A tak! co tu poradzić?

— Czego ty chcesz? spytał Cygana po chwili namysłu. Kazać, żeby cię kochali, nie mogę, a z gromadą sprawa trudna gdy się zatnie! Czyby nie lepiej, żebyś się przeniósł gdzieindzięj?

— Dokąd i o czém? spytał Cygan. Postawiłem już chatę, dość tu mojego potu na tęg ziemi; żonie i nie pora i nie siła rzucać wieś, w której się urodziła i do której przywykła... Gdyby mi trochę pomocy, gdyby siaka taka kuzienka, ludzie takiby przyjsć do nięj musieli: wprzód obcy, potem swoi...

Pan Adam się uśmiechnął, pokiwał głową.

— Próbuj kiedy chcesz, rzekł obojętnie: ja ci pomódz pomogę, ale wiem, że to darmo.

To mówiąc, dobył grosza z kieszeni, wyliczył złotych kilkadziesiąt, i rzucił je na stół, ale z taką wzgardą, tak jakoś niechętnie i bez serca, że ten dobry jego uczynek ledwie nie oburzył Cygana. Musiał jednak przyjąć datek, i opłaciwszy go jeszcze rozmową, z której pan Adam wyciągnął trochę rozrywki, poszedł weselszy do chaty.

— Muszę też kiedy pojechać zobaczyć tę chatę za wsią, o której mi podobno i ludzie już wspomni-

nali, rzekł w duchu. Ma to być doprawdy ciekawość! Szczęśliwi ludzie! jak im się chce żyć! jak im niewiele potrzeba!

I ziewać począł znowu, na inny tór myśli wpadając, gdy Cygan leciał już do Motruny, pocieszyć ją lepszą nadzieją. W istocie datek pański mógł wystarczyć prawie na pobudowanie kuźni i pierwszy sprzęt do niej, gdyby się do roboty wzięto zaraz. Ale zima trwała jeszcze, i nic począć nie było można.

Motruna spostrzegłszy z daleka męża, wyszła już przeciwko niemu, po ruchu jego poznawszy, że nie z próżnemi rękami przychodzi.

Spojrzała na pieniądze i uśmiechnęła się, składając ręce.

— No! cóż teraz pocniemy? spytała.

— Muszę kuźnię postawić! rzekł Tumry: ale zima, nie pora, robić nic nie można! Jeżeli ten grosz ruszymy, na wiosnę nie będzie za co rąk zaczepić. Trzeba więc iść pracować na chleb znowu, i czekać!...

— A możeby to na chleb i na kuźnię starczyło? przerwała Motruna, licząc oczyma pieniądze.

Cygan pokiwał głową.

— Nie—rzekł—*lowy* (pieniądze) prędko wychodzą, tylko je zaczepić! Drugi raz już ich nie dostaniemy, a tu na warsztat, na *trast* (żelazo) i na wszystko wiele potrzeba. Zakopiemy je w chałupie, i musimy czekać do wiosny. Wiosna niedaleko.

— Niedaleko! westchnęła Motruna: poczekamy, poczekamy.

— A teraz jakoś i rażniej czekać będzie, odparł Cygan. Zobaczymy co we wsi powiedzą, jak tu na górze młot się odezwie i komin zadymill!...

---

Wlokąc się tak powoli na śniegach, słotach, mrozach i odelgach, przejechała nareszcie długa zima, a nie w lepiance pod cmentarzem nie zmieniło się jeszcze. Tylko Janek, który już był przywykł służyć żonie Cygana i przywiązał się do nich, bo oni jedni mówili z nim jak z człowiekiem, i kochali go jak brata, przygotował za wczasu głęboki koszyk na kołyskę, i nie chcąc go jeszcze pokazywać dla złej przepowiedni, przywiązawszy sznury, zawiesił na strychu, aby w potrzebie zdjąć go tylko.

Tumry wciąż chodził do Rudni na robotę, a że pracował z ochotą i znał rzemiosło swoje dobrze, majster się nim chętnie posługiwał, zwłaszcza że go niewiele płacił. Ludzie nawet rudeńscy śmieli się ze Stawiszczan na jarmarkach, że takiego kowala pod nosem mając, do cudzych o milę i więcej chodzą. Trafiło się, że gdy i do Rudni przyszedł kto ze Stawisk, Tumry mu posłużył, wyńczając majstra samego, ale nigdy jedném słowem żaden z nich nie zaczepił Cygana.

Zaledwie ziemia rozpuszczać zaczęła i zieloność się pokazała, Tumry najawszy człowieka, jął się już nie sam około kuźni żywo pracować, bo rachował na czas roboczy, że we wsi będzie potrzeba kowala i ludzie się taki ku niemu nawrócą.

Grosz cały dany przez pana Adama, był zaledwie dostateczny na mizerną kletkę z dachem pokrytym darniną, na kupienie co potrzebniejszych sprzętów kowalskich, niedostatecznych do lepszej roboty, ale wystarczających dla wioski, w której zrobienie podosków do wozu, okucie konia, naprawa naradlnika, pług i zagebienie brony, są najważniejszą kowala pracą.

Mularz, który horno z kupnej cegły stawiał, rzeźmieślnik, który miech zszywał, resztę pieniędzy zabrali, ale kuźnia w kilka tygodni była prawie gotowa. Tymczasem jednak, nim się to wszystko urządziło, siejba wiosenna uciekła, a Tumry ani węgla jeszcze nie miał, ani obcąg i młotów. Począł więc rachować biedak na kosowicę i kosy, na żniwo i sierpy, na siejbę jesienną i pługi.

Tuż, tuż zdawało się, że już gotowe wszystko, że tylko zapalić węgle i stanąć do pracy. Ale co chwila pokazywał się brak jeszcze czegoś najważniejszego, i trzeba było albo biedz do miasteczka, albo samemu sporządzać.

Już wiosna miała się ku końcowi, gdy wreszcie uznojony Tumry jednego dnia wszedł do chaty i padł na ławę, wołając:

— No! dzięki *Mroden-oro*—poprawił się—dzięki Bogu, kuźnia skończona, i choć jutro fartuch zapasać!

Gdy tych słów domawiał, Janek zdyszany cały wsunął się tuż za nim, i klepiąc go po ramieniu krzyknął:

— Cha! cha! wielka nowina! wielka nowina!

— A cóż ci to Janku? z czémżeś to tak przyleciał? spytała Motruna z uśmiechem łagodnym, bo się do biedaka serdecznie była przywiązała.

— O staję od wioski—rzekł Janek—wracając z lasu, spotkałem bandę Cyganów, która się na łące rozłożyła noclegować.

Tumry wstrząsł się cały, zabełkotał coś niezrozumiale; a Motruna przestraszona, instynktowo załamała ręce.

— Czegoż oni tu przyszli? odezwała się: po co?

Serce jój biło sama nie wiedziała czego, i strach jakiś ogarniał. Tumry widocznie był poruszony i zaniepokojony, ale usiłował udać obojętność.

— A co nam tam Cygani! rzekł powolnie: przyszli to i pójdą przenocowawszy!

— Ale jednak pilnuj-no ty męża Motruno kochanie, żeby ci go Cygani nie pochwycili jak swego! dodał głupi Janek.

— Bieda to już, kiedy kogo potrzeba pilnować! odparła kobieta.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże! rzekł gość. Ale mnie trzeba iść do chaty... dobranoc!

Zawrócił się i pobiegł.

Tumry i Motruna pozostali we dwoje zamyśleni i smutni. Myśl obojga leciała ku szatrze Cyganów. On zwłaszcza kręcił się i chodził po izbie jakby go piekło, i chwili usiedzieć nie mógł na miejscu. Kiedy niekiedy żona rzuciła nań wzrokiem ciekawym, i wyraz jego twarzy przerażał ją. Nigdy jeszcze tak nie widziała Tumrego jak dzisiaj: wargi mu się trzęsły, oko czarne gorzało, pot lał się z czoła, nozdrza miał rozdęte, a pierś podnosiła się i opadała jakby pęknać miała.

Siedli do wieczerzy, ale Cygan nic nie wziął w usta, wciąż chodził milczący, chmurny, wpół obłąkany. Od progu jakby uciekał, do progu jakby go ciągnęło; zdawało się, że mu aż drży ręka, by pochwycić za klamkę, ale miał siłę nad sobą.

Rzeklbyś atleta, co drze się z dzikiem zwierzęciem: tak walczył z sobą i miotał się żądzą jakąś.

— Sluchaj Motruno! rzekł stając w pośrodku izby: *Romy* (Cygani) wszystko mi popsuć mogą. Śpieszyłem z kuźnią, rachując na porę roboczą, że zmusi

wieś pójść do mnie; jeśli oni tu postoją ze swoją, wszyscy zwrócą się do nich, i iny przepadli.

— Za cóżby mieli ich wołać od nas? spytała Motruna.

— Tamci im nic nie zrobili, jam dla nich winowajca!

— Ale cóż poradzić na to? spytała kobieta, oczy na niego podnosząc.

— Co? zawołał Tumry: co, ja sam nie wiem. Pójdę do nich i powiem, żeby szli dalej.

— Ty! ty do nich? krzyknęła, porywając się z siedzenia kobieta. Po co? żeby cię pociągnęli z sobą, żebyś przepadł z ich ręki? żeby cię zabili, otruli, oczarowali? Nie! nie! ja cię nie puszcze, i ty nie pójdziesz!

Te słowa wyrzekła tak gwałtownie i namiętnie, rzucając mu się na szyję, że Tumry zamilkł przemożony od razu jęj boleścią; ale śmiertelna bladeść twarzy mu okryła, i spuścił głowę jak skazany na ścięcie.

— No! to zginiemy, kiedy mi nie ufasz Motruno, rzekł na pozór spokojnie.

— Ja ci ufam, ja tobie wierzę, ale im ufać nie mogę... Cygani mścić się będą, żeś uszedł od nich!...

Tumry jakoś się rozśmiał szydersko.

— Tak to ty znasz Cyganów! rzekł powoli. A za cóżby się mścić mieli? Iluż to z nich już poobśiadało na gruntach i gospodarzy na miejscu! Słyszałeś kto o zemście nad nimi?

— Ale oni czarownicy! przerwała Motruna.

— Na czary są czary, odparł chmurząc się Tumry; a mój wzrok także za silny uchodził, bo go żadna siła nie zmogła!

Motruna, na którą spojrzał w téj chwili tym prze-

szywającym wzrokiem, zadrżała i spuściła oczy. Poczwała w istocie jakby gorące żelazo przebijało jej serce, jakby łańcuch żelazny pierś jej ścisnął, aż oddechu brakło, a w głowie kręciło się i wilo dziwacznie.

— Powiedz lepiej, że mi nie wierzysz — kończył Cygan — ale nie że się o mnie obawiasz. Straszniej mi tu między twoimi, niż wpośród naszej braci *Romów*, a jednak widzisz, żem cały i żyję.

— Ale po cóż iść do nich? błagajaco, cicho szepnęła kobieta.

— Ażeby ich ztąd co prędzej oddalić!

Motrana nic nie odpowiedziała. Tumry na nią spojrzał, spostrzegł ciche łzy, począł znowu chodzić po izbie, tak gorączkowo i szalenie, że się здаwało, iż lepiankę rozwali, bo bił się w nią jak w klatce.

A kłamał biedny! kłamał szalony! bo nie strach tam go do ogniska ciągnął, ale serce, ale wspomnienie, ta siła tajemnicza węzłów kolebki, łańcuchów pamięci, które chyba starość zrywa, chyba szczęście osłabia. Tumry nie miał jeszcze czasu zapomnieć swych wędrówek po świecie, ani ognistych czarnych oczu Azy, ani zapachów cygańskiej *kakabii* (kotła), ani swojej włóczegi, pieśni, głodu, chłodu, prześladowania i zemsty!

A tak misternie wielki Stwórca złożył każde życie, że jak w owocu ziarno, jest w niem odrobina szczęścia, jest nasionko pociechy! Boleść podnosi, głód oszala, nędza egzaltuje, prześladowanie spotęguje człowieka, i na dnie tych klęsk zawsze znajdziesz oręż, którym je zwalczyć można. Gdy cierpienie dojdzie

do kresu, z niego samego wystrzela siła przeciwna, która już uczuć go nie da.

Tumry choć wiele przeboleł, teraz gdy się blizny pogoiły, gdy nowe rany krwią mu płynęły, w życiu przeszłym widział tylko jego rozkosze, barwy, zmiany i ruch, po którym tęsknił. Serce jednym słowem wzburzone, parło się w stronę braci, a myśl już kręciła się w kole czarowném wspomnień dzieciństwa.

— A nuż to oni? pytał się w duchu siebie. Aza Aprasz, stara Jaga, Pelabaj, Puza... A nuż to ten namiot podarty, pod którym mi tyle kropel potu na ziemię upadło? i skrzypiący werden, i koń ślepy... A! gdyby ich choć zobaczyć! Czy też żyje żona Aprasza i dzieci? Jakbym ich widział! Przypadli pod lasem pewnie w dolinie, nie śmieją iść do wioski... rozbili namiot... Aprasz siedzi twarzą w ogniu, bo mu go nigdy nadto, żona jego milczy i dziecię kołysze, Jaga papple, chłopcy skaczą, koń się pasie na rozłogu... A! jak im tam dobrze choć chleba nie mają! jak swobodnie! Żeby ich choć zobaczyć!...

Wzrok Motruny zdawał się na wylot przebijać czaszkę Cygana i czytać jego myśli; bo biedna coraz się bardziej smuciła, a Tumy szalał coraz wyraźniej.

Bóg wie tam, która była godzina noey, gdy przy wygasającym ogniu pokładli się spać wreszcie, a Cygan obwinawszy się płachtą, głowę ukrył, aby nie pokazać, że nie śpi.

Ciągle w nim wrzało to pragnienie przypatrzenia się choć z dala Cyganom,— i walka z namiętną żądzą w człowieku, co się hamować nie umiał, wkrótce przerosła stan prawie szału i gorączki. Znużenie po



pracy zamykało mu oczy, a Cygani ciągnęli ku sobie; zasypiał, zdrzemywał się, budził, jęczał, i szarpiąc pierś czarną, wpadł wreszcie w stan dziwny, który nie był ani snem, ani jawą.

Wyjątkowe duszy usposobienia wyradzają często dziwne także władze w człowieku, i spotęgowują, podnoszą kosztem całego organizmu, który się przez posłuszeństwo myśli do cudów wysila; tak nawzajem choroba dręcząc ciało, przywodzi niekiedy duszę do niezwykłych polotów...

Zaledwie usnął Tumry, uczuł się schwycony nieopisaną potęgą, i wstał, cały potem obłąany, wprost kierując się ku drzwiom.

Motruna nie spała jeszcze: ostatni płomyk ogniska oświeciał Cygana, którego się przełękla nieszczęśliwa, nie śmiejąc tchnąć, krzyknąć, ani go wstrzymać. Zalamala tylko ręce i opuściła głowę, żeby go tak strasznym nie widzieć.

Tumry zdawał się olbrzymem, tak wyprostował się pod naciskiem niewidzialnej siły. Włosy powstały i najeżyły mu się na głowie, oczy miał słupem stojące, nieruchome i szklane, brew namarszczoną; a w całym nim była taka niepohamowana wola, że żona nie pomyślała nawet stanąć przeciwko niżej ze swemi łzami.

Drewnianym chodem kościotrupa skierował się do drzwi, otworzył je dotknięciem, i rzuciwszy otwarte, znikł w ciemnościach.

Zerwała się kobieta z posłania cała drżąca, chcąc zobaczyć co pocznie; a że księżyc świecił na dworze, ujrzała go jak wyszedł z chaty, nie wstrzymując się obrócił w stronę cmentarza, i wciąż niezwykłym chodem posuwając się, znikł jak widmo, w pros-

tój linii strzałą prąc się do niewidomego dla niej celu.

Chciało się za nim, ale ją siły opuściły, do reszty zbłąkało się w głowie i sercu; schwyciła tylko za piersi, osunęła się i upadła na progu. Krzyku, który się wyrwał z jej ust, Tumry słyszeć już nie mógł, bo był daleko.

On leciał jak ptak, gonil jak zwierzę, nie wiedząc dokąd go wiedzie żądza, co nim kierowała. Przeskakiwał mogiły i krzyże, przelatywał rowy, wdrapywał się na góry, przelaził przez jary, a krok jego był tak pewien, noga tak silna, moc go wiodła tak zwycięzka, że nic go wstrzymać nie mogło. Żadna zapora nie zastanowiła go chwili: łamał krzaki, rozbijał grudy spiekłej ziemi, deptał chwasty kolące, i nie czuł, że krew mu z piersi i nóg ciecze.

Nareszcie w głębi doliny pod lasem zaświeciło czerwone światelko, i Cygan zadrżał, podwajając biegu.

Księżyc wypłynął z za chmur, i przyczynił nowego uroku dziwnemu obrazowi, który się przed oślepleni oczyma Cygana roztaczał. Noc była ciepła i spokojna, wiatr zaledwie trawy i liście poruszał; niebo miało barwę ciemno-szara, poprzerzynaną białymi jak wełna obłoczkami. Na dnie szerokiego parowu, który las otaczał z trzech stron dokoła, widać było małe obozowisko cygańskie, całe w cieniach, ogrzane tylko jednym namiotu ogniskiem.

Na tle jasnego dymu i płomieni, czarne jakieś postacie snuły się jak widma, to zasłaniając ogień, to usuwając się z przed niego. Część lasu bliższa, w blaskach ognistych stojąca, cudnie malowała się na czarnej głębi boru. Każda gałąź jakby złotemu obla-

na wyskakiwać się zdawała, w tysiącznych kształtach wyginając się i drobnemi migocząc listkami...

Ale Tumry nic nie widział, i przyśpieszonym w miarę zbliżania się swego do szatry lecąc biegiem, jak piorun wpadł pod namiot Cyganów.

Stanął przed ogniem, zdawał się przebudzać, krzyknął przeraźliwie, cofnął się i padł nieprzytomny o ziemię, jak drzewo wiatrem zwalone...

Od wyjścia swego ze Stawiska, gromadka, którą dowodził Aprasz, przewędrowała wielki kawał kraju i rozmaitych doznała losów. Może przypadek, może wola Azy przygnała ją znówu w te strony. Uparta dziewczyna tak umiała sterować wszystkimi, że choć pozornie stary Cygan przewodził, ona w istocie i nim i bandą kierowała.

Któż tam wie, co się działo w sercu dzikiego dziewczęcia? Dość, że zwrócili się Cygani ku Stawisku. Czy chciała zobaczyć Adama, czy ciekawa była wiedzieć, co się stało z Tumrym?

Po jego ucieczce, po wyjściu ze Stawiska, Aza zmieniła się bardzo; została jęj dawna żywność, ale uciekła wesołość. Pobyt we dworze nauczył ją tęsknić do stroju i zbytku, których raz skosztowała.

Źle jęj już było w łachmanach dawnych, w *gal'i* (koszuli) grubój, w *urakha* (płaszczu) z prostego *hasyka* (sukna), chciała białej *pochly* (płótna), i krasnej *bucaki*, i świecideł, z którymi jęj przy czarnych włosach i czarnych oczach tak było do twarzy!

Umiała jeszcze z niczego stworzyć ubranie, przyodziać się prostą *plustą* (kołdrą) do kibici, przybrać polnemi kwiatkami, i czystością zastąpić wytworność; ale wzdychała do jedwabów, których tyle rzuciła we dworze Adama.

Często też, częściej niżeliby chciał Aprasz, któremu wspomnienie zbiega napełniało krwią żrenice, Tumry przychodził na jęj myśl i usta; mówiła o nim na przekór *dados'owi* (ojcu, bo tak zwano Aprasza) i nie zapomniła do końca; owszem zdawało się, że im był dalej, tém częściej i niespokojniej wymawiała jego imię. Sprzeczała się z Cyganem ciągle: gdyż on utrzymywał, że niczém go wstrzymać nie było można; ona, że go odepchnęli srogością obejścia i prześladowania.

Aza jednak klęła się i prorokowała jak Cyganka, że ten kto raz błędnego życia taboru ich skosztował, nie wytrzyma przykuty do chaty i roli, i powrócić do nich musi.

— Byleby nas zobaczył, byleby dymu ogniska *Romów* powąchał, zerwie się choćby z łańcucha i przyleci!

W podróży powolnej od wsi do wsi, z miasteczka do miasteczka, Cygani kuli konie, leczyli, wróżyli, zamawiali, a Aza wielka wróżbiarka, wszędzie zwabiała ku szatrom wdziękiem swęj twarzy i czarnych oczu urokiem. I jak prawe dziecię Ewy, lubiła, żeby się za nią włókł ten łańcuch niewolników, których jeśli jedném nie zwabiła wejrzeniem, posyłała po nich i drugie, i trzecie, i uśmiech w pogoń, i mrugnie nic, i tę obietnicę rozkoszy, która niestety! tak często kłamie. Ale nikt nad to wejrzenie, nad ten uśmiech, nad obietnicę nie otrzymał nic więcej. Kiedy niewolnik spętany leżał u nóg Cyganki, odwracała się od niego ze śmiechem szyderstwa i zemsty. Serce jęj było kamienne, a pierś jeszcze się nie poruszyła, wtórując czyjś żądzy, czyjemuś błaganiu.

Codzień jęj przybywało wdzięków, codzień w tém szatańskim wprawiała się rzemiośle. Stare baby wy-

uczyły ją tańca wyniesionego z Hiszpanii, a śliczna Cyganka przy dźwięku prostej drumli, z kawałkiem płótna w ręku, umiała z niego uroczo układać scenę. Rzekłbyś, że skacząc tak sama, w monomimie tym odgrywała cały dramat namiętniej tęsknoty, która leci ku ideałowi niewidzialnemu, zapala się do niego, pragnie i rozbija się o mgły i tumany! Chwilami miotła się wesółą, swobodną, jak prawdziwe dziecię cygańskie, i uśmiechała się do tego, który gdzieś zakryty stał przed nią; potem taniec jej wolniał, czynił się tęsknym, i znów gwałtowniej nią rzucał, aż wpadła w jakiś szal, w namiętność, która się wysiłkiem i jakby śmiercią pełną pragnień tajemniczych kończyła.

Na ten taniec zbiegali się patrzeć młodzież, starzy i ci nawet, których w początku wiodła prosta ciekawość, których w chwilę potem paliła namiętność. Aza codziennie stając się sławniejszą po miasteczkach, więcej zyskiwała swym tańcem, niż Aprasz młotem i kowadłem. Stare Cyganki, a osobliwie Jaga, która niedarmo to imię nosiła od ognia (*Jag*), widziały w Azie podporę przyszłości, wróżyły jej wielkie losy, i chodziły koło niej jak koło królowej. Aprasz też, który chmurno, ale gorącym okiem na nią poglądał, stroił ją teraz i pieścił coraz więcej, zwłaszcza od czasu, gdy mu milcząca umarła żona. Biedna ta kobieta, jakby czekała, rychło od piersi jej odpadnie ostatnie dziecię; gdy z kolan zeszło i uścisku matki nie potrzebowało do życia — pochyliła się, i milcząca, bez jęku, jak żyła umarła! We włóczędztwie schwytała ją śmierć na rozdrożu, w smutnym lesie sosnowym, i Cygan tam ją pochował, narzuciwszy mogiłę

suchemi gałęziami. Nie widać było żalu ani w nim, ani w dzieciach, więcej zdziwionych niż zasmuconych stratą matki, ani w starych kobietach i reszcie taboru, do którego nie zdawała się należeć, bo ją zawsze *gadzią* (obcą) nazywano, choć długie z nimi przebyła lata.

Baby kładąc ją do mogiły, szeptały niezrozumiałe słowa; mrucał coś Aprasz, który ją w ziemię składał, szeroką obwinawszy płachtą — ale ani jedna łza nie pociekła z oczu Cygana. Tylko dziecię najmłodsze nadbiegło nad grób, widząc, że ją weń spuszczało, wyciągnęło rączki ku zimnemu trupowi, pochyliło się i upadło na pierś, której bicia już wskrzesić nie mogło. Aprasz rzucił się za niem, wyciągnął, oćwiczyl, i wkrótce ziemia przykryła zwłoki nieszczęśliwej.

Po śmierci jój zdawało się, że Aprasz zapragnie za żonę wziąć Azę. W kilka miesięcy powiedział jój nawet wolę swoją, ale się naśmiała i potrząsła głową dumnie.

— Co ci to? rzekła — czyś szalony *dadlos*? A tożbym ja twoją *ciaj* (córką) być mogła, a ty ojcem moim! Tyś stary, ja młoda, i nie mam ochoty być *dają* (matką) Cyganów i niewolnicą mężczyzny!...

— Widzisz — odparł Aprasz chmurno — że nie mam ktoby mi był żoną.

— Weź jaką starą niewiastę: dosyć ci jój będzie dla dzieci, a dla ciebie aż nadto!

— Azol ty wiesz, że ja szyderstwa nie lubię.

— A ja szydę — odparła dziewczyna śmiejąc się i białe ukazując ząbki, — boś zasłużył na śmiech! Wyrwięj sobie garść włosów i policz w nich siwe:

znajdziesz więcej ich w jednej ręce, niż ja lat przżyłam; przystałoż, bym była twoją?

Kilka razy jeszcze Aprasz napadał ją z tém żądaniem, ale go zawsze odprawiała w ten sposób; a stare kobiety, jej przyjaciółki, pilnowały jej dobrze od przemocy, i gdy przyszło do walki, krzykiem przynajmniej stronę jej trzymały. Aprasz złościł się i zżymał, i groził, ale poradzić nic nie mógł. Postrzegł, że Aza wiedzie go ku Stawisku, w stronę, w której wspomnienie pana Adama i młodego Tumrego ją pociągało. Wściekał się, zrozumiawszy jej myśl; ale sam przeciwko całej gromadzie, którą zawładła dziewczyna, choć dowódca, nic nie mógł.

W miarę jak się zbliżali do wioski, Aza spoważniała, zadumała się, a strój jej dowodził, że chciała być piękną: czy dla pana Adama, czy dla Tumrego Cygana? — nikt nie wiedział. Aprasz jej groził, ona się śmiała.

Doszli wreszcie do Stawiska nocą prawie, a Cyganka chciała, by obóz rozłożyli w znajomém miejscu na odłogu; ale *dados* się oparł, i w pustkowiu na dolinie zatrzymał *werden* (wóz) i namiot rozbił.

Aza chciała zaraz lecieć do wioski. Aprasz rzucił się do niej z toporem, i pogroził jej straszliwie, jeśli by się krokiem ruszyła. Stare baby z Jagą na czele powstały wszystkie na dowódcę; wrzask stał się niezmierny, bo aż do dzieci, cała banda słuchała więcej Azy niż jego, i przerażony kowal uległ przemocy, bo topór z rąk mu wypadł, a dziewczyna wzgardliwem zmierzywszy go wejrzeniem, zawołała:

— Nie pójdę, bo nie chcę; pójdę, gdy mi się spodoba! Słyszysz Aprasz! nie boję się ani twych groźb, ani topora, ani gniewu; a od dziś dnia tyś mi nie

*dados*, ja ci nie *ciaj*; my obcy! Idź jeśli chcesz i gdzie chcesz, moi mnie nie porzucaj.

Cygan zaciął usta, błysnęło mu oko czarne na białku, zamilkł i ustąpił.

Co się tam działo w sercu zrzuconego z panowania wodza, którego władzy ostatnia wybiła godzina z ostatnią nadzieją, to tylko jedna może wiedziała Aza, bo go lepiej znała od innych. Cały wieczór nieruchomy przesiadywał przy ognisku, nie mówiąc słowa, nie dając rozkazów, w postaci jednego z tych królów zwyciężonych, jakich nam stare wystawiają rzeźby w wykopaliskach grodów Azji i Egiptu. Byłby skonał w tej męczarni, gdyby boleść taka zabić mogła; ale ona dręczy, a żywi i dobywa życie z człowieka, by cierpieć.

Aza wzięła rządy nad gromadą, nie zważając na nikogo; ona rozstawiła wóz, ludzi, sprzęty, rozdała wieniec, i jak na wzgardę, kazała misę strawy z okrajcem chleba postawić przed tym, któremu dotąd pierwszy kęs i pierwsze należało miejsce. Cygani zdawali się nie zważać nawet na wczorajszego wodza, i jak chorego lwa każdy z nich jeśli nie nogą, to słowem bolesnym potrącał. Bo Aprasz bezsilny, zwyciężony, od tej chwili wodzem być już przestał.

---

Właśnie o krok od siedzącego na zwalisku swój potęgi Aprasza, obłąkany, senny padł Tumry, łoskotem upadku swego przestraszając bandę całą.

Aza, która czuwała, chwyciła zapaloną gałąź z ogniska, i przybiegła pierwsza zobaczyć co się stało.



Zdawało się, że przeczuła Tumrego, że się go spodziewała: tak zwycięzko spojrzała na twarz jego bladą, martwą, wychudłą, oświeconą płonąca galęzią sośniny.

— Tak! to on! zawołała dziwnym głosem. Wiedziałam, że to on być musi. Ciągnęłam go tu i przyciągnąć musiałam. Ale trup! ale martwiec i upiór! A! a! dodała zlewając twarz jego wodą przyniesioną przez Jagę z kocielka: cóż mi z niego zrobili *gadziowie* i ta jasnowłosa *egaszi*, dla której *Romów* i ich życie porzucił! Na twarzy znać co wycierpiał! Biedny Tumry! zestarzał, znędzniał, nawpół umarł i zamęczył się.

Tumry w téj chwili otworzył oczy, podniósł się na łokciu, i zdziwionym wzrokiem powiódł po otaczających go postaciach, gorące oko topiąc w pięknej dziewczynie, która z uśmiechem litości stała nad nim w blaskach swój pochodni, jakby nieziemskie zjawisko. To widzenie wydawało mu się jeszcze dalszym snu jego ciągiem.

— Gdzie ja jestem? spytał ochrypłym od znużenia głosem, spozierając na *Romów* i na skrwawione piersi, ręce i nogi swoje. Nie jestem w chacie pod cmentarzem, gdzie się spać położył? Gdzież Motruna? kto mnie tu przeniósł? Czy to życie snem tylko było?

— Wszystko sen! odpowiedziała Cyganka, podając mu kubek wody. Pij, orzeźwij się i bądź pozdrowiony z powrotem pod szatrę naszą! Spróbowałeś życia *gadziów*, serca ich, szczęścia: powiedz, czy ci lepiej było z nimi niż z nami?

— Ale to sen! to sen chyba! trąc oczy począł Tumry. Prawda! Janek mi wczoraj powiedział o Cyga-

nach; cały wieczór rwałem się, aby pójść ich zobaczyć; alem się spać układał w chacie: jakaż mię tu siła przyniosła?

— Siła, która ptaka pędzi do gniazda, a zwierzę do jamy! odparła śmiejąc się Aza. A któż zna tę siłę, która mocniejsza jest od nas, która włada nie tylko ciałem, ale i duchem, i pcha choćby na śmierć?

Tumry patrzył i opamiętywał się powoli.

— Gdzież Aprasz? spytał: gdzie jego żona?

— Żona jego śpi na rozdrożu... odparła Jaga.

— A Aprasz śpi u ogniska, 'rozśmiała się Aza: bo od dziś przestał być wodzem naszym! Podniósł rękę na mnie i upadł! Patrz — odsuwając się i odsłaniając siedzącego, dodała dziewczyna — oto Aprasz, który mnie, mnie chciał mieć swoją żoną i niewolnicą! Skiń mu głowę lub pluń na niego, jak chcesz, a nie ci już nie zrobi, bo przestał być silnym!

Wtém stary wódz schwycił się, ukłóty słowem, od ognia, i porwawszy topór leżący na ziemi, ze wściekłością rzucił się na Azę; ale nim ją mógł ugodzić, Tumry porwał się na niego, wpół go objął i powalił, a nadeptawszy nogą gardło, wyrwał mu z rąk siekierę.

Ich oczy spotkały się z sobą i starły wejrzeniem krwawém, a Aprasz zaryczał, dłoń spuścił i żrenicę.

— Tak! rzekł głucho: jam już bezsilny! Nie pannać mi nad wami, ale iść za wozem waszym i słuchać! Puszczaj Tumry, na *Mroden-oro* (Boga), na *Mutes-oro* (śmierć), na *Nasua-oro* (chorobę), na *Giwes-oro* (dzień), na *Rat-oro* (noc) klnę się, nie wam złego nie zrobię. Puść mię niewolnika.

Ale Aza przypadła ku upadłemu, wołając:

— Powtórz! jeszcze raz powtórz przysięgę, i dzieńśkroć ją powtórz, nim ci uwierzę!

Aprasz począł powtarzać posłuszny.

— Odbierzcie mu *towez* (siekiere)! zakrzyczała: i *ezuria* (nóż)! i odtąd niech ich nie ma w ręku!... Dziękuję ci Tumry — dodała — puść go. Winnam ci życie. Wielki *Mroden-oro* przyprowadził cię tu na skrzydłach tęsknicy umyślnie, żebyś mnie uratował! Siadaj i grzej się u znajomego ogniska, i mów, coś przeboleł; bo żeś nie był szczęśliwy, mówi to blada *busta* twoja (twarz).

— A! a! odparł Tumry, wspierając się na wywróconym miechu kowalskim, na który spoglądał jakby starego witał przyjaciela:—nie ma co mówić o szczęściu i doli mojej. Próżno kto od niej ucieka! *Gadzio-wie* zjedli mnie i żonę, powolném prześladowaniem ogryzając kości, i odstąpili odemnie jak od trupa, a ja walczyłem z nimi. Umarł ojciec Motruny; powiodłem go okiem na cmentarz. Musieli mi oddać dziewczynę, ale żyłem nędzą moją i ich złością: bo prócz jednego, nikt z nich twarzy nie zwrócił ku mnie!

— A białaż *egaszi* twoja? spytała Aza.

— *Egaszi* kochała mnie i kocha, rzekł Tumry; ale cóż miłość o głodzie i w niewoli? Dom mój był dla mnie trumną i grobem: tak mi w nim duszno, i tęskno, i ciasno. Oko zawsze jednym karmiłem widokiem cmentarza, mogił i nagiego wzgórza...

— Ale was było dwoje?

— Troje z nędzą, czworo z głodem! śmiejąc się dziko rzekł Tumry: pięcioro z pocziwym Jankiem.

— Znalazł się ktoś przecię pocziwy?

— Ale wy... przerwał Tumry — cóż z wami się

działo? gdzieście byli? co was przygnało tu znowu, na szczęście czy nieszczęście moje?

— Ja — zawołała Aza — chciałam zobaczyć co się z tobą dzieje. Aprasz się sprzeciwiał, ale usłuchać mnie musiał! Życie szło jak idzie życie: dzień do dnia niepodobny, a z daleka bracia rodzeni! Paliło się kowadło, sapaly miechy, pracowały ręce, a Aza śpiewała i skakała *gadziom za łowy!* (pieniądze). I ot widzisz, przyszli-my tu wreszcie, może umyślnie po ciebie, a może do młodego *raja* Adama.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Co robi *raj* Adam? spytała: czy zawsze życie mu tak długie, a młodość tak ciężka do dźwigania?

— Nie wiem.. cicho odpowiedział Tumry. *Raj* ożenił się był z jakąś *gałzią*; mówią, że go zwodziła z drugim...

— A cóż miała robić biedna! rozśmiała się Aza: musiała!

— Pojechali gdzieś daleko po zdrowie dla niego, po wesele dla siebie, a *rani* (pani) tam umarła.

— Umarła! o jakże dobrze zrobiła! zawołała klaszcząc w ręce Aza: znowu go męczyć będę! We dworze więc pusto?

— On sam tylko!

— Co powie, zobaczywszy starą znajomą! poczęła Aza, śmiejąc się do swęj myśli. Jutro, nie dalej niż jutro, przystroję się jak *rani* i polecę do niego.

Spojrzała na Tumrego: on chmurny, obracał w ręku zagasłą głównię i milczał.

— Pójdę go męczyć — powtórzyła — i śmiać się! A! żebyś wiedział Tumry, ilem to ja już *gadziów* miała! choć brać garściami! A co mi ofiarowali, a jak się modlili do mnie! Było ich widzieć, jak lecieli za

Aż jak gromada *szukelów*, brzęcząc pieniędzmi i obietnicami! Gdym widziała, że który z nich poddać się nie chce i patrzy na mnie chłodno, tom póty paliła go, pociągala, czarowała, ażem za sobą powiodła! O! miałamże, miałam rozkoszy, gdy wywiodłszy ich daleko, rzucałam po drodze jak ogryzione kościł...

Coś okrutnego było w mowie Cyganki; a jednak taki był urok jej wzroku i głosu, że Tumry drżąc oderwać się od nich nie mógł; patrzył, słuchał i spragniony długą żądzą, nasycić się nie mógł.

Pięknie bo wyglądała przy ognisku, a świeże zwycięstwo okrywało ją jeszcze powagą jakąś i siłą nową. Tumry nigdy jej taką nie widział.

— Ale mów-no mi o sobie... zbliżając się i łagodniejąc, odezwała się Aza — o swój *bukuni* (domku), o *egaszi* (żonie), o życiu!

— Wszystkom ci powiedział... smutnie rzekł i powoli Cygan. *Egaszi* dobra i pocziwa, ale jej tęskno do swoich, których nie widzi, jak mnie do *mule* (pola) i namiotu! Płacze i płacze biedna! *Bukunia* moja, którą krwią i potem zlepiłem, wygnanka, jak my za siólem stoi na pustkowiu i patrzy się w państwo *Mutes-oro*, na cmentarzysko *gadziów*. Ciasno w niej, głodno, zimno i pusto...

— A nie kwiliż w niej dziecię? spytała zamyślona Aza.

— Nie, odparł Tumry; ale kto wie, kiedy się ten głos z drugiego świata pierwszy raz da słyszeć? Dziś, jutro może.

— Dziś! jutro! toś przepadł! odpowiedziała Cyganka. Niech-no zapłacze dziecina, a uwięzniesz tam na zawsze przy swojej bladej *egaszi*, i zeschniesz w pracy i utrapieniu!

Skinęła ręką.

— Idź, skazany! rzekła: jużes ty nie nasz! Idź! idź! nie patrz na swobodę, nie kosztuj powietrza pod namiotem! Tobie zgnić uwiązane do słupa! Tyś gadzio!

Wymówiła to przekleństwo bez gniewu, z litością raczej; ale Tumry uczuł je w głębi piersi, jak odpowiednię nieodwołaną. Spuścił głowę, powoli podniósł się z ziemi, potoczył wzrokiem dokoła, jakby ich żegnał, i raz jeszcze spojrzął na Ażę.

— Idź!... rzekła dziewczyna: idź do *hhera* (domu), — błada *egaszi* cię czeka! Niech ci się serce nie drze na widok *Romów*, bo do nich wrócić nie możesz!...

---

Otrzeźwiony, osłabły Tumry powracał mozolnie i powoli tą samą drogą, którą we śnie przebył tak żywo i łatwo. Zranione nogi ledwie go wlokły; ciężka głowa ołowiem spadała mu z karku; serce to biło stem młotów, to przestając uderzać milkło w piersi, jakby na wieki spocząć chciało.

Dziwił się, że tak ogromną przebiegł przestrzeń, która w powrocie wydawała mu się nieprzebytą, nieskończoną! Wyglądał drogi, i błąkał się, i znaleźć jej nie mógł; kiedy niekiedy odwracał się, by spojrzeć na ognisko, przy którym zostawił Ażę, to znów znużoném okiem szukał swój chaty, cmentarza, wioski, i z trudem ścieżkę rozpoznawać musiał.

Była to chwila uroczysta, gdy noc ze dniem się łamie, ciemność poczyną walkę ze światłem, śmierć

codzienna ustępuje życiu. Bładły niebieskie ognie i księżyc nawet coraz srebrzystszym się zdawał; gwiazdy uchodziły po jednej w niebieskie głębie eterów; chmury nocne zapadały z jedułej strony, a ranne kupiły się z drugieję; ptaki, pierwsi stróże żywota ziemi, poczynają śpiewać zmartwychwstanie.

I drzewa, i kwiaty budziły się także barwami, które noc ciemna uśpiła, a dzień rozpowijał dla oczu; niektórych kielichy już piły rosę spragnione, inne gnuśniejsze, w powijkach jeszcze, ciepleszój czekały godziny. A cisza była długa, przerywana tylko pieśnią rannego ptaszka, nieśpiących kruków i szumem porannej modlitwy lasów.

Tumry szedł i zataczał się. Ani różowy blask wschodu, ani srebrne jasności ustępującój mu nocy, nie roztworzyły jego źrenicy umarłej... Nareszcie zobaczył czarne krzyże mogił, chude wierzby cmentarza, żółty grób Lepiuka i nizki komiu swęj chaty.

Przyśpieszył kroku.

— Co się tam dzieje z Motruną — zawołał w duchu — jeżeli postrzegła, że poszedłem? A! żal mi jęj, żal ale nacóż pokochała Cygana?

I minął cmentarz drżący, śpiesząc do drzwi lepianki. Na progu nie było Motruny... tylko głos dziwny, niepojęty, uderzył jego ucho. Nie był to głos zwierzęcia, ani człowieka, ani ducha, nie był to skrzyp drzewa, ani świergot ptaka, ale wołanie niezrozumiałe, płaczliwe, jakby wzywające litości, w którego głębi słyhać było mowę ludzką, i jęki zwierzęcia i łzy człowiecze.

Wszedł na próg i pierwszém, co zobaczył, była naga kwiląca dziecina, która leżała przy Motrunie

na ziemi. Biedna kobieta tuliła ją ku sobie płacząc, niepamiętna na boleść swoją, cała już matką tylko!

W progu wartował głupi Janek, który dał wnijsć Cyganowi, dał mu się zbliżyć do żony i pokłęknać u jej barłogu. Ale gdy Tumry wybiegł po chwili odechnąć i oprzytomnieć, poczwarka zjawiała się naprzeciw niego.

Zdziwił się Tumry, nie widząc na twarzy Janka zwykłego wyrazu litości i uczucia, ale chmurny gniew jakiś i groźbę.

— Co ci Janku? spytał, z potu ocierając czoło.

— Co ci Cyganie przekłety! podechwycił karzeł pięść ściskając. Gdzieś ty był w nocy włóczęgo, gdy żona jęczała, wzywając twojej pomocy, a choćby twarzy twojej!

— Nie wiem co się działo ze mną!

— Ale ja wiem! zawołał Janek: szatan cię opętał dyabli synu! chodziłeś na tańce z czarownicami!

— Łaj muie—rzekł Tumry—ale spytaj Motruny, czym winien? czym poszedł o swojej woli, przytomny?

Janek popatrzał na niego surowo.

— Ej! strzeż się Cyganie! rzekł: małe'm ja człecze, ale jak Bóg Bogiem, jak psa cię zabije, jeśli żony i dziecka pilnować nie będziesz!

Tumry uśmiechnął się szydersko i wzgardliwie.

— Janku! rzekł: tobież to mnie grozić?

— Ei! i robak kąsa śmiertelnie! zawołał mały: i ja potrafię choćby robakiem być tobie.

To mówiąc, zniknął biegnąc ku wsi, a Tumry wrócił do chaty.

Serce mu się ścisnęło na widok biednej kobiety, której czoło pot śmiertelny, a twarz bladeść okry-



wała trupia. Spoglądając na niego, jakby błagała o litość dla siebie i dziecięcia; uczuł się winnym, choć nie wiedział, jaka siła pchnęła go do grzechu, i przykląkł u łóża.

— Co się stało? jak to było? spytał. Ja nie odszedłem od ciebie własną wolą!

— Czarownica cię widać pociągnęła, odpowiedziała słabym głosem Motruna. Kiedyś spał, zerwałeś się, pobiegłeś— chciałam iść za tobą i upadłam... Nie wiem co się działo ze mną i kiedy mi Bóg dał dziecię... Otworzywszy oczy, spostrzegłam w progu poczciwego Janka, który mnie widać od drzwi przeniósł na łóżko...

Tumry spoglądał na kwilące niemowlę, i myśl jego przebiegła cały szereg ciężarów i obowiązków, jakie dla niego na świat przysły z tém dziecięciem... We dwoje ledwie żyć mogli: troje umrzeć musieli... Potrzeba było pomocy osłabłej Motrunie, pokarmów dla niej, pieluch dziecinie, sługi w chacie i chleba! chleba! chleba!

Tumry zarabiając nań, musiał opuszczać żonę samą, a nie było jój komu dopomódz w pierwszych dniach słabości.

Chwycił się Cygan za głowę.

— Nie ma rady! rzekł głośno: ze wsi nikt nam posłużyć nie zechce; ja sam nie podołam wszystkiemu... pozwól mi pójść i zawołać Jagi Cyganki.

Na te słowa Motruna porwała się i dziecię przytuliła do siebie.

— Cyganki! zawołała: o! nie chcę, nie chcę! obejźmiemy się bez pomocy niczyjój... Oniby mnie struli, oniby mi dziecię porwali!

Tumry ruszył ramionami.

— A tyżesz nie żona Cygana?

— Tak, tak! rzekła—ale się boję, boję się! Mićj litość nademną!

— Ty sama litość mićj nad sobą! zawołał Cygan. Toć pomrzemy, jeśli nam w tych dniach pierwszych ktoś nie pomoże!

— A Janek?

— Ale tu potrzeba kobiety!

— Ja wstanę, ja wstanę! pośpiesznie poczęła mówić Motruna.

— To być nie może, kilka dni przeleżeć musisz... A któż tobie i dziecku posłuży, zgotuje? Kto cię nauczy jak chodzić koło niego?

Motruna zamilkła, ale na twarzy jćj, z ruchów niespokojnych widać było, że bojaźń jćj nie opuściła, choć nie wiedziała co począć.

Chciała spróbować czy nie potrafi wstać, i opadła na łóżko, jęknąwszy tylko boleśnie.

Tumry siadł przy ućj na ziemi, i oczy wlepiwszy w dziecię i matkę, pozostał tak nieruchomy, w niemćj jakicćjs rozpaczy.

Wtćm drzwi uchyliły się powolnie. Spojrzała Motruna i zadrżała, widząc straszną twarz starćj Cyganki, ukazującą się powoli z sieni.

Była to stara Jaga, którą, nie wiem, ciekawość czy inne jakie uczucie nagnało w ślady Tumrego—poczwarna baba, mogąca przestraszyć wyrazem swych czarnych oczu i śmiejąco się zaklćsłćj szczćki. Skóra jćj na czarno opalona, włos kruczy rozrzucony w po zlepianych kosmach po czole i twarzy, pomarszczone policzki, uśmiech bezzębny i wejrzenie drapieżnego ptaka, robiły ją ideałem starćj wićdzmy z baśni ludu. Brudna *gata* (koszula), zdarta *sohka* (spodnica)

i narzucona na głowę płachta, stanowiły ję ubranie, z pod którego nagie ręce i pierś wyschła wyglądały. Zgarbiona, opierała się na wyłamanym w lesie kiju sękatym, którego długie użycie widać było z rozstrzępionego końca.

Wejrzeniem poleciała po chacie, i weszła z uśmiechem, widząc, że będzie potrzebna. Na widok ję Mo-truna pochwyciła dziecic i drzeć poczęła, a Tumry zerwał się i stanął zdziwiony, że się tak niespodziewanie zjawiła ta właśnie, o której mówił przed chwilą.

Zaledwie nogą na próg wstąpiła, już po cygańsku Jaga obleciała okiem palającym wszystkie zakątki izby, policzyła garnki, sprzęty, obrachowała stopieć nędzy Tumrego i wiedziała co ma i czém żyje.

Powoli jak kot kołując, skradała się do łózka.

— Stój! zawołał Tumry po cygańsku do nię: *egaszi* boi się ciebie, drży, płacze; odstęp się ku drzwiom.

— A czegoż się boi twoja *gudzia*? spytała Jaga, siadając u progu na ławie: alboż nie żona Cygana? alboż my to nie swoi, a nawet nie krewni?... Jabym ję koło dziecka pomogła, bo ona widzę zacałuje go i zaściska, a poradzić mu nie potrafi... Toć to moje rzemiosło... i daj mi *Mroden-oro* tyle lat żyć jeszcze, ilem ja *Romów* i *gudziów* dzieci na świat wyprowadziła!

— Nie bój się kochaneczko, zaczęła po wiejsku ale złamanym językiem, starając się przymilić, głos ochrypły spieszczając, a uśmiech czyniąc łagodnym. A toć to i wielkie panie, i ekonomowe, nawet i szlachcianki, niejeden raz posługiwały się Jagą! Ja się

znam koło dzieci, a tobie to podobno pierwsze, to je niebożatko zamorzysz z wielkiej miłości.

Powstała chcąc się zbliżyć, ale ruch Motruny rzucającej się do dziecka, oznajmił jej, że żadnej nie przyjąłaby pomocy.

— Słuchaj Jago! rzekł Tumry: możesz inaczej mnie poratować. Weź się, rozpal ognia, nastaw wody, zgotuj co... Ona głodna... ja cały dzień pono nie jadłem, i dziecku coś będzie potrzeba...

Stariej w to graj, bo bardzo pragnęła zajrzeć po cygańsku. Więc na pierwsze słowo zrzuciła z siebie płachtę, postawiła kij w kącie, i zakasała podarte rękawy.

— A gdzie żar? gdzie woda? gdzie spiżarnia? macie mleko?

Tumry uląkł się tylu potrzeb razem...

— Żar... poszukaj w popiele, być musi. Woda? zobacz w wiadrze... W spiżarni niewiele znajdziesz... A mleka! mleka nie mam...

— Jak to! ani kozy nawet? zapytała Cyganka.

— Ani kozy! westchnął Tumry.

— O zły z ciebie gospodarz! uśmiechnęła się Jaga rozgarniając popiół. Widać, żeś zrzucił skórę *Romów* i rozum ich! Żeby też tyle tu siedząc, kozy nie dostać nawet! A włóczy się to tego tyle po polu bezańskich! mogła się która przybłąkać... Ha! ha! ha! a bałbyś się, żeby nie poznali, to ją zaraz było prze-handlować na targu... Zły z ciebie gospodarz!...

— Cóż tu gotować? spytała dalej: zkąd ja tu wezmę przyprawę? A i wody nawet ledwie męty!

— Po wodę pójde, rzekł Tumry.

— Nie chodź! nie zostawiaj mnie samą! szepnęła Motruna.

— Po wodę i ja schodzę, odezwała się Jaga.

— A wiesz gdzie ona?

— O! uczyć mnie nie trzeba: jużcić dokąd najlepiej ubita ścieżynka, tam woda pewnie! A może gdzie kozę lub krowę spotkam, to ją dla was wydoję; dajno garnuszka tylko.

— Jago! będzie bieda! rzekł Tumry.

— A tak to jój nie ma? odparła Cyganka. Czy lepiej z głodu zdychać, czy na szubienicy tańcować? wszystko jedno! Daj garnuszka.

Stara wychodzić miała, kiedy się zjawił Janek z mlekiem, chlebem, dzbankiem wody i węzełkiem krup. Trochę tylko drzwi uchylił, dary swoje wsunął, słowa nie rzekł i wybiegł nazad pędem.

Jaga pochwyciła wszystko, a węzełek najprzód wetknęła za pazuchę dla siebie, udając, że mleko przelewa, aby je zagrzać przedzój. Nikt tego złodziejstwa nie spostrzegł.

Od tego poczęła stara swoją posługę w lepiance Tumrego, w której od téj chwili rozgościła się już śmiało, widząc się potrzebną.

---

Dzień już był jasny na niebie, i słońce dopiekało, gdy Aza rozporządziwszy wszystko w obozie, i zdawszy dowództwo Cyganowi zwanemu *Puza*, bo czuła, że jako kobieta utrzymać się na niém nie potrafi, wybierać się poczęła do dworu. Puza, niemłody już Cygan,

krepy, mały, brzydki, który dotąd był ofiarą Aprasza i męczennikiem jego, zabierał się teraz oddać za swoje, gdy niespodzianie kolej rozkazywania na niego przyszła. Aza wybrała go umyślnie dla tego, bo była pewna, że dojrzy i uciśnie nieprzyjaciela.

Gromada chętnie się zgodziła na wskazanego jęj nowego *dado 'a* (ojca) i poszła pod jego rozkazy, a Aprasza nie pytano o wolę.

Młoda Cyganka weszła do namiotu, i rozpoczęła strój nie bez wielkiego namysłu i rachuby. Wybrała co miała najpiękniejszego, najświetniejszego, w czém czuła że jęj było najlepiej, i skąpawszy się cała w krynicy, utrefiwszy kosę czarną, której ogrom ledwie głowa dźwignąć mogła, wdziała koszulę perkalową naszywaną, kilka na nią sznurów koralu i bursztynów, spódnice w kwiaty, fartuch jedwabny, kaftan czerwony szyty, na wierzch narzucając rańtuch cienki, który ufałdować umiała z instynktem artystki.

Białe płótna i krasne farby ubrania, dziwnie podnosiły wdzięk jęj twarzy opalonej, ale świeżej i rumianej, wśród której zęby i białka jak śnieg błyskały. Z pod czarnych rzęs długich, gdy ognistém rzuciła okiem w potłuczone zwierciadło, uśmiech przeleciał po jęj ustach...

— Zginiesz *raju*, zginiesz w tych oczach! zawołała w duchu: spalę cię na węgiel! o! spalę. Żebyś był kamieniem to zapłaczesz!... Czemuż mi tak słodkie łzy ludzkie? poczęła się pytać siebie zadumana. Nie wiem! Ale kiedy je spostrzegę, gdy jęk posłyszę, to tak mi się chce mordować i męczyć, zabijać i nękać, jak dzikiemu zwierzęciu! A jednak, jednak... odpowiedziała sobie w duchu—gdyby mi tak Tandy zapamiętał, zabijać, polecałabym może ratować go, i biec się z tymi,

co mu łyzy wycisnęli! Tumry! Tumry! Ale to już nie Cygan: bladą *egazę* pokochał, a Aza mu nicmiła... Wczoraj przecię przyleciał! O! i patrzył na mnie! a jak obronił od Aprasza! a jak zdawał się spragniony!... Nic! nie! potrzęsa głową: Tumry przepadł... Pójdę męczyć *raja* Adama!

I raz jeszcze wejrzawszy w zwierciadełko, śliczna Aza wyleciała z namiotu; a wszystkie starc Cyganki, widząc ją tak wystrojoną i piękną, uśmiechnęły się złośliwie, bo wiedziały, co to znaczy, i Aprasz ujrzawszy z dala odchodzącą, zżymał się, a usta zagryzł do krwi.

Samą jedną nadobną dziewczyną puściła się ku wiosce, znając dobrze, którądy od niej do dworu. A szła jak Cyganka, nie powolnym chodem *gadzióm*, ale tym polotnym biegiem wióczęgów, których życie upływa na nogach, w wiekuistej wędrówce. Pochylona naprzód, z rąbkiem, którym wiatr powiewał daleko, zdawała się lecieć bardziej niżeli iść po ziemi.

Oko wlepiła w niebo, jedną ręką ujęła koniec zasłony, drugą podniosła fartuch, i gnała szalona, nócąc jakąś piosenkę.

Dopadłszy do wsi, zatrzymała się nieco, i zdawała się na wpół przypominać, wpół węchem dochodzić drogi, o którą pytać nie potrzebują Cygani. Potém brzegiem stawu, ścieżką ledwie widoczną, pobiegła przez ogród do dworu.

Pan Adam ledwie przebudzony, siedział w ganku w szlafroku, z długim w nstach cybuchem, gdy jak sen, jak widmo, skoczyła na schodki, ze schodków przed niego wystrojona dziewczyna, śmiejąc się do rozpłuku.

— Ha! ha! zawołała, poczynając taniec swój przed

nim od najnamiętniejszych skoków: *raj* Adam tęsknił do Azy, Aza do *raja* Adama, i wróciła do Stawiska! Widzisz: przyszłam znowu popробować życia z tobą, rzucić ci węgiel za pazuchę i odlecieć jak bociany!...

Niepodobna wyrazić, jak się zmieniła twarz skamieniała młodego człowieka na widok czarodziejki... tak powoli musiał się ożywiać od toku namiętności i geniuszu sławny posąg Pigmaliona! Ostygłe oczy poruszyły się, zajaśniały, usta utworzył uśmiech niezwykły, czoło zadrżało jak morze od wiatrów poranku, i pierś żywiej zapagnęła powietrza...

Nareszcie zerwał się i skoczył ku Azie.

— A! to ty! czyż to być może?

— Ot! ja! ja! paniczu! odpowiedziała, rzucając mu się wprost na szyję dziewczyna, i paląc go uściskiem szalonym. Nie zapomniałeś mnie przecie? nie? a ileż kochałeś już po mnie?

— Zkądże ty tu?

— Spadłam z obłoków, *balwany* (wiatry) mnie przyniosły... Po prostu zatęskniłam po tobie, kazałam zawrócić *werden*, i na powrot do Stawiska!

— I będziesz moją! zawołał pan Adam w uniesieniu.

— Nie! śmiejąc się i odpychając go z lekka, odpowiedziała Aza: ty moim będziesz *raju* Adamie! Jam niczyją nie była i nie będę!

A jak jój z tą dumą było do twarzy!

Nie wiem jak to nazwać zechcecie: czy miłością, czy dziwactwem? to pewna, że właśnie tego rodzaju namiętnej rozrywki potrzebował zużyty Adam, żeby poczuć, że jeszcze żyje. Cyganka paliła go oczami, mową, uściskami, obietnicami, szyderstwem. Cierpiał,



ale czuł, że żyje. Kto inny, silniejszy od niego, ale dumniejszy może i więcej panujący nad sobą, byłby Ażę zmusił do zmiany, lub sam ją pierwszy porzucił. On z rozkoszą dawał się męczyć, nie mogąc ani oderwać się od niej, ani przemódz jój szaleństw bezlitosnych. Przeklinał jak szatana, a kochał jak anioła. Aza też dobrze znała całą siłę swoją: używała się i nadużywała. Po długiej włóczędze, po cygańskim życiu, smakował jój zbytek, wczas i atmosfera dostatków, która ją otaczała. Czasami zdawała się wśród niej tracić ogień, który w piersi jój pałał, zaduma zalegała czoło, usta śmiać się zapominały; nieruchoma siedziała godzinami w miękkim posłaniu półsen- na, półumarła. To znów zrywała się Cyganka, błysnęła zębami, oczyma, ustami, i rozpoczynała swój taniec namiętny, jak skoki dzikich ludów.

Ale w obudwu zarówno usposobieniach ducha, odpychała Adama, nielitościwem chłoscząc go szyderstwem: raz ze wzgardą poważną, to znów z wesołością trzpiotowatą.

— Jak ja mogę kochać ciebie? pytała go. Powiedz sam: jestże dwoje ludzi mniej do siebie podobnych? Jam dziki zwierz pustyni! ty dziecko zapiecka wymokłe, zbladłe, chude i bezsilne. Jeden mój uścisk zgniótłby ciebie, jeden pocałunekby cię spalił. A w pierwszej kłótni, która z każdej miłości jak para z wrzątku wyrasta, jabym cię zabiła jeśli nie ręką to słowem!

Upokorzony pan Adam milczał, szczęśliwy jeszcze, że mógł u nóg jój leżeć i patrzeć w te oczy, nad które wymowniejszych nie widział w życiu...

Cyganka zwykle we dnie dowiadywała się do obozowiska swego, które teraz rozłożyło się na odłogu

bliziej wioski i zostawało pod opieką dworn, a więc bezkarnie mąciło spokój chłopów, lub rozsypywało się po okolicy. A na resztę dnia i nocy wracała ze starą Cyganką do pana Adama. Choć droga nie wiodła jej tędy, Aza codzień prawie przchodziła około chaty Tumrego, na którą ciekawém rzucała okiem, jakby nie tylko w nią, ale we wnetrzne życie, które w sobie zamykała, zajrzeć pragnęła. Oczy jej zapalały się naówczas namiętnością, gniewem, zazdrością i nie wiem jakim uczuciem, zlepkiem tysiąca uczuć dziwnych, miotających sercem dzikiego dziewczęcia.

Pierwszy raz tu przyszedłszy, stanęła, aby policzyć może, ile dni pracy, znoju i trudów Tumry na swą lichą musiał położyć budowę. Pokiwała główką, rzuciła ręką i poszła do dworu. Odtąd codzień prawie przelatywała około cmentarza i chaty, ale wejść do niej nie śmiała, choć uchem i okiem śledziła co się tam dzieje. Ani Tumry, ani nikt jej tam nie spotkał.

Dni leciały piorunem we dworze, ale powolnie wlokły się w chacie kowala. Motruna leżała zesłabła z dzieckiem, którego obawiała się od piersi puścić, oka nawet do snu zmrużyć ze strachu nie mogąc. Stara Jaga przerażała ją swoim uśmiechem, usługomością i wzrokiem, w którym dziecko wsi przeczuwało skrytego nieprzyjaciela.

Napróżno prosiła Tumrego, aby ją oddalił. Jemu lżej było ze starą Cyganką, i śmiał się z próżnych strachów żony.

Od nocnego widzenia się w dolinie, Tumry nie spotkał jeszcze Azy. Dowiedział się tylko od Jagi, że jest we dworze. Zadrżały mu usta i pobladł, gdy to usłyszał. Ale więcej nie spytał nawet o nią.

Sama też stara Cyganica codzień niemal donosiła

niepytana o dziwach życia dziewczyny, w której pan dworu zakochał się, jak mówiła, na dobre.

— Mówią, dodawała: że gdyby tylko chciała, pewnoby się z nią ożenił. Ale głupia *raklora* (dziewczyna) śmieje się z niego, ponieważ, i ani myśli o nim! O głupiaż, głupia! szeptała. Gdyby inna była na jój miejscu, coby to skorzystać można! Prawda, że *raj* blady, nędzny, bezsilny, ale czyż to z nim żyć zawsze?

I takim uśmiechem kończyła swe narzekanie, jakby mu chciała podać kubek trucizny. Straszna bo była istotą ta Jaga! rodzajem kościotrupa dusznego, w którym ze wszystkiego co ludzkie, sama chciwość i łakomstwo pozostały. Wprawdzie zawsze prawie starość przybiera te dwie cechy wieku, w którym tętni jeszcze miłość własna, co wprzód służyła za jądro innych, przystojniej odzianych namiętności. Ale gdy nago i bezwstydnie wystąpi w zesłabłym i scho-rzałym człowieku u schyłku życia, skąpstwo, pragnienie nienasycone i chciwość—czynią z niego poczwarę ob-rzydłą. W starój Cygance wszystko już było zgasło: uczucie, przywiązanie, czułość wszelka i pamięć. A że ją nędza chłostała życie całe, chciwość dziwna, zwie-rzęca, rozpasana, wzmogła się w niej do najwyższego stopnia. Chwytać, chować, zabierać, stało się jedyną namiętnością Jagi, która kradła instynktowo, machi-nałnie, co tylko w ręce jój wpadło. U Tumrego na-wet, wśród nędzy codzien widoczniejszej, nie mogła się powstrzymać od kradzieży tego, czego ani scho-wać, ani zabrać nie umiała. A w obozie codzien jój coś wytrząsano z węzłków i smagano nieszczęśliwą, która nazajutrz rozpoczynała na nowo. Nie dziwujmy się starój Jadze: w naszym świecie iluż to starców

zbiera, dusi, chwyta jak ona! Ilu innych wykształceńszych obraca ten popęd w jakąś manię kolekcyj, w zapalczywą chęć pieniędzy i mienia!

Tumry nie zważał na szkody, jakie mu wyrządzała Cyganka, rad, że z nią trochę w chacie lżej było; zresztą nie widział wcale co się koło niego działo, i w smutku jakimś zatopiony, chmurny, zamyślony, zmęczony, całe dni spędzał na ławie przeciw łoża Motruny.

Kuźnia jego była gotowa, ale nikt nie przychodził, choć pod namiotem Cyganów kowadło milczało także. Ludzie szli do wsi sąsiednich, a żaden nie zabłądził pod cmentarz. Od dni kilku, gdyby nie Janek i niewyczerpana pomoc jego, uboga jak on, ale ciągła, jużby jeść co nie było w chacie. A tu na głód i nędzę przybyła trzecia istota jeszcze, której wyschłą piersią Motruna wykarmić nie mogła.

Tumry chciał iść do dworu, ale nie śmiał. Wahał się, od dnia do dnia zwlekał, a sam siedział z założonemi rękami, czekając, zdaje się, śmierci czy jakiegóż końca z poddaniem się losowi odrętwiałém.

Aza o wszystkiém wiedziała od Jagi, która codzień chodziła pod namiot i widywała się z dziewczyną. A choć miała czém pomódz Tumremu, nic nie zrobiła dotąd.

— Dobrze mu tak! mówiła przez zęby białe ściągając usta. Chciał białej kobiety i życia gnusnego w chacie, chciał być *gadziem*, kiedy go Bóg *Romem* stworzył, niech cierpi! Życie siedzi głęboko: głód go i ból nie dostanie!

Jednakże przechodząc około cmentarza, codzień oko jej mglistszym wejrzeniem patrzyło na lepiankę!

I raz, gdy pan Adam u nóg jój po obiedzie spoczywał, czekając jaki rodzaj nowój męczarni wymyśli na niego dziewczę nielitosne, odezwała się do niego:

— Słuchaj *raju* Adamie! co wam zrobił Cygan Tumry, że u was z głodu umiera?

— Kto? gdzie? z ciężkością przypominając sobie, zapytał pan Adam.

— Kowal Tumry, co siedzi pod cmentarzem.

— Wszakżem mu dał żonę, krowę i pieniądze! rzekł ziewając pan Adam; czegoż chce więcej?

— A ludzie twoi go prześladują: nie ma roboty, odpychają go wszyscy, siostry i bracia zaparli się ich, Czyżbyś ty nie mógł rozkazać, żeby było inaczej?

— Rozkazać ludziom, żeby kochali? z uśmiechem zapytał pan domu; samaż mi powiedz, czy można?

— Kochać! nie, ale słuchać powinni! Tyś tu pan: alboż ci nie wolno posłać ich do kowala, jak posyłasz gdzieindziej?

— Wolno mi, rzekł Adam: ale na co się to zda?

— Spróbuj.

— Chcesz, spróbuję! odparł młody człowiek, i rozkazał nazajutrz przywołać gromadę.

Rzadka to była rzecz rozmowa tego pana z czeładką i ludźmi. Powolny i łagodny do zbytku, przez lenistwo więcej niż dobroć istotną, nie wdawał się wcale w to, co się działo u niego, i nawet w dni uroczyste przyjęcia gromady, rzadko się słowem do niej odezwał.

Rozeszła się wieść zwołania starszyny po siole, jako nowina niezwykajna. A Maksym Lach, Skorobohaty i Symiacha, stojący na czele starszyny, łatwo odgadli o co chodzi. Wieczorem po zapowiedzi atamana, skupili się w tyle za karczmą dla narady.

— To nie, rzekł Maksym: to pewnie cygańska sprawa. Ten czort Cyganica w oko mu wpadła: będzie prosił za kowalem...

— Oho! parsknął gniewnie Skorobohaty, podnosząc rękę do góry: z tego nic nie będzie. Pamiętam ja słowa nieboszczyka Lepiuka! Toć i wstyd całej wiosce zrobił ten przybłęda, że nam z przed nosa wziął dziewczkę, i gromada się zarzekła, że go zmusi pójść precz.

— A taki to dobry kowal, mruknął Symiacha, kręcąc głowę. Bywało w Rudni, jak przyjdiesz czy z radłem, czy z podośkiem, czy z kosą, czy z siekierą, to nie ma roboty, jak kiedy on stanie do młota. Już ja to doświadczyłem, że mocno i sumiennie robi, i taki majster z niego dobry.

— A co to on jeden na świecie? począł Skorobohaty. Żyliśmy dotąd bez niego, pożyczmy i dalej. Gromada swoją cześć i słowo powinna strzymać.

— A jak pan każe? spytał Lach.

— Alboż to do karczmy czy po staremu do mły-  
na, żeby nas pilnowali na bok nie jeździć! he? Co to kowal nas w arendę wziął?

— Jaki z ciebie mędrzec! odparł Lach. No! no! pamiętajże, weźże się i gadać za gromadę, jak jutro będzie potrzeba.

— Myślicie że nie potrafię? spytał Skorobohaty. Oj! oj! oj! tyle biedy. I powiem choćby panu co się patrzy!

— A żeby my tak, ojcie, podumali, rozmyślili się, przerwał Maksym: czy warto nabożeństwo świeczki? Za czyją to duszę pokutujemy, mając majstra pod nosem, chodzimy o milę i więcej? Komu to złość jeśli nie nam?

— A gromadzkie słowo? spytał Skorobohaty: a Lepiuk?

— Umarł, pochowany, i święty mu pokój! Na co go z grobu wywlekać?

Na tę rozmowę nadeszło kilku innych gospodarzy, i domysły o jutrzejszej gromadzie, to jest zborze do pana, a narady względem odpowiedzi jakaby dać wypadło, jeśliby chciał na kowala namawiać, rozpoczęły się na nowo.

Zdania były dość podzielone; jednakże brat starszy Motruny, a za nim większość ze Skorobohatym głośno krzyczała, że gromada na swoim postawić powinna. Jak zawsze, choć może mniej było upartych, ale ci, co się uparli, krzyczeli głośno, pociągali słabych i zagłuszyli nieśmiały. Maksym Lach nie odważył się odezwać; Filip, brat Motruny, ust nawet nie otworzył.

Można więc było już przeczuwać co się stanie we dworze. Bojaźliwsi zamilkną, krzykacze zagłuszą nieśmiały i zostaną przy swoim uporze.

Zaraz nazajutrz z rana, gromada otoczyła ganek dworu w milczeniu. Ale gdy do niej wyjść przyszło, pan Adam tak się wahał, zbierał, męczył samą myślą rozmowy i sprzeczki, że wytrzymał ją do południa w oczekiwaniu. Ze zgasłą fajką wysunął się wreszcie, grzecznym ukłonem witając swoich ludzi, którzy z pokorą, w cichości, czekali pańskiego słowa. Nie śmiejąc z razu napaść z żądaniem, które miał na myśli, począł bąkać o urodzajach, zasiewach i gospodarstwie, aż wreszcie opamiętał się.

— Słuchajcie-no, panowie gromada! rzekł: za co to prześladujecie biednego Cygana kowala, który wam jest potrzebny, a dla jakichś tam głupich przesądów

używać go nie chcecie? Zbudował chatę, kuźnię, osiadł, a żywa dusza ani gadać, ani żyć z nim nie chce?

Skorobohaty wystąpił z ukłonem.

— Prawdę powiedziawszy pancńku, myśmy go tu nie zapraszali: siadł, bo chciał... A że gromada postanowiła go nie brać do roboty, to nie bez racyi...

— Jakaż racya?

— A córka Lepiuka, którą tak jak gwałtem, przeciw woli ojca, Cygan sobie zbałamucił? Albo to nie wstyd dla nas? Pobratał się z nami gwałtem, to my go więcej przypuszczać do siebie nie chcemy. Pozwól kurze grzedy, ona pójdzie wszędy. Daléj Cygani nam będą wszystkie dziewczęta zabierali... Toż nie cygańska ojcowizna, Stawisko...

Pan Adam spojrzał na chmurny wyraz twarzy Skorobohatego, i nie wiedział co począć daléj.

— A gdybym ja was za nim prosił? zapytał.

— Lepiej tego nie róbcie, rzekł Skorobohaty. Niechaj Cygan wynosi się gdzie zechce. Świat dla niego szeroki, żony mu nie odbierają...

— Gdybym ja tego żądał? powtórzył pan.

— I nie żądajcie tego od waszój gromady! zawołał stary. Nie powinniście chcieć wstydu naszego.

— Cóż to za wstyd? Małoż Cyganów pożeniło się i po wsiach osiadło, i pobrali gospodarskie córki!

— Tak! ale za pozwoleniem gospodarzy, a nie przeciw woli ojcowskiéj! odparł Skorobohaty, potrząsając głową. Co złe, to złe!

— Mówcie co chcecie, przebaknął pan Adam: ale nie macie słuszności... Pogniewaliście się, podąsali, czas darować i zapomnieć.

— Lepiuk nie żyje, a on jeden mógł córce prze-



baczyć. Ani gromada, ani bracia nie mają do tego prawa.

Adam widząc upór starego, obrócił się do brata Motruny, który stał na boku, założywszy ręce na piersi, w postawie oznaczającej, że myśli upierać się przy swoim.

— To wy jesteście przyczyną wszystkiego, rzekł. Wy namówiliście gromadę; wasza to sprawa stawić się przeciwko dworu... Ale pamiętajcie, że źle wyjdziecie na tém.

— Wola pańska, hardo odpowiedział Maksym. Gromada ma swój rozum. Niech mówi co chce, a my tu tylko ojcowski rozkaz spełniamy. Chciała Motruna Cygana, dwór pożenił. Wszakżeśmy nic nie powiedzieli? Ale bratać się z nim nie myślimy...

Pan Adam nie miał dość sily, by dłużej spierać się z gromadą; chciał się tylko wywiązać z obietnicy, niewiele wierząc w skutek słów swoich.

— No! no! rzekł z pańska i groźniej: nie chcę słuchać waszych przyczyn. Dość, że mi się to nie podobą, że prześladowacie biednego. Rozkazuję, żeby mi tego nie było, żeby mi tego nie było!

Powtórzył raz jeszcze i zniknął.

Panowie gromada spojrzeli po sobie z uśmiechem niemal szyderskim. Pokłonili się nic nie odpowiadawszy, i powoli się rozeszli.

Z okna pokoju Aza słuchała téj rozmowy, i widziała postawy ludzi i pauza. A gdy pan Adam wrócił zmieszany niepowodzeniem swojej wyprawy, poczęła się śmiać na całe gardło.

— O! jakżeś to srogi! zawołała kładnąc się na sofie: jakżeś straszny! jak ciebie się ludzie twoi lękają!

Teraz to już pewna jestem, że tłumem pójdą do kowala. Cha! cha! cha! doskonałeś ich zgromił.

Adam się zarumienił.

— Cóż-bo chcesz? rzekł: zrobiłem co tylko można, ale to lud uparty! Zresztą możnaż mu mieć za złe, że w takich rzeczach chce mieć wolę swoją?

Wzgardliwe spojrzenie całą było odpowiedzią Cyganki, która wstała, obwinęła się rąbkiem, i nie żegnając pana Adama, wyszła ze dworu.

Według zwyczaju skierowała się ku chacie Tumrego, i zbliżywszy się do niej, zwolniła nieco kroku. Wzrok jój padł na drzwi lepianki, i wstrzymał się na nich długą chwilę. Oczy zaiskrzyły się jakimś gniewem, wyrzutem, pragnieniem. Podeszła i stanęła, zdawała się wahać, wnijść czy nie? A wtém błady, wynędzniały wyszedł Cygan z sieni, i nie widząc jój, wstrzymał się w progu.

Znać było z jego ruchów, z twarzy i postaci, że nie myślał co robi. Wyszedł, bo mu może zabrakło powietrza w izbie i nie miał czém odetchnąć. Stał, bo iść dalej nie czuł potrzeby, i wszystko mu jedno było być tu lub gdzieindziej. Ręce opuszczone bezwładnie, obwisła na piersi głowa, rozczochrany włos na niej, usta w pół otwarte, policzki wybladłe, wzrok zgasty... czyniły go podobnym do chorego, który powstaje z łóżka po ciężkiej i długiej boleści.

Aza niepostrzeżona wlepiła w niego oczy ciekawe, i coś jakby radość i litość razem z nich strzeliło. Podeszła bliżej kroków kilka, a on nie widział jój jeszcze. Wreszcie cień pałł na Cygana, poczuł, że ktoś się zbliża, i powoli, obojętnie podniósł głowę.

— Tumry! co ci to? spytała Aza: czyś chory?

— Chory! odparł Cygan.

— Jaga nic mi nie mówiła o twojej chorobie.

— Nie było co mówić o niej, rzekł Cygan krótko.

— A możebyśmy co poradzili?

— O! nie! uśmiechają się gorzko, odpowiedział Tumry.

— Nie? dla czego?

— Dla tego, że to choroba i nie choroba. Bo i choroba, i nędza, i głód, i rozpacz, i więcej a więcej jeszcze, niż słowo wypowiedzieć może.

Cyganka rozpoczynając z Tumrym rozinową, szła powoli ku obozowisku, a on nie wiedząc co począć, machinalnie z głową spuszczoną, odpowiadał jej, i włókł się za nią. Szli tak jedno przy drugim milcząc, to krótkimi słowami przerywając milczenie. I Cygan ani się obejrzał, jak chatę daleko za sobą zostawił.

— A żona twoja? a dziecko? zapytała Aza.

— Jak ja! rzekł Tumry.

— Cóż z sobą myślicie?

— Co mamy myśleć? Myślimy umrzeć!

— Głupstwo! przerwała Cyganka żywo: umrzeć na rozkaz nie potraficie, a rady szukać potrzeba. *Mutes oro* (śmierć) nie przychodzi na zawołanie!

— Nie ma dla nas rady!

— A gdybym ja ci jaką dała?

I spojrzała mu w oczy z zapytaniem.

— Ty! uśmiechając się niedowierzliwie, odezwał się Cygan: o! nie oddawaj czego i sama potrzebujesz, Zda się tobie!

— Mnie! rada? na co?

— Bo i ty także jak ja z *gadziemi* się związała, i jak ja wyjdzie z na tem.

— Ja? ja? zaśmiała się Cyganka: cóż ty myślisz Tumry?

— Myślę co widzę, i co myślę wszyscy... żeś także przepadła.

Aza nie przestawała śmiać się, poruszając ramionami.

— O! wam się zdaje—odezwała się po chwili niemój cierpliwości—że Aza tak miękka, tak dobrowolna, tak posłuszna jak wy wszyscy, którym *Mroden-oro* nie dał woli ani ducha... że dość na nią skinąć, dość jej cacko lub *lowy* (pieniądze) pokazać, by poszła za kimkolwiek! Cóż z tego, że chodzę do dworu? Dwór mię dla tego nie spęta: ja jemu, nie on mnie rozkazuje.

— A pan Adam? spytał wpatrując się w nią Tumry: przecież to twój kochanek!

— Tyle co ty! odparła dziewczyna.

— Co ja? ożywiając się rzekł Cygan: co ja? A jaż kiedy byłem twoim kochankiem?

— I on nie był nigdy!

— Dla czegoż przesiadujesz u niego? na co go balamucisz?

— Siedzę, bo mi tam dobrze, wygodnie, ciepło, spokojnie, niegłodno! śmiejąc się poczęła Aza. I dzień, i godzinę jedną ukraść Cyganowi od nędzy i biedy swojej—tyle zysku! i to dobre! Możeszże i ty myśleć, żeby Cyganka jak ja, *raktora* (dziewczyna) pokochała takie stworzenie jak wasz pan, wymęczone, ledwie żywe, więcej doktora i lekarstwa niż kochanki potrzebujące! Oj Tumry! nie znasz mnie jeszcze!

— Kiedyś cię znałem, po cichu odezwał się Cygan wzdychając: ale któż za was zaręczy i powie co jutro będzie?

— Jabym ci przecię powiedziała co będzie jutro,

co zawsze być musi! przerwała Aza zastanawiając się.

A byli już daleko, w pośród pola, za wioską, sami jedni. I Tumry tu dopiero się postrzegł, gdy dla niej zastanowić się musiał, że nie wiedząc co czyni, odszedł za dziewczęciem od chaty, opuszczając samą jedną Motrunę! Obejrzał się zdziwiony.

— Cóż ma być jutro? rzekł z przymuszonym uśmiechem. To co dzisiaj: głód i nędza! Wy pójdziecie wędrować po szerokim *pfuſie* (ziemi), a ja przykutą umrzeć tu muszę.

— Co za mus? spytała dziewczyna: możesz pójść z nami.

— Ja z wami? powtórzył Tumry: a żona?

— Z żoną i dzieckiem! kończyła Cyganka. Alboż mało nas tak chodzi? Czegoż tu dłużej czekać będziesz? żeby cię osadzili i powiesili? Z nas jeszcze nikt nie umarł głodową śmiercią, i ty znajdziesz chleba kawalek.

— Ale ona, ona nie zechce!

— Cóż to u was *ewaszi* rządzi, nie *dadosz*? szydząc zawołała Aza. Będzieszże słuchał głupiej żony? Poszła za Cygana, niech idzie za Cyganem! przecięż i jój tu nie chcą.

— Niel po krótkim namyśle odparł Tumry: ja tego nie zrobię!

I widać było, że skrytego coś utaił w sobie, bo mu się usta zacięły nagle, gdy już już słowo z nich chciało ulecieć.

— Dla czego? napierając spytała Cyganka.

— Dla czego? chmurne wejrzenie coraz śmielęj ku niej podnosząc, odezwał się Tumry, który ją za rękę

pochwycił: dla tego może, że i tybyś szła z nami... slyszysz Aza?

— Ja? to i ja ci już wrogiem jestem? z wymówką zawołała dziewczyna.

— Nie. Ale czas ci tu powiedzieć: tybyś mnie jak *raja* (pana) tego spaliła na węgiel oczyma. Ty nie masz serca!

— O! a na cóż ci serce moje?

— Pytasz się, Azo?

— Pytam się, boś pokochał bladą *egazsi*.

Tumry spuścił oczy.

— Tyś wówczas szalała z *gadziem* także.

— 'Tak jak dzisiaj!' odparła Cyganka. Ale cóż tobie do mnie i mojego serca? Nie chciałeś mnie wprzódy, nie czas już teraz...

— Nie czas! nie czas! puszczając jój rękę gwałtownie rzekł Cygan. O! ja to wiem. No! ale ja dziś dopiero dla ciebie szaleję!

— Och! och! doprawdy Tumry? spytała, nieco jednak pomieszana dziewczyna.

— Podła! szydzisz ze mnie jeszcze!

— Nie! mam litość i pytam się tylko.

Cygan spojrział na nią z pod brwi nawistlej i umiął.

Szli tak w milczeniu długą chwilę, ale tymczasem zmieniły się twarze i myśli obojg.

Aza z szyderstwa przeszła w zwykłe jakieś zadumanie. Znać było, że siła ją odstępowała, że uczucie, któremu dotąd panowała, brało górę nad postanowieniem: oko się zasłoniło rzęsami i usta zadrżały...

Tumry z obojętności i odrętwienia przeszedł w rozmarzenie, niemal w szal zuowu, z jakim biegł niegdyś nocą do obozowiska... Nie ten to już był Cygan, który

wyszedł z chaty nie swój, zmęczony i zesłabły: pierś mu buchała, a oko gorzeć poczynąło. Kiedy dwa ich wzroki znówu się po chwili spotkały niespodzianie z sobą, Aza aż się złękła, tak nczuła się słabą, tak go postrzegła silnym i cofnęła się aż krokiem.

— Idź do chaty, odezwała się głosem drżącym: idź Tumry do chaty... zobaczymy się jeszcze.

— Gdzie? kiedy?

— Nie wiem... nie wiem! śpiesznie pragnąc a nie mogąc odejść, poczęła Aza: może dziś, może jutro...

— A ty znów polecisz do dworu?

— Nie! do oboza idę...

— Ale będziesz we dworze? zagadł Tumry, z pytania robiąc wymówkę. Wstydz się! dodał, nie dozwalając jej odpowiedzieć: na co ci ten trup na wpół zgniły? Wiesz, że nie stworzony dla ciebie, a ciągniesz go i zabijasz...

Dziewczyna ruszyła ramionami, oko jej rozjaśniło się, poczynając pałać znówu, usta tchnęły dumą i pogardą.

— A na cożemy stworzeni? spytała jakby natchniona: na samą nędzę i tułactwo, na ból i cierpienie? Nie! nie! wiedział wielki *Mroden-oro*, na co nas na świat przysłał! On nas przeznaczył na zgubę, na klęskę, na *iszczycieli gadziów*; i kazał im szkodzić, kazał na nich zabijać! Każdy z nas robi co umie, spełniając wielki rozkaz *Mroden-oro*, o którym matki mówią nam od dzieciństwa, przypominając co nas czeka. Stare wróżą i straszą wróżbami, chwytają im dzieci, zabijają młode matki, a my dziewczęta musimy ich męczyć inaczej! Ja go zamęcę! zamorzę! ja go wzrokiem zatruję!

Jakiś instynkt zniszczenia i zjadłość tak zawzięta

mówiły przez usta dziewczyny, że Tumry aż się jój przestraszył prawie.

— Mielizby oni posiąść wszystko, a my nie nie mieć prócz nędzy naszej? Za co świat podzielili między siebie, i bogactwo, i ziemię, i wodę, i powietrze? Nam też dostać się coś musiało, i myśmy robakiem, co się w ten owoc wpija, co ziarno z niego wyjadał. Niech zginie! niech zginie! dorzuciła z zapalem.

— Niech ginie! poszarpnął Tumry zamyślony, a jednak, wiesz Aza? dodał wahając się,—mnieby go żal było.

— O boś ty już nie syn *Errumanselów*, przerwała dziewczyna popędliwie: tyś *gadzio* jak oni krwią i sercem; tyś także nasz nieprzyjaciół, kiedy nad nimi masz litość!

— Szalejesz! rzekł Tumry.

Aza uśmieknęła się, a z pod warg jój różowych białe zęby ścięte, jakby kasać chciała, błysły dwoma rzędami perł.

— No! dość tego! dość tego! Do chaty niewolniku, do budy przykuty *szukela* (psie),<sup>1</sup> do żony *gadziu*... a ja do swoich.

Tumry chciał się jój jeszcze spytać, kiedy ją zobaczy? gdzie się z nią spotka znów? ale dziewczę odzyskawszy przytomność i władzę nad sobą, poniosło się jak wiatr i z oczu mu znikło.

---

Wieczorem Aza znów przeleciała pod chatą Tumrego, i pobiegła do dworu. Co ją tam ciągnęło? czy chciwość, czy ciekawość, czy w istocie ten instynkt



zemsty i prześladowania, który chwilami tak silnie się w jej sercu odzywał? Któż powie!...

Pan Adam zawsze ją witał jednakowo słaby, rozdrażniony jednakowo pragnieniem; ale od dnia pierwszego nic na nią wymódl nie uniejąc prócz palącego pocałunku, poczynił już, zwłaszcza gdy jej nie widział, gdy sam zostawiony był sobie, zżymać się i niecierpliwić.

— Co ona myśli? mówił, gdy go odbiegła i porzuciła sam na sam: zwodzić mnie tak i dręczyć do końca i znów potem odbiegać! Ludzie już nawet śmieją się ze mnie, ja sam nie poznaję siebie. Potrzeba to raz skończyć, i albo zatrzymać ją tutaj, lub precz zwodnicę, osmagawszy, wypędzić. Dosyć to już tego, dosyć.

I dodając sobie postanowienia, którego nie miał pan Adam, wciąż powtarzał, jakby się chciał przejąć słowami swemi: „Dosyć już tego! dosyć tego!”

Ale gdy śliczna dziewczyna, trochę smutniejsza niż zwykle, wbiegła do jego pokoju i zabłądziła w tej czarnej pustce twarzą pełną życia i ognia, oczyma palącemi jak zwierzęcia dzikiego ślepie, pan Adam zapomniawszy na najuroczystsze dane sobie słowo, cały się rozplątał w rozpamiętywaniu jej wdęków.

Aza nie rzekłszy słowa do niego, rzuciła się na miękkie posłanie, podkurczyła nogi pod siebie, jakby siedziała na ziemi, głowę wsparła na poduszkach, i wlepiwszy oczy w sufit, pozostała tak długi czas zamysłona.

To dozwoliło panu Adamowi nieco znów nabrać siły i przypomnieć sobie pierwsze postanowienie.

— Azo, rzekł surowiej podchodząc ku niej: no! cóż będzie z nami? Raz to potrzeba skończyć...

Ale Cyganka głowy nawet nie odwróciwszy, wciąż zapatrzona w górę, pewna swój siły, odpowiedziała obojętnie:

— No, mówże, rada posłyszę, jak się to skończyć powinno?

— Jak chcesz, byleby się skończyło, odparł, udając stanowczą wolę pan Adam. Main już dosyć twoich zwodnictw i twojego szyderstwa. Cygani niech dalej idą, a ty zostań się ze mną, lub ty i Cygani precz!

Ostatnie słowa wymówił tak cicho, tak drżąco i niewyraźnie, jakby się lękał sam ich usłyszeć, i urwał niedokonczywszy.

— Cha! cha! cha! rozśmiała się szalona dziewczyna, wciąż w sufit patrząc do góry: a gdy Cygani pójdą i ja z Cyganami, co ty tu lepszego poczniesz? O! powiedz mi proszę! Będiesz ziewał, nudził się, przebierał w brudnych wieśniaczkach, kupował sobie blade mieszcanki; może w ostatku ożenisz się raz drugi, i drugi raz cię zwiodą...

Wspomnienie to zawsze przykre dla pana Adama i niecierpliwiące nadewszystko, było jedynym może sposobem rozdrażnienia go. Porwał się z krzesła, strasznie błyskając oczyma.

— Cicho żmijol krzyknął, wpadając w uniesienie gwałtowne.

— A! a! patrzajcie! zebrał się na gniew! zimno poczęła Cyganka.

Ta obojętna odpowiedź jeszcze bardziej podżegnęła bezsilnego.

— Jeszcze słowo, rzekł, a...

— A co? zapytała Aza.

Pan Adam zatrząsł się od gniewu i chwycił się aż za włosy; nie mógł już nic wymówić, taka mu

miotła zajądłość chorobliwa. Potajemnym rzutem oka zmierzyła dziewczyna jego passę i niebezpieczeństwo, na jakie się narażała, jeśli jęj nie pohamuje, bo wiedziała już jakim był pan Adam, gdy nagle z apatyj codziennęj wpadał w szal niecierpliwości. Powstała więc powoli z uśmiechem, i nic już nie mówiąc, wlepiła weń dwoje oczu czarnych, w które z siebie sączyła jady i uroki.

Nie mógł się inn oprzeć pan Adam, bo go ścigały wszędzie i pociągały jakąś niepojętą siłą; chciał wytrwać w gniewie, perzył się i nasrażał, a czuł jak się to rozpryskiwało i uchodziło; narreszcie zwyciężony, rzucił się na krzesło w posępném milczeniu. Cyganka nie mogła pozwolić, by ją tak rychło wygnano ze Stawiska.

— O nie! powiedziała sobie w duchu: nie czas mi odejść jeszcze. Wprzódę Tumrego opętać i pociągnąć za sobą muszę. Pójdę kiedy zechcę, nie wypędzona sromotnie, ale przywoływana ze łzami. Czekaj *raju!* zapłacisz mi to we troje, zapłacisz za dzisiaj!

Twarz jęj tymczasem rozjaśniała się smętnie.

— A! niewdzięczny! zawołała: za to, że do niego powróciła, on mnie jeszcze łaje i męczy!

I uśmiech tak łagodny wykwił na jęj usteczkach, stała się tak zadumaną, powolną, tak jakoś nieszczęśliwą i strapioną, że pan Adam rozstrojony zupełnie, przypadł do nięj na klęczkach.

— A! daruj mi, przebacz, nie gniewaj się i nie płacz! Ja tyle wycierpiałem od ciebie, głowa mi się zawraca... Powiedz przecię raz: co myślisz? kochasz mię, czy nie? będziesz, czy nie chcesz być moją?

Aza potrzęsa głową.

— Czyją ja będę, to na całe życie: a kiedy się kto ma zaprzedać sam w niewolę, musi dobrze pomyśleć i serca zapytać. Nie! nie! ja ci tak prędko przyrzec nie mogę. A! widzisz, żem tu wróciła!

— Więc kochasz mnie? spytał przechodząc nagle do rozczulenia pan Adam, i biorąc rękę, którą mu opuściła Cyganka.

— Alboż ja wiem—odpowiedziała—kogo kocham, i czy kocham, i czy kiedy kochać będę? Moje serce śpi jeszcze, a kto je rozbudzi, ten posiedzie. Próbuje!

— Ale moje! rzekł pan Adam.

— Twoje niech cierpi i niech czeka!

— To dziw, doprawdy—zrywając się i poczynając przechadzać, mówił sam do siebie pan Adam—z kąd się to proste dziewczę me, tego wszystkiego nauczyć, i słów tych, i myśli, i tej sztuki zalotniczej, którą lepiej od naszy... umie? Wyraźnie robi sobie ze mnie zabawkę!

Zapobiegając przewidzianemu buntowi, Aza, której się przechadzka pana Adama po pokoju nie podobala, pragnąc go silniej ku sobie przyciągnąć i wybić mu z głowy niewczesne zamiary, z którymi się wymówił z razu, skinęła nań i chwyciła. Wiedziała czém go ukołysać, czém ująć i przynęcić: uczyniła się piękną, pouętą, zamyśloną, i posadziła niewolnika u boku swego, dając mu obie ręce, a głowę nie dbale skłaniając na jego ramię.

I czarodziejka zawładła nim znowu z łatwością; a pan Adam zapomniał, że przed chwilą srożył się na nią i wypędział.

Tak mu było rozkosznie z tą główką zbliżoną do

ust jego i spoczywającą przy piersi, w atmosferze jój oddechu i wejrzenia... Zamilkli oboje.

A w téj chwili, dwoje strasznych oczu czarnych przez gałęzie bzu i szyby okna wkradło się do przyściemnionego pokoju, i poczęły w nim zapalczywie szukać, na kimby spoczęły.

Dziewczyna jakby ich ukłócie poczuła nad sobą, wstrzęsła się i poruszyła, nie wiedząc sama co ją zbudziło wśród gnusnego jakiegoś marzenia. Zerwała się, ale już było za późno!

Tumry, który śledząc jój kroki przybiegł za nią do dworu, szpiegując ją i Adama, zobaczył ich oboje w niemym spoczywających uścisku, i ściskając pięście, odskoczył od okna zajadły.

— A! zawołał, zabiję ich oboje! zabiję, podpale dwór, puszcę w popiół wioskę całą... niech gina! Ta nędznica zwodzi mnie, wodzi jego, radaby męczyć świat wszystek! Za co ten człowiek ma ją sobie przywłaszczać? za co on tak szuka wy, a ja tak nędzny? za co ci gadziowie mieć mają nawet z naszego dobra najlepszy kęs? Przekłęci?

Mówił a patrzył, choć obraz, który miał przed oczyma palił go zemstą i boleścią, i nasyczał się nim, oderwać nie mogąc od widoku burzącego mu piersi. Aza tymczasem podniosłszy głowę, spuściła ją znowu na ramię obłąkanego Adama.

Dumali tak we dwoje, i z ust Cyganki, najprzód ledwie dosłyszana, cicha, wyrwała się piosenka lat jój młodych, dobrze znajoma Tumremu, budząca w nim wspomnień tysiące. Powoli wysnuta z ust i piersi, ożywiać się poczęła. stawała się coraz głośniejszą, coraz weselszą, nową męczarnią karmiąc Cygana. Bolał a oderwać się nie mógł; niewyraźne słowa, któ-

re sam tylko rozumiał, pełne ognia i namiętności rozpasanej, chwycił uchem, polykał oddechem, bojąc się stracić jednego.

Czegoż bo tam nie było w téj dziko-tęsknój a miłosnój do szalu pieśni cygańskiej!!

Tumry przypominał sobie wszystkie miejsca, gdzie kiedy w życiu ją słyszał; całą swoją dolę od kolebki, i cierpienia młodości, i losy swoje i Azy, która pod okiem jego rosła z dziecięcia w dziewczkę, dziewczę, w czarodziejkę.

I zapamiętawszy gniewu na jedną chwilę przelotną, zadumał się: zkąd mu przyszła ta niespodziana miłość, której wprzód nie czuł w sobie ani zarodka? z czego się urodziły tęsknice do żywota niedawno w jego oczach przekłętogo i nienawistnego? i jak się mógł zmienić tak bardzo, by tak strasznie nieszczęśliwym zostać?...

— Al! to są chyba czary, rzekł wzdychając: to urok rzucony na nieszczęście i zgubę moją, to zła ta Romów. Wleli w jój oczy jad, żeby z nich spłynął w serce moje! Chcą zatracić mnie, i żonę, i dziecię moje, nasyłając na nas obłądy, tęsknicę i głupie pragnienie! Aza powoli zabije mnie jak wąż wzrokiem; nie żyłaby prawdziwa krew cygańska, gdyby czegokolwiek od kogo nie kradła!

Powroce do chaty! zawołał, odwracając oczy.

Ale wtém nowa zwrotka pieśni przedłużającój się jeszcze, doszła do jego ucha, i zastanowił się Tumry.

Jak we śnie ciągnęły przed nim mary poczepiane do słów piosenki, i coraz głębiej a głębiej cofał się za nimi do dni dzieciństwa, płonąca głowę w dygoczących ściskając dłoniach...

— O! przekłeta! przekłeta! wołał: ona czuć musi

i wiedzieć, że ja tu jestem, że ję słucham, i pieśnią iprzykuwa mnie do siebie, trzyma, a serce wydziera... Pójdę!...

I począł uciekać, ale drżały pod nim nogi, i ledwie przemagając urok, który go trzymał u okna, powlókł się do swojej chaty.

Tu pusto było i smutno jak zawsze; ale stara Jaga wróciła była do obozu, i Motruna ściągnęła się z łóżka z dziekiem u piersi, rozpoczynając drugą część życia, którego pierwszej chciała zapomnieć. Stała się już matką tylko i żyła dla téj dziewczeczki, która w snach powicia nie wiedziała jeszcze, na jaką przyszła w świat nędzę.

Zaledwie wstawszy na nogi, potrzeba było Motrunie znowu zacząć myśleć o chacie, o dziecku, o mężu, który codzień bezczynniejszy, bezwładniejszy, mniej ję dopomagał, całe dni trawiąc przyrosły do ławy i jakby na pół senny.

Jeszcze chora, poniosła najprzód dziecinę do chrztu, a nie było ję komu za kumów posłużyć, i dwoje dziadów musiał ksiądz wezwać prawie siłą do tego obrządku, bo nikt z dobrej woli kumać się nie chciał z Cyganichą.

Z niemowlęciem u piersi, biedna Motruna powlókła się potem pod drzwi ojcowskiej stodoły, spodziewając się tam znaleźć może młodszego brata. Szczęściem dla nię, wychodził właśnie z kulem słomy na plecach, gdy mu zastąpiła drogę.

— O! Filipie braciszku, zawołała chwytając go za swię—zaczekaj chwilę, niech choć twój głos usłyszę.

Filip się uląkł siostry, ale zatrzymał.

— Czego ty chcesz? spytał.

Motruna zaczęła od płaczu, wśród którego ledwie przemówić mogła.

— Patrz, rzekła nakoniec miejcie litość, kiedy nie nademną, to nad moją dzieciną. Nie mamy już co jeść w chacie. Tumry opuścił ręce, jakby go na śmierć prowadzili, do niczego się nie bierze. Jeszcze na biedę Cygani przyszli i głowę mu zawracają; pełna ich chata! Ja się tak boję, a on ani zważa!

— A cóż ja ci poradzę? spytał Filip.

— Dajcie co choć dla dziecka! Ja głodna i ono się nie pożywi odemnie. Gdyby choć muleka kropelkę, gdyby choć codzień kawałek chleba!

Filipowi łzy zakręciły się pod powieką, jakoś mu serce zastukało w piersi, i zawołał nie namyślając się długo:

— No! chodź za mną!

Skwapliwie rzuciła się za nim Motruna, z trochę słabiej nadziei. Filip dźwigając słomę, wprost zmierzał ku chacie, a posłyszawszy siekierę Maksyma, ładującego wóz pod kłecią, zrzucił kul z ramion, i skinął na siostrę, by szła z nim razem.

Zdawało mu się, że dość było biedną Motrunę pokazać bratu, żeby w nim litość obudzić. W istocie nie było to już owe śliczne, hoże, rumiane dziewczę, o które wszyscy parobcy we wsi rozbijać się myśleli; zwiędła, blada, schorowana i zamęczona, starą się stała przedwcześnie. a ślady wdzięku i młodości starły cierpienia do szczętu, wyniosło z sobą znużenie.

Gdy Maksym podniósł głowę na głos Filipa i zobaczył siostrę, nie poznał jej z razu, tak straszliwie ujrzał ją inną. Ona przybliżyła się do niego, ukazując dziecinę zapłakaną, i słowa powiedzieć nie mogąc, do nóg mu upadła. Maksym odstąpił kilka kroków.

— Po co ty tu? zapytał, dodając sobie gniewu, którego nie miał, bo go złamał widok tej nędzy.



— Żebyś zobaczył, coście z nas zrobili, odparła Motruna.

— My? rzekł jakając się Maksym: nie my, ale wy sami! A po cóż się było sprzeciwiać woli ojca? Pan Bóg cię skarał Motruno!

— A czyż już kary nie dosyć?

Maksym cały był pomieszany; widać było, że sam nie wiedział jak sobie poradzić, i szukał sposobu, by się z tego przykrego położenia wywikłać.

— Ratujcie mnie choć teraz—odezwała się Motruna—jeśli nie czém inném, to chleba kawałkiem, bo i tego nie mam...

— Chleba już nie nadawać, odpowiedział Maksym; a i u nas go nie ma nadto: rok był nieomlotny, a u nas semia duża; ledwie do nowego wystarczy. Na co się wam upierać i tu koniecznie siedzieć, kiedy gdzieś indziej zapracować możecie?

— A chata? a sadyba? spytała siostra; a tyle naszego harowania kolo niej? Zresztą, mój bracie, jak mnie tam pójść w świat za nim?

Nie chciała powiedzieć biedna, że go się codzień więcej lękała: tak się jój zmienił, tak zdziczał, tak zcyganiał.

— Filipie, rzekł Maksym, dajcie jój miarkę żyta; tylko żeby żonka nie widziała, bo i u nas niewiele, a gąb dosyć... Idźże już Motruno!

— I tak mnie odprawiasz, bracie?

— Nol nol dorzucił Maksym: bylebyś się Cygana pozbyła, choćby poszedł do licha, byłaby może jaka rada... ale z Cyganem my nigdy nie będziemy mieli druzby, to darmo! Ojciec przykazał, gromada postanowiła, pan prosił i uaglił, a nie ustąpiliśmy, to i nie ustąpimy!

Jakkolwiek Maksym nie obiecywał, sama zmiana mowy jego zapowiadała, że się wahał i chciałby coś zrobić dla siostry; nie nalegając więc, odeszła Motruna spokojniejsza, myśląc przyjść po żyto później, i zostawiając je nmyślnie, żeby po nie do chaty i braci drugi raz zajrzeć miała prawo.

Na drodze spotkała się z Jankiem, który kulawe go i upartego wołu pędził powoli ku zagrodzie.

— A zkądże to Motruno? zapytał przyjaciel—i dokąd to kochanie idziecie?

— O! jak my ciebie dawno, pocziwy Janku, nie widzieli! weselęj odezwiała się kobieta.

— Nie mam ja tam po co chodzić do was, bez ogródki odparł chłopak. Myślałem z początku, że to co pocziwego ten twój Cygan, a to taki szelma jak i drudzy... Żebym był tobą, porzuciłbym do licha niewiarę, niechby sobie wędrował ze swoimi, albobym poszedł i nie wrócił, bo nie ma po co...

Motruna cała drżąca stanęła.

— Cóż on zrobił? spytała; ja nic nie wiem?

— Dobra z ciebie kobieta, żeś ślepa; chciałbym i ja wziąć zkąd taką żonę! A toć ten łajdak za Cygankami lata jak parobek, domu nie pilnuje, a co mógłby do Rudni pójść na zarobek, to się włóczy po polach, albo w chacie drzemie. Już ja tam do was i nie zajrzę, bom zły. Bywaj mi zdrowa Motruno!

To mówiąc podniósł gałąź na wołu, który się paść zaczął, popędził go i poszedł dalej.

---

Gdy po wierzchu patrzymy na życie, jak potężne w nim różnice! jak wielkie stopniowanie losów w różnych klasach społeczności! a w miarę ich wykształcenia

i obyczajów, jak pozornie odmienne uczucia, zajęcia, namiętności! Ale wewnątrz odarłszy z szat misternie narzuconych czynności i sprężyny ruchów, jak dziwnie na jedno bolejem wszyscy! płaczem, radujem się i unieramy jednakowo! Też same tu i tam choroby serca, też boleści duszy i ułomności natury, te same nadzieje i zawody... W ich objawieniu się na zewnątrz cała różność tylko; w głębi, człowiek człowiekiem wszędzie, i dla tego na najniższym szczeblu społeczeństwa prawdziwszy tylko, dobitniejszy, ale ten sam znajdziemy obraz zo w górze. Pozmieniano nazwiska, pochrzczono przystojniej czynności, poprzypierano namiętności wstydlive; ale je poznasz po skutkach—wszędzie toż samo i toż samo.

W chacie wieśniaczęj tylko mniej komedyi, na którą nie ma czasu, lub komedia odegrana nieuczenie instynktownie, jak owe włoskie improwizacye sceniczne; a w pałacach sceny dłuższe, rozwiązania mniej burzliwe, choć czynność ta sama.

Rzadziej wprawdzie pod strzechą słomianą rodzą się gwałtowniejsze uczucia, ale raz powstawszy, śnieleją i rączęj idą do celu, niż tam, gdzie wszystko przywykło się ukrywać i maskować.

W chacie Tumrego nie było pokoju, nie było marzonego niegdyś szczęścia. Już przed przybyciem Cyganów wygnały je wspomnienia, zawsze następujące po nagłej a zupełnej zmianie życia, w którą człek rzuca się nieuważnie, a odpokutować musi żalem i tęsknotą. Serce Motruny od narodzenia dziecięcia do niego należało wyłącznie; a Tumry zobojetniały, ostygły, ku sobie już go nawrócić nie mógł. Motruna domyślała się przywiązania jego do Azy, o którym i stara Jaga jej plotła nieuważnie, ale tyle była hardą iż

ze słowem wymówki odezwać się nie chciała. Boleść swoją zamknęła w sobie, i cała poświęciła się dziecku, wyrzekłszy się innej przyszłości, przewidując za wczasu, że ten, dla którego tyle wycierpiała, porzucić ją musi i stać się niewiernym.

To poddanie się losowi Motruna winna była instynktowemu, wyłącznemu przywiązaniu do dziecięcia, w którym potrafiła zamknąć życie całe.

Tumry też od téj nocy, w której powstał z łoża nieprzytomny, ścigając obóz cygański, tak był obojętny, tak zimny, tak dziwnie zmieniony, że próżném się zdawało chcieć go dawnemu i czynnemu życiu przywrócić. Jak gdyby wysiłek pracy go zmógł, jakby upadł na sił ostatku, błakał się bezczynny, zdziechały, nie widząc nic w koło siebie, nie słysząc ani śpiewu matki nad kołyską, ani płaczu dziecięcia. Nigdy z troską ojca nie pochyliło się czoło jego nad niemowlęciem, na które roztargnioném patrzył okiem; krzyk jego budził go czasem, ale do serca nie dochodził.

Motruna więc, choć niby nieopuszczona przez niego, w istocie sama była na świecie; a słowo litości starszego brata, wątplą, jedyną dla niej zostało podporą.

Cygan to chmurny siedział na ławie, to latał całemi dniami szpiegując Azę, kłując ją, ale szukając czarownicy.

Ostatniego dnia, gdy przytulony do szyby zobaczył ją z głową zawieszoną na ramię Adama, gdy pieśń stara cygańska rozkołysała go do reszty, nie miał już siły powrócić nawet do domu, choć go tam wołało sumienie. Poszedł do chaty, odetchnął jój ciężkiem powietrzem, i wybiegł w pole jak pies oszalały, krę-

cąc się bez celu, i nogi go same powiodły pod obóz Cyganów.

Gromadka *Romów*, pod nowém panowaniem Puzy, wystawiała jeszcze większego nieładu obraz, niż przedtém; a Aprasz, dawny jój dowódca, z uśmiechem sztyderstwa spoglądał na to, co się tu działo. Ale i on także się zmienił do niepoznania w krótkim przeciągu czasu. Zdawał się zgadzać ze swoim losem i spodziewać się czegoś od przyszłości razem; posługiwał miłcząc tym, którzy go wczoraj słuchali ze drżeniem i niekiedy tylko błysk oka, ruch ust zdradzał niewygasłe uczucie dumy lub zemsty pragnienie. Pod namiotem nie było ruchu jak dawniej; nicch leżał wywrócony, kowadło było na wozie, narzędzia kowalskie na kupę zwalone; nikt nic nie robił prócz Aprasza i kilku starych bab, krzątających się dość leniwie i kłótliwie około kociołka. Wszystkiego dostarczano ze dworu, a ufnie w opiekę Azy stare Cyganki, dokazywały po wiosce, wydzierając co mogły, i panosząc się łatwowiernością ludu, z którego się śmiały.

Puza jako nowy pan, nadużywał swój władzy i swobody świeżo zdobytej, całe dni nekając Aprasza, lub z fajką w zębach spędzając je u ogniska na drzemaniu.

Gnusny spoczynek podobał mu się i całej bandzie, a dzieci nawet korzystały z niego, bezkarnie plondrując po okolicy. Aza, która rzadko i na krótko zaglądała do obozu, nie postrzegła co się w nim działo; ale codzien widoczniejszą było rzeczą, że wkrótce zabraknie Aprasza, i Puza nie potrafi rządów w nieprzywykłej trzymać dłoni.

Tumry przywłókszy się pod obozowisko, zatrzymał się przy *werdenie* (wozie), pod którym na gołej

ziemi, wsparty na żyłastój ręce, leżał samotnie opodal od drugich stary Aprasz. Spojrzał na niego, spotkały się ich oczy, ale obaj byli zarówno nieszczęśliwi, i dawna ich nieprzyjaźń zagasiła w sercach, przytłoczona nowymi silniejszymi wzruszeniami.

W wejrzeniu ich nie było gniewu i nienawiści. Stary Cygan zobaczył na twarzy Tumrego tak wyraźne ślady znękania i rozpacz, dochodzącej prawie do obłąkania, że się uczuł dość za dawne przewinienia pomszczonym; a Tumry widząc upokorzonego *dadosa*, w najgorszym miejscu na gołej leżącego ziemi, nie miał już serca więcój mu się naigrawać.

— Ha! rzekł z cicha uśmiechając się Aprasz: za-błąkałeś się tu znowu, trudno ci już usiedzieć w chacie.

— Nie lepiej tobie w obozie! odpauł Tumry.

— A kto wie!... rzekł *dados*—tybyś się może jeszcze na moją biedę pomieniał.

— A ty na moją? spytał młodszy Cygan.

— O! nie! odrzekł dumnie trzęsąc głową dowódca: jam jeszcze dziś swobodniejszy od ciebie! Chciała ta *byńk'a ciał*, chciała gromada, żeby Puza dowodził: niech popróbują, zobaczymy co dalej będzie. Mężą mnie jak mogą, alem ja do pracy przywykł; łają, ale ich nie słucham i śmieję się. Cóż mi tak złego zrobili?

— Jak to! nie przeklinasz swojej doli? spytał Tumry.

— Na co tu kłąć, gdzie potrzeba cierpieć! *Buherisom* mi nie dokucza (głód), *piri* (garnek) co rano i wieczór przy ogniu, a *peher*; nie jednoż mi wodę nosić i drwa rąbać lub kuć młotem!

— Ale ich słuchać!

— Prawda, pocałował stary Cygan: temu, co rozkazywał całe życie, słuchać z razu nie lekko; ale jakoś i tego nauczyć się można.

Tumry westchnął.

— A stracić nadzieję, kiedy się ją miało, jak ty, coś Azę w rękę trzymał?

— *Egaszi* jest jak *gwieka* (kobieta jest jak wąż), odparł Aprasz powoli; któż ją kiedy miał w rękę? Trzymasz: ani się obejrzysz jak ci się wysłiznie i ukąsi.

— Chybaś jęj nie kochał, stary?

— A tyś ją podobno pokochał za późno! szydząc odparł zmęczony dowódca. Dla mnie to była nie pierwsza miłość. Tyś się na swojej nie poznał; ja tę chorobę nieraz już przebolełem, ty dopiero na nią chorować zacząłeś. O! o! nie zazdroszczę ci, bo jeśliś ją pokochał, to ci zaleje za skórę.

— To szatan kobieta! (*Bynk egaszi*), zamyślony odparł Tumry; któż wie co ona myśli? kto wie kogo kocha? kto powie co zrobi jutro?

— Jak kobieta, rzekł Aprasz zimno; a któraż z nich inna? Czy *Ranni*, czy *gadzia* (Cyganka, czy obca), wszystkie one jednakowe, jednej matki córki...

— Nie! takić jeszcze na świecie nie było!

Aprasz przewrócił się na drugi bok i rozśmiał się głośno.

— Lata do obozu, lata do dworu, wabi kogo spotka, znęci każdego, a z kamienia sama.

— Zachciałeś! młodość w niej szaleje. Jabym jęj to wszystko darował, gdyby tylko chciała być moją!

W tych słowach przemawiało samolubstwo starości, która się spodlić gotowa, by jeszcze użyć choć

trochę. Tumry porwał się oburzony, nie pojmując tego uczucia.

— Ja! jabym ją za to zabił, gdyby moją była!

— Toś ty widzę na prawdę dla niej oszalał, Tumry! Dobrze ci tak! rzekł Aprasz.

Cygan umilkł.

— Z kolei — dołożył szydząc Aprasz — może kiedy będzie i twoją, gdy jęj panicze nie zechcą, a przyjdzie do głowy przytulić się do Cygana i zagrazać się przy czarnéj jego piersi...

— Nie! nigdy! gwałtownie przerwał młody Cygan: bo gdyby potem uśmiechnęła się tylko innemu, tobym ją jak psa zabił!

— Gdybyś jak ja miał z górą pięć lat dziesiątków — powoli odpowiedział Aprasz, przeżuważając liść tytoniu — inaczéjbyś patrzył na te rzeczy. Nie widzialesz Azy po wyjściu ze Stawiska i twojéj udeccze, więc nie wiesz jeszcze, jaki to szatan dziewczyna! Nie policzyć ilu chłopcom sprzedawała pocałunki i uśmiechy po drodze, ilu ich wlokła za sobą i jak im przewracała głowy. Nieraz i mnie staremu zazdrość poczyniała gryźć serce spróchniałe; alem sobie mówił: zaraz: byleby moją była, darowałbym jęj to wszystko! Bo i w istocie ten szatan zwodzi tylko, żeby męczyć, ale nie da się wziąć nikomu. Zdaje się, że szalenica jak jeść, pić i oddychać, tak zwodzić, męczyć i drażnić potrzebuje. Łapałem ją nieraz jak poczwarnego Puzę i prostych chłopów czarowała oczyma, żeby tylko nie próżnować, a potem, potem na całe gardło się z nich śmiała!

Tumry potarł kroplami potu zroszone czoło.

— Więc jęj na chwilę wierzyć nie można?

— Wierz jęj, gdy zła, ale gdy ci oczyma powiada



o sercu swoim, ustami zaręcza, że kocha — pluń jój w twarz jak kłamcy, bo kłamie!

Cygan wstał z ziemi i westchnął, a Aprasz z pod wozu spojrzał tylko za odchodzącym, i tak się rozstali milczący.

Znowu błęduym krokiem włókł się Tumry bez drogi, stając, zatrzymując się, biegnąc jak szalony.

— Ha! wołał sam do siebie: nie ma co myśleć dłużej; potrzeba skończyć, kiedy tak żyć ciężko... Widziałem jój głowę na piersi tego zgnilego trupa, i nie chcę nic widzieć więcej. Ani mi powrócić do Cyganów braci, ani żyć z *gadziami*, którzy jak psa odpychają. O! stryczek na szyję i *Bynh'u* oddać duszę...

Myśl ta, która już nieraz przelatywała mu przez głowę, teraz w uiej silniej niż kiedy uwiezła. A życie stało się mu tak ciężkiem i nieznośnem, że dalej dźwigać go nie mógł. Motruny nie kochał, dziecię dla niego było obojętne, nędza dojadła, Aza zdradziła... na jutro nic nie zostało, prócz śmierci.

I lżej mu się zrobiło po tém postanowieniu, jak człowiekowi, który płynąc po długiej burzy na morzu, nareszcie choć brzeg skały zobaczył.

Uśmiechnął się dziko i schwycił za pas czerwony, który już w myśli za stryczek sobie przeznaczał. Był to welniany pas, wysnuty i ufarbowany ręką biednej Motruny — żona przyszła mu przezeń na pamięć.

— I jój też lżej będzie, rzekł w duchu. Bracia ją przyjmą, dwór i gromada, byle Cygana nie stało, wykarmią sierot dwoje! I ta nie zapłacze po mnie. Na cóż żyć, żeby ludziom ciężyć i sobie!

Obejrzał się po niebie i po świecie, a chmurno

jakoś było, i wietrzno, i smutno jak w przeddzień śmierci; w mrokach i we mgłach okolica wydawała się pustą i dziką. Już miał odpiąć pas i sięgał poń, szukając okiem gałęzi, choć w około czyste rozciągało się pole, gdy żywy krok dał się słyszeć, i z za pagórka wybiegła pędem lecąc Aza.

Tumry aż odskoczył gdy ją postrzegł, i włos mu się najeżył.

— A ty tu? zawołała z uśmiechem. Chodziłeś widzę do obozu; czyś czekał na mnie?

— Czekałem na ciebie — gorzko odpowiedział Cygan — żeby ci w oczy plunąć raz jeszcze, i więciej nie widzieć!

— Co ci się stało Tumry?

— Nic, tylko byłem pod oknem dworu, kiedyś śpiewała:

„*Tłowara Jag!*”\*)

— I słuchałeś pieśni? spytała obojętnie dziewczyna.

— I patrzałem jakieś spoczywała na ramieniu *raja* Adama...

— Trzebaż było dopatrzeć do końca! z gniewem odpowiedziała Aza: byłbyś widział, jakieśmy się rozstali!

— Lub jakieście się zeszli? spytał Cygan z pogardą.

— Tumry, tyś doprawdy oszalał! tupiąc nogą z gniewem przerwała Cyganka.

— Nie, alem się wytrzeźwił! krzyknął Tumry — i myślę skończyć dobrze!

---

\*) Początek cygańskiej pieśni od słów: „Palić ogień.”

To mówiąc, rwał w rękę swój pas czerwony.

— Ale doprawdy głowa ci się zawraca! poczęła Aza, przestraszona rozgorączkowaną twarzą i ponurym wzrokiem Tumrego. Co ty myślisz?

— Myślę pójść do lasu i powiesić się... rzekł Cygan spokojnie. Jak ci się zdaje, wszak dobrze zrobię?

— Dla czego? dla tego, żem się dała uścisnąć temu schorzałemu, staremu dziecku! odparła kobieta.

— O! o! nie myśl-no znowu, żebyś się wieszał dla ciebie! przerwał Tumry, wciąż rozwiązując pas, którego rozplątać nie mógł. Dość mi i bez tego życie dojadło, a tyś tego nie warta!

Aza stała coraz bardziej przestraszona, i spostrzegłszy, że gniew nie pomaga, że rozkaz byłby daremny, poskoczyła z namiętnością do Cygana; ale Tumry zdala ją odepchnął wzrokiem i ręką.

— Precz gadzino! rzekł: precz!... Idź, sprzedaj się komu chcesz i za co chcesz! Ja nie mam cię kupić za co!

To mówiąc, odwrócił się i pobiegł w las, do reszty oszalały i rozmarzony boleścią.

---

I znowu leciał przez pola, jak niegdyś do obozu Cyganów, a nie czuł jak przebiegał przestrzenie, nie słyszał krzyku dziewczyny, która goniła za nim, nie wiedział kiedy ciemna gąszcz lasu go otoczyła. Skrowią uderzył o pień dębu i upadł krwią złany...

Po nad nim szumiał wicher i burza, łamały się gałęzie, przelatywały kruków stada, spędzone zawie-

ją dżdżystą. Tumry w odrętwieniu całą noc tak na mokrą przeleżał ziemi. Dopiero ranek i świtanie, chłód dnia i znużenie ostateczne, otworzyły mu oczy senne i oprzytomniły nieco. Ale z pierwszym blaskiem zorzy, myśl wczorajsza zakończenia samobójstwem przypła się znowu, wracając do serca.

Chwycił pas czerwony, którego nie puścił z dłoni ściśniętej konwulsyjnie, i błąkać się począł, szukając drzewa, wybierając gałęzie; gdy wtém przysłała mu na pamięć owa opuszczona buda w lesie, którą mu Janek pokazał, i poszedł szukać przekłętego miejsca na czynność przekłą.

Ale obłąkanemu niełatwo było pokierować się w borze, którego głębi nigdy nie znał dobrze, a teraz znaleźć się w nim całkiem nie umiał. Szedł i powracał, błądził, nużył się do ostatka i byłby może skończył na pierwszej krzywej sośnie, gdyby stara chata rozwalona nie pokazała się jakby cudem nagle, wśród gęstych zarośli.

Stanął więc nareszcie u kresu i uśmiechnął się sam do siebie, poczynając szybko szukać miejsca w upadliskach przegniłych starój budy strażniczój.

Jedna z belek, na którą pas zarzucić nie było trudno, trwalsza jeszcze od innych, które już zbutwiały leżały. zdała mu się jakby umyślnie pozostała dla niego. Nie wahając się więc, rozwinął pas czerwony, i końcami jego począł opasywać ją zręcznie.

Wtém, gdy stryczek wiąże i rozszerza, a węzeł mocuje, słyszy dziwny śmiech za sobą.

Spojrzał przełękły: na pniaku wprost przeciw budy, której ściany całkiem się były rozwały i słupy tylko trzymały jeszcze szkielet budynku, głupi Janek zasiadł, patrzy i śmieje się.

— Dobry dzień ci, Cyganie kochankul zawołał Janek, kłaniając mu się dziurawym kapeluszem słomianym. Choć raz przecię rano do roboty wstałeś! A co? jak to dobrze, żem ci miejsce to pokazał, jakby umyślnie na urząd zrobione dla ciebie!

Tumry stanął osłupiały, puszczając z rąk pętlę.

— Nie! nie! nie przerywam — kończył parobek — nie przeszkadzam, rób swoje: chcę się tylko przypatrzyć, jak się to robi, na przypadek gdyby się to i mnie przytrafiło kiedy. Rób, kochanie, swoje, ja cię pewnie nie oderznę, nawet kozika nie mam w majątku.

Cygan znów ręką drżącą począł wiązać, rozwiązywać pas, i jakiś go wstyd ogarnął.

— Ja zawsze myślałem, Cyganku kochanie—mówił dalej powolnie Janek — że ty musisz tak kiedyś skończyć; ale się nie spodziewałem, żebyś to sam sobie przyrządził, i tak pośpiesznego! No! no! to i lepiej. Kończże, kończ, nie bałamuć! Ja dopiero jak dobrze zastygniesz, dam znać do wioski, żeby daino nie wiedzieć gdzie nie szukali.

— Pójdźże precz, Jankul krzyknął Cygan. Nie naigrawaj się ze mnie w ostatniej godzinie...

— A któżby to śmiał z tak wielkiego pana, co życie ludzkie trzyma w ręku, żartować sobie? Godziłoby się to? spytał Janek. Cyganku kochanie, nie sromaj się przedemną, my dawno znajomi: rób swoje!

— Janku, daj mi umrzeć spokojnie! wyjęknął Tumry.

— Alboż ja przeszkadzam? Chowaj Boże! Gdybyś się mnie spytał, co masz robić? jabym ci był toż samo poradził! Motrunie, świętej kobiecie, pewnie le-

pij będzie bez takiego darmożjada; a tobie wygodniej na stryczku niż w chacie, po której głód za tobą chodzi krok w krok jak u siebie... Ale ba! rozśmiał się Janek po chwili milczenia: tyś filut! płaczesz, płaczesz, a powiesić się nie potrafisz! Jaby ci z serca pomógł, ale powiadają, że za to bieda być może. Dawaj sobie sam rady! Nie mądraż to rzecz kulkę zrobić, szyję włożyć, a pod nogi lada pniaka podsunąć i... i...

Tunremu słowa te szumiały tylko w uszach jak szelst leśnych gałęzi; rozumiał tylko, że w nich było urągowisko.

— Ale ty bo Cyganku kochanie — kończył zimno Janek — tylko sobie żartujesz i próbujesz, a darmo mnie zwodzisz! Tyś widzę tchórz i tego nie zrobisz!

Ostatniemi słowy, które doszły do uszu Tunrego, dopełnił miarki parobek. Cygan nie patrząc już na niego, nie słuchając go, żywo założył głowę w stryczek, odrzucił nogą zguiły kawałek belki, na który się wspiał, sięgając do węzła — i zawisł z okropuém miotaniem się w powietrzu.

Parobek ani mrugnął. Wstał po chwili, uklonił się trupowi, i powolnie zwrócił drogą ku wiosce.

— Dobrze zrobił... rzekł w duchu do siebie. Na co mu było żyć, kiedy i sobie i drugim na nic się nie zdał, zawalidroga! Sprawiedliwy człowiek, osądził się i sam bez kłopotu wyprawił duszę do piekła! Motrunie i sierocie lepiej będzie, a Cygana niewiary nie pożałuje nikt... prócz mnie może. Niezły był człowiek, gdyby się Cyganem nie urodził... bo jak chatę budował, to było na co patrzeć, — i gdyby go szatanica z czarnemi oczkami do reszty nie zbałamuciła, kto wie!... Ale pod koniec ja sam miałem och-

tę zarzucić mu stryczek na szyję... ale tak ot! i koniec. Wdowa! albo się kto z nią ożeni, albo sobie i tak da radę!

To mówiąc, Janek narzucił na plecy trochę gałęzi, które był wprzód przysposobił, i śpiewając coś pod nosem, spokojnie, powolnie powlókł się do domu.

---

Późno już w noc Motruna siedziała w chacie przy ognisku, kołysząc dziecię w zawieszonym od pułapu koszyku, który dla niej za wczasu przygotował głupi Janek. Smętna jakaś śpiewka lat młodych zabłąkała się na jej usta dla uspienia niemowlęcia; ale myśł daleko była od pieśni!

Cały dzień prawie nie widziała Tumrego, i niepokój poczynił ją chwytać za serce, choć teraz od przybycia Cyganów, codzień mniej, codzień rzadziej przebywał on w chacie. Zwykł był jednak zawsze choć na noc do lepianki swój powracać, a słowa czasem nie przemawiając do żony, zasypiał przynajmniej na ławie, i Motruna słyszała go stękającego w snach burzliwych.

Pora zwykłego powrotu do domu dawno była przeszła, na dworze wył wicher ostry, burza jesienna trzęsła kruchą lepianką, a biedna kobieta coraz troskliwiej otulając dziecię, podsycając ogień, nadstawiała ucha, czy w pośród szumu nie usłyszy skrzypu drzwi od sieni i stąpania na dworze.

Ale napróżno czekała, przysłuchiwała się, drżała, bo nikt nie przyszedł do chaty pod cmentarzem, — i pomyślała wreszcie, że Tumry zanocować musiał

z Cyganami. Gdy dziecię usnęło, ona nie kładąc się, zdrzemnęła także u ognia i kolyski. Sen to był jednak ciągle przerywany niepokojem; najmniejszy szelest przebudzał ją co chwila, i gorączkowym drżeniem do zaranja się męczyła. Spodziewała się jeszcze, że Tumry powróci nadedniem; oczekiwała go, wychodziła wyglądać, a nie było i nie było.

Słońce weszło i podniosło się wysoko. Motruna uwijała się z dzieciną i ogniskiem, ale co chwila odskakiwała od nich to do okienka, przez którego szyby mało co widać było, to do drzwi, przez których szparę pusta droga wyglądała tylko. Niepokój jój poczynął dochodzić do najwyższego stopnia.

— Miałeby już nigdy nie wrócić? mówiła łamiąc ręce. Mielizby go całkiem pochwycić i uprowadzić z sobą Cygani? Mógłzeby on mnie bezsilną, samą z dzieckiem porzucić na zawsze? A! to niepodobna! On chyba zachorował, legł gdzie w polu; może mu się co stało? Potrzebaby posłać, szukać; ale kogo prosić o to?

Przyszedł jój zaraz na myśl głupi Janek, i byłaby pobiegła do niego, gdyby wiedziała gdzie go znaleźć. Wziąwszy nareszcie swój drogi ciężar na ręce, już się wybierała z chaty, kiedy w samym progu ze starą Jagą się spotkała.

Nawet Cygance rada była wśród tego niepokoju, i powitała ją szybkim pytaniem:

— A! nie wiecie tam? nie wiecie wy co się z moim stało?

Cyganica ruszyła ramionami i zbliżyła się tajemniczo do ucha kobiety.

— Wczoraj w wieczór był u nas... był... ale jak szalony... Widzieli go potem latającego po polach...



Aza mi powiedziała, że ją złażał, zbeczcześcił za jakieś głupstwo, i odgrażał się, że sobie co złego zrobi.

— Ach! krzyknęła Motruna, w której sercu odezwalo się dawne przywiązanie, biegnijmy go szukać!

— Dalibyście pokój, wstrzymując ją za rękę, rzekła Jaga: to darmo! Co się miało stać, to się już stało, bo od wczorajszego wieczoru do południa wiele wody upłynęło. Lepiej się przygotowujcie za wczasu do płaczu, bo pewnie musiał sobie życie odebrać!

Jaga tak zimno i bezlitośnie wymówiła te słowa, że Motruna aż krzyknęła uderzona niemi.

— O ja nieszczęśliwa! ja nieszczęśliwa!...

— No! a cóż robić? zimno poczęła baba. Ot, jeszcześ młoda, radę sobie dasz i drugiego znajdziesz! Aby młodość!

Pociecha również była przerażająca jak domysł starłej Cyganki; ale spojrzawszy na ten wyschły szkielec, trudno się było po niej czego innego spodziewać.

— Ja muszę lecieć, pytać, szukać... może się błęka! zawołała Motruna, — i z dzieckiem na rękę, odępczawszy Jagę, która je tymczasem wziąć się podejmowała, puściła się drogą po nad cmentarzem. nie wiedząc dokąd bieży.

Cyganka nie gonila za nią, a ledwie straciwszy z oczu kobietę, wśliznęła się zaraz do chaty jak wąż, by ją w niebytności gospodyni splondrować.

Motruna, którą ścieżka powiodła ku cygańskiemu obozowi, wahała się co ma począć z sobą; ale po-myślawszy potem, że od Cyganów czegoś się dowiedzieć może, i że oni jedni zechcą jój dopomódz, skierowała się ku ich namiotowi.

Biedne jój dziecko, rozkołysane biegiem matki, która porzucić go nie mogła, poczęło płakać w dro-

dze, ale cisnąć je tylko do piersi, już się dla niego nie zatrzymała Motruna. Nareszcie zobaczyła ognisko cygańskie, i spotkała Aprasza niosącego wodę w dwóch wiadrach blaszanych.

— Nie widzieliście Tumrego? spytała zdyszana.

— Tumry?... przyglądając się wynędzniałej kobiecie, rzekł Aprasz. A to twój mąż być musi. Był on tu wczoraj wieczorem. Cóż? nie powrócił do chaty?

— Nie było go, nie było! jęcząc odpowiedziała kobieta.

— To może go już nie być i nigdy! zimno, idąc dalej, odparł Cygan.

Motruna schwyciła tę okropną wróżbę i wila się w miejscu, nie wiedząc co począć, gdyż Aprasza prosić o pomoc nie śmiała. Zwróciła się znów do wsi, przypomniawszy Jauka, gdy na wierchołku wzgórza otaczającego dolinę, zjawiała się blada, z rozognionym wzrokiem Aza.

Dwie kobiety zmierzyły się oczyma i instynktem wzajemnie nienawiści poznały. Przybycie Motruny do obozu tak było znaczące po wczorajszym spotkaniu Cygana z dziewczyną, że ją uderzyć musiało.

— Cóż się stało Tumremu? zawołała Aza żywo, podbiegając ku kobiecie.

— A tobie co do niego! guiewnie odpowiedziała Motruna.

— Mnie! uśmiechając się gorzko, odrzekła Cygan-ka: chyba nie wiesz kto ja jestem?

— O! poznaję cię! szydersko, może po raz pierwszy w życiu, odezwiała się kobieta: tyś Aza!

— Tak, Aza jestem; ale gdzież Tumry? gdzie? co się z nim stało? Mów kobieto, a prędkiej!

— Ty lepiej zapewne wiesz o nim odemnie! cofając się zawołała Motruna.

— Nie wrócił więc wczoraj? nie wrócił? popędliwie poczęła pytać Aza.

— Nie wrócił! cicho i pośpnie powtórzyła echem kobieta, z której oczu ciekły dwa długie łez strumienie, a przez nie przecięły oczy zbolełe wpatrywały się ciekawie w twarz ślicznej Cyganki.

Aza ręce załamała, i jak stała, upadła cała na ziemię, poczynając zawodzić po cygańsku, ręce załamawszy nad głową.

Ten płacz istoty tak do niego niestworzonej, do reszty przestraszył Motrunę: oniemiała z przerażenia.

— Ona wiel! ona wie—zawołała—co się z nim stało! ona go musiała zabić!

Wtém Aza, jakby odzyskując siłę i nadzieję, schwyła się na nogi, obejrzała w koło, podeszła kilka kroków ku lasowi, i wnet obróciła się do dworu. Bieg jej tak był rączy i popędliwy, że Motruna ani pomyśleć mogła ścigać ją z dziecięciami i osłabieniem swoim.

Powłokła się tylko płacząc drogą, którą była przyszła; a cała ciżba Cyganów, wywabiona krzykiem Azy, wybiegła z pod namiotu i wskazywała ją palcami, szepcząc:

— *Tumry egaszi!* (kobieta Tumrego \*).

---

\*) W języku Cyganów, o ile mi wiadomo, nie ma wyrazów *mąż* i *żona*; jest to bardzo charakterystyczny niedostatek.

Aza wyprzedziła daleko Motrunę i znikła z oczu wszystkim, pędząc co najprędzej do dworu, cała oszalała na myśl niebezpieczeństwa, a może i śmierci Tumrego. Zdawało jej się, że jeszcze ratować go można; biegła więc do Adama, aby wysłał, natychmiast na wszystkie strony szukać śladów znikłego Cygana.

Straszna tą namiętnością tłumioną, która teraz w niej wezbrała, wleciała do pokoju, w którym pan Adam spoczywał, i przełękła go twarzą, jakiej u niej nigdy jeszcze nie widział. Zbladła, zmęczona biegiem, rozpaczająca, pochwyciła za rękę wczorajszego kochanka.

— Ratuj!... zawołała: ratuj! Tumry, Cygan, wczoraj chciał sobie odebrać życie; dziś dotąd nie ma go nigdzie. Wysyłaj ludzi, niech go szukają, niech znajdują.

— A cóż mię twój Cygan obchodzi? oziębłe, z zadróżką prawie, odczuwał się powoli pan Adam. puszczając kłęb dymu.

— Mnie! mnie on obchodzi! mnie! Słyszysz *raju* Adamie! krzyknęła Aza, targając go za rękę zimną: dam życie, dam siebie, tylko każ ratować!

Adam spojrział na nią, nie ruszając się z miejsca.

— Oszalała... rzekł: coż to! twój brat?

— Kochanek! mój jedyny, ukochany, ulubiony! ten, bez którego ja żyć nie mogę, nie chcę! wyrwało się z piersi Cyganki. Ratuj go! ratuj!

— Al jeżeli tak, nie mam się po co śpieszyć — rzekł pan Adam. Będiesz teraz moją.

— Jeśli on umrze, i ja umrę, a niczyją nie będę! krzyknęła boleśnie Cyganka, drąc z gniewu rąbek sukni. Wysyłaj ludzi! wysyłaj ludzi!

Zapał, z jakim wołała, głośny krzyk jój, już był cały dom poruszył. Słudzy zgromadzili się we drzwiach, a twarze ich zobaczywszy Aza, poczęła ku nim z błaganiem się zwracać, ręce łamiąc, płacząc i wzywając od wszystkich ratunku.

Ale dworska gawiedź, nie mając rozkazu pana, ruszyć się nie śmiała; a pan Adam siedział jak nieruchomy posąg i wąsika tylko poglądał. Co go tam jeden Cygan obchodził!

— Słuchaj, ratuj go, a będę twoją! przyskakując i szarpiąc go, powtórzyła dziewczyna.

Adam się zimno uśmiechnął i jeszcze nie rzekł słowa. Cyganka próżno błagała, rzucała się i latała po izbie z rozpuszczoną kosą czarną. Nareszcie chustką, którą trzymała w ręku, uderzyła zniecierpliwiona po twarzy milczącego sybarytę, i wybiegła ze dworu z wołaniem rozpaczliwém, ciągnąc za sobą tłum ciekawych ludzi.

Co żyło, poczynąło gromadzić się, zbiegać i powtarzać z cicha słowa Cyganki; wszyscy chcieli biedz szukać Tumrego przez samą ciekawość, ale nikt nie wiedział dokąd się obrócić. Nareszcie i sam pan Adam po zniknięciu Azy, rozmyśliwszy się, rozesłał ze dworu na wszystkie strony, aby szukano kowala. Rozsypali się tedy, każdy gdzie komu na myśl przyszło; a Aza skierowała się ku lasowi jakimś przecuciem niewytłómaczoném. Kilku ludzi poszło za nią.

Na wpół drogi do boru spotkali głupiego Janka, który z wiązką gałęzi na plecach szedł śpiewając do domu. A że go widziano nieraz rozmawiającego z Tumrym, wiedziano, że żył z Cyganem w drużbie, więc gumienny zatrzymał parobka, choć niewiele od

niego spodziewał się dowiedzieć, bo jak inni, z powierzchowności sądząc, miał Janka za głupiego i nierozgarnionego.

— Słuchaj-no głupi Janek, spytał go: nie widziałeś ty czasem Cygana, kowala... tego, tego, co to z pod cmentarza?

— Kogo, kogo? udając głupotę, szydersko począł pytać Janek.

— A kowala, Cygana, głupi Janku! z pod cmentarza!

— Cygana! Tumrego! Oj! oj! widziałem go pozawczoraj, wczoraj, a nawet... (począł sobie przypominać) ot nawetem go dziś widział!

— Dziś? gdzież? gdzie? podchwyciła Aza.

Janek dosyć miał sprytu skrytego, żeby się nie wygadać za nadto. Nie opowiedział rozmowy swojej, nie przyznał się, że samobójstwa był świadkiem, odparł tylko chłodno, skrobiąc się w głowę:

— No! a w lesie!

— Dawno?

— O! godzin już jakby ze dwie! Ono się na ranek zbierało.

— Co on tam robił?

— Albo ja wiem, co on tam robił? Może chodził po drewka... bo czegoś rozwiązany pas niósł w ręku, to pewnie chciał je zczepić... bo u niego i postronka nie ma w chacie...

Aza krzyknęła, zasłaniając sobie oczy:

— Gdzież ty go spotkałeś?

— Czekajcie! Na Popowój niwie! Nie! nie! na Porosłaku! Nie! nie! w Lisich dołach. Ale nie! ot jest! jest! dalibóg koło pustej budy!

Wszyscy więc szukający z Azą na przodzie, puścili

się żywo w las drożyną ku pustej budzie wiodącą. A Janek podjawszy drewka, posunął się dalej ku wsi, obejrzawszy się tylko na ludzi, którzy go mijali, z uśmiechem głupowatym.

— Ha! ha! szepnął cicho do siebie: trochę za późno przyjdziecie! A! cóż ja temu winien! Niechby był pocciwój kobiety nie zamęczał... a teraz dobrze mu tak...

Z bijącym sercem biegła Aza, ludzie ledwie za nią zdążyć mogli, wskazując jej tylko drogę, którą iść miała. Nierychło jednak dostali się do pustej budy, bo ścieżynki do niej wiły się dziwnie po lesie, a krzaki tak je zarastały, że w wielu miejscach! trudno się było przez nie przecisnąć.

Nareszcie Aza pierwsza wskoczyła na łączkę otaczającą zwaliska z tej strony, podbiegła co tchu do rozwalonej budy, i plasnęła w ręce z wrzaskiem przeraźliwym, ujrzawszy wiszący trup Tumrego, na którego twarzy żółta, woskowa rozsiadła się już bladeść.

W mgnieniu oka, gdy reszta ludzi zebrana w kupę, stała jeszcze nie śmiejąc się przybliżyć ku samobójcy, Cyganka skoczyła na belkę i poczęła już targać węzeł, utrzymujący sztyję wisielca; a nie mając noża, by go rozciąć, pochwyciła zębami i rozgryzła jak nitkę.

Trup okręcił się, zadrgał, pochylił i padł z łoskotem zimnej bryły na ziemię. Aza już była przy nim, i usta przyłożywszy do twarzy, a rękę do serca, ciepła w nich i życia napróżno śledziła. Już ich tam nie było! Twarde, zimne, skostniałe ciało, wyzionęło już ostatnią żywość iskierkę...

Cyganka czołem padła na ziemię, i tak nieprzytomna pozostała przy trupie.

Ludzie poszeptali, obeszli go dokoła, pokiwali głowami, namachali rękami, i zwrócili się dać co najprędzej znać do dworu, zostawiając Cygankę samą jedną nad ciałem kochanka.

---

Na rozstaju za wioską wykopano dół głęboki, i ci-  
chym wieczorem, parą wołów czarnych, przywieziono  
trupa Tumrego, któremu Janek zbił z kilku tarcie  
białą sosnową trumnę, bez księdza, bez ludu, bez  
płaczu, na wiekuiste mieszkanie.

Za wozem ledwie była garstka tylko: szła Motru-  
na z dzieckiem u piersi, z zaschlęm już od płacz-  
u okiem, odprowadzając do mogiły nieszczęśliwą dolę  
swoją.

Za nią włókł się Janek, milczący, zgarbiony, za-  
dumany, z rydlem na plecach, ze słomianym swym  
kapeluszem w ręku. Dwie stare Cyganki, mrużąc pod  
nosem, otulone szerokimi płachtami, sunęły się także  
z daleka za tym pogrzebem samobójcy! Nie było ani  
stypy, ani kutii, ani przyjęcia, ani żadnego z tych  
uroczystych obrzędów pośmiertnych, które ze słowiań-  
skich jeszcze czasów pozostały u wiernego starym  
zwyczajom ludu wiejskiego.

A gdy woły zastanowiły się na pagórku u wysy-  
panej ziemi, dwóch ludzi zniosło trumnę z wozu, i rzu-  
cili ją w dół, nie mówiąc słowa.

Janek pierwszy schwycił za rydel i zasypywać po-  
czął, a dwie Cyganki stanęły na brzegu, przypatrując  
się z odretwiałą, głupowatą ciekawością narzucaniu  
ziemi i powoli znikającej trumnie. Motruna bez jęku



siadła na trawie, i podparta na dłoni, tuląc dziecko, które kwiliło z głodu czy macierzyńską czując boleść, patrzała, patrzała na pracujących u grobowiska.

Już Janek z ludźmi dosypywał dół do wierzchu, i począł go ubijać nogami; już na nim i wzgórek zaokrąglać zaczęli, i darninę na pokrycie wycinać z blizkiego równi, i cała robota powoli się skończyła; już odchodzący pierwszych kilka gałęzi suchych zwlekli wedle odwiecznego zwyczaju na mogilę, jakby stos przysposabiając, do którego każdy przechodzień dorzucać był winien choć suchy złomek jaki; już wreszcie rozchodzili się,—a Motruna nie myślała wstać, ani się ruszyła z miejsca.

Cyganki z nieboszczyka na nią zwróciły swoją ciekawość, i stauawszy z daleka, mruzczały spoglądając na biedną kobietę. Ale i im się przebrała cierpliwość, i gdy ludzie ku wsi zawrócili woly i pociągnęli nazaad, one także poszły za nimi. Jeden tylko głupi Janek pozostał przy Motrunie, pilnie się jeszcze zajmując niby skończeniem mogily, którą to udeptywał starannie, to stos na niej porządkował, urządzał, żeby go wiatr nie rozrzucił.

Oczy Motruny błędzące machinalnie po okolicy, zatrzymywały się to na nim, to na grobie męża, to na głowie dziecięcia; ale znać było, że nic nie widziały. Kiedy niekiedy tylko popłynęła z nich łza jedna i zaschła na policzku, drgnęły wargi, przymknęły się oczy, ścisnęły ręce wkoło dzieciny. Janek spozierał z pod brwi nieruchomiej na Motrunę i wciąż pracował.

Poczęło zmierzchać powoli, niebo się zasepiło, a Motruna nie wstawała.

— A co? odczuwał się długo wytrzymawszy Janek: chodźmy-no do chaty!

Motruna głową tylko potrząsała.

— Juźciż tu nocować nie będziesz, dodał. Jeszcze tobie jak tobie, ale dziecku na wietrze i slocie nie zdrowo.

Matka skwapliwie przytuliła do siebie niemowlę i spojrzała na głupiego Janka, który nie był wcale tak głupi, jak się zdawał.

— O! pewno—kończył Janek—że dziecku to zaszkodzi. A zresztą co tu robić? Jużeśmy mu usypali mogiłę, niechaj odpoczywa! Wstań i chodź Motruno.

Zarzucił rydel na plecy, włożył kapelusz na głowę i przystąpił do niej. Kobieta zakryła oczy, z których na nowo potok łez wytrysnął.

— Płakać—rzekł Janek—można i w chacie; a już coś noc blisko. Dziecku zimuo, trzeba isć, trzeba isć! powtórzył z przyciskiem.

— Dokąd? po co? zawołała Motruna. O dolo ty moja! o dolo! co ja pocznę!...

Janek nie zważając na łzy i żale, ujął ją za rękę i dźwignął z ziemi, a zwróconą ku mogile lekko odwróciwszy w stronę wioski, pociągnął za sobą.

Motruna obejrzała się raz jeszcze, chciała gałąź tarniny leżącą pod nogami rzucić na mogiłę, ale zachwiała się i upadła. Janek podźwignął ją znowu.

— Pamiętaj na dziecko, począł cicho: ono teraz na twoich rękach i na twojej głowie! Chodźmy do chaty, dość płakać!

Już się tak byli oddalili, wlokąc się z trudem i powoli, gdy Janek obejrawszy się, zobaczył jak cień przesuwającą się Cygankę, która pędem wpadła na świeżą mogiłę i siadła na niej a raczej rzuciła się na nią.

Nie chcąc, by ją widziała Motruna, przyśpieszył

roku, i zagadując jęki, które aż do nich dochodziły, co prędzej spuścił się z nią w głąb jaru, który wreszcie zakrył im mogiłę samobójcy.

Aza sama jedna pozostała na rozstaju, z wyschlém okiem, przygnębiona, nieprzytomna, dysząc namiętnością i rozpaczą pierwszą w życiu. Porywała się, biegła do koła wzgóрка, siadała na nim, wstawiała znowu, ryczała jak dziki zwierz. I wśród krzyku jój dobywały się z piersi to jęki niezrozumiałe, choć z tysiąca słów złożone, to okruczności jakiejs pieśni, to pytania, to wyrzuty i przekleństwa...

Rzadko kiedy człowiek dochodzi do takiego stopnia rozpacz i szału, jaki opanował dziewczynę, nieprzywykłą ani tłumić uczucia, ani z niém walczyć dla oka. Zdawało się, że całkiem zapomniała o sobie, o jutrze, o świecie, a bolem swym żyła tylko. Niepodobna była do siebie: taka wściekłość malowała się na rozprężonych rysach jój twarzy zbladłej, wywróconej, zmienionej potężną dłonią męczarni... Oczy zdawały się wybiegać z pod powiek, usta miała otwarte, zęby ściągnięte, a ręce trzymała wzniesione i splecione po nad głowę...

Zdyszana pierś miotła się jak fala, a chwilami brakło jój jeszcze oddechu...

Nie wiem jak długo walczyłaby tak z cierpieniem, aż odrętwiałość czy zupełne szaleństwo skończyłoby jój męki, gdyby z ciemności nie ukazał się po chwili wychodzący Aprasz.

Staął on naprzeciw niój, znowu silny, rozkazujący, taki, jakim był, nim mu dziewczyna odebrała dowództwo i władzę. Popatrzał na nią i niepostrzeżony przybliżył się.

— Aza! krzyknął nagle głosem, który ją jak piorun nderzył: do obozu!

Ona podniosła nań oczy strwożone i obłąkane.

— Do obozu *egaszi!* do *kahabii* (kotła) ogień palić, jeść gotować i posługiwać, a nie po nocach się włóczyć!

Dziewczyna osłupiała, a Cygan chwyciwszy ją za ramię, gwałtownie pociągnął za sobą. Nie było z jej strony ani oporu, ani łzy, ani słowa. ani jęku: spuściła głowę i poszła posłuszna. Na mogile wiatr z suchemi gałęzmi i ptacy wędrowni poczęli długą rozmowę, która trwać miała wieki...

Tegoż wieczoru obóz Cyganów opuścił nagle Stawisko, i skrzypiący wóz ich pociągnął dalej, unosząc skrepowaną Azę, około której siedziała stara Jaga, bo Aprasz ją wyznaczył na stróża dziewczynie.

Dawny dowódca objął znów żelazną ręką rządy gromady, a *Romy* i *Puza* na czele, słuchali go jak niewolnicy do pańskiego przywykli głosu...

---

My zajrzyjmy jeszcze na chwilkę do dworu pana Adama, nim go stracimy z oczu na długo.

Po odejściu Azy, po odkryciu tajemnicy przywiązania jej do Tumrego, pan Adam najprzód się mocno rozgniewał, czując się upokorzonym tém nieszczęśliwém współzawodnictwem z Cyganem. Potém chciał gonić za Cyganką, nareszcie bezsilny gniewu się wyrzekł, i nie widząc sposobu dogodzenia namiętności bez wielkich ofiar, opuścił ręce, usiłując zagłuszyć serce, czy żądzę odzywającą się jeszcze.

Ale nie tak łatwo z sercem swém wojować temu,

który go się z młodu nie nauczył zwyciężać i kierować niém. Pan Adam poczuł wkrótce, że Cygankę mocniej ukochał, więcej się do niej przywiązał niżeli sobie wyobrażał z razu.

Chciał za nią gonić, szukać jój, porwać ją siłą, nie zważając ani na jój przywiązanie do Tumrego, ani na obojętność i szyderstwa. Nim to postanowienie przyjść mogło do skutku, banda Cyganów daleko już była od Stawiska i znikła bez śladu, pozabierawszy tylko swoje i cudze konie, narobiwszy szkód bez liku, a po sobie zostawiwszy mogilę w polu, łyzy i przekleństwa.

W takich jak Adam ludziach, strapienie gwałtowném jest tylko w pierwszej chwili; ale nie trwa długo i przechodzi bez śladu. Dni kilka dość było, żeby boleść zmieniła się w tęsknotę, w znudzenie i potrzebę szukania rozrywki. A jój pragnienie już było najlepszą przepowiednią całkowitego zapomnienia przeszłości. Ziewnął, stęknął, kazał zaprzęgać pan Adam, i do miasta pojechał.

W chacie po Tumrym, zbudowanój z taką pracą i wytrwaniem żelazném, nie mogła się rychło zatrzeć pamięć jego. Bo ręka robotnika wszędzie zostawiła po sobie ślady, i każdy kawał drzewa ją przypominał. Biedna Motruna musiała zamieszkać w lepiance, i patrząc na nią, dołę swoją opłakiwać.

Po śmierci Cygana przybliżyli się do niój bracia, ale i ci niewiele pomódz, mało los jój zmienić mogli. Potrzeba znać życie i zasoby najdosłatniejszego wieśniaka, by uwierzyć, jak niełatwo mu przy najlepszych chęciach wziąć na barki kobietę i dziecię. Dwaj bracia Motruny radzi byli coś dla niój uczynić,

ale żony ich na samą wzmiankę o tém, że Cyganicha mogłaby przenieść się do ich chaty, zakrzyczały, poczęły rzucać się i gniewać, tak, że i pomyśleć o tém bez zakłócenia domowego spokoju nie było można. Trzeba więc było Motrunie zostać na miejscu, w lepiance pod cmentarzem. A i tam nawet Maksym i Filip niewiele jój dostarczyć mogli, ho natychmiast żony ich obawiające się o siebie i dzieci, o głód na przednówku, głośną poczynaly wojnę za każdy datek. Przy najlepszych chęciach, rzadko też wieśniak jest w stanie przełamać się czarnym chleba kawałkiem. Najbogatszy ma ledwie tyle, że się głodu nie boi do nowego ziarna, a sprzedają pozostałej odrobiny opędza pierwsze życia potrzeby. Jakże wielkiego potrzebował uczucia, jak świętych obowiązków, by wystawił na szwank łos swój i rodziny? Bracia Motruny dopomagali jój, ale tając się przed żonami, po trosze tylko i szczupło.

Pan Bóg zesłał jój opiekuna i niespodziewanego pomocnika w głupim Janku. Los tego odrzutka tak był ciężki we własnej chacie; tak nim tam poniewierano, często nawet wypędzając zupełnie, choć robił więcej niż za jednego człowieka i za jedno zwierzę domowe; tak mało mu tam dał kto dobre słowo,— że głupi Janek, który śmielój i nie potrzebując udawać głupoty, przystępował do Motruny, do Cygana—do nich się też więcej niż do swoich przywiązał.

Los szczególniej kobiety zdawał się go silnie zajmować, bo Tumrego był znienawidził w końcu i prądo samobójstwa popchnął przez żal, jaki do niego miał za Motrunę. Po śmierci też jego, Janek na chwilę wdowy nie opuścił: zajmował się sam pogrzebem, odprowa-

dził ją do chaty, i pozostał przy niej na straży, w ten sposób ją i dziękując za rodzinę sobie przysposobił. Tegoż wieczoru zaraz nashał słomiany barłóg w sionkach pod drabiną u drzwi izby, i tam się unieścił. Nazajutrz poszedł do swoich dla zabrania garści łachmanów, zowiących się jego własnością, i nie rzekłszy słowa, porzucił chatę ojcowską na zawsze.

Motruna miała z niego więcej niż parobka i posługacza: bo brata i opiekuna czuwającego nieustannie nad nią i sierotę. Przywiązanie i litość zrobiły z Janka istotę pełną przebiegłości, zapobiegliwą, baczującą i bystrą nawet w potrzebie. Dla Motruny umiał zaraz znaleźć zaródek, znosząc jej przedzę na motki, i różne drobne nastęrczając zajęcia, za które sam się wprzód targował, i chatę zaopatrywał w żywność i sprzęt potrzebny. Drwa sam zbierał i nosił, wodę czerpał, rąbał, palił, gotował, świecił, dziecko całemi godzinami kołysał. A w strawie bojąc się zrobić uszczerbku, żywił się suchym chlebem i pozostałemi w garnkach resztkami jadła, którychby pieszczone psię nie chciało.

Nierychło postrzeżono się w jego chacie, że głupiego Janka nie stało. Ale kiedy kilka dni nie powracał, jakoś go zabrakło wszystkim. Bracia dostrzegli, że nie mają się kim wyręczyć; siostry nie miały kogo posyłać, łajać i ukać; a bratowe nie znalazły z kogoby się tak bezkarnie naśmiewały. Choć wszyscy narzekali, że darmo chleb zjadał, gdy go nie stało, stękać poczęli, że się nie obejdą bez niego, i nuż zbiega przeklinać.

Szpiegowano, dopytywano się, śledzono gdzie się mógł podziać. Ktos odkrył nakoniec, że posługuje u Motruny. Posłano zaraz starszego brata, odebrać

głupiego Janka, a ten obcesowo wpadłszy, łajac go począł, znalazłszy w kuczki siedzącego w sionce pod drabiną i kręcącego kawałek powroza.

— A co ty tu robisz? próżniaku! darmożjadzie! A do chaty! do roboty! krzyknął pan brat.

Janek podniósł głowę, zwrnużył tylko jedno oko, popatrzał na przybysza, splunął i dalej swoje robił.

— Co to ty sobie myślisz?

— Ot co myślę, odparł Janek spokojnie: myślę tu zostać i zostać!

— Albo to my pozwolimy włóczyć ci się gdzie zechcesz?

— A na cóż ja wam potrzebny? odparł ruszając ramionami: he? Małoście to mnie nawymawiali, że chleb jem darcinnie? A daliście mi kiedy szmat odzieży, dali nową koszulę i choćby łapcie na znnżone nogi? Kiedym jam wam niepotrzebny, po cóż siedzieć miałem! Idźcie sobie braciszku z pauem Bogiem, i kłaniajcie się odemnie staremu łysce...

Brat porwał się bić, ale Janek schwycił go za barki, wyrzucił z sieni i drzwi podparł kołkiem. A napastnik narzucawszy się i naodgrażawszy z podwórza, poszedł z niczem do domu. Pozywano Janka do dworu na sprawę, ale tu głupi parobczak jak zaczął się bronić, przy swojem się utrzymał: pozwolono mu zostać z wdową, a braci odprawiono z kwitkiem. Dowiódł bowiem, że ani przysiewku w polu nie miał nigdy, ani odzieży nie brał, ani płacy, ani mu żadnej części z ojcowizny wydzielić nie chciano. Nie miał więc żadnego obowiązku pracować tam za wszystkich, gdzie nikt mu nic za to, nawet łyżki poezciwój strawy, nie dawał.

Bracia srożyli się, krzyczeli, poznawszy, że im bez



niego jak bez pomiotła, nie będzie lekko wszystkim śmieci zagrzebywać, próbowali odciągnąć go obietnicami, ale nie nie pomogło.

— Dopieroby to był głupi Janek—mówił parobczak—żeby się dał drugi raz złapać jak wróbel na plewę. Ho! ho! niedoczekanie wasze: raz się wyprzągnął z tego jarzma, drugi raz w nie karku nie nagnę, bom spróbował jak mula! Bywajcie zdrowi i kłaniajcie się staremu łysce...

Łysko, stary pies podwórzowy, był to jedyny Janka w chacie przyjaciół.

Motrunie, ani Jankowi na myśl nie przyszło, żeby na nich dwoje gadać coś miano. Ale złe we wsi języki nie darowały i krzywemu Jankowi, ani błędnej i schorzałej Motrunie: śpiewano o nich w karczynie, śmiano się u studni, na przełazkach, choć oni ani się tego domyślali.

Janek był tak poczwarny i brzydki, że posądzenie o miłość jakąś dla niego w głowie tylko starych bab i żon braterskich urodzić się mogło. A jednak gdy raz puszczono plotkę, przyjęła się i swatano zawczasu, a Janek tylko jak wyrobnik dla wdowy pracował.

Oboje często po całych dniach słowa do siebie nie rzekli, a Janek czasem tylko, gdy w lepszy wpadł humor, zmyślał powiastki dla rozweselenia Motruny. Ona słuchała i milczała, bo milczenie stało się dla niej nałogiem i drugą naturą, tak, że na słowo trudno się jej zebrać było. Zaśpiewała dla dziecięcia niekiedy, westchnęła ze znużenia, ale z serca zasklepionego ani się skarga, ani wspomnienie wyrwać nie mogło.

Macierzyństwo wystarczało jej do nędznego życia,

w niém były wszystkie pociechy, nadzieje i cel przyszłości, a uśmiech dzieciny wywoływał i na jój usta coś nakształt smutnego, łzawego i bladego uśmiechu. Patrzała w kołyskę, siedziała przy niej, spała nad nią, i na chwilę jój nawet nie odstępowała. Czasem, gdy upadła znużona, Janek się podkradł i niezgrabnie zakołysał dziecinę. Ale skoro zapłakało, już Motruna zrywała się przerażona tym głosem, i znowu sama piaszowała ukochaną donię.

Takie tam było życie w tój mizernój lepiance, dni, noce, i jednostajnie płynące miesiące i lata. W około ruch był na wsi: ustępowali jedni, nastawali drudzy, kochali się, rzucali, umierali, rodzili. Tu tylko strzecha słomiana porastała mechami, Motruna bladła i chyliła się od pracy, Janek żółkł i garbiał codzień bardziej, dziecina chodzić poczyniała. Ale ani los odmienny, ani dola lepsza nie zświtała w lepiance Cyganichy.

Wioska nie odstępowała jój wszakże, ale nie bardzo też chętnie garnęła się do niej, nie tak z powodu zabobonnego jakiegoś przesądu, jak raczej lękając się jój ubóstwa. O! dla wielu, dla bardzo wielu na świecie, nic nie ma straszniejszego nad nędzę: dotknąć jój ręką, spojrzeć się na nią lękają, żeby ku nim nie zajęczała prośbą, nie zwróciła się z żądaniem pomocy!

Nawet o robotę nie było łatwo Motrunie; bo mało kto ośmielił się ją powierzyć ubogiej, lękając się bliższego z nią stosunku. Przecież staraniem Janka nie brakło ani chleba, ani pracy, ani zarobku, ani zbywało na pierwszych życia potrzebach. Przez lato, gdy dziecina podrosła, Motruna mogąc ją mieć z sobą w koszyku, najmowała się do żniwa. Janek zara-

biał także, i lepiej od drugich, bo czasem aż po dwie kopy oziminy stawiał kiedy się rozmachał. W zimie żyli groszem uzbieranym i kądziółką wdowy.

W téj wszakże niestannój pracy, Janek począł w lat kilka widocznie tracić siły, choć te zdawały się niewyczerpane. A że był przesądny i nic pojmował, z kąd taka zmiana przyjść mogła, przypisywał ją rzucenemu przez którąś bratową urokowi. Począł więc chodzić od znachorki do znachora dla zdjęcia uroku, wypijał różne czarodziejskie leki, ratował się zamawianiem i różnemi ingredyencyami wielce podejrzanych własności, tak, że w końcu, skutkiem tych leków, zapadł gorzej jeszcze i ohległ nareszcie śmiertelnie.

Jeszcze go jakaś przy życiu trzymała siła woli i ducha potężna. Włoczył się o kiju z sieni do izby, z izby na poddasze, pomagając Motrunie. Aż gdy jednego wieczoru uczuł się bardzo gorzej, pomyślawszy, że śmiercią swoją biednej wdowie narobi kłopotu, wziął kostur, i nie pożegnawszy się nawet, a przez szparę we drzwiach spojrzawszy na dziecinę, która już po izbie biegła szczebiocząc, powlókł się do chaty braci. Całych sił swych dobyć musiał, ażeby do nich się dostać, tak mu już w drodze słabo się zrobiło. A gdy na próg wszedł, zachwiał się i upadł pod piecem.

— Cha! cha! rzekł: otoż mnie i macie panowie braciszkuwie. Chcieliście żebym do was powrócił, toć jestem na usługi. Musicie mi teraz z ojcowizny choć pogrzeb sprawić i *domowinkę!* \*).

---

\*) Tak w niektórych wsiach wołyńskich zowią poetycznie trumnę.

Jakoż w godzinę potém głupi Janek już nie żył, a bracia choć się rzucali i lajali, zmuszeni byli pogrzeb mu sprawić.

Niepodobna wystawić żalu, jaki ogarnął Motrnę, gdy się o śmierci Janka niespodzianie całkiem dowiedziała, gdy się jój domyśliła raczej, bo zniknięcie jego nie mogło mieć innego powodu. Dwoje tych istot tak się żyło z sobą, że wdowa myśl jego odgadła od razu, i rozplakała się, uczuwszy, że nawet w chwili bóleści przedśmiertnych pamiętał o niej jeszcze, i bał się jój najmniejszą przykrość wyrządzić. Tak już do niego była przywykła, że zdawało jój się niepodobieństwem wyżyć i wystarczyć bez Janka sobie i dziecięciu. Drugi to już raz tak wdową los ją robił.

Głupiego Janka brakło wszędzie i ciągle, bo on był duszą nędznej chatki. Nie mogła Motruna wyjść na próg, żeby go sobie nie przypomniała na miejscu, które pod drabiną w sieni zimną i latem zajmował w rodzaju budki, skleconej z tyczek od fasoli i miętj słomy. W samej chacie pełno było śladów pracowitej ręki jego i przemyślnj głowy: wyuczył się bowiem bednarki, ciesielstwa, mularki, i wszystko niemal sam robił, bo płacić nie miał czém majstrom. Na kołku nad ławą naprzeciw pieca, gdzie siadać i grzać się lubił, stary jego dziurawy kapelusz słomiany wisiał jeszcze, i pyłem przysuty, pozostał jak widoma po nim ostatnia pamiątka...

Znów za tym pogrzebem przyjaciela poszła Motruna i ucałowała trumnę, ostatni chleba bochenek, ostatni płótna kawałek kładąc na niej wedle zwyczaju, bo tych bracia mu poskąpili... Późno w noc skostniała powróciła do pustej, straszliwie pustej chałupki,

myśląc, co pocznie z sobą i dzieciną? a myśl ta ręce odebrała jój na długo.

Dopiero szczebiotanie dziecięcia obudziło ją z przykrych marzeń do życia i pracy. Ta jest korzyść nędzy, że w niej praca koniecznością, a ona najlepszym cierpieniem lekarstwem.

Trzeba było znowu wziąć kądziel i wrzecziono na chleb dla malłej Marysi. Ale nie było już kim się wyreczyć w wsi, ani komu odnosić motków i wypraszać przedziwał

---

W takiej niedoli i najostatniejszej nędzy, z dnia na dzień grożącej śmiercią głodną, rosła sierota Marysia.

Matka widziała już w niej, jak wszystkie matki w dzieciach swoich, maleńkie cudo a wielkie nadzieje. Ale obcy nawet i niechętni, gdy szła ujawszy fartuch Motruny, maleńkimi nóżkami ścigając ją i podskakując jak ptaszę za matką, oglądali się z jakimś zajęciem na dziecko Cygana.

Maryś—gdyż ją tak pospolicie nazywano—była w istocie śliczną dziewczynką, w której twarzyczce dwa złączone typy, wschodni i północny, wydały trzeci odrębny, obojga wdzięki tylko mający. Maryś miała śliczne oczka czarne, ale nos prosty i nieco zakrzywiony, czoło wysokie, usta nieco wydatne, a pełne uśmiechu i słodczy, płeć dziwnie białą, włos ciemno-ciemny. W dzieciństwie już znać było dziwną zięćność ruchów, zwiastującą czém być miała, gdy roz-

kwitnie na dziewczkę. Motruna zakochana w niej do szaleństwa, stroiła ją, ubierała, wdzięczyła czém mogła, nienasycony wzrok pasąc tą twarzyczką pełną wczesnego rozumu, przenikliwości i łagodnej dobroci.

Z każdego słówka sieroty tryskał niezwycajny dowcip, niccierpliwa ciekawość świata i chęć wybieżenia o swojej sile między ludzi. Małeńka już poczęła matkę wyręczać tak zręcznie we wszelkiej pracy, tak nieraz ją zdziwiła, zgadując myśl jój lub podając radę, że Motruna miała ochotę klękać przed cudowną dziewczynką. Kręciło się to od rana do wieczoru po chatce, śpiewało, biegało, a gdy matka po swemu spuściła głowę obciążoną smutkiem, czepiała się na jój kolana, rozcałowując jój zadumę.

Wychowana w ciągłym niedostatku, Maryś miała jakiś instynkt zaradzania wszystkiemu, i w głowie swój dziecinnój często więcej znalazła, niż matka w całym swém zbolałym sercu.

A tak się to umiało przymilić, uśmiechnąć, podobać, ułagodzić, że nieraz najobojętniejszy zatrzymał się gdy przemówiła. A stare nawet baby, wracając z targu, rzucały cygańskiemu dziecku po jabłku lub obwarzanku.

Taką dorosłą Maryś do lat dwunastu, na bohaterkę ostatnią naszej chatki za wsią. A chcecie-li wiedzieć, co się stało z sierotą? to poczekajcie trochę do następnego opowiadania.

---

Znacie już tę biedną chatkę za siołem u cmentarza, skleconą przez Cygana prawie z niczego, jeno siłą woli, namiętności i rozdrażnienia. Nigdy ona nie była nową, a kilka lat życia uczyniło ją zgrzybiałą staruszką, tak, że gdy dziecię, jedyne dziecię Tumrego podrastać zaczęło, razem z biedną Motruną i lepianka pochyliła się do upadku. Co chwilą potrzeba było coś podłatać, podeprzeć, podlepić i zatkać gdzieś dziurę, i spróchniałe, bo mokrém ścięte, drzewo zaszukować. Dachy nie było komu pozszywać słomą; zalepiano w nim otwory kawałkami darniny, która wprawdzie nie przepuszczała deszczu, ale zbyt ciężko obciążała kruche i wątle krokiewki. W jedném miejscu nad sienią tak się już były powyginały, że niemal leżały na ścieli. Za to latem wszystka ta darń zielona, gdy się rozbijała, przypomniawszy sobie pole, z którego wyszła, gdy zakwitła, aż miło było spojrzeć na ten wiszący ogródek. Wśród gęsto posplatanych zdziebeł pospolitéj trawy, tu i owdzie strzelały kwiatki łąk naszych, zdziwione, że ich losy na taką wysokość podniosły. Para brzoźek nawet, które tam zasiała dłoń boża, ręką wiatru rozrzucając życie po świecie, ze swą bieluchną korą i drżącemi listkami wysoko nad komin strzelala, i dobrze część dachu stojącą jeszcze przeniosły. Słoma, której codzielniej pozostawało, bo raz w raz trzeba się było latać darniną z blizkiego cmentarnego rowu, służyła gnijąc za pokarm tym chciwym przybyszom.

Gorzéj było daleko ze ścianami, które się osuwały, zapadały w ziemię, krzywily, paczyły, wychylały i w końcu stały się jakąś niepojętą kłecianką najdziwniej zamieszanych materiałów. Drzewo w nich niedostające zastępowały: chróst, glina, ziemia, słoma,

śmiecie i co tylko było pod ręką. Jaskółcze gniazdo pod strzechą gościnną z większą nie zlepia się sztuką. Na podpory użyto rozebranéj wprędce nienżytecznej kuźni, która na jakiś czas i paliwa i budulcu dostarczała. Pozostałe jéj słupy, hornó i kupa gruzu jeszcze swém sąsiedztwem wćććj ruiny przydawały ubogić chatce, ale wprędce dobroczynna matka zasiała na nagićj tćj górcie pokrzywy i łopuchy, które zielonemi liśćmi wstydliwą robotę rąk ludzkich zniszczoną pokryły.

Ale człowiekowi, któremu po śmierci tak mały wystarcza domek, i za życia niewiele było potrzeba. Wchodziło się do lepianki na wpół się łamiąc, by przez drzwi niskie przecisnąć; okno ramą spoczywało na ziemi; a we środku, w tćj jamce ciemnćj, smutnćj i wilgotnćj, żyło się życiem powszednićm, zupełnie tak samo jak się cierpiąc, jęcząc i stękaając żyje w niejednym mozaikowanym pałacu.

Kiedy po srogićj ulewie opadła gdzieś ze ściany nalepa, albo w skwar oschła osypała się glina, i wiatr, gość nieproszony, po izdebce przeleciał,—wdowa szła za chatę, rozmiesiła gliny, przyłożyła gruzu z kuźni, zaprawiła otwór, i znowu na jakiś czas było zaciszno i cało.

I dziewczeczka, co rosła w tćj rozpadlinie, nie zajmując nigdy do lepszego mieszkania, nie wystawiała sobie, by co na świecie lepszćm, pićkniejszćm, wygodniejszćm nad nie być mogło. Młodość tak sobie kłamię gdy kocha, a dziewczę tak tę swoją chatynkę kochało! Dla nićj większe i porządniesze budowy zdawały się nawet smutne obok tćj jamki na górcie przeciw cmentarza, do którćj częścicćj wiatr niż ludzie zaglądali.



Widzimy nieraz na suchej skale, w garści suche-  
go piasku wyrastającą dzielnie i silnie roślinę, którą  
żywi tylko Ojciec Niebieski, i stajemy zdumieni my-  
śląc, zkad ta wygnanka bierze soki pożywne? Miała  
je widać w ziarnie, które drobną łuską obejmowało  
wielki zaród żywota, i tą siłą tajemniczą krzepi się,  
podrasta, dźwiga. Tak właśnie i sierotka rosła, bu-  
jała, rozkwitała, choć nie jęj nie pomagało ku temu.

Ciągle prawie zamknięta ze smutną matką, wpa-  
trując się w wybladłe i zwiedłe jęj oblicze, słuchając  
westchnień niewyczerpanych, owinięta atmosferą śmier-  
ci, uśmiechała się przecię do życia, i rumieńczyk cza-  
sami krasił jęj śliczną twarzyczkę, a oczy poglądały  
pragnieniem żywota i ciekawością świata.

Wiecież, jak się wychowują wiejskie dzieci? Jak  
ptacy niebiescy, jak kwiaty na niwach, jak wszystko,  
czém się sam Bóg tylko opiekuje przez ręce aniołów.  
Słuchają gadek wieczornych i pieśni macierzyńskiej,  
patrzają na czynne ojców życie, dumają w polu, poglą-  
dają na niebo, i koniec końców serce się rozkołysze,  
i w głowie myśl się rozwinie, i budzą się ludźmi jak  
drudzy, często od drugich lepszymi. Mniej od nas  
wiedzą pewnie, ale czują równo, jeśli nie silniej,  
a więc i lepiej zgadują, bo w nich mówi serce,  
a serca słuchać umieją...

Córce Motruny wiele nie dostawało i z téj nawet  
odrobiny, którą mają wszyscy. Matka jęj była tak po-  
nuro milcząca, a wioska dla nich niechęciwie obo-  
jętna!

Nie było już znowu, i nikt Motruny nie odpychał  
gziwem, ale zwano ją pogardliwie Cyganichą, a jęj  
dzieweczkę Cyganką. I choć się Maryś umiała przy-  
milić, przypytać, ucześcić, podobać, choć jęj nie odga-

niano — dzieci wiejskie z obawą jakąś stroniły od sieroty, uciekały od niej, a często nielitościwie płały jej figle! O! dzieci bywają okrutne!

Nieraz wybiegła w pole, i rada się była zbliżyć do pastuszków, którzy, gdy odłóg był w tej stronie, pod samą chatą rozkładali ogniska, piekli kartofle i swawolili, naglądając na bydelko i owce rozpierzchały po łanie; ale chłopaki i dziewczęta ledwie ją zoczywszy, szeptali: „Doczka czarownicy! Cygańskie dziecko!” i rozpierzchali się po jarach. Biedna Maryś przysługiwała im się to przyniesionym ogniem, to trzaskami, to trochę łomu; przyjmowali od niej podarek, ale ani się było z nimi rozgadać, ani poweselić, ani podrużyć.

Marysia najczęściej była sama, samiuteńka, i tak już przywykła powoli dawać sobie radę, że jej ludzie nie nęcili. Patrzała nieraz dni całe, usiadłszy w progu chaty, na przeciwległe cmentarzysko i wzgórze, na którym zdaje się nie do widzenia nie było, i umiała tam dojrzeć dziwnie zajmujących rzeczy.

Przelatywała jaskółka raz niosąc w dziobku trochę błota, to znowu odrobinę słomy lub pierza; Marysia szła za nią oczyma tam i nazad, pilnie przypatrując się pracowitej ptaszynie, tak, że te swoje sąsiadki знаła niemal każdą z osobna, i po ruchach i zajęciu rozpoznawała. Wiedziała ona, gdzie której gniazdeczko przylgnęło i zkąd sobie żywność nosiły, a po niespokojnych ich krzątaniach uczyła się poznawać nadchodzące burze. Bawiły ją szczebiotliwe wróble, i drobne ptactwo gniezdzące się na kilku wierzbach cmentarnych, i elegantki sroczki często o dwa kroki od niej przechadzające się po gościńcu, ale na-

dewszystko malutkie susły, których tam niezliczona ilość okrywała brzegi pola i naddroże.

Pogodnego dnia miesięcznej nocy, gdy cicho było dokoła, susły miały zwyczaj na progach podziemnych domowstw swoich używać świeżego powietrza, i zasiadać rzędem, pewnie na jakąś gawędkę; a Marysia dech w sobie zatrzymywała, by ich nie spłoszyć najmniejszym szelestem, bo trwożliwe zwierzątka zaraz znikały w swych pieczarach. Zabawne ich ruchy, skoki, głos nawet przerywający ciszę, miłe były osamotnionemu dziecku.

A że gościniec dość był z téj strony pusty, pola były rozległe, lasy niedalekie, więc ciekawe dziewczę miewało choć rzadziej i mniej pospolitych gości. Po nad chatynką przeciągnęły nieraz kaczki, lecąc na nocleg do blizkiego łęgu, zjawiał się zajaczek umywający się rosą lub skubiący zieleninkę, siadały czasem siewki, pokręciło się hałaśliwe stado szpaków, zabłąkała z dębniaku kraska niebiesko-pióra... a epokę stanowiły dropie na grubych nogach i podrózne żurawie.. I było na co patrzeć, i podziwić się czemu.

A czy to wiele potrzeba takim oczętom młodym, co na wylot świat widzą żywym jakimś instynktem niepojętą siłą serca i przeczucia! Nieraz chmura komarów, para żółtych wiosennych motyli, piórko ptasie, które wiatr unosił w powietrzu, bujając niém na wszystkie strony, trzymały jój oczy długo, długo ściągające zjawisko, dopóki tylko mżyło w dali w powietrznych obszarach.

I myślała Maryś o bożym świecie, o stworzeńkach bożych, o kwiatku co niezasadzony i niepolewany wykwitał u proga,—a marzenie jój było jak bajka cu-

downe, i jak pieśń poetyczne, i jak młodość świeżości pełne.

A gdy przyszło w słotę, w burzę i chłód zamknąć się z matką w izdebce, to dziewczę szczebiotało potem, że i milczącej Motrunie słowo z ust wyciągnąć musiało, i nieraz wywołało uśmiech, opowiadanie, naukę—lub żale.

Zresztą już Maryś odgadywała cudownie, czego jej matka odpowiedzieć nie mogła. Biedne kobiecisko tak było życiem zużekane, tak cierpiało w sobie, a podnieść się nad boleść swoją nie mogło, że nawet miłość macierzyńska rzadko jej otworzyła usta, a ze zwiedłych warg zwiedle ulatywały słowa, niewiele mogąc nauczyć.

Bo gdy dziecic rade było świat boży, ptasi, kwiecisty, zielony widzieć wesoło i jasno; z ust matki same słyżała narzekania, żale, a czasem... czasem nawet przekłętwa. Ta sprzeczność widoku wiosennego ziemi i wiosennego bicia jej serca ze słowy macierzyńskiem, długo się w główce dziecka pomieścić nie mogła, i pierwsze dumania zrodziły się ze sprzeczności niepojętej dla Marysi, której sobie rozwiązać nie mogła.

Z jęku matki wyczytała pierwszy raz cierpienie, męczeństwo, boleść, których nigdy nie widziała wśród ulubionych stworzeń, zawsze wesołych aż do zgonu i szczebioczących przy skonaniu, — i pomyślała biedna, że albo jej matka jest wyjątkiem, lub może jej żalność jest skutkiem wieku i choroby.

Jej pojęcie życia tak było fałszywe, tak dziecinne, a tak pierwotne, że gdyby była całą myśl swoją wyspowiadała najzakamienialszemu z ludzi, byłby się nad jej weselem, ufnem w dolę i przyszłość, rozplą-

kał łzami krwawemi. Jak ofiara uwieńczona kwiatami szła naprzeciw losu, co jęj oczekiwał groźny; nie widziała jeszcze ani noża, ani stosu, ani boleści, co na nią zaczajone czekały, tylko drogę umajoną i wysadzoną kwiatami w złotych sukienkach.

I rosła tak Maryś z uieopatrzném weselem, którem Bóg ozłaca pierwsze chwile młodości, pierwsze brzaski życia; a Motruna codzienn, co godzina, zdawała się latami starzeć i chylić ku przedwczesnej mogile. Nie żyła już, dogorywała tylko.

Nawet ukochane dziecko do żywota przywiązać jęj nie mogło; bo sił do tego brakło i z tchem każdym reszty ich ulatywały.

Zimny pot występował na czoło matki, gdy pomyślała, jak swą sierotkę zostawi samą jedną na świecie, samiuteńką niebogę; serce jęj biło strachem, ale uścisk serdeczny, którym wiązała się ze swoją dzieciną, zamiast ożywić, do reszty ją osłabiał, i w dziwną, pożerającą rzucał gorączkę.

Przychodziło to powoli, nieznacznie. Rachując na powolność swęj choroby, łudziła się Motruna nadzieją, że Marysię wychowa, nim oczy zamknie na wieki; ale myliły ją rachuby. Słabość oswadła ją niepostrzeżoną; z razu szła żółwim krokiem, potem postępowała coraz chyżej, coraz szybciej, aż dnia jednego postrzegła się biedna kobieta, że już wiadra ciągnąć nie może, że najlżejsza dREW WIAZKA jest dla nięj niepokonanym ciężarem, że samo chodzenie po izbie nuży ją śmiertelnie.

Usiadła na łóżku i zapłakała po cichu. Maryś na wszystko miała oko, ale wycieńczenie matki przypisywała starości tylko, wystawiając sobie Motrunę daleko, daleko starszą, niżeli była w istocie; i gdy po-

strzegła niemoc jój, wzięła się tylko ochoczo do zastąpienia jój w pracy.

— O! nie turbujcież bo się mateczko! zawołała podskakując do jój kolan: wszak-ci to ja na to rosnę i już cię potrafię wyręczyć. Próbowałam dwóch wiader pełnych, i chociaż się trochę zginam pod nimi, ale mi je podnieść nie trudno; drew i spory obere-mek zarzucam jak piórko na plecy... Odpoczywajcie sobie spokojnie, a mnie tylko znaczek dajcie, to zobaczycie, jak się sprawię.

Szczebiotanie dziecięcia jeszcze gorętsze łyzy wycisnęło z oczu biednej kobiety, która w milczeniu przycisnęła niebogie do serca.

— Gołąbku mój, gołąbku, odpowiedziała cichym głosem: ochoty ci nie brakuje, ale gdzie te siły, któremi się tak chwalisz? Dobrze ci pobawić się z wiadrami, ale dźwigać wodę pod górę, ale przynieść drew z lasu, a! i tyle, tyle ciężkich robot poopędzać koło domu, nie twoją to siłą, nie twoją!

Maryś pokiwała mądrą główką.

— Posłuchajcie-no matusiu kochana! zaśpiewała dziewczyna swym ptasim głosem: wyście to mnie nieraz wieczorami dawniej rozprawiali różne piękne rzeczy, a ja dobrze je zapamiętałam... Ot! byle kto mocno chciał, zdaje mi się, to co zamyśli, robi.

— Moja Maryś, tak w bajce.

— A cóż to bajka matuniu? to wczorajsze życie.

— Bajka! at sobie wymysł ludzki na pociechę tęsknego żywota... Może tak i bywało dawniej, ale dziś już tak nie jest: świat taki smutny, ludzie tacy bez litości!

— Tobie się tak zdaje matuniu; a choćby i żli

byli, taki cóż? dobrego obroni przy nim dobra siła zła nic nie robi czystemu.

— Daj Boże! a! daj Boże! i westchnęła biedaczka, bo więcéj wypowiedzieć nie chciała.

Miała na ustach spytać swéj Marysi, coby poczęła, gdyby jéj matki nie stało? ale na to zabrakło odwagi, zasmucić nie chciała dziecka, obawiała się przestraszyć.

Marysia tymczasem naiwnie się cieszyła, że teraz sama matce służyć będzie i gospodarzyć w domu.

Bóg wie co się tam roiło w téj głowic dziecięcój: —czysta bajka z wieczernicy! Spać jéj nie dawało marzenie, tak pracowała, tak się krzątała ochoczo, tak umiała chatynkę, tak w niéj już ład i dostatek tworzyła cudem, pełna ufności w Boga i ludzi.

— Już wiem! już wiem jak to będzie! — szeptała przewracając się na twardéj pościółce. Będą ludzie iść z jarmarku, wyjdę sobie na drogę, i stanę i uśmiechnę się, i pokłonię; chybaby serca nie mieli, gdyby mi też który nie podarował choć... jagnięcia, choć kozłatka, choć czarnej kury czubatéj. Rozhoduję, będzie za rok cztery, za dwa lata dużo, dużo — cała trzoda, całe stado... Na wsi przedziwa wiele, ja już nuiem prąść, i nie grubo, nie radnie, ale na ośmnastkę, na dwudziestkę. Chybaby Bóg nie łaskaw, gdybym na koszulę dla nas nie naprzedła i nie zarobiła to serka, to jaj trochę, to mąki, to krup, to okrasy.. O! to pójdzic... zobaczy matka! A potem przyjdą swaty od najbogatszego we wsi gospodarza, przyniosą matce podarek okrutny, pokłonią się do kolan, pocałują w rączkę... i będzie w cerkwi wesele, będzie się dziwować ludu mnogo... A teść mój matunię umieści

jak u Boga za piecem, w ciepłej, nowój, białej chacie; tylko jedz, śpij i używaj!

I tak daleko serdeczném marzeniem leciało dziewczętko, że się już widziało gosposią, matką, siwowłosą staruszką... ogromne, pełne zboża zasieki, stajenki pełne bydła, podwórko ptactwem bielejące... i—sen w końcu kleił powieki zwilżone łzą niespokojnej radości.

Gdy się zbudziła Marysia, ujrzała przed sobą matkę bladą, wyżółkłą, chudą, jakby przez tę jedną noc dziesięć jej lat przybyło, z kijem w ręku stojącą nad jej pościółką. Po narzuconej na plecy świecie, po białym rańtuchu, po starych bótach, które na nogi wdziała Motruna, poznała Marysia, że się gdzieś wybiera, i sądząc, że myśli iść po wodę, żywo skoczyła, by ją uprzedzić.

— A dokądże to? dokąd? matuniu? spytała przestraszona, i po co ci wstawać było?

— Leż dziecko, leż, ja na wieś pójść muszę.

— Na wieś? po co? to mnie poszlécie.

— Nie można, serce, nie można, gołąbku kochany. Pójdę do Sołoduchy, poradzę się jej na niemoc moją.

— Ja ci tu Sołoduchę sprowadzę.

— Nie, nie! ty pozostań w chacie: mnie taki samój trzeba.

— Aleś ty słaba.

— To nic, dojdę o kiju, dojdę.. A tobym się rzleżała na nic... Ot zaraz i powrócę..

Marysia chciała się opierać, ale Motruna milcząc drzwi otworzyła, i choć chwytając się za ściany i uszak, szybko wyszła na podwórko.



Dziewczę wyrzalo tylko za nią z bijącym sercem, zawolało raz jeszcze po cichu, i pozostać musiało.

— Otoż kiedy tak! pomyślała upinając spódnice i narzucając fartuch na głowę, bo dzieci był wilgotny,—zwinę się i przyniosę wody, rozpalę ognia, przygrzeję juskę, nim matka powróci... Zobaczy, jaka ze mnie gospodyni.

Gdy się tak ochoczo krząta w chatynce, Motruna tymczasem powlokła się do wsi nieboga. A tak to jej teraz zdało się daleko! Có nǳie kroków kilkanaście, to stanie i odpoczywa, i wciąga powietrze, jakby go już brakło na świecie; i znów pośpieszy niecierpliwa, a wnet przysiada, bo drżą nogi, bo się w głowie kręci. Idzie tak, idzie do chaty Sołodnychy, bo to stara znachorka i całej wsi lekarka; ale chata daleko, daleko, na drugim końcu siola, a siolo wielkie, a droga górzysta.

Młodyby przebiegl w minut kilka, co jej iść było potrzeba godzinę; dobrze jeszcze, że po drodze to plot, to ścianka, to kamień, to drzewo, oprzeć się lub przysiąść pozwoliły; a i tak ciężko dźwignąć niemocy ciał, które się ołowiem zdaje. Chata Sołoduchy jakby coraz uciekała, ale wreszcie już ją widać: postrzegła wrota, i jakoś lżej na sercu, że choć w drodze nie padnie.

Dwie biedy najprędzej się jakoś zbliżą do siebie. Sołodnsze także świat nie był rajem, choć jej nędza ani w polowie nie doszła do nędzy Cyganichy. Najprzód stara miała męża dziada, ślepego prawda, niezdarę, pijaka, haraburdę, który jej często boki łątał i głowy nadszczerbił; ale też sprytny był włóczęga, groszaki przynosił i nieraz torbę pełną sucharów i wszelakiej ludzkiej jałmużny. Miała chatę, pilnując wrot

na łan, i sposób do życia ze swego znachorstwa. Bóg wie jak jęj przysłała ta mądrość: ot tak po prostu z wiekiem i zmarszczkami. Ten i ów jęj się poradził, pomogła jednemu i drugiemu, zaczęto ją brać do słabych niewiast za babkę, a potem już i febrę, i łamanie w kościach, i czego nie nauczyła się leczyć! W ostatku cała wieś innęj nie miała lekarki.

Niebardzo jęj ludzie szanowali, bo Sołoducha językiem nie darowała nikomu; ale aby kto stęknął, szła koza do woza—i ot... tak się żyło z cudzej biedy.

Stary Rataj (było to rodzinne nazwisko męża Sołoduchy) nie zebrał ciągle i nie wałęsał się nieustannie po drogach, bo był leniwe dziadziśko, i albo w karczmie zasiadywał, albo do góry brzuchem leżeć lubił; ale byle odpust, prąznik, jarmark i święto, wdziewał torby i w pochód ruszał.

A tak sobie doskonale dawał rady choć oczy stracił, że i prowodyra nie potrzebował. i gdziekolwiek stanął, wiedział co z sobą począć, kędy się obrócić, nie pytając ludzi.

W polu, w lesie, we wsi wśród najrozmaitszych drożynek, które latem lada przypadek po polu kęśli, kierował się śmiało, że ludzie z podziwu stawali patrzeć i ramionami ruszali. A choć się czasem zapił, to póki tylko na nogach się trzymał, nie zbłądził nigdy; i padając spać, miejsce sobie wybierał dobre, a rozbudzony nie pytał gdzie wódkę wytrawił? strząsał się, zamruczał i dalej w swoją drogę.

W sam raz się z żoną dohrali oboje!

Ilulali póki sił stawało. Sołoducha chodziła, jak to mówią, na Podole, to jest włóczyła się całemi miesiącami, nie zaglądając do domu; Rataj próbował różnego chleba, bywał na wozie i pod wozem. Nareszcie zeszl

się znowu na starość i siedli razem wrot pilnować kłócić się i gderać. Sołoducha była kobietą słusznego wzrostu, silną jeszcze, krzepką, wyszczekaną i w istocie znachorką wielką. Chorobę jak chorobę, nie wiem czy poznała; ale człowieka na wylot. Dość jej było spojrzeć w oczy lada komu, a gotowa była powiedzieć co myślał; a śmierć to tak czytała z wejrzenia, że kiedy pokiwała uad kim głową, już mu się pewnie nicwiele należało.

Brali ją też i do wsi sąsiednich nieraz, i nie sami chłopci, ale ekonomowe, popadye, ba nawet z Rudni szlachta czynszowa, siedząca na budkach. W chacie niedostatku nie było przy dwojakiem rzemiośle, i gdyby był statek, mógłby być dostatek; ale oboje na starość wódkę polubili, i Rataj i Sołoducha, a przemysłny Żydek i nielepszy od niego szynkarz szlachcic, byle podpoił, karbował nielitościwie.

Bywało tak, że stara zawiąże już kupę groszaków w węzelek i schowa je na złe dni, a Rataj wetknie gdzieś w kątek przyniesioną jałmużnę, także od biedy ją chowając; ale w dni kilka i on i ona dobędą zapasu i przepiją wesoło. Jednakże nie brakło im chleba i wygoły: bo Sołodusze nikt nigdy nie odmówił ze strachu, żeby nie oczarowała, a Rataj tak nudnie żebrał, że z kamieniaby grosz wydusił; a i wrota, choć rzadko, dawały szeląg przecię.

Stary doskonałe miał ncho, i byle zaturkotało co na pana wybiegał otwierać sam, kłaniając się do ziemi, a białe swe oczy podnosząc potem do góry, aby ślepotę okazać; ręką i głosem domagał się datku tak drapieżnie, że niejeden bez ochoty rozwiązał ściąg-niony woreczek.

Oboje pomimo nałogów swych nie byli wcale zły-

mi ludźmi, i gdy mogli, chętnie dobrze czynili, a nikt nie powiedział, żeby komu w czém zaszkodzili, nawet ich o czary i zawiązki w zbożu nie posądzano...

Sołoducha siedziała w progu, zapięta fartuchem, brodę trzymając na kolanach, a za nią w sieni leżał dziad na garści słomy. Gdy ujrzała idącą ku sobie biedną Motrunę, spojrzała tylko z daleka i poczęła kiwać głową.

— Aj! aj! rzekła: ktoby to powiedział, żem to ja ją znała dziewczyną, dzieckiem! a matka jej nawet była młodszą odemnie. Ot! dziś stara jak ja, a gorzej słaba odemnie... To tobie Cygan! to tobie kochanie!

— O kim to ty mówisz? odezwał się Rataj.

— A o kimże, kiedy nie o Cyganisze! Wlecze się biedota, ani chybi, żeby jej co poradzić; ale komu życia zabraknie, to go żadne nie da ziele. Już to ja widzę z daleka, i dawno wiem, że do zimy nie dożyje nieboga! Tylko się duch w ciele trzyma, a szpary szuka, żeby uciec...

— Oj! oj! jaka ty zuachorka, babo przekłeta! zawołał stary ze swego barłogu. Żebyś ty tak znała swoją ostatnią godzinę, jak ty co wiesz! Ot! ludzi czmujesz, a porzuciłabyś mnie durzyć; czy to ja ciebie nie znam?

— Milcz stary! jeszcze ja i tobie ostatni dzień wypowiem.

— A! niedoczekanie twoje, gadzino!

I byliby się skłócili, gdyby Motruna nie nadeszła w tej chwili.

Sołoducha, którąśmy widzieli przed chwilą ząb za ząb ujadającą się z mężem, przybrała na zawołanie fryzognomię swojego stanu: łagodną, zamyśloną, tajem-

niczą, a choć Motruna była tylko biedną, ubogą sierotą, powitała ją z nadskakiwaniem.

— Aj! cóż tobie hołubeczko moja? czy nie słaba ty? zawołała do zbliżającej się Cyganichy.

— Słaba! gorzej niż słaba! odpowiedziała przerywanym głosem Motruna: przyszedł czas umierać!

— Cóż to gadacie, krzyż z wami! Alboż to sobie kto sam śmierć przepowie! No! no! cóż ci to jest? powiedz-no hołubko, a może co poradzimy.

— Gdzie tam! gdzie tam! potrzęsa głową siadając na kłodzie Motruna, której nogi drżały i świat się w oczach kręcił.

Sołoducha trochę się uczuła dotkniętą tym brakiem ufności w swoją sztukę.

— Juściż nie po coście do mnie przyszli, tylko po radę? rzekła uśmiechając się.

— Oj! nie po radę, nie—zawoła spoczawszy trochę kobieta,—ale po miłosierdzie... Mnie już taki nie żyć, to darmo!

Dziad i baba pilniej coraz przysłuchiwać się zaczęli, a przybyła tak głosem przerywanym mówiła:

— Już to ja nie dziś czuję, że umrzeć potrzeba, nie dożywszy siwego włosa... Al i nie żalby mi było światła, gdyby nie dziecina sierota!... Ot tak Sołoducho, matko kochana, życie uciekało, uciekało i uciekło; darmo ziele warzyć i zażegnawać. Pan Bóg wie co robi: przekłństwo ojca wisi nademną. Spokojniebym umierała, spokojnie, gdyby nie dziecina; ale we wsi nie ma Cyganicha brata, nie będzie miało cygańskie dziecko opiekuna. Marysia moja zwała się i przepadnie. Takić męki jak moja, wy nie rozumiecie, Sołoducho. Żyłabym, żyła i męczyła się, żeby dzie-

cię wychować, a to Bóg nie pozwala za grzechy moje. A! co się stanie z Marysią moją!

— Albo to Pana Boga nie ma? odparła Sołoducha; albo to na świecie wilcy nie ludzie?

— Oj! jest Pan Bóg, jest, ale srogo za grzech karze; a ludzie...

— At! ludzie—mruknął dziad z barłogu—dyabliliby ich brali; niewiele lepsi od wilków!

Nikt nie uważał na ten wykrzyk starego Rataja, a Motruna wciąż jak z gorączki prawila swoje:

— Oj! dziecina, dziecina! co się stanie z moją Marysią! Tu śmierć przychodzi, a dziecko mnie za serce trzyma!

— Durzycie bo się darmo, odparła siadając przy niej bliżej Sołoducha: czyż to aby kogo głowa zabolała, zaraz i umierać? Ot, będziecie jeszcze zdrowi, powiedzcie-no, co wam jest?

— Co jest? śmiejąc się boleśnie mruknęła wdowa: to co jest, to już koniec; spytajcie chyba co było? Marłam, schłam, słabłam, codzień stygło ciało, codzień się zasuwwały oczy, a ot, dziś, jutro koniec będzie.

— Porzućcie wy sobie prorokować.

— Darmo Sołoducho matko, ja bo czuję co mi jest. Trzeba umrzeć. Nie mnie już radźcie, ale dziecinie.

Stara pokręciła głową w milczeniu.

— Co tu poradzić? szepnęła: toć macie krwiniaków?

— Swoi! swoi to zawsze najgorsi! odparła Motruna. Nie ma co ich wspominać. Radźcie inaczej... Broń Boże na mnie końca, ta biedota sama się jak palec zostanie w chatynce, i nie będzie jój komu podać chleba kawałka; zginie marnie!

— Wezmą do dworu!

— O! to ostatnia pohybel! krzyknęła Motruna, rzucając ręką. Nie chcę! nie chcę! napatrzyłam się ja sierot wychowywanych we dworze... Marysia będzie ładna... twarz ją zgubi; wołałabym, żeby z głodu zginęła a pocziwie. Ot, wiecie co Sołoducho?.. wy ubodzy jak ja, swoich dzieci nie macie, bądźcie wy matką Marysi!

Na te słowa wyrzeczone z wysiłkiem, na które rozpacz tylko zdobyć się mogła, Sołoducha porwała się z siedzenia, a dziad z posłania swego, i oboje krzyknęli coś niezrozumiałym głosem z podziwienią. Chwila milczenia złowróżbnego nastąpiła po ich wykrzyku, który nietyle oznaczał wstrętu i niechęci, ile jakiegoś przestachu i zdumienia. Dziad i baba spojrzeli po sobie, a białe oczy Rataja, choć ślepe, w stronę żony się zwróciły.

Motruna uchwyciła trochę powietrza, i nie dając im odpowiedzieć, ciągnęła dalej:

— Ona was nie obje przecię, a za troje zrobi. Takiego dziecka drugiego nie ma tu na wsi. Na nią i chatę zostawić można, i posłać, i powierzyć, bo wszystko zrozumie, a cicha, a pokorna! Mielibyście służyć za kawałek chleba, i dziecko gdyby własne.

Starzy milczeli jeszcze.

— Kiedy bo widzicie... odparła Sołoducha namyślając się jeszcze,—ot co to gadać za wczasu! Nie dumajcie darmo o śmierci, nie wywołujcie wilka z lasu.

— On już wyszedł i przeciwko mnie stoi, odpowiedziała wdowa po cichu,—i ślepie wywarł na mnie, a niemi duszę wyciąga!

— Choremu zawsze śmierć na myśli.

— A weźmiecież wy moją Marysię?

Dziad stanął we drzwiach, i począł się przysłuchiwać, trzęsąc głową.

— Kiedy bo widzicie, rzekła Sołoducha kręcąc w rękę róg fartucha: to się dobrze potrzeba namyślić, żeby znów na próżną miskę nie zaprosić. Wy wiecie, jakie życie nasze: jałmużna i miłosierdzie bożkie; ledwie mamy chleba kąsek... Nie pożałowalibyśmy go, ale jój u nas dobrze nie będzie.

— A gdzież jój będzie lepij? Bogaty gospodarz, gdyby i wziął, to będzie sierotą pomiatął. Wy swoich dzieci nie macie, samiście ubodzy, rychlój się zlitujecie nad biedactwem; oczu jój przynajmniej chlebem wykłówać nie będziecie.

Znowu starzy milczeli, aż Rataj się nareszcie wywłókł o kiju z chaty i stanął przed Motruną.

— Słuchaj-no, sąsiadko, rzekł raźnie do Cygani-chy: co tu długo gadać? My Marysię weźmiemy, a jakby Sołoducha nie chciała, no! to jój kijem boki wylatać.

Stara rozśmiała się na całe gardło i poskoczyła do męża; nierada była małżeńskich kłótni rozpościć przed ludźmi.

— A! mój ty stary! poczęła słodko: ciebie bo zawsze żarty się trzymają. No! no! schowaj kij na psy, jakoś my się zgodzimy!

Rataj pomruczał coś i zamilkł; Motrunie łyż z oczu pociekły.

— Wy ją weźmiecie, wy się nią zaopiekujecie; bo jak nie wy, to już nikt... tylko nędza zna co to cierpieć, i ulituje się nad sierotą... Sołoducho, matuniu, bądź jój matką! ja za was i w grobie modlić się będę!

— Nie turbujcież się już o dziecko, przerwała ba-



ba: kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył.. Jeszcze wy ją sami wyhodujecie.

Cyganicha głową potrząsała.

— Dziś, jutro—rzekła z cicha—to i koniec będzie O mizerne ciało nie kłopotę się, muszą mnie pochować; a kiedy teraz i dla dzieciny Bóg dał rodziców, to już choć umrę spokojnie.

I chwyciła za kij, chcąc wstać, bo coraz słabszą się czując, rada była do chaty powrócić; ale ledwie wzbiwszy się na nogi, znowu opadła na kłode.

— Gdzie wam iść do chaty, takię zmęczonę! poczęła Sołoducha; trzeba odpocząć...

— Nie ma czasu! nie ma czasu! z dziwném obłąkaniem zawołała Motruna. Dojdę taki jeszcze choć do proga.

Sołoducha plasnęła w ręce.

— Nie zrywałabyś się lepiej, rzekła. A kiedy wam już tak pilno, ot jedzie Mosiej parobek popadyn, to go poprosimy, i podwiezie was pod cmentarz.

— Gdyby on to chciał zrobić! zawołała z westchnieniem Motruna.

— Ej! poczekajcie-no: jam go wykurowała przeszłej niedzieli z takiego czyraka pod pachą, że waryował, a nawet mi nie miał za co kieliszka wódki kupić; dam ja sobie z nim radę.

To mówiąc, kiwnęła tylko Sołoducha na parobka: pewna swego.

— Słuchaj-no! rzekła do niego: co by ty zrobił, gdy byś znowu dostał czyraka w pachwinie?

— A niech mnie Pan Bóg broui! krzyknął Mosiej: dobrze, żem tamtego przeżył!

— No! to nie chcecie drugiego?

— Co tobie, kobieto?

— Bo ja to tak tylko się pytam... Wy wiecie że kto mnie nie posłucha...

— No! no! a czegoż wy chcecie odemnie? zapytał chłopak, skrobiąc się po głowie.

— Podwieźcie chorą Cyganicę do chaty pod cmentarzem, szepnęła mu na ucho. Jój się już niewiele należy, do domu się już sama nie dowlecze.

— A podwiezę, podwiozę, jeszcze na wóz wsadzę i z woza wysadzę, rozśmiał się Mosiej. rad że się na małym skończyło. Tylko niech się dobrze okryje, żeby jój ludzie nie poznali, boby nimie palcami w karczmie wytykali, że się z nią pobratał.

Coś tam więcéj mówił jeszcze, ale go już nie słuchali, a Sołoducha pośpieszyła pomódz biedrój Motrunie na wóz. który się z okrytą kobieciną potoczył powoli aż na drugi koniec wsi.

Choroba Cyganichy, może skutkiem przestachu o los dziecka, czy też wielkiego nad siły znużenia, w drodze już wzrastać zaczęła, tak, że gdy Mosiej z woza ją u drzwi chaty zсадził, ledwo się potrafiła zawlec do łóżka.

W chatce było pusto, bo Marysia zbierała w kruk-laku suche gałęzie (holce), aby niemi ogień podsycić, a Motruna miała czas odetchnąć, nim nadbiegło dziecko, wlokąc za sobą całe brzemię suszu.

Nie wiem zkad nabrała znów sił wdowa, by się wziąć do pracy, ale z zaiskrzoném okiem, pocałowawszy dziecko w czoło, poszła do pustej bodni, w którój trochę tylko bielizny i parę sukman leżało na dnie. Ztąd wybrała sobie koszulinę, fartuch stary, i umyw-szy się zaczęła odziewać pośpiesznie, nie mówiąc Marysi.

— Czy to gdzie iść myślicie, matusiu? spytała zdziwiona sierota.

— Ot tak... może, może... trzeba będzie — odpowiedziała jękając się matka — nie wiem, mam sprawę u pana.

— Aleście się i tak już dzisiaj zmęczyli.

— Ej! nie tyle! Mosiej przywiózł mnie tu ze wsi.

— Tobyscie może poszli tam jutro...

— Kiedy bo to sprawa pilna, a z panem nie żartować.. rzekła wdowa, której się lzy w oczach kręciły i łkanie polykała ze słowy. Nie bój się Marysiu moja! jak nie zdołam, to nie pójdę.

— Połóżcie się lepiéj! zaczęła świergotać dziewczyna. Ja zaraz ognia lepszego rozpale i krupniku wam wczorajszego odgrzeję. Wamby się i posilić potrzeba.

To mówiąc, pobiegła odgrzebać węgle starannie popiołem przykryte, a Cyganicha jako tako się odziewszy i zawinąwszy głowę rańtuchem, powoli przeszła z alkierza i położyła się na łóżku.

Marysia uradowała się, widząc, że matka jęj posłuchała, i zwawiej jeszcze jęła się swojej roboty. Wyciągnęła garnek z pieca, zdjęła pokrywę, i ledwie płomyk zabłysnął, przystawiła trochę dla matki schowanego krupniku. Sama jak myszka zajadała ukradkiem suchy chleba kawałek; bo okrutnie czuła się głodną.

Motruna tymczasem milczała, i zmrużywszy oczy, zdawała się powoli usypiać; z czego rada Marysia, na palcach, cicho zwiјаła się po chatce. Już i krupnik począł parować, i miska i łyżka były gotowe, a Motruna głębokim snem zdawała się być uspiona. Dziewczę chrząknęło kilka razy, zakaszłało, myśląc, że matkę

przebudzi; ale ta tak była znużona i potrzebowała spoczynku, że się ani ruszyła.

— Co jój mój krupnik! pomyślała Marysia, zlewając go znowu do garnka i przystawiając do ognia: sen ją lepij posili... a jadło nie uciecze.

Siadła więc na ławie, przyrzuciła gałązek, odsunęła garnek trochę, i z oczyma wlepionemi w matkę, dech wstrzymując, by jój nie przebudzić, przysiadła.

Motruna spała na pozór spokojnie, że ani jój piersi oddech żywszy nie poruszył, ani drgnieniem żadnem nie objawiało się cierpienie. Twarz jój stawała się coraz bledszą, oczy na wpół tylko przymknięte nie zdawały się już patrzeć na córkę, ku której ciągle się zwracały, a usta dziwnie roztwarte, pozostały nieruchome...

W tym śnie spoczynku, Bóg zesłał jój odpoczynek wiekuisty — śmierć pożądaną po życiu boleści. Ale dziecię wdowy, które nigdy nie widziało umarłego, nie rozumiało śmierci, i radowało się biedne pozor-ném matki uspokojeniem.

Spoglądała na łóżko kiedy niekiedy, i bała się ruszyć, by nie przerwać snu błogiego.

— To dobrze... mówiła w duchu Marysia — choroba jój snem przejdzie, posili się snem matunia, i wstanie mi zdrowa, zdrowiuteńka, wesola! Taki sen! taki sen! nie pamiętam, żebym ją kiedy widziała śpiącą tak głęboko. Bywało, żebym się ruszyła, to się zaraz obudzi.. Wyraźnie lichy tym snem przechodzi... ona go tak potrzebowała...

I cieszyło się, i marzyło dziewczę, oczekując przebudzenia, a twarz Motruny z bladój stawała się coraz bielszą, żółciejszą, siną nareszcie, i dziwna, straszna barwa śmierci rozlała się po niej powolnie.

Marysia patrzała na nią, i nie pojmowała nieszczęścia swego.

Przyszło południe — nie obudziła się matka. Zdrzemnęła się Marysia, pilnując krupniku i ognia, przebudziła, usnęła znowu, i w téj jednostajnej ciszy ani postrzegła, jak zachodzące słońko zajrzało w okno pomarańczowym swym blaskiem, którego promień wprost padł na lica umarłej.

Zdziwiło się dziecko, widząc słońca tak nisko, dzień tak szybko na drzemce i czekaniu spędzony, a matkę uśpioną jeszcze i ciągle uśpioną.

Ale niezwykłość snu tego, nieruchomość Motru-ny coraz większa, upartą nadzieją napawały serce biednego dziecka, niedomyślającego się nieszczęścia swojego. Była pewna, że po tym śnie matka się ję zdrową przebudzi.

Już i mrok padać zaczął, a ona wciąż po gałązce dokładając do ognia, siedziała z okiem w łożu wlepioném. Nadeszła noc, nic się nie zmieniło w chacie.

— Śpi matka! śpi dobrze! mówiła Marysia: nie trzeba snu ję przerywać; wątpię, żeby już w nocy jeść chciała.

I odstawiła garnek z krupnikiem, a zaświeciwszy kaganek w glinianej miseczce, żeby mieć ogień pod ręką, sama cichutko spać się układała, nie rozbierając się nawet, żeby zbyt mocno nie usnąć.

Oczekiwanie, niepokój, przymuszona nieruchomość, tak ją znużyły, że ledwie głowę do pościółki przyłożyła, schwycił ją sen twardy, sen młodości. I dzień zaświtał przez szybki zakopcone, gdy znów otworzyła oczy, żegnając się zdziwiona, jak noc długą jednym tchem przespać mogła.

Pierwsze ję wejrzenie było na matkę, którą przy

blasku dogorywającego kaganka i rannego świtu ujrzała w tém położeniu co wczoraj: nieruchomą, a dziwnie białą i bladą. Bładość ta pierwój stopniami przychodząca, nietyle ją uderzała; teraz świeżemu oku zdawała się przerażającą.

Zbliżyła się powoli na palcach do łóżka, poczęła przysłuchiwać się, przyglądać; ale ani tchu, ani drgnienia dobadać nie mogła.

— Ależ to sen się jój udał! rzekła w sobie. Dziwny sen jakiś, kamienny! Ani się obróciła, ani tchnie, ani się ruszy.

I dotknęła z lekka, ostrożnie ręki umarłej, a uczuwszy ją chłodną i jakby kamienną, zadumała się głęboko. Ale myśl śmierci nie przeleciała jój przez głowę; miała to jeszcze za dziwną chorobę, za dziwny sen słabości. A że u prostego ludu często w istocie snem boleść najcięższa przechodzi; że o niejednym takim słyszała wypadku: uspokoiła się po chwili dziewczyna, dźwując się tylko osobliwszej słabości, która się tak dziwnie, według muiemania jój, kończyła.

Znowu dzień przeszedł jak wczoraj. Marysia rozpałiła ogień, zgotowała świeżego krupniku z ostatkiem omasty, a wczorajszym zakwaśniałym już, trochę się z chleba kawalkiem posiliła, i ośmieliła wyjść na próg, ażeby świeżem odetchnąć powietrzem.

Ale niepokój wkrótce ją nazad pociągnął ku chatce; ledwie czas miała okiem rzucić na wiosenny świat boży, po kilkudniowej plusze występujący w blasku słonecznym i srebrzystych szronach zapowiadających pogodę.

Błoto było przykrzepłe, gałazki drzew całe w brylantach, trawy, słomki, listki poschłe aż do żdźbła

najmniejszego — wszystko w błyszczącym jednakim stroju. Cementarzyk ze swemi wierzbami i wysokiemu trawami zwiędłemi, połyskiwał od błyszczących lodu igiełek, które aż uśmiech wesela wywoływały na usta Marysi.

— Jakże to ładnie! jakże wesoło! zawołała: ale jak pusto!... Ani ptaszyny, ani wrony, ani sroczki, i wróble nawet moje gdzieś powędrowały pod cieplejszą strzechę...

\* W istocie, na drodze okrytej grudą świeżą, dokoła jak zajrzeć, żadnego żywego nie było widać stworzenia, a cisza grobowa! Marysia chwilę popatrzała z progu i zawróciła się do chaty. Matka spała nieporuszona, nieprzebudzona, snem ciągle jednym, niepojętym.

Nadeszło południe, a dziewczę instynktowy jakiś począł przejmować niepokój. Podchodziła ku łóżku, przysłuchiwała się, wracała, chodziła głośno, pokaszliwała, chcąc przebudzić matkę, stukała czerpakiem i garnkami, ale nic nie pomogło.

Już się i wieczór zbliżał, a Motruuna nie wstawiała, nie dawała życia znaku, i noc zapadła znowu, a Marysia zdrzemnęła się, nie chcąc się kłaść spać, na przypiecku.

Noc miała niespokojną, bo jej się ciągle zdawało, że już matka przebudzić się powinna, że się przebudza; zrywała się, biegła i siadała, znowu mimowolnie snem zużona padając. Brzask dnia drugiego całkiem ją wreszcie przebudził. Uderzyła ją błądź Motruny; poczęła dumać co począć, przejęta strachem.

Możeby ją trzeba przebudzić! Dwa dni, dwie noce, to już za długo!

Ta myśl pognęła dziewczę ku matce; ujęła ją za

rękę złodowaciałą i przestraszyła się, czując ją zdrewniałą, jakby drewnianą, a ciężką i bezwładną. Poczęła z lekka poruszać, mówić, trącać.., ale i to nie pomogło.

— Potrzeba iść do Sołoduchy — zawołała sama do siebie — to nic nie pomoże. Ona znachorka, będzie wiedziała jak na taki twardy sen poradzić; matka się zawsze udawała do niej. Postawię krupnik na zydelku na przypadek gdyby się obudziła, polecę i duchem powrócę.

To rzekłszy, Marysia zarzuciła na głowę sukmankę podartą, i przymknąwszy drzwi chaty, biegiem popędziła na drugi koniec wsi do Sołoduchy.

Rataja dnia tego w domu nie było, bo nazajutrz przypadał jarmark w miasteczku; a dziad dla zabrania lepszego miejsca pod cerkiewką, wcześniej się nań wybrał. Sołoducha sama kręciła się po chacie, warząc coś u komina, gdy Marysia wbiegła zadyszana.

Starucha ciekawie obróciła się ku niej.

— Co tam, holubko? spytała.

— Oj! matuniu! sąsiadko! zawołała Marysia żywo: coś mi moja chora...

Sołoducha tylko głową pokiwała.

— A co to jój jest?

— Jakoś na nią dziwny sen przypadł, matuniu. Jak poczęła spać już trzeci dzień temu, powróciwszy od was, to ani się ruszy już dwie doby, a tak czegoś zastygła, a tak strasznie pobladła, i tchu — nie!

Stara Sołoducha płaśnieła w ręce, z których jój łyżka wypadła:

— Aj! oj! co ty mi gadasz?

Marysia przestraszona wyrazem twarzy Sołoduchy,



wlepiła w nią wielkie oczy, w których się już ła kłęciła.

— Śpi, śpi — rzekła ciszej — próbowałam obudzić, ani sposobu; a taka zimna!

— Krzyż z tobą! zawołała stara: a toć ona pewnie umarła!

Ten straszny wyraz, którego dobrze nie zrozumiała Marysia, jak piorun daleki obił się o jęj uszy. Zastanowiła się nad nim chwilę milczącą, ale wnet zaprzeczyła.

— Ale ona śpi tylko! śpi tak mocno! odparła. Wy znacie lekarstwa. wy ją możecie obudzić.

Żona Rataja spuściła głowę, zmarszczyła brwi, i nic nie odpowiedziawszy, poszła do kąta wdziewać kożuch na siebie.

— Pójdziemy! zawołała, przygaszając ogień trochę wody i zagrzebując główienki popiołem: pójdziemy zobaczyć, moje dziecko!

Chatę na drewniany klucz zamknięto, i stara ruszyła zadumana z dziewczęciem, które do jęj powolnego chodu ledwie się zastosować mogło, tak pilno mu było do matki.

Droga śmiertelnie nudną i długą wydała się Marysi, której nawet widok ulubionego ptactwa i gwaru wsi rozerwać nie mógł. Z okiem wlepionem w ziemię szła za staruszką powoli, i co krok wzdychała.

Pod górę, ku chatce, Sołoducha, choć o kiju, nie łatwo się wdrapała; kilka razy musiała odpoczywać, a doszedłszy do progu, siadła wydychać znużenie, nim weszła do lepianki. Marysia ją uprzedziła, spojrziała na łóżko: jakaś czarność plamami wystąpiła na zmęczone oblicze matki... a twarz jęj była tak okrop-

nie zmieniona, że myśl śmierci ujęła serce sieroty szponami strachu i przeczucia.

Wtém i Sołoducha weszła na próg, popatrzała i ręką zamachnęła szeroko.

— Zbliźcie-no się, zbliźcie!

— A po co? zawołała lekarka: ona umarła! ona dawno umarła!

Marysia jak stała, tak załamawszy ręce, szlochając, padła na ziemię.

---

Stara znachorka, niedługo zabawiwszy w chacie, powlokła się, napróżno próbując odciągnąć Marysię ku dworowi. Potrzeba było dać znać do pana, do księdza, żeby ktoś przecie litościwy o domowince (tak lud zowie trumnę), o grobie, modlitwie i ubogim pogrzebie pomyślał.

Po drodze kogo spostrzegła Sołoducha, stawiała każdemu opowiadać, jak Motruna od trzech dni już umarła, a sierota śmierć za sen tylko wzięła. Utyskiwała stara, że teraz nie wiedzieć kto zmarłą pogrzebie.

Wieść lotem strzały rozbiegła się po wiosce, a ciekawsi poczęli powoli ściągać się już do chaty Cygana, i oblegli drzwi izby, w której Marysia jęczała, klęcząc na podłodze.

Tymczasem we dworze niepokój się stał wielki, bo się obawiano, żeby ksiądz nie odmówił pogrzebu, i żeby urzędu nie było potrzeba sprowadzać dla dochodzenia przyczyny śmierci. Ale Sołohucha zaradzając temu, poszła i na plebanię do dobrodzieia i do-

brodziejki, opowiadając jak się to jój chora radziła, jak od dawną niedomagala, i rozczuliła ich historją sierotki, która sen za śmierć biorąc, pilnowala trzy dni umarléj. Nikt potém nie myślał wstrzymywać Cyganichy pogrzebu.

Nie było tylko komu dać desek na trumnę, dolu na cmentarzu wykopać i zająć się ostatnią posługą.

Szukano krewnych po siole, winawiając im obowiązek; ale ci głusi nań byli, i jeden na drugiego ciężar zrzucał. Dwór także nic na siebie brać nie chciał; a tak zwlokło się to do wieczoru.

Dopiero ksiądz sam poszedłszy do dworu, przyspieszył obrząd pogrzebowy, i o zmroku już wydano tarcicę, a trumnę począł cieśla za pańszczyznę.

Nie wiele też tam kolo niéj było roboty.

Kilka babek pobożnych przyniosło świeczki, ktoś z bractwa dobył cerkiewnego krzyża i postawił go umarléj, a choć nie było komu sprawić wieczerzy i wódką przyjmować, znalazły się dwie pobożne niewiasty, co ciała przez noc pilnowaly.

Chciano od niego odciągnąć Marysię; ale dziewczę wyplakawszy co łez miało, jakby odwagą jakąś natchnione, wyprowadzić się nie dało.

Gdy nad rankiem białą przyniesiono domowinkę, z sosnowych desek skleconą, gdy przyszło w trumience złożyć zwłoki, Marysia sama pomagała kobietom, sama pod głowę podeślała poduszczykę, otuliła nogi matce, złożyła ręce i ostatnia ucałowała ją, gdy wieko na wieki zabijać miano!

Prawdziwy to był pogrzeb ubogiego, w którym nie zachowano obrzędów i zwyczajów starodawnych: każdy nim zajmując się z łaski, co prędjéj ciężaru się pozbywał.

Grób ktoś wykopał przez miłosierdzie i wązko i płytko, byle ziemią trumnę przyrzucić; krzyżyk zbity z dwóch kijów ledwie z kory odrapanych, a o świecie przyszedł diak tylko, kilku ludzi z bractwa, jeden krzyż i jedna czarna żałobna chorągiew. Pochód też z chaty na cmentarz nie był długi: przez drogę ino na mogiłki, u których wrot pod starą wierzbą czekała wykopana jama.

Marysia wyszła za ciałem z Sołoduchą, z babkami, krokiem śmiałym, i poprowadziła matkę do domu spoczynku. Pierwsza, choć z jękiem, rzuciła garść wilgotnej ziemi na trumnę, która wkrótce pokryła się ubitą łopatami, ledwie nad poziom cokolwiek wzniesioną mogiłą. A że stypy nie było w ubogiej lepiance i nikt z litości nawet nie kupił strawy i wódki, więc co się zeszło na pogrzeb, rozbiegło się zaraz po nim.

Marysia usiadła na mogile i poczęła płakać, płakać, aż zawodziła z żalu biedaczka.

O kilka kroków stała zamyślona Sołoducha, przebierając w rękę węzeł od chusty, zadumana głęboko, jakby się wahała co ma począć.

— Prosiła mnie nieboszczka, żebym ją wzięła — mówiła w duchu — ale co to sobie na kark wiązać sierotę? Nietyle zrobi co zje; nie tyle pociechy co kłopotu. A znowu szkoda, żeby to się tak miało zwałać! A kto zechce wziąć, jeśli dwór nie weźmie, choć i we dworze nie raj! Namby to tak bardzo nie zaciężyło; wyreczyłabym się czasem: byłoby kogo choć po wodę posłać. Nieraz jak stary polezie w świat, choć do ściany gadaj! Co tu robić? I tak źle, i tak niedobrze... E! wezmę, dalibóg wezmę! Nieźle być musi dziecko, bo biedy zaznało, a do pracy przywykło.

I posunęła się Sołoducha, podeszła. i znowu zatrzymała się, namyślając, niepewna co poczynie.

— Słuchaj-no, Marysiu! zawołała nareszcie: a dość już żale zawodzić; wstawaj i chodź ze mną.

Ale dziecię nie posłyszalo z razu, i stara musiała je ująć za rękę, a siłą prawie wywieść do cmentarzowej fórtki. Marysia nie opierała się wcale, szła jakoś bezwładna, splakana, posłuszna, choć niechętna, trzymając ciągle fartuszek przy oczach i gwałtownie szlochając chwilami.

— No, dałabyś już pokój! mówiła znachorka. Łzy nie nie pomogą. Wszyscyśmy się na to urodzili, żeby umrzeć, to darmo! Już jój płaczem nie wywołasz z pod surowej ziemi i żółtej mogiły... Pomyślmy o sobie.

Marysia nic nie odpowiadając, wsparła się tylko o słup u brauki, i znowu szlochać poczęła.

— Bóg z tobą! ciągnęła dalej Sołoducha: chodź, chodź, nie ma tu czego dłużej dosiadywać; przeżegnaj się, pomódl, i pójdziemy do chaty.

To rzekłszy, a widząc, że słowa pomagają mało, ujęła ją za rękę, wywiodła na drogę, i stanąwszy naprzeciw chatki Cygana, zatrzymała się.

— A może tam masz co do zabrania? zapytała.

— Jak to? dokąd? odparła niewyraźnie, podnosząc na nią zdziwione oczy dziewczyna.

— A jużciż pójdiesz do mnie.

— Po co?

— A jakże tu zostaniesz sama?

— Jak? a toż nasza chata, po cóż mi szukać cudzój?

Sołoducha osłupiała, zamamrotała coś pod no-

sem do siebie, ruszyła ramionami i przeżegnała się powoli.

— Alboż to ty myślisz tu zostać?

— A jużciż! a gdzież mam być? spokojnie odezwała się Marysia.

— Krzyż pański z tobą! A cóż będzie! sama jedna! sama jedna!

— Kiedy nikogo nie mam, to i sama: cóż robić?

— A jakże ty sobie dasz radę?

— A jak my sobie z matką słabą radę dawały? Bieda była, a z głoduśmy nie pomarły; bieda będzie... Taka dola, a swoja chata, taki to swoja.

Sołoducha uszom swym wierzyć nie chciała.

— Toć przyjdzie noc... rzekła — a ty saniusienka jedna, to ci strach będzie!

— Strach? czego? zapytała Marysia.

— A cmentarz! rzekła baba po cichu.

— Ja od dziecka bawiłam się na cmentarzu i dniem i nocą... westchnęła Marysia: czy to mnie nowina?

— A matki mogiła! Bóg z tobą!

— A czyżbym ja się matki bać mogła! zawołało dziewczę z płaczem.

Stara słuchała, i nie mogła pojąć Marysi, która ocierała oczy i odpowiadała jój tak śmiało, tak dziwnie spokojnie, jakby położenie jój, sieroctwo, przyśłość, nic w sobie ani zastraszającego, ani nadzwyczajnego nie miały. I znowu zaczęła potrząsać głową, mruczeć pod nosem, a z pod brwi siwój ciekawe rzuciła na sierotę wejrzenie.

— To ty myślisz tu zostać? zawołała po chwili: sama jedna, ot tak jak palec? No!...

— Wszak inaczej być nie może! szepnęła Marysia.

Ta chatynka to ojcowizna moja, to mój domek, a jakbym ja go porzuciła, alboby to się rozsypało, alboby dwór kogo innego osadził.

— A ktoby tu chciał siedzieć! przerwała Sołoducha: za żaden grosz! Chodźże-no do chaty, chodź! pogadamy, pomiarkujesz się, bo ty sama nie wiesz co gadasz.

Znów stara ująć musiała dziewczę za rękę, i nieopierające się, ale bezwładne wprowadzić do pustki.

Nigdy ta jama nie była wesołą, nigdy się w niej nie uśmiechało do człowieka; ale teraz straszliwie była smutną, pełno śmierci wszędzie. Pogrzeb, który tylko co z niej wyszedł, pozostawił po sobie ślady. Leżała kupa trzasek i wiorów od trumny przyciosowanej w izdebce, dwa polaua, na których *domowinkę* stawiano; na ławie chleba bochenek, przyniesiony przez kitościwą niewiastę jakąś do przykrycia trumny, a zostawiony bo niepotrzebny, i ręcznik gruby, którego także nie użyto, a którym chleb ten miał być obwinięty. Łóżko, niezgarnięte jeszcze, nosiło ślady ciała, które na niem zbyt długo, czekając pogrzebu, leżało. Po kątach wszystko w największym nieładzie i rozsypce. Na kominie i w piecu ogień był wygasł zupełnie, a chłód wiał przykry po domku.

Sołoducha posadziła na przypiecku dziewczynę, która na widok izby tyle jój przypominającój, rozpłakała się znowu, — a sama poczęła się przechadzać zamyślona.

A że była do roboty i porządkowania przywykła prawie machinalnie, bo i w domu na niej gospodarstwo leżało, i u ludzi, gdzie do chorego poszła, często sięładem zajinowac musiała, — więc nie wytrzy-

mała, żeby trochę nie pozgarniać tu i owdzie i nie ponstawiać.

Tam przewrócone do góry dnem i pod ławą leżące podniosła wiadro, tu znów dobyła ognia i podnieciła go trzaskami, aż wreszcie dopadłszy miotły w kątku wyszarzanéj i zeschléj, spróbowała jéj, ruszyła ramionami, i zaczęła wymiatać śmiecie, gromadząc do progu. Marysia wciąż siedziała z oczyma wlepionemi w łóżko, na którém spoczywała matka; a lzy jéj przerwane na chwilę, dziurgiem znów biedz poczynwały.

— Taż to czyste pustkowie! obejrzawszy znów wszystkie kąty, poczęła Sołoducha: nie ma nigdzie a nigdzie nic... gałganów trochę, zapasu żadnego... jak wymiótł... gdyby po wojnie! A co ty tu poradzisz taka młoda i bezsilna? Żeby mnie tu kto staréj kazał i zapłacił za mieszkanie, żebym sobie wszystko z palca wyłamała... choć doświadczeńsza od ciebie i taki umiejąca coś zarobić, jednak urwawszy się, uciekałabym! Ty tu zginiesz!

— Zginąć, to zginę, a taki ztąd nie pójdę! ocierając oczy, zawołała dziewczynka stanowczo. To moja ojcowizna, to moja chatynka, ja jéj nie porzucę. Myśny tu z matką żyły, biedowały; jam tu wyrosła, na nogi stanęła, świat zobaczyła... ona tu umarła. A! nie! nie! to święty kąt dla mnie! ja nie porzucę, nie porzucę chatynki mojej!

Sołoducha, która z razu nie miała wielkiej ochoty brać sobie na kark dziewczęcia, jakoś poczęła się rozmyślać; może i natura lubiąca trochę na przekór drugim czynić, naprowadziła ją na uparte naleganie. Im bardziej Marysia chciała zostać, tém baba mocniej zaczynała namawiać ją do siebie.



— Co tu długo mówić!... rzekła wreszcie, stając przed sierotą. Matka twoja jak poczuła się źle, a życie jój już uciekało, sama się przecię do nas przywlokła,— a z czém? wiesz ty z czém?... Zaklinała mnie i mojego starego prosiła, żebyśmy cię przytulili... Umierającemu nie odmówić. Rataj i ja, choć samym nam ciężko, chleba ci nie pożałujemy; służba u nas nie straszna. W chacie taki i ciepły kąt, i strawa się znajdzie, a tu ty z głodu umrzesz!

Marysia słuchając staręj, powoli oczy otarła, wstała, i rzucając okiem po izdebce, poczęła przerywanym głosem, który co chwila więcej mocy nabierał:

— Posłuchajcie-no matko! Dobre serce macie, Bóg wam zapłać, i tobie, i staremu Ratajowi; ale z tego nic nie będzie! Chcecie się opiekować sierotą — ot, czasem na mnie najrzyjcie... dowiecie się, rzucicie chleba kawałek jakby go bardzo zabrakło... ale ja taki tu zostanę! Ojciec tę chatę budował, matunia w nićj żyli i zmarli; a ja... ja ją tak kocham, że mnieby serce pękło, gdybym otwierając oczy z rana, nie zobaczyła ścian jój popękanych, żebym wyszedłszy na próg, nie postrzegła wierzb cmentarza.

— Ale na krzyż pański! zawołała stara: ano podumaj, ano pomiarkuj, jakże ty sobie dasz rady?

— A jak my z matką dawały?

— To was dwie było do pracy.

— I dwie też było do życia; a mnie jednéj czy to tak wiele potrzeba?

— A gdzieżeś ty słyszała, gdzie to widziana rzecz — zakrzyknęła Sołoducha — żeby dziewczyna, i nie dziewczyna, bo taki dziecko, sama jedna sobie żyła i gospodarowała? Taż to nie może być, to nie

może być Jak gospodarz zostanie jedynakiem, to sobie kogoś szuka i znajdzie, a nie dopiero tak jak ty wyrostek, sierota!

— Wiele to rzeczy matko po świecie nie bywało, a jak pora przyjdzie na nie, to się muszą stać, choć się im ludzie dziwią! odparła dziewczyna, kiwając głową. Cóż ja na to poradzę, żem sama? Matki sobie nie kupić, Pan Bóg ją raz daje— ojca nie wyprosić! Myślicie, że ja tak opuściwszy ręce, z głodu umrę?

— To chyba pójdziesz po żebraniu?

— Nigdyśmy nie zebrali i żebrać nie będziemy! zawolała Marysia, podnosząc oczy na starą, która zapewne wspomniawszy swego Rataja, dziwnie zacięła usta.

— I to chleb jak i drugi — poprawiło się dziewczę, postrzegłszy niezręczność swoją, — ale ja go nie chcę. Już ciem młoda i zapracuję; nie bójcie się, nie bójcie!

I przystąpiła do Sołoduchy z wyrazem tak ujmującego przymilenia, całując ją w pomarszczoną rękę, że baba choć zagniewana świeżą poniewierką żebractwa, rozdobruchała się powoli.

— Na co się wam obciążać sierotą, kiedy nadto chleba nie macie?... odezwała się po chwili Marysia. Wszak i tak, nie biorąc mnie do chaty, wiele mi możecie dopomódz. Ot pozwolicie mi czasem przyjść, poradzić się, pożalić, pogadać; a jak już czasem nie stanie ani okruszyny, to mi rzucicie okrawek suchara, albo lepszą od niego dobrą radę, słodkie słowo.

Stara uśmiechnęła się, potrząsając głową.

— Oj! dzieciaku ty, dzieciaku! rzekła: co to się tobie roi w głowinie! Gdybyś w ostatku i chleb

miała, bo wszyscy ludzie miłośni jeszcze nie wymarli... to jak się obejdziesz bez twarzy ludzkiej, bez mowy, bez żywego ducha w téj pustce? A jak ci przyjdzie dni całe, noce całe samotnie siedzieć na ławie, aż ci duma głowę prześwidruje na wylot? Ja to znam! Ja stara, mnie już wszystko obrzydło, a nieraz jak Rataisko się w świat powlecze, przyjdzie zostać samemu na dni kilka, to człowiekby psa pocałował, żeby do niego zagadał, taka nuda, taka serce je tęsknica! Cóż dopiero młodemu, co mu jeszcze i gęba świerzbii, i serce się tłucze!... Nie wytrzymasz! nie wytrzymasz, mówię tobie!

— Wytrzymam, odpowiedziała Marysia smutnie, ale stanowczo. Nie będę ja sama: ściany i ławy gadać mi będą, matuniu; a mam tu pełno znajomych w kolusieku: wróble i myszy nawet innie znają.

Sołoducha splunęła, ruszając ramionami.

— A! a! próbujże, rzekła uśmiechając się: zobaczymy jak długo pociągniesz... I taki dziś zaraz chcesz tu zostać?

— A cóż? spytała dziewczyna: zostanę.

— Bo ja iść muszę, biorąc za kij rzekła baba. Bywajże mi zdrowa! A jak dokuczy, pamiętaj, że u nas masz zawsze przytulisko... roboty ciężkiej nie będzie... Bywaj zdrowa!...

— Bywaj zdrowa! powtórzyła powoli kilkakrotnie, odwracając głowę i ozierając się na dziewczynę, która usiadła wsparłszy twarz na rękę i zadumała się głęboko.

I wyszła Sołoducha nie dowierzając jeszcze, sądząc ciągle, że ją sierotka napędzi. Ale napróżno się oglądała, z wolna spuszczając się ze wzgórza, bo drzwi chaty zostały zamknięte, i nikt za nią nie gonił.

---

Trudno się było w początku opamiętać Marysi, rozpocząć to życie nowe, samą jedną, o swą siłę. Ale Bóg wlewa moc, gdy jej potrzebuje człowiek; cudów dokazuje wola, nawet w dziecięciu, cuda robi nędza. Nad wieczorem głód i chłód razem się dały uczuć dziewczynie. Musiała wstać z przypiecka, nanieść ognia, pomyśleć co by jadła, czémby się zeslabła posiliła. W chacie nic prawie znaleźć nie mogła; na ławie tylko leżał podarek którejś z bab—chleb po-grzebowy, który miano położyć na trumnie, a choć go nie użyto, już go przesąd nazad zabrać nie dozwolił. Ten bochcnek chleba świeżego był jakby ostatnim matki podarkiem. Marysia spostrzegła go uradowana, ukroiła, i zaczerpnąwszy wody, żebraczą zjadła wieczercę.

Siadła potem przy ogniu, popłakała, a że jej na myśl przychodziło z czego dalej żyć będzie, i że ciężko pracować potrzeba, żeby na chleb zarobić, więc porwała się zaraz do kądziółki, przypomniawszy, że ma jutro doprząść dla Semenychy motka, i za motek ten odebrać kilka groszy. Pomyślała i wnet siadła do roboty, ale się chwyciła nicboga za żywo: nie miała jeszcze sił do pracy; zaledwie poczęła wyciągać nić i pokręcać wrzecionem, sen gwałtowny, po wysileniu, po boleści, po głodzie, zesłany z Niebios na przywrócenie sił straconych, skleił jej powieki.

Wrzeczono cicho potoczyło się na ziemię, kądziel pochyliła i wsparła na piecu, a sierota usnęła snem dzieci, snem niewinnych i spracowanych.

Tymczasem Sołoducha z wielkiem zdumieniem opuściwszy chatę cmentarną, poszła przez wieś, nie mogąc sobie w głowie pomieścić, jak Marysia zachciała zostać sama i radę sobie dać potrafi.

— Zwyczajnie dziecko... mówiła w duchu; alem ja stara a głupia, że na to pozwoliłam. No! ale miałamże ją gwałtem ciągnąć? Jeszczeby ludzie powiedzieli, że ja ją sobie przywłaszczyła! Ale to tak być nie może, bo zginie biedactwo... Możeby dać znać do dworu, do dobrodzieja, do wójta, do gromady? Ktoskolwiekby na to coś poradził! Cyganka, czy co tam takiego, a przecie boże stworzenie: niechby z głodu nie umierała, wstyd dla wioski...

Tak rozprawiając sama z sobą, Sołoducha wlokła się wioską, a że stan jej robił jej wiele znajomych, co krok to kogoś zwabiała do rozmowy. Jeszcze też kupkami stali parobcy, kumoszki i starszyczyna, rozpowiadając sobie o śmierci Cyganichy i o jej pogrzebie. A że Sołoducha najdłużej zabawiła w chacie za wsią i zdawała się opiekować sierotą, cisnęli się do niej ludzie, rozpytując o Marysię.

— No, a cóż to z nią teraz będzie? mówcie-no, mówcie! naglono zewsząd.

Sołoducha przybrała minę poważną, ruszała ramionami, i poczęła z cicha, jak rzecz najciekawszą opowiadanie swoje:

— Toż zamtąd ja idę, rzekła—prościuteńko od niej. A czy uwierzycie? Ot! nie dała mi się wyprowadzić z chaty, i została w niej sama jedna.

Ludzie słuchali zdumieni.

— Com się ja jej naprosiła, com nagadała! nic nie pomogło. Powiada, że sobie da rady sama, że to jej chata, i po wszystkiém... Aż litość bierze myśleć, jak to marnie przepadnie.

— Ależby to kto wziął za kawałek chleba, mruknął stary Marcin Nieduha; ot i ja jedynoki, i żona słaba.

— Dajmo jój to i gadać: póki dobrze biedy nie skosztuje, nigdzie nie pójdzie, żywo przerwała Sołoducha. Tak się jój zdaje teraz, że sobie rady da: trzeba żeby się przekonała, będzie wówczas tańsza.

Ludzie jak to zwykle dosyć obojętni, pokiwali głowami, poszeptali, ten i ów się rozśmiał, inny westchnął, a każdy wreszcie poszedł do swego, i Sołoducha do chaty.

A Maryś jak usnęła siedząc przy piecu, na którym wkrótce wygasło, nieporuszona, nie czując i nie śniąc, i nie marząc kamiennym snem przetrwała do rauka. Dopiero gdy blask dobrego dnia, wcisnąwszy się okienkiem, uderzył w jój oczy, schwyciła się nagle, przetarła powieki, i wracając do życia, opamiętała się w swém sieroctwie.

Boleść i znużenie tak jój myśli mieszały, że długo pomiarkować nie mogła, czy noc przespala tylko, czy więcéj, czy tylko krótką godzinę. Wyszła na próg, i po słońcu poznawszy ranek, zdumiała się.

Świat był wesoły i piękny, pomimo smutku sieroty; słońce wschodziło pogodne, cisza była dokoła, a wróble ożywione szczebiotały pod strzechą, latały, kręciły się, wrzeszczały, bily o zapomniane gdzieś ziarnko na drodze, wrzawą napełniając powietrze.

Dziewczyna poczęła się rozglądać w obrazie świetnym i wdzięcznym, aż oko jój padło przez niski wał cementarny na żółtą matki mogiłę. Drzwi chaty zostały otworem szeroko, a Marysia pobiegła i przytuliwszy się do zimnego kurhanka, zachodziła się od płaczu.

Nie wiem jak długo to trwało, gdy od wioski, szybkim posuwający się krokiem, ukazał się krzepki, łaczysty starzec, pomimo widocznej swój ślepoty, żywo i śmiało postępujący ku górze. Kij tylko wiódł

jego kroki, a tak był pewien swój drogi, że ledwie dotknął nim ziemi, posuwał się jak gdyby zdrowe i całe miał oczy.

Nagle stanął i białe źrenice zwrócił ku mogilnikowi, przysłuchując się uważnie. Oślepy dziad uszy miał ostre i czucie szczególne. Cichy płacz dziewczyny nie uszedł jego uwagi; domyślił się kto płacze, ruszył ramionami z gniewem prawie, i puszczając się znowu żywym krokiem, począł, jak gdyby widział, kierować się na cmentarz. Miejsce to tak mu było znajome, jak wszystkie kąty wioski. Trafił na przegniły mostek, do fórtki, i między mogiłami doskonale torując sobie ścieżkę, podszedł do samej dziewczyny, wiedziony cichym jój płaczem.

Marysia spostrzegła go dopiero, gdy się do niej odezwał:

— Dosyćże już płakać, dosyć! Umarłym pokój wieczny, żywym czas do pracy i do życia. Ot wstawaj i chodź!

— Dokąd? dokąd? spytała niespokojnie dziewczyna, niedobrze poznając Rataja.

— Dokąd? a do nas! rzekł stary włóczęga: co to myślisz sama gospodarować? Przecież to twoja matka chciała, żebyś do nas poszła, a sama tak zostać się nie możesz.

— Toście wy pewnie mąż Sołoduchy?

— Stary Rataj, ślepe dziadziśko, jakbyś mnie znała. A długo nie gadając, zabieraj się rybko i ruszaj.

— Alem ja wczoraj już żonie waszój powiedziała, że przy chacie zostanę.

— Tak! a ja ciebiem zastał tu na cmentarzu. Piękna tobie chata! A co to z tego będzie, jak ty tu

zacznieś chodzić i wypłakiwać! Chleba nie wypłaczesz, to darmo! Musisz iść do nas, nic nie pomoże!

— Nie pójdę! nie pójdę! krzyknęła Maryś: nie chcę, nie mogę! mam swoją chatę i w swojej chacie choćby umrzeć!

— Co ty oszalałaś Maryś? he?

— Niech oszalałam, a nie pójdę! odparło dziecko. Dziwujecie się, żeście mnie tu znaleźli. Co za dziw? Wczoraj jeszcze wzięłam się do kądzieli, ale sen mnie zmorzył, kamieniem przespałam noc całą... Wyszłam w słońko popatrzeć z rana, zobaczyłam moją mogiłę, i płakać się na nią zachciało.

— I tak będzie co rano.

— Nie, dziadusiul nie! Ja wiem co potrzeba: pójdę do roboty, bo z niej żyję; a łzy—schowam na niedziele.

Rataj stał zdumiony jak żona; był bowiem pewien, że znajdzie dziecko, a trafił na dojrzałą i rozżaloną tylko istotę. Nie wiedział już co począć, co powiedzieć.

— Prowadźże mnie do swojej chaty, odezwał się po namyśle: nigdy w niej nie byłem, muszę ją obejrzeć...

Rataj zwykł był tak mówić, choć oczu nie miał, i niewiele tém grzeszył, bo ślepy tak umiał zastąpić wzrok niezwyyczajném czuciem i sprytem, że często więcej od najbacniejszych zobaczył. Poszli więc razem ku chatce Cygana. Stary dziad obmacał drzwi i pokiwał głową na ich nizkość; przestąpił próg, i nie zatrzymując się, obszedł izbę, macając rękoma stoły, piec i ławę, zajrzał do alkierza w tenże sposób, powrócił, i zasepiony nsiadł na przypiecku.

— Szatra cygańska, rzekł do siebie po cichu: gor-



sza od ładajakiěj ziemianki, w którėj przynajmniej zaciszno i ciepło... Jak to tu żyć!

Dziewczę dosłyszało słów ostatnich.

— Oj! żyliśmy ojczy, i dobrze nam było z naszą nędzą. A mnie jednę! aby jamka gdzie głowę przytulić!

— Jakże ty myślisz? co poczniesz? gadaj-no mi, zawołał Rataj: trzeba, żebym wiedział.

Maryś zamyśliła się, wlepiając w dziada swe czarne, bystre, choć załzawione oczy.

— Oto posłuchajcie! rzekła. Nie dziwota przecię to samo robić, cośmy z matką robiły. Na wsi dają prąść; a za motek i chleb, i omastę, i krupę, a czasem szmatę jaką dostać można. Ja, ojczy kochany, nie chwalać się, tak przędę, tak przędę, że mi trudno kto dorówna. Jak grubszą, to i całą talkę za tydzień wyśpieszę. Matka mnie sama uczyła, a znali ją we wsi za pierwszą kądziel, bo jēj i sławna Horpyna od Mudrahela wyprzedzić nie mogła.

— A jak zaśląbniesz? zapytał Rataj chmurno.

— No, to poleżę. I, co Bóg da! co Bóg da! powtórzyła z westchnieniem. Matka zawsze mówiła, że Bóg nad sierotą!

Rataj słuchał, i coraz bardziej czuł się zdziwionym, tak, że ze zdumienia słowa rzec nie umiał. Oczy jego zwracały się w stronę Marysi i jēj głosu. Rzekłbyś, że nsiłował przebić wiekuiste ciemności i odgadnąć twarzyczkę dziewczęcia; a czoło było chmurne i zasepione.

— Świta ci w głowie! odpowiedział po chwili. No, a czemużbyś to do nas pójść nie chciała? Mów, dla czego? Może ty się boisz Sołoduchy? Ale „biłme,”

jakby ci złe słowo rzekła, takbym jój boki oblatał, żeby cię potem w ręce całować musiała.

— Ale ja się nikogo nie boję! przerwała żywo Maryś.

— A czemu do nas iść nie chcesz?

Dziewczę się zawahało, łąza pociekła z pod powieki, zbliżyło się do starca, poczynając zniżonym, pełnym wzruszenia głosem:

— Ojciec... wybyście mnie powinni dawno zroznać! Może to śmieszno, może to grzeszno, może to głupio co ja powiem. Alë cóż? kiedy tak jest, tać się nie ma co przed wami. Jabym téj chaty nie mogła porzucić! Czy to wy słyszeli, jak ją ojciec biedny budował! A cośmy tu z mamunią przehorowali!... Ja się urodziłam, ona tu umarła... Nie! ja jój kołkiem podeprzeć nie mogę i pustką zostawić: póki mnie żywój, dopóty tu siedzieć będę.

— A! rób sobie jak chcesz! zawołał dziad, którego usta zacięte litość czy wzruszenie tłumione malowały. Bóg z tobą! tylko-no pamiętaj, pamiętaj, jak ci dokuczy, u Sołoduchy na ławie przy piecu jest zawsze dla ciebie miejsce, a w Ratajowój torbie chleba kawałek. I na grób matki tobie nie chodzić dzieciło: ty tego nie wiesz jeszcze co to płacz i smutek... Smutek chodzi po świecie marą, a kogo złapie, to dusi, to męczy—jeśli się od niego nie odżegna—aż póki nie zadławi. Pan Bóg téj zmorze nie każe się poddawać, ale bronić. Matce twojój nic po łzach: zmów lepićj pacierz za nią, a na mogiłę nie chodź. Siadaj, prządź, gospodaruj, kiedy ci się chce próbować samotnicy, ale to tego nie będzie! Człowiek człowiekowi potrzebny. Cobym ja dał, gdybym choć wraź twarz ludzką zobaczył!

To mówiąc, dziadzisko zerwał się z siedzenia, torbę, którą miał przewieszoną przez ramię, zsunął na kolana, i począł z niej dobywać kawałków chleba zeschniętych, świeżych, poplesniałych, bielszych i czarniejszych, aż do dna wypróżniając zapas swój na ławę.

— Ot tobie na początek gospodarstwa. rzekł ponuro: jaka ręka, taka i jalmużna. Bywaj zdrowa, i niech cię Bóg pocieszy holubko!

Odszedł z tém Rataj, i już go nazad przeprowadzić nie było potrzeba: próg przeszedł śmiało, głową się o nizki odzwierzek nie uderzył, w sionkach trafił do wnijscia, jakby je sam budował, i z góry puścił się drogą, nawet niewiele kija posyłając na wzwiady.

— Taki to ród, mruczał pod nosem, idąc ku wiosce. Gdyby mi kto z drugiego siola gadał, tobym nie uwierzył, że wyrostek, sierota, dzieciak, a już chce mieć swoją wolę! Rodem oni tacy byli: dziad umarł, a córce na ślub nie pozwolił. Córka z nędzy skończyła, na swoim postawiwszy. Bracia się zakleli, że ona im obca będzie, i ot! dotrzymują psie wiary!

Zatrzymał się na chwilę.

— A gdybym ja spróbował pójść do Maksyma i Filipa, he? Kto wie? możebym co utargował dla sieroty! Popróbuję, taki mnie psami za to nie wyszczują... a choćby? kijem się opędzę i mordy im potłukę.

Droga do chaty wujów Marysi szła podle karczemki, której Rataj nigdy nie mijał. Nie wytrzymał i wstąpił, rozwiązawszy węzelek w łozuli, w którym się parę groszaków schowało. Wypił kwaterkę, i poprzepiony, z lepszą myślą, milczący, ale śmiały, skierował się ku chacie braci Motruny.

Długo oni je z ze byli nierozdzielni, i choć szemniała się pannażka, choć ich tam gęsto było, nie wy-

prosili sobie kawałka pola, bo pustek u pana zabrakło, a z ładu ciężko było dzielić.

Nienajlepiej się więc działo Maksymowi i Filipowi. Przyszły dzieci, trafiło się kilka lat nieurodzajnych, żony ich o lada garnek się swarzyły, kłóciły w cborze, zjadały na podwórku, gdy jeden podświnek drugiemu zajrzał do koryta; a gdy przyszło na pańszczyznę, jedna drugą wypychała, porywały się do siebie, że je często mężowie rozbraniając, sami się pokłócić musieli. Czyste piekło zrobiło się w chacie.

Jeden na drugiego się oglądał, nikt nic nie robił, i bracia Motruny ubożeli, przeklinając swoją dolę. Nie poznałbyś teraz tego czystego dawniej podwórka, téj schludnej chaty i zamożnego obejścia, tak się to oszarpało, poopadało i pochyliło przez niedbalstwo. Płoty stały poszczerbione i powypalane kawałami, dach się powyginał od zgnilizny, ścian dawno nie obmazywano, a chróściana stodółka świeciła bokami, przez które wiechcie słomy tylko wyglądały. Dawniej, za Lepiuka, było to jedno z najlepszych gospodarstw we wsi. Dziś na dwóch braci jedna już para wołów została. I jakie to tam były woły! jeden stary i chudy, drugi dopiero w trzecim roku niedorosły i cherlawy, aż wstyd było wyjść z radłem na pole, lub się sprzęgać do pług. A jak nadeszła ta bieda, wszyscy się nią poczęli rzucać, nie przyznając się do tego, żeby jéj kto pierwszy drzwi otworzył. Maksym składał na Filipa, Filip na Maksyma, a bratowe obie i na mężów i na siebie. Na przednówku na ościsty chleb pożyczać było potrzeba, a wiadomo co to chłopska pożyczka! Za éwiartkę żyta oddaj éwiartkę żyta w dodatku. Już dobrze, kiedy trzy dni odrobić potrzeba, choć cały korzec kupiłby za pięć złotych.

Wiedział Rataj, jak tam było u braci Motruny, bo we wsi wiedzą co się dzieje u sąsiadów. Wszelako szedł do nich, bo zawsze przecie choć biedni, stołroć więcej mieli od sieroty i wesprzeć ją mogli.

Jakoś to był taki dzień, że wszystkich zastał w domu. Maksym nabijał rozsypane wiadro, Filip dojadał z misy, wybierając się do lasu, a dwie bratowe stanawszy naprzeciw siebie w dwóch kątach izby, łąjały się co wlażło o zarzucone wrzeczono. Mężowie już im nie dopomagali, przywyklszy do tego codziennego chleba; ruszali tylko ramionami, skrobiąc się po głowie.

Gdy się dziad ukazał w progu, przeprowadzany przez ujadające dwa psiaki, potomstwo starego poczciwego kasztana, wszyscy odwrócili głowy ku niemu, a Maksym rzucając robotę, zawołał:

— Ei! szlibyście z Bogiem!... bo tu u nas chleba też nie ma.

— Albo to ja po jałmużnę? ofuknął się Rataj; chybaście mnie nie poznali? Czy to ja po swojej wiosce bez prazniku będę zebrał? Tfu! Maksymie, w głowie się wam przewraca. Czy nie znacie Rataja? Czy to już wam ławę przełamie, jak na niej odpoczne?

Maksym się zawstydził i pokraśniał.

— Nie łąże stary, rzekł; siadajcie, odpoczywajcie, a tom was doprawdy nie poznał.

— Nol no! stare dziadzisko gniewać się nie potrafi. Mój chleb mnie do wszystkiego przyzwyczaił: i do ludzkiej litości, i do ludzkiego łajania... Przysycha to jak na psie. A klnie mię kto, odeklnę go w dziesięcioro, jeżeli nie w oczy, to za oczy!

To mówiąc, Rataj ławę namacał, zamilkł na chwi-

lę jakby słuchał szelestu najmniejszego, żeby z niego o liczbie osób w izbie będących przekonać się, i pociął ciężko westchnąwszy:

— A wiecie, jakie na mnie spadło dziedzictwo?

— No? jakie dziedzictwo? spyтали razem Maksym i Filip.

— A! po waszój siostrze Motrunie!

Bracia, jakby im kto gęby pozalepiał, umilkli. Stary się też nie śpieszył mówić dalej.

— Aż mi serce rośnie, dodał po chwili. Dawnom sobie dziecka życzył, a tu na starość mnie i mojej babie pan Bóg dał gotowe, wyhodowane, i takie co się niego i przed królem nie powstydzisz. Motruna mi swoją córkę zostawiła.

— A! a! odezwali się obaj bracia.

— Ot tak! a walna dziewczyna, tylko szkoda, że jak wy wszyscy kury czubate, ma także czubka: uparta gdyby kozieł.

Nikt nie przemówił ani słowa, a Rataj dalej ciągnął rzecz swoją:

— Cieszyłem się, że ją zabiorę, boby się było kim posłużyć w domu. A tu choć się sama jedna została, ani jój z chaty wyciągnąć. Słyszana to rzecz! sama jak palec, bez kawałka chleba, i mówi, że sobie rady da, i sama chce gospodarzyć, a jeszcze to od ziemi nie odrosłol

Bracia i bratowe po sobie spojrzeli, ramionami ruszyli, a ciekawość rozwiązała im usta.

— Co bo mówicie! zawołał Filip: ta to dziecko!

— Dziecko, ale nie takie jak wasze, co to się matczynój trzyma spódnicy i za próg samo nie wylezie; daj mu i miskę, i łyżkę, a jeszcze gębę trzeba otworzyć, żeby jadło.

— Żeby ono jakie było—rzekł Maksym powoli—to zginie jak ruda mysz... Nie darmo ojciec ich z rodem przeklął. Cygan przepadł niewiara, Motruna zmarła o głodzie, i sierotę nie lepsza czeka dola.

— Dalibyście pokój przepowiadać, przerwał Rataj: a co ona winna, że drudzy nagrzeszyli? Pan Bóg lepszy i miłosierniejszy od ludzi, nie da jej zginąć... Kto winien, już odpokutował.

— Ależ-no powiedzcie, odezwała się Maksymowa: co ona sobie myśli? Jak to dziecko da sobie rady? Samiuteńkie jedno! To dziw!

— Dziw na prawdę! Ja sam nie wiem co będzie. Widzi mi się, odparł stary: że pobieduje na téj pustce, a potem do nas przybieży. Bogiem a prawdą i wamby się co dla niej uczynić należało: choć kawałek dać chleba.

Na ten całkiem niespodziewany wniosek, i Maksym, i obie bratowe jednym głosem krzyknęli:

— Co tobie w głowie? czy to u nas chleba nadto?

— Hm! chleba nikomu nie nadto! rzekł Rataj. Wiem ja, że go nie macie do zbytku. Ale czemu Pan Bóg nie błogosławi? Któż to wie, czy nie za Motrunę, coście ją tak odepchnęli? Żywicie tak, choć nie bogaci, psów dwoje; znalazłaby się kromka chleba i dla sieroty. Kto to wie, czyby się ten zasiew nie wrócił!

Maksym ramionami ruszył.

— Dajcie pokój, już ja widzę, z czémeście wy przyszli. Na co to darmo kręcić ni to, ni owo: a że to ją bierzecie do siebie, a to że ona sama sobie rady daje, kiedy myślicie nam ją na kark narzucić!.. Ale z tego nic nie będzie! Dosyć nas i tak!

— Pluń Maksymie! zawołał dziad, stukając kijem.

Ot widzicie, jak to z wielkiej mądrości ażeście się domyślili, co mi w głowie nie postało! Najprzód, żebyście i chcieli, tobym wam jój nie dał. Powtóre, jak do mnie, tak i do was ona nie pójdzie! A czegom chciał, to powiem: możeby wasz datek smaczniejszy był od mojej żebraniny. Ale i tak z głodu nie umrze, pókim ja żyw! Niechaj wam będzie jak było, kiedy takie serce macie!

To mówiąc wstał szparko, kijem zastukał, i nie rzekłszy słowa więcéj, drzwiami za sobą cisnął, a na podwórku tylko psy ujadając do wrot, odejście jego oznajmiły.

Bracia i bratowe stali chwilę pochmurzeni, spoglądając po sobie.

— Jaki mądry! odezwała się wreszcie pierwsza Maksymowa: chciał nam jeszcze jedno dziecko narzucić, jakby to u nas tego bobu mało było!

— Cicho babo! ofuknął się Maksym, podnosząc głowę od roboty: nie narzekajże choć na dzieci, bo ci je Pan Bóg pozabiera!

— Co to gadać! odważnie jakoś wstając z za stołu i nakładając czapkę na uszy, dodał Filip: po sprawiedliwości, nie komu się opiekować tą sierotą, tylko nam. Rodzonéj-że siostry dziecko zostało sierotą; opuścić wstyd i grzech; a gdyby kto inny wziął, to palcami nas będą wytykalil

— To Cyganie, Cyganie! zakrzyknął Maksym: co ty mówisz, siostry dziecko! Ojciec się jój zaparł... krew nie nasza! Niech się idzie włóczyć za swoimi, nam nic do tego.

— A pewnie, że tak! dodała Maksymicha.

A żona Filipa, spoglądając kwaśno na męża, szepnęła:



— Czy to my już tak bogaci, żebyśmy mieli cudze dzieci brać na głowę? Patrzaj-no, żeby twoim chleba stało!

Filip ruszył ramionami, pokiwał głową, wcisnął czapkę głębiej na uszy, węzelek zarzucił na plecy, siekiere za pas zatknął, i fajkę u pieca zapaliwszy, wyszedł do wozu, który już stał przed sienią zaprzężony.

Pozostali milczeli długo. Ale że się już nie było z kim spierać i pierwszy niepokój ich ominął, zaczęli wszyscy myśleć o sierotce, jak to ona sama tam została i rady sobie daje. Nie śmieli tylko ust otworzyć, ale ich piekło pogawędzić choć o tém, o czém cała wioska, dwór, plebania, gadały i rozprawiwały w téj chwili.

Już się bowiem było dobrze rozniosło o śmierci Motruny, i o dziewczęciu, i o postanowieniu jego pozostania w chatce na własném gospodarstwie, a każdy się dziwił i ciekawił, jak to będzie.

I dwie bratowe i Maksym niemniej też zadumywali się, jaki to temu może być koniec? A jak myśleć poczęli, wystawiać sobie to życie samotne w chatce cmentarnój, tę niedolę, tę pustynię, jakoś się trochę litości obudziło w ich sercu. I choć każda z bratowych obawiała się bardzo z tą litością wydawać, aby do niej i do niewczesnych ofiar drugich nie pobudzić trudno już było nie pokazać po sobie co się czuło.

— Ale to—odezwała się pierwsza Filipowa—ciekawość jednak, jak tam Cyganka gospodaruje. Ta to nie ma może jak lat dwanaście, trzynaście, a myśli że się bez ludzi obejdzie... Radaby choć ukradkiem tam zajrzeć, a zobaczyć co się to dzieć będzie. Sły-

chana to rzecz, taki dzieciak samjeden na całą chatę!

Maksym głową pokiwał.

— Rataje ją wezmą!

— Sołoducha mi taki mówiła, że ją gwałtem ciągnęła, ale się jój nie dała.

— Zobaczycie!

— A no! zobaczymy!

— Dobrze taki podobno mój powiadał, dodała Filipowa po cichu: wziąć nie wziąć, bo to ciężko, a taki dla niej coś zrobić tobyśmy powinni. Ludzie nas za ostatnich lajdaków okrzyczą. Póki żyła matka, to co innego było; ale nad sierotą trzeba się zlitować.

Mówiła to, ale tak nieśmiało, tak bojaźliwie, tak oglądając się na bratową i Maksyma, jakby się obawiała okrutnej na siebie wrzawy, i gotowa była ustąpić zaraz. Ale nad spodziewanie nikt przeciw temu nie rzekł już słowa.

Maksym z ust wyjął fajkę i począł głowę pokręcać.

— Jaka ty bogata, Filipicho! Oj! oj! nie mówię, żeby to dawniejsze lata, kiedy z roku na rok stożek żyta schodził, a w zasięku zawsze bywały zapasy. Ale teraz... tak, to my sami pożyczać będziemy musieli, a pole na wpół siejemy z Semenem, to co z niego zbierzemy?

— Albo to jój dużo potrzeba! odezwała się już odważniej Filipowa. Ot, cokolwiek, aby ludzie nie gadali, a sumienie było spokojne.

— Jaka mi pani! zaczęła z kolei Maksymowa: dać! dać! a zkąd weźmiesz?

— E! el na toby się kruszyna znalazzał

Maksym milczał; bratowe pierwszy raz od dawna

zbliżyły się do siebie i szeptać poczęły. Ale o dziwo! nie swarzyły się jakoś, tylko żywo coś sobie opowiadały, krzątając się po kątach; duch miłosierdzia w nie wstąpił, wiodąc z sobą ducha zgody.

Nie ma bowiem serc lepszych i pocziwszych nad serca ludu naszego, ale je często zatwardza nędza, zamyka własny głód i pragnienie. W ciężkiej doli trudno się zebrać na litość, a ostatnim kęsem nie każdy podzielić się potrafi. W chacie było bardzo ubogo; przecież gdy na myśl przyszły obowiązki, gdy się w sercu własném rozpatrywać poczęto, ruszyło sumienie, wzięła ochota nędzą się przełamać z biedniejszym. Wprawdzie darek szedł nieochotnie i dobrze się zadumywano nad nim, w pierwszym popędzie zamysławiając dać więcej, okrawając powoli gdy przyszło do rzeczy; ale i Maksym, i bratowe zgodziły się zanieść coś sierotce i zobaczyć co się tam z nią dzieje.

Wielką tę wyprawę odłożono do jutra, na czém straciła dziewczynka; bo do rana rozmyślano jeszcze i ujmowano podarku, oglądając się na siebie.

O! tak to my wszyscy robimy podobno: serca dobre, ale głowy bojaźliwe i chłodne!

---

Dziewczęciu, w jego lepiance, ciężko pierwsze upływały chwile; ale nie jest to czczém słowem, ani ciasno tego rozumieć i zastosowywać potrzeba, czego nas uczy wiara, że są zlewane od Boga łaski stanu. Nie sami kapłani mają je sobie udzielane, — wszelki człowiek w trudnej toni, z sercem czystém i pocziwém, jeśli na to zasługuje, otrzyma ten szczególny do stanu jego

zastosowany dar boży. Przez anioła opiekuna, niewidzialnie, zesłał Opatrzność myśl jakąś płodną, przymiot potrzebny, cierpliwość, siłę, wytrwanie, ziarenko przyszłości, na którego pozyskanie sam człowiek próżnoby pracował. Jest to zapomoga wśród głodu ze śpichlerza bożych dzieci.

Biednej też sierotce w ciężkiej doli i osamotnieniu, gdy tylko pierwsze łzy oschły, gdy serce spokojniej bić zaczęło, zaświtała myśl szczęśliwa, przyniesiona przez anioła i włożona na jej skronie.

Nazajutrz rano, wstała rzeświejsza, wyszła na próg domu, i spojrzawszy w słońko, na krzątające się ptactwo, na rozgrzewającą się ziemię, na ruch gospodarski wioski, której głos ją dochodził z parowu, poczęła dumać nieboga.

Oczy jej błdziły machinalnie goniąc za wróblami, które żwawo zwijały się z pod strzechy na drogę a z drogi pod strzechę.

— Ot, jakie to małeńkie—pomyślała—jakie to biedne, drobne, bez opieki, prześladowane, a Bóg taki i pokarm, i życie im daje... Pracują niebożątka, i siedząc w strzesze przegniliej, gniazdka sobie budują, i jeszcze śpiewają tak wesoło! Czemużbym ja nie miała sobie dać rady, jak się zavezmę do pracy!

Dziewczę oczyma wyczytało w księdze żywej światła, niemal dosłownie wypisane wyrazy Ewangelii, które powtórzył z ust Chrystusa Mateusz Święty. (rozdział VI): *Respiciat volatilia coeli, quoniam non serunt, neque metunt, neque congregant in horrea, et Pater vester coelestis pascit illa. Nonne vos magis pluris estis illis?*

Myśl to była od Boga zesłana i serce orzeźwiająca, w żywej księdze życiem napisana. Marysia spoj-

rzała na mogiłę, ale i ta do niej w też prawie przemówiła słowa.

— I matka moja pracowała, sama jedna, gorzej, bo za mnie i za siebie, bo na nas dwie, nie mając w pomoc nikogo; a tyle się to lat przebył!

Otucha wstąpiła w jej serce.

— Czegoż bo ja stoję w progu? spytała sama siebie. Łzy otrzeć potrzeba, bo nic nie pomogą; zmówię pacierz za matuchnę, i koło chaty się wezmę!

I przeżegnawszy się, wbiegła do łepianki, po raz pierwszy od śmierci Motruny rozpatrując się jak w niej było zaśmiecono, porozrzucano, nieporządnie.

W mgnieniu oka zatknęła za pas końce fartuszka, zakasała rękawki sukmany, i nuż się zwijać po domu. Poczęła od alkierzyka, gdzie nakrywy od bodni, trochę sukien i biedoty leżało bezładnie; pochowała co schować było potrzeba, ponakrywała sypanki, przymiotła i weszła do pierwszej izby. Tu jeszcze nie-  
tknięte stało łóżko, na którym umarła Motruna; a gdy się do niego zbliżyć przyszło, serce się biednej ścisnęło; ale miałaż tak zostawić ubogi ów barłóg na pośmiewisko ludzkie? Westchnęła, i powoli, z niejakim strachem i ściśnieniem serca, wzięła się do téj bolesnej roboty.

Poskładała resztki odzieży, grubém płótnem przy-  
słoniła łóżko, a gdy tę najcięższą odbyła pracę, reszta już poszła jej żywo i łatwo.

Zamiotła więc podłogę, śmiecie rzuciła na ognisko, bo się na podpałkę zdać mogło, pościerała stoły i ławy, poprzychowywała chleby, nałożyła oszczędnego ognia, bo się znalazł jakiś węgielek wczorajszy, w którym iskra tłała jeszcze, i zaparłszy drzwiczki, z wiadrami ruszyła do krynicy.

W drodze co to tam myśli krzyżowało się w głowie! jak sobie chatynkę urządzi, jak zapas przysposobi, z kądem weźmie drzewa na opał, z kądem garnka na strawę? Nie wiem jak, ale na wszystko jakoś znalazła sobie sposób i radę, trochę się tylko zadumawszy.

— Wstanę rano, mówiła: na wszystko mi czasu stanie; woda niedaleko, mnie i jedno wiadro wystarczy; drewek w chróśniaku dosyć, to sobie ich mrokiem nabieram, gdy już prąść nie dowidzę. Chybaby Bóg nie łaskaw, żebym na chleb już nie naprzędła... Koszulinę jedną i drugą wykroję z matczyńnych, to mi wystarczą na długo. Świtek stanie mi na całe życie; w stariej chodzić będę w dni powszednie, a na niedzielę mam jeszcze dobrą, co mi kazała uszyć matunia... Jak się to podrze, to i do matczynej dorosnę. O cóżbym ja sobie więcej głowę łamała?... Chleb i woda—nie ma głodu... E! dam sobie rady przy pomocy bozkić, przy opiece matki, bo ona przecie patrzy na mnie. O! patrzy, ja to czuję, aż mi lżej... i nie da dziecku swemu zginąć! Ztamtąd ona silniejsza niżeli tu była, bo u Boga żyje i od Boga dziecku co chce wyprosi.

Tak sobie marząc, zaszła Marysia do źródła, zacerpnęła w niém, rozpędziwszy wprzód wiadrem zebrane na powierzchni wody śmiecie, i nie tracąc czasu, nie rzuciwszy nawet okiem na wioskę, którą ztąd całą widać było jak na dłoni, pośpieszyła do chaty.

Ogień jeszcze zastała tlejący, ale podsycać go nie było już czém, tak się wyczerpało drewek. Myślała, myślała, przemyślała chwilę, i skoczyła ku drabinie na strych wiodącej, na którą wdrapawszy się, aż krzyknęła z radości: na górze pełno było suchuteńkiego chróstu. Kiedyś go był głupi Janek jeszcze przyspo-

sobił dla Motruny, a po śmierci parobka zapomniano o nim; dziewczęciu nie wiem jak przyszło na pamięć, że łażąc za ostatnią kurą, widziała tam drewka, przypomniała to sobie i zapas gotowy znalazła na długo. Tak to ją ucieszyło niebogę, że aż łyzy jej z oczu pobiegły.

— A! jakże to mi Bóg dał w samą porę! zawołała. Tymczasem zima i śniegi zejść do reszty, oschnie, i w chróśniaku zbierać będę mogła gałęzie.

Śliczny, wesoły ogieniek rozplonął na kominie. Marysia garnek wymyła, wody nastawiła, ale co tu sobie zgotować? Nie było wyboru: nakruszyła chleba, rzuciła go we wrzątek, trochę soli było w drewnianej miseczce nad piecem—i smaczna, o! smaczna dla głodnej, zrobiła się z tego potrawa.

— Wszakże to i tém żyć można? mówiła w duchu, zającąc zacierkę chlebową. Ot i obiad gotów; na wieczór przemienię sobie i zjem suchego chleba z wodą zimną.. a z głodu już nie przepadnę!

W izdebce rozegrzało się od ognia, Marysia starannie wymyła garnuszek, przczegnała się, i wzięwszy kądziel, poszła prząść do okienka. A gdy wyciągała nić długą, oko jej raz wraz biegało po chatce, po sierocém dziedzictwie. Gdzie najrzy szparkę w ścianie, myśli jak ją zalepić; gdzie glina opadła, zapamiętywa, żeby na wiosnę gdy ociepleje, poprawić. Pracuje ręką, pracuje myślą, a nadziei serce pełne.

A czas bieży, bieży, bieży, ani słyhać jak ucieka, i już około południa ktoś przed chatą zagadał. Myśląc, że to Sołoducha albo Rataj stary, bo się nikogo innego nie spodziewała w gościnę, nie wstała nawet z ławy, żeby czasu nie tracić. Wtém drzwi się otwar-

ły, i dwie nieznajome kobiety, bojaźliwie jedna drugą popychając, szepcząc coś, weszły do izdebki.

Były to dwie bratowe, Maksymicha z Filipichą. Marysia ich nigdy nie widziała w życiu, ani też one sieroty. Jęły więc wzajem się sobie przypatrywać, a ciekawość tak opanowała dwie baby, że słowa nie mówiąc, z dziewczęcia na chatę, z chaty na dziewczynę oczyma tylko rzucały, nie mogąc się wydziwić obojgu.

Marysia wstawszy i postawiwszy kądziel, czekała, żeby się do niej ozwały. Aż nareszcie Maksymowa, szturgnięta łokciem przez bojaźliwszą Filipichę, poczęła z uśmiechem:

— Sława Bohn!

— Na wieki.

— Chciałyśmy to zobaczyć, co się z wami dzieje, choć to my się nie znamy... ale...

— Bóg zapłać, odparła Marysia; a cóż ma być? Horuję i żyję.

— Patrzajcie-no, patrzajcie! szepnęła Filipicha: jak to u niej czysto i porządnie! I ogień na kominie, i wiadro pełne, i umicciono... A któż tobie pomaga.

— Nikt! nikt, tęskno odpowiedziało dziewczę: dwie ręce, trzecia głowa; a ktoby to chciał pomódz sierocie? Ratajowie czasem najrzą, więcej nikt... ot, Pan Bóg i nieboszczka matka moja.

Filipicha, która wspomnienia nawet nieboszczyków się obawiała, przeżegnała się skwapliwie, odganiając nieostrożnie wyrzeczone słowa.

— Siadajcie, dodała Marysia, zmiatając im ławę fartuszkim, lecz nie śmiejąc się pytać kobiet, co były za jedne?—Bóg zapłać, żeście przyszły choć słowo przemówić; wy nic wiecie, jak to ciężko być saméj!



— A już to prawda, odpowiedziała młodsza: ja i nie wiem, jak wy tu wytrzymujecie? Tak tu straszno i cicho być u was musi!

— Tylko, że nie ludno, odezwała się Marysia z uśmiechem; ale mi tu wróble swoim językiem cały boży dzień paplają pod strzechą, i srocza krzyczy, i słoneczko zagłada, i mam kilka myszek burych, co z pola przyszły na zimówkę do chaty, a tak oswojone, że się mnie nie boją i pod nogi schodzą po okruszyny chleba.

Maksymicha w twarz się uderzyła z podziwienia, z naiwnym ruchem niedowierzania prawie; Filipicha otworzyła usta wielkie, i obie osłupiały, tak im to było i dziwne i nowe.

— A w nocy? spytała tchórzliwie oglądając się młodsza.

— E! ja w nocy, upracowawszy się, śpię jak kamień; a matka mi mawiała, że anieli pilnują, kiedy człek z krzyżem świętym spać się kładzie.

— Jak to ona gada! poczęła w duchu Filipicha: co to za rozum! też to i stary lepiejby niepotrafił... Nie widana dziewczyna!

Spojrzały po sobie baby coraz bardziej zdumione, ruszając ramionami, jakby się pytały siebie: co to znaczy?

Marysia tymczasem uprzejmie je zapraszała, robiąc miejsce na ławie, a sama się już brała do kądzieli. Kobiety usiąść jeszcze nie śmiały, przypatrywały się ciekawie, rozglądając się i szepcząc między sobą i trącąc łokciami. Jedna i druga tuliły coś w fartuchu przyniesionego, ale nie wiedziały jak to Marysi oddać.

Dziewczę ze swą prostotą, śmiałością, odwagą, niespodziane na nich uczyniło wrażenie, któremu się odjąć nie mogły. Było to coś więcej niż podziwienie: rozczerzenie i cześć jakaś prawie. Biło serce kobietom, choć się uśmiechały, kryjąc wzruszenie, do którego nie przywykły.

— Choć siadźcie, proszę, mówiła im Marysia; nie mam was czém przyjąć, bo prócz chleba, którego mi Rataj podarował, nic tu u mnie nie znajdziecie; ale czém chata bogata, tém rada.

— Jak to? to wy prócz chleba nic nie jecie? zapytała Filipicha.

— Teraz jeszcze żyję o chlebie, bo nie mam nic; alem sobie z niego zagotowała zacierki i nie jestem głodna, a da Bóg doczekać, będzie i krupa, i omasta, byłem motki skończyła, a prząść się znalazło więcej. We wsi mi dają robotę, bo widzą, że przedziwo nie przepadnie, i pod wagą nici oddam. Semenycha, Kociukowa, Pawłowa, Lebedziańska, dobrze mnie już znają, a ja i dwudziestkę uprzedę.

Kobiety przysłuchiwały się pilnie słowom dziewczęcia, a coraz to się więcej dziwiły śmiałości jego, odwadze, nadziei i przytomności. Wpatrywały się w ładniuchną jego twarzyczkę z trochę zaplakanemi oczyma, i obie potajemnie w sercu westchnęły, żeby ich córkom Bóg nie taką dołą, ale tyle dał serca i głowy, co sierocie.

— Ależ moja maleńka, odezwała się Maksymicha: to ty chyba i drwa nosisz sama i po wodę chodzisz?

— A cóż? wszystko sama robię i na wszystko ja-koś mi ręk starczy, rzekła Marysia. Jużem się wypróbowała i obmyśliłam jak to będzie.

Tu zaczęła rozpowiadać im, jak ułożyła życie i godziny dniowe; a kobiety zamilkły znowu z wielkiego podziwienia.

— Krzyż z nami! powtarzały—krzyż z nami! A to cudowisko ta dziewczyna; schodzić się do niej a słuchać, patrzeć a dziwować się!

Pobyły tak chwile u Marysi, i nie śmiały nawet w końcu wystąpić już z małym datkiem, który dla niej przyniosły. Jak siedziały na ławie, tak po za siebie zasunęły co miały w fartuchach, i posiedziawszy jeszcze, pożegnały Marysię, ciekawe o niej wiadomości niosąc na wioskę.

Poszła z niemi wieść po całym Stawisku o Marysi Cygance. Z kim się spotkały, każdemu rozpowiadały o dziewczynie, i nagadać się o niej nie mogły, tak, że w chatach, na dworskim, u dobrodziejów w plebanii, i w karczmie, było słyhać tylko o niej. Nienawiść ku Cyganowi i Cyganisze dawno już była przygasła i wyczerpała się zobojętnieniem, ludzie o niej zapomnieli, a sierota wzbudzała teraz powszechną litość i zajęcie. To, co o niej Ratajowie i dwie baby rozpowiadały, obudzało ciekawość; a ludzie dziwy prawali o sierotce pustelnicy, która się stała podziwem Stawiska i okolicy, zaraz w pierwszych tygodniach po pogrzebie matki.

Nie można już było wątpić, że sobie dziewczynina da rady; przestał nawet Rataj spodziewać się, że się do nich schroni, i dziwiono się tylko, zkąd w młodej głowinie tyle się wzięło rozumu i ładu, a w sercu tyle odwagi?

Ze wsi gawęda o Marysi już nie po raz pierwszy doleciała do dworu; ale tu mniej na zobojętniałych ludziskach, pana otaczających, zrobiła wrażenia. Pan

Adam znany nam ze swych szarów i z uczucia, jeszcze tu panował; ale dwór jego i on sam po kilkunastu latach zmienił się wielce, przerobił do niepoznania. Widzieliśmy moralny stan tego nieszczęśliwego, któremu nic nie pozostawało, chyba umrzeć, lub nowy jakiś wynaleźć żywioł opiekuńczy, coby go przy życiu utrzymał.

Znalazł się on choć nierychło.

Długą walką z rozpaczą i odrętwieniem przyszło okupić młodość zmarnowaną, a chwile ostatnie dogorywającego wieku namiętności ciężkie były do przebycia. Pan Adam wił się jak gadzina w płomieniach, wyrwał, rzucał, myślał już o samobójstwie, na które siły brakło—gdy Bóg niespodziewanie zesłał mu ratunek w najniespodziewańszém trafunkowém spotkaniu.

Jednego poranku, kiedy znudzony wychodził na ganek, sam dobrze nie wiedząc po co i dokąd idzie, spotkał go w progu dziwacznie odziany i na żebraka wyglądający człowieczyna.

Był to staruszek w siwój kapocie, krojem prawie zakonnym zrobionój, z różańcem u pasa, kijem w ręku, z siwą postrzyżoną brodą, łysy i blady trupią białością choroby i wycieńczenia. Stał on wsparty na swoim kosturze u wschodków, złożywszy na nim ręce, w postawie pokornój i spokojnój.

Pan Adam, który unikał widoku nędzy ludzkiej, cofnął się z razu do pokoju, ale gdy nie usłyszał ani słowa prośby, ani szmeru wyrazu z ust starca, gdy ten ani postawy, ani oblicza nie zmienił, zdziwiła go obojętność przybysza i zbliżył się ku niemu.

— A czego to chcesz? zapytał.

— Suknia, wiek i twarz moja, powinna ci powiedzieć czego żądam...

Gospodarz rzucił z niechęcią zaczerpniętą w kieszeni złotówkę, dodając prawie wzgardliwie:

— Idź z Bogiem!

Staruszek przyjął datek z pokorą, i pozostał jak był w ganku, wsparty na kiju.

— Czegoż jeszcze czekasz? powtórzył zniecierpliwiony pan Adam.

— Nie czekam; chcę ci się przypatrzeć.

— Mnie?

— Tak jest... Tyś mnie nie poznał, a ja i twoich rodziców, i ciebie panie Adamie dobrze znałem za młodu... Mój Boże! na jaką ci to nędzę zejść przyszedł!

— Mnie na nędzę! Coś ty za jeden? co to ma znaczyć? zawołał obruszony gospodarz, z podbudzoną ciekawością zwracając się do żebraka.

— Ja jestem Józef Mniszewski... Ha! przypominasz mnie sobie przecie? Sąsiadowałem z rodzicami waściny!

— Jak to? ty! ty mógłbyś być Mniszewskim?

I począł wpatrywać się w niego z podziwieniem wzrastającym co chwila; a powoli z rysów zmienionych, pamięć stworzyła obraz już starty, i pan Adam załamał rękę.

— Mniszewski! ty! w tym stanie!

— Jak widzisz. Miałem dwie wioski, byłem majętny, hulalem, świeciłem, żyłem... i chodzę z kijem po żebraniu... A wiesz Adamie, żem dziś może szczęśliwszy niż byłem, a ty przy dostatku twoim, pono biedniejszy odemnie.

Pan Adam, który dobrze teraz przypomniał sobie i świetny swojego czasu dom Mniszewskich, i zniknięcie potem zrujnowanego téj rodziny potomka, ujął za

rękę staruszka, i rad, że się rozbawi, wzruszony nieco wprowadził go do domu.

Tu stary opowiedział mu historję swojego życia, znane dzieje marnotrawstwa, które szczęściem nie do zguby, ale do upamiętania go przywiodło. Niepojętemi bo drogami Bóg nas wiedzie ku scibie: jednych gościńcem cnotliwego żywota, drugich ścieżkami próby i występku, po których wielka, jak było przestępstwo, następuje pokuta. Tą drogą przyszedł Mniszewski do poznania, co świat wart i jego szczęście, a co jest spokój boży, którego on dać nie może.

Zrujnowany, zniszczony na ciele i na duszy, leżał w szpitalu, gdy pierwsze ziarno poprawy spadło nań z ust Siostry Miłosierdzia, która go doglądała. Ten anioł szeptał nad nim pacierz, pojąc go lckarstwem, co mu dać miało życie do pokuty; zachęcał do modlitwy, i bezbożnika uczynił pokutującym i pełnym skruchy sługą bożym.

Mniszewski wyszedł ze szpitala o żebraniu, udając się do miejsc świętych.

— Myślicie—rzekł do pana Adama—żem kiedy był szczęśliwszy niż wtedy, gdym wydziedziczony od świata, znalazł się z niepojętym duszy spokojem na drodze pielgrzymiej o kiju, z torbą na plecach? Nie! nigdy nawet nie zaznał tego spokoju, téj ciszy serca, téj pogody sumienia, których używać począłem, zrzekłszy się wszelkich ziemskich nadziei. Myślisz, że zazdrość cię lub komu z was tego bytu, który nie ma celu i wiecie jak błędny manowiec do przepaści? Nie, nie! Zawędrowałem w te strony, aby jeszcze groby ojców odwiedzić, aby na nich rzucić ostatnią myśl i żal grzeszny po przeszłości... Idę znów w świat z modlitwą, z uśmiechem, spokojem ..

Tak mówił Mniszewski, a mowa jego dziwne i głębokie zrobiła wrażenie na panu Adamie. Wybiła dla niego godzina zmiany, a ręka żebraka przyspieszyła jej przyjście i wykreśliła kierunek.

Zadumał się wynędzniony zużyciem rozpustnik i próżniak; a że był przywykły do gwałtownych uczuć i wybuchów, gwałtownie też i namiętnie zwrócił się ku zapomnianemu Bogu.

W rok potem poznać nie było można pana Adama, na którego jak na cudowisko spoglądali ludzie. Nie-szczęściem, poprawa jego nie była ani zupełną, ani czystą; była to tylko zmiana drogi i nadzieja, że po tej, którą szedł, do prawdziwej trafić może. Pan Adam stał się ascetą, pobożnym, ale fanatykiem.

Życie czynne odrzucił zupełnie od siebie, i uznał się do niego nieobowiązany; całe dni mówił tylko pacierze, całe tygodnie pościł, krzyżem leżał w kościele, dyscyplinował się niemiłosierdzie, kładł włosiennicę, odział się w pasek kolący, i na tych to praktykach, dobrych tylko, gdy niemi duch czysty kieruje, zasa-dzał życia reformę.

A kładnąc włosiennicę, nie rzucił pychy i egoizmu..

W sercu jego nie zrodziło się ani miłosierdzie, ani pokora chrześcijańska; nieprzystępny dla ludzi, srogi dla drugich jak dla siebie, nielitościwy w karceniu cudzych błędów, zdawał się tylko szukać chluby z fanatyzmu swego, jak dawniej się unosił rozpustą i niewiarą.

Gorszył skromnych swoją pobożnością teatralną, przesadzoną, dziwaczną; nieustannie popisującą się i wydymającą w oczach ludzkich; gorszył ich bardziej jeszcze, że wyznając naukę Chrystusową, nie potrafił

z żywego jój źródła zaczerpnąć ducha miłości i pokory, ani jój zastosować do życia.

W osobliwszy sposób skąpstwo jakieś przyplątało się zarazem do niego i poczęło mu serce wyżerać. Stał się nieubłagany dla ludzi, panem srogim, i nie wiedzieć jak godząc w duszy pobożność z chciwością, w obojgu założył razem cel wyczerpanego życia. Dwór w Stawisku, świadek scen szalonych, zmienił się w klasztor smutny, w więzienie nieznośne. Opuścił Jan Adam mieszkalne pokoje; jedną sobie celę z ołtarzykiem ustroiwszy w obrazy, na ziemi w niej sypiał, czuwając zarazem u krzyża i kuferka! Na wytłómaczenie pozorne swojego postępowania, znalazł w głowie najdziksze sofizmata, któremi przed sumieniem swoim i spowiednikami się wykrecał.

Co rok stawiał nowe krzyże, chodził pieszo do miejsc świętych, pościł nowenny o chlebie i wodzie do młodości prawie, Adwent i Post Czterdziestodniowy suszył cały; ale ubogiego zbywał miłosierdziem bożkiem, a wieśniaków katował bez litości.

W takim więc dworze, dziś jak pan sam niepojmującym miłosierdzia i zasklepionym w chłodnym spełnianiu praktyk powierzchownych, Marysia opiekunów znaleźć nie mogła, a panu o niej nikt się i powiedzieć nie ośmielił. Ekonom pokiwał głową, poszedł zobaczyć co się tam dzieje, i zostawił sierotę na ojcowiznie, co już wielką było łaską.

---

Jednej niedzieli, rano zbudziwszy się, gdy wyszła Marysia na grób matki popatrzeć, usłyszała dzwony



cerkiewne donośnym głosem lud wzywające na nabożeństwo. Tknęło ją pójść z innymi się pomodlić.

— Ot! odzieję się i pójde, rzekła do siebie: dobrze się z Bogiem zobaczyć! Wszakże dziś i tak robić nic nie będę!

Jak pomyślała tak i zrobiła. Umyła się, zaczesła, dobyła białej koszuli i fartuszka odświętnego, wzięła białą sukmankę i bóciki dawno nietykane, które jej matka za ostatni grosz srawiła, i tak przystrojona ubogo, ale chędogo, zaparłszy chatkę, spuściła się parowem ku wiosce.

Ślicznież jej było w tém świąteczném ubraniu, z jej twarzyczką pełną życia, ognia i pojętności! Jakiś wdzięk nieuczony towarzyszył każdemu jej ruchowi; prosta sukmana zręcznie na niej leżała, chustynka twarz osłaniała zawieszona kształtnie, tak, że nie na sierotę Cyganek, ale na dziecię zamożnego gospodarza wyglądała Marysia.

Gdy weszła w ulicę, a ludzie ją zobaczyli, wszystkich się oczy zwróciły na nią: poczęto ją sobie pokazywać palcami. Marysia zarumieniła się, przyspieszyła kroku; myślała, że uciecze, ale z daleka ścigano ją oczami i oznakami podziwienia, a dziewczęta i chłopaki jej lat, aż pobiegli za nią.

Marysia choć żyła samotnie, dziką nie była wcale; owszem śmiałości jej nie brakło, i po pierwszém zakłopotaniu, przyszła zaraz do siebie, opamiętała się, zwolniła kroku. Aż na cmentarz szli za nią ciekawi. Tu czekając na nabożeństwo, jak to pospolicie bywa, caluteńka stała i siedziała gromada w odświętnych strojach, gwarząc, śmiejąc się, kupiąc w gronka dla rozmowy. Była tu i Sołoducha, i stary Rataj śpiewający wielkim głosem pieśń o poczajowskim obrazie,

i Maksymicha, i Filipicha, i dwaj bracia Motrany, i stara poważna Semenycha Biłykowa.

Zaledwie się dziewczątka pokazało we wrotach, wszyscy znajomi do niego przybiegli z pobudzoną ciekawością; a widząc twarzyczkę rumianą, odzież porządną i dziecię jaśniejące wdziękiem, jeszcze się więcej zdziwili. Ten i ów badać począł sierotę, dzieci do zabawy wyzywały, dziewczęta poprawiały na niej pasek kraśny, świtkę i chustynkę, dziwiąc się, jak tak do twarzy sama ubrać się potrafiła. Co tam było szep-tów, co gwaru, co spojrzeń i pytań! Stare baby z dała ją wzrokiem mierzyły, a jedna z nich odwiódłszy Sołoduchę na stronę, bardzo cicho odezwała się do niej:

— Czy widzicie?

— A co matuniu?

— A Maryś Cyganek?

— Widzę, widzę! A cóż? dziewczyna przystojna, niczego?

— I jak! i jak! poczęła baba kręcąc głową: to coś w tém jest!

— A cóż ma być? spytała Sołoducha.

— Ot ja wam powiem co myślę. Żyję na świecie nie od dziś, widziałam wiele: czarowniki Cygany, o! czarowniki! Niechby tak które z dzieci naszych zostało samo; do trzech dni by przepadło... Todyabelska w tém sprawa.

— A! porzuciłabyś kumo! *Hde Rim! hde Krim! hde Babińska korczma!*

— Czekaj-no! czekaj! Nieraz ja o podobnych rzeczach słyszałam! Motruna była charakternica: zawsze miała słysze mleko, choć krowy nie było; wetknęła kołek w ścianę, poszeptala i doila jak krowę... Mąż jój był charakternik: to wszyscy wiedzą, że *zły* mu

pomagał nocami do budowania chaty... Oni pewnie upiorami być muszą, i do swojej doni wracają, żeby na nią nagłądać, odziewać ją i karmić. Już mi wiercie, to nie może być inaczej.

Słowa te wymówione z powagą, przekonaniem, z uroczystością tajemniczą, głębokie na Sołodusze nawet uczyniły wrażenie. Obejrzała się na Marysię, ruszyła tylko ramionami i zamilkła.

— No, no! patrzajcie tylko... dodała baba. Taż to włoski jak wylizane, bielizna jakby marcowym śniegiem bielona, i bóciak, i pasik, i guzik u koszuli harny, jakby nie przymierzając u gospodarskiego dziecka. Zkądże się jój to bierze? z nieba spadło? Albo to czy głód, czy biedę znać na jój twarzyczce?... Ja moją mlekiem poję, a tak mi nie wygląda. To nieczysta sprawa!

Zgromadziło się było i więcej kobiet dokoła Sołoduchy i domyslniej owój staruszki, podsłuchując ich rozmowy. A że nic się prędzęj ludzi nie czepia niż myśli najdziksza śmiało im rzucona w oczy, więc zaraz tak uwierzyli w upiórów, że w drugim końcu cmentarza rozpowiadać już zaczęto, jakoby Sołoducha z Marty-nichą widziały własnymi oczyma Motrunę występującą z mogiły, przekradającą się do chaty córki, muskającą jój włosy i razem z nią przędącą w nocy na motki najemne.

Do tych dziwów każdy coś swojego dorzucał, i téjże niedzieli ułożyli sobie bajkę, którą wieczorem rozprowadano po całej wsi za najprawdziwszą prawdę.

Nie wiedziała Marysia, dla czego gdy wychodziła z cerkwi, już nikt się tak do niej nie garnał, nikt na nią nie spoglądał. Dzieci pozostały, tchórzliwie

z ukosa spoglądając na odchodzącą, kobiety się po-  
odwracały,—i sama wyszła z cmentarza, powoli, smut-  
no wracając do domu.

A że nie było co robić na jutro i roboty już  
szukać musiała, po drodze przyszło jęj na myśl wstą-  
pić do Semenychy, która ją z cerkwi wyprowadziła.

Semenychę zastała już zdejmującą z głowy na-  
mitkę i odpoczywającą na ławie, czegoś marnotną  
i zamyśloną.

Była to żona najbogatszego we wsi gospodarza,  
matrona poważna, władająca całą chatą, mężem i lic-  
ném rodzeństwem, słuchającém jęj z uszanowaniem,  
okryta już siwizną i zmarszczkami; kobieta dobra,  
pracowita, ale jak inne przesądna. Plotka rozsiana  
na cmentarzu o upiorach, nieprzyjemne na nięj i głę-  
bokic uczyniła wrażenie; nicmiło jęj było pomyśleć,  
że motki jęj jakaś nieczysta siła prząść pomagała,  
motki przeznaczone na płótno, na ręczniki może we-  
selne dla ukochanych córek.

Z wejrzenia na nią poznała Marysia, że ją coś  
nie tak dobrém jak zwykle sercem przyjmuje; stała  
się więc pokorniejszą jeszcze. Pocałowała w rękę  
staruszkę, i stanęła u progu milcząca, Boga prosząc,  
żeby jęj Semenycha nie odmówiła roboty.

Stara wciąż jeszcze rozwiązywała sztucznie na  
głowie zaplątaną, wedle tradycyjnej formy, namitkę,  
spoglądając z pod brwi siwych na dziewczynę w po-  
korze i milczeniu stojącą sobie z daleka.

— A co tam chcecie, Maryś? odezwiała się na-  
reszcie.

— A cóż, matuniu... roboty! jak zawsze, dla mi-  
łości bożej jak jałmużny... Gdybyście wy nie litowali  
się nad sierotą, mogłoby jęj chleba zabraknąć.

— Roboty! powtórzyła Semenycha wciąż zakłopotana i pochmurna: dobrze ci mówić, a tu może i przedziwa w chacie nie ma.

— Al krzyż pański! U was matuniu — poczęło dziewczę — u takiej gospodyni jak wy, toż to pełne bodnie lnu białego jak śnieg!

Semenycha polechtana, uśmiechnęła się nieznacznie.

— Choćby i był, choćby i był! rzekła: niechaj swoje przędą. Czego mają siedzieć z założonemi rękoma i Kasia, i Paraska, i dziewczyna najmitka!

— A mnież to nic się już ani ździebełka nie dostanie? spytała sierotka po cichu, głosem tak uzalenia i głębokiej boleści pełnym, że Semenycha uczuła się wzruszoną.

— Dawniej byliście na nas litościwsi... dodała dziewczynka, — a terazbyście mieli opuścić mnie, gdy i matki nie stało? E! to nie może być! Serce wasze matuniu nie pozwoli na to. A cożem ja winna, żem nieszczęśliwa?...

Semenycha wstała z ławy, coś poprawiła u ognia, poczęła się przechadzać i namyślać.

— Kiedyż bo to — odrzekła po chwili — ludzie na ciebie nie wiedzieć co wymyślają: mówią, żeście rodem czarowniki... charakternice... lichu wie co; że nieczysta siła wam przędzie...

Marysia przeżegnała się na wzmiankę o sile nieczystej i z przestrachem uderzyła w rączki.

— A mój Boże! zawołała: któż mógł, któż śmiał taką krzywdę wyrządzić sierocie? Wszak widzieli mnie w cerkwi, wszak się żegnam i modłę jak drudzy, a cożem ja komu zrobiła złego?

I rozplakała się nieboga.

Semenycha dobra i litościwa była w gruncie serca: żał się jęj zrobiło dziewczęcia, łyzy ją te poruszyły, odwróciła się do sieroty, machając ręką.

— Cytl! cytl! rzekła: ot! widziecie co to ludzie płożą. At! im byle gadać tylko. Ja temu nie wierzę, nie wierzę! Nie lubili ojca, nie lubili matki, i tobieby szkodzić radzi... Ja ci to tylko powiadam, żebyś wiedziała, co robić dalej... Póki tak siedzieć będziesz sama jedna za oczynia, pleść i wypłatać nie przestaną. Im to dziw, że sobie rady dajesz, a drugiemu i zazdrość, żeś do ludzi podobna, że koło ciebie porządnie.

Marysia wciąż płakała, a Semenycha tuliła ją jak mogła; nareszcie sama odstawiła garnek od ognia, dostała miski i łyżki, i nabrawszy strawy, posadziła sierotkę za stół do jedzenia, gładząc ją po głowie.

Ta dobroć staruchy ułagodziła cierpienie Marysi, a wnet i rozpytywać poczęła Semenycha o drobne szczegóły jęj życia, o chatę, o gospodarstwo, i dziewczę rozgadało się powoli, ocierając łyzy ciekące jeszcze po twarzy. ●

Poczęli się schodzić i inni z nabożeństwa: Kasia, Paraska, parobey, mąż Semenychy, zięciowie, i wszyscy kołem ciekawém otoczyli Cygankę, która im życie swoje, pracę i ntrapienia opowiadać zaczęła.

Po godzinie rozmowy tak ich ujęło dziewczę pełném prostoty i szczerości opowiadaniem swoim, że czém kto mógł i miał, starał się odchodząc dopomódz. Dano jęj chleba, kaszy, sera, okrasy, po trosze się na nią składające, jak na macoszyne dziecko; a Semenycha płacąc za łyzy, których nieuważne jęj słowo było przyczyną, nietylko dała robotę, ale darowała jeszcze kurkę, która się niosła, obszernie wy-

nezywszy Marysię, jak ma sobie z nią i spodziewaném potomstwem postępować.

Ucałowawszy ręce staruchy, uszczęśliwiona sierota, pełna najświetniejszych nadziei, pośpieszyła do pustego swego kąta, niosąc na rękach maluczkie, ale drogie dla siebie dary.

---

Tak rozpoczynało się to dziwne życie sieroty, która na bożym świecie prócz słabych rąk dwojga i odwagi wielkiej, a raczej nieświadomości świata, nic więcej nie miała. Ludzie spoglądali na nią jak na cudowisko jakieś, jak na coś niebywałego, jakby patrzali na wcieloną bajkę o złotej jabłoni lub źródle grającém; a czynili to jeli z podnieconą ciekawością, drudzy szukając tłumaczenia tajemnicy w czarach i upiorach. Plotka wszakże utworzona na cmentarzu, krążyła jakiś czas tylko po wiosce, i choć całkiem się nigdy zbić nie dała, rozsądniejsi ludzie bliżej się przypatrując Marysi, śmiać się z baśni wkrótce poczęli. Zresztą stara Semenycha, przyjazna dla pracowitego dziecka, gotowego zawsze na jej posługi; Sołoduha czująca się do obowiązku opieki nad niém; Rataj, który się do niego co chwila więcej przywiązywał; w ostatku nawet chata braci Motruny—z daleka czuwali po trosze nad Marysią.

Zmuszona przemyślać nad tém, jakby sobie sama rady dać potrafiła, sierota dokazywała cudów, i istotnie duch jakiś dobry zdawał się jej szeptać co czynić powinna.

Całym jój utrzymaniem były motki, które i dla Semenychy, i dla innych przędła, codzieln więcej nabierając w tém wprawę; znalazła przytém czas na wszystko. Rankami i wieczorami nigdy nie zapomniała uprzątnąć około chatki, wewnątrz uporządkować, przynieść sobie świeżej wody, dla kurki coś posypać, żeby się miała czém bawić i powitać swoich starych dobrych znajomych: wróble z pod strzechy, jaskółki, które z wiosną powróciły, fertyczne sroczki krzyczące na drodze, i cały ten zwierzęcy świat, który jój pustkę ożywiał.

Z wiosną nawet, gdy się ziemia ogrzała i oschła, domyśliła się, że za lepianką na wązkim pasku ziemi, okopanym granicą jój posiadłości, a dawniej chwastami zarosłym, mogło się kilka grządek pomieścić. Jednej niedzieli poszła po radę do Soloduchy, coby to tam posiać można? Baba ruszyła ramionami i pokręciła głową na tę ochotę dziewczęcia do pracy; ale wynalazła jój stary jakiś rydelek za piecem, i opatrzyła w wysadki ze swego rozsadnika i trochę kartofli.

Jak zmierzch więc, a prząść w chacie nie było można, Marysia wybiegała na ogródek, składający się z maluczkiego gliniastój ziemi okrawka, i kopała, przekopywała, sadziła, podlewała, ciesząc się, gdy Pan Bóg pracy widocznie błogosławić począł, a zielone listki ciekawemi główkami wyskoczyły po nad czarną grzędę.

Kurka się jój także nieźle powiodła: bo sama, nieproszona prawie wysławszy sobie gniazdko, wysiedziała dziesiątek pociesznych żółtych kurczątek. Z powodu tego niespodziewanego przybytku, Marysia cały dzień straciła, bo jak tylko wyszły na świat



piskłęta, pobiegła przestraszona do Semenychy uczyć się na nowo co robić z niemi, i jak tu je hodować? Aleć to niewielkićj potrzeba było mądrości, i troskliwie pielęgnowane kureczęta szczęśliwie się jēj powiodły; jedno tylko sroka jakaś niepoczciwa schwyciła w oczach pani, za co Marysia poprzysięgła wikuistą krzykliwemu jēj rodowi uienawiść.

Z wiosną, z zielenią i ciepłem, lżejsze i weselsze coraz stawało się życie. Marysia mogła usiąść przed chatą na starym kłocu obrąbanym, i prząść do zimroku na podwórzu, przypatrując się ptaszętom, lub smętnie spoglądając na zielone grobowiska cmentarza. Nieraz nawet z kądziolką w ręku przechodziła przez drogę na mogilnik, siadała u matczynego grobu, i tam pod okiem macierzy spędzała długie godziny, zadumana nad jednostajną pracą swoją.

Dni po dniach schodziły jēj szybko, jednakie, zajęte i do siebie jak bliźniaki podobne. Potrzeby urządziły je w sposób jednostajny i niezmienny; przypadek tylko cokolwiek porządek ich mieszał.

Jak świt, na brzask zrywała się Marysia z pościolki, i rozniciwszy trochę ognia, biegła do krynicy po swoje wody wiaderko; potrzeba było, nim się rozwidniło, lepićj umieść chatę, sień, a poprzątnąć nawet przed progiem: tu podeprzeć, tam zalepić, ówdzie przytknąć dziurę, bo dziewczynka troskała się bardzo o ład i porządek w swojej chatynce. Ledwie co zjadłszy, siadała z kądzielą albo przed swoją lepianką, albo u mogiły pod starą wierzbą, na której pełno było wróbli i różnego drobnego ptactwa, co się jēj wcale nie obawiając, szczebiotały nad głową sieroty. W słotę tylko, wichurę i burzę, zamykać się musiała w chacie, spoglądając przez okienko co się działo na

dworze i czekając rozpogodzenia. Drugi raz we dnie posiliwszy się ranném jadłem odegrzaném, spocząwszy trochę i pobawiwszy się ze swoją kur gromadką, znów wracała do prąślnicy i pracowała do zmroku. Szła potém na ogródek, zwijała się w izbie, i tak krzątając się do nocy, zasypiała snem głębokim pracowitych, który zawsze w porę przychodził na jój powieki.

Ktokolwiek mijał cmentarz i lepiankę Cygana, nie mógł przejść tędy, żeby nie stanął i nie popatrzał, a nie podziwił się dziewczeczce, która każdego witała wesółym uśmiechem i dobrém słowem.

Co dni kilka Sołoducha lub Rataj sami odwiedzali Marysię, już nawet przestawszy ją namawiać, aby do nich przeszła, bo się przekonali, że bez nich obejść się potrafi. Nie pomagali też jój wiele, a kawałek chleba lub trochę strawy, dar dla niej znaczny, im wcale nie ciążył.

Co w początku zdawało się niepodobieństwem, cudem i dziwem dla wioski, to wkrótce, gdy się z tém oswojono, pospolitą stało się gadką; a radzi nieradzi wszyscy uznać musieli, że takiego dziecka jak Marysia nie było drugiego na okolicę. Jój kądziel, ogródek, kury, przechadzki na mogilnik, na którym najczęściej ją w dni pogodne widywano, stały się ulubionym przedmiotem rozmów na wieczornicach i doświatkach; a niejednen dzieciom swoim dawał ją za przykład do naśladowania.

Tak przeszła wiosna, tak lato i jesień, i zbliżyła się zima, straszna zima: ale Marysię znalazła wcześnie już przygotowaną, bo sionki miała drewek pełne, piec wylepiony na nowo, chatkę okrytą i otuloną dokoła, a w bodniach choć niewielkie na złą godzinę

zapasy. Rataj sprawił jój nowe bćiki, których już potrzebowała i do wyjścia, i do prania na wodę; Sołoducha darowała kożuszyne; a gdy śnieg, pierwszy zwiastun śmierci chwilowej ziemi, upadł na skostniałe pola, Marysia powitała go z dziecięcym uśmiechem, nie obawiając się kłesk, które mógł prowadzić za sobą, narzekając tylko, że dni coraz robiły się krótsze.

O! lecą lata, lecą! Czy popatrzysz na człowieka, czy na ludzkość, czy na dzieła rąk naszych—jak igła zegarowa wszystko wskazuje znikomość i przelotność pokoleń. Kamień tylko posiwiały w sto lat ledwie inczem porasta, ale i on w proch się sypie od spodu i na nim mchy kopią niedojrzałe dolki starości.

Dzieweczka utworzywszy sobie życie, które było zdumieniem otaczających ją ludzi, rosło niepostrzeżenie pod ubogą strzechą, i wyrastało z każdym dniem na śliczną istotę, jakby cudem zrodzoną i dojrzałą w pośród grobów na pustkowiu i odludziu. Krew cygańska nie odbiła się rysy plemiennymi w jój rysach wdzięcznych i pełnych życia, ale nadała im tylko ogicń niewidziany wpośród pospolitego zamężzonego pracą ludu naszego. Rodzaj ten życia, choć zajętego, ale odosobnionego, samotnego i zasiedziałego, wpłynął może nietylko na rozwinięcie jój piękności, ale i na ukształtowanie się umysłu, wybujałego wyobraźnią i rozrosłego marzeniem. Zmuszona karmić się tém tylko, co jój oczy do duszy ze świata milczącego przyniosły, utworami własnej głowy, ciąglém odgadywaniem wszystkich świata tajemnic, rzadko stykając się z ludźmi, utworzyła w sobie i wykołysała świat jakiś odrębny, do zwyczajnego niepodobny, wytłómaczony z niewidzialnej dla innych strony, piękny, smętny, zaczarowany, pełny zjawisk, duchów i cudów.

To pojęcie tego, co tylko z widzenia i dumań znała, malowało się w pięknych jój rysach, ożywionych duszą ognistą, omglonych zarazem smutkiem sieroctwa i uśmiechniętych weselem bezbronnej nieświadomości.

Przestano dziwić się sposobowi jój życia, które z-lawało się z razu niepodobieństwem, a okazało, że silna wola z pomocą bożą podola najzawikłańszym trudnościom,— i dziwiono się tylko wdziękowi, w którym codzień rosła bujniej, rozkwitając na czarowną dziewczkę, o jakiej wieśniak z pieśni chyba lub podania, z najrzaniej gdzieś z daleka postaci mógł roić. Było w niej coś tak szlachetnego, pańskiego, wielkiego, że mimo ubóstwa swego, wzbudzała we wszystkich uczucie uszanowania, prawie bojaźni. Starzy wskazywali ją na wzór młodym, młodzi przypatrywali się jój jak wyjątkowemu zjawisku, a chłopcy więcej wcześniej poczęli szaleć za piękną Marysią.

Kiedy teraz szła do cerkwi w niedzielę, albo na tlokę do żniwa, bo ją zaprzężono do jakichś dni odrobku za chatę i ogródek przez nią zajmowany— hurmem za nią ciągnęła młodzież, zaczepiając słowami, uśmiechem, ukłonami, choć bojaźliwie i z daleka. Marysia dla wszystkich była grzeczna, ale nie ponafla się łatwo, prócz ze starymi. Jakiś instynkt zachowawczy czynił ją nieśmiałą, tchórzliwą, nieswoją wpośród mężczyzn i młodzieży.

Nie uczęszczała wcale na zabawy, do karczyny nigdy na tańce, ani do dworu na wiejskie przyjęcia; najczęściej kręciła się koło swojej chaty.

A choć w tak ciężkiem położeniu, choć tak bardzo sama, w ciągu lat kilku nie doświadczyła ani jednej przeciwności, ani najmniejszej kłeski, a wiodło

jéj się w najosobliwszy sposób. Czego dotknęła się, rosło, udawało się, mnożyło, ożywiało, szło, jak to powiadają, ręką. Lud, który może nie bez pewnej słuszności w pomyślnościach ziemskich widzi zawsze skutek nieczystej siły, przypisuje powodzenie to skradziemu groszowi, to innym tego rodzaju talizmanom, i w tém szczęściu sieroty domyślał się zawsze po trosze pomocy upiorów, posiłku duchów czarowniczych, i nierychło dopiero, gdy nie nie potwierdziło domysłu, wpadać począł na tajemnice pracy i błogosławieństwa bożego.

Wzrósł ztąd szacunek dla Marysi, którą niewidzialna jakaś opieka zdawała się swym płaszczem okrywać. Nigdy w jéj chatce niezamkniętej, stojącej wiecznie otworem, nigdy w ogródku nieogrodzonym, nie było najmniejszej szkody: grób matki, cmentarzysko strzegło lepianki ubogiej.

W skwarne dni lata, dziewczę jak mogło, z obowiązków gościnności wywiązywało się przechodzącym i przejeżdżającym mimo cmentarza: stało zawsze w sieni wiadro ze świeżą wodą i czysty czerpaczek, a wieśniacy wiedzieli o Marysiniej wodzie, i rzadko kto jadąc z miasta, minął chatę, żeby się jéj nie napił, zostawując podziękę: Bóg zapłać jakie, lub drobny podarek.

Z latami upływającemi uic się tu prawie nie odmieniło. Tryb życia mocniej się jeszcze, stałej, niezmienniej urządził, praca szła codzień łatwiej; a sierota powoli oddychać zaczęła, na złe dni, na czarną godzinę uciulawszy już nawet trochę grosza, trochę chleba i chust trochę.

Zawsze w pogodę wychodziła na cmentarz pod wierzbę na mogiłę, i siadała tam, naglądając na

chatkę, a niekiedy słabym głosem nócąc jakąś piosenkę przybłąkaną ze wspomnieniami matki.

Owa chatka, której budowę widzieliśmy w początkach naszej powieści, bardzo się już pochyliła ku ziemi i zmieniała z lat upływem.

Inaczej być nie mogło.

Sklecona na prędcie z surowego i lichego materiału, nieumiejętnie, trzymała się łaską bożą, cudem, a może mchami i grzybami, które pogniły jej części kleiły. Ściany pomimo obmazywania gliną, dziury miały nieuleczone mnóstwo; prócz tego tak się były zasunęły w ziemię, że okienko już niemal na równi było z poziomem, a do drzwi odkopywać musiano wnijście i dobrze się w nich nachylać.

Dach murawą ponaprawiany, zgnieciony jej ciężarem, cały w garbach, zazieleniały od mchu i trawy, wydawał się jak pagórek, — i gdyby nie poczerniały komin, co wśród niego sterczał, trudno by było poznać, że ludzkie mieszkanie pokrywał. Pomimo to zewnątrz i wewnątrz czysto i ładnie było, schludno i miło, bo wszędzie widać rękę staranną. Marysię otaczało już teraz wielkie i bogate gospodarstwo: kilkanaście gołębi, całe kur rozrodzonych stado, kilka gęsi bala-mutek, po które codziennie na staw chodzić potrzeba było, gdy się zadurzyły z sąsiadkami wiejskimi; a w dodatku byli i przyjaciele domowi: kot szary i psiak brny.

Historia tych dwóch stwerczeń była dość ciekawa. Pierwszego z nich, utopionego już, Marysia wyratowała ze stawu, oddechowała i wyhodowała; a drugi przybłąkał się do niej nie wiedzieć z jakąd i jak. Znała go jednego wieczoru siedzącego pod progiem z miną bardzo spokojną, jakby się tam urodził; gdy podszła

ku niemu, od razu ją jak panią powitał, polizał po rękach i wszedł za nią do chaty, niezbyt nawet ciekawie wachając po kątach, jak stary znajomy.

Wprawdzie zjadłszy kawał suchara, napiwszy się wody, zwinawszy się w kłębek i zasnawszy twardo, gdy się ów przybędą nazajutrz rano przebudził, zdawał się być chwilę niespokojny; ale trzeciego dnia ani znaku już nie było tęsknicy po dawnym panu.

Marysia rada była gościowi, który wkrótce wziął się gorliwie do naszczekiwania po nocach około chaty: był bowiem z tego stworzenia stróliwego, co to zasypia we dnie, a jak mrok wstaje, poczuwając się do obowiązku wartowania, a niespokojnie ujada na najmniejszy nawet szelest wiatru przelatującego powietrza. Marysia obawiała się w początku, żeby z drugim jój wychowaućem Burkiem, odratowanym z topieli, a potrzebnym przeciwko ryszom sprzymierzeńcem, nie było wojny zaciętj i nieustannych zatargów.

Pies, którego zaraz nazwała Sierotką, najrzawszy kotka na piecu się wygrzewającego, doznał wprawdzie w początku niechętnego wzruszenia: wspiał się ku niemu na łapy, począł wachać i zaburczał nieukontentowany; Burek podniósł łapy, pokazał pazury i parę razy plunął mu w oczy z daleka, jakby mówił: „Odczep się odemnie.“ Ale gdy Marysia, głaszcząc psa, ofuknęła się na niego i odpędziła go od kota, zagroziwszy mu słowami, których się słuchać zdawał i usiłował zrozumieć, pokój stanął pomiędzy domownikami. Sierotka już więcj nie zaczepiał Burka, owszem udawał przez politykę, że go nie widzi, zamykał oczy na nadużycia jego względem garnków, ustępował mu z drogi niby niechcący, i okazywał się pełnym usposobień najbardziej pokojem tchnących. Burek ze swj strony, po-



mimo dosyć opryskliwego charakteru, umiał się poznać na tém, i unikał powodów do zwady. Trzymał się bowiem zawsze wyższych sfer chaty, ław, stołów, pieca, przypiecka, jak najrzadziej i tylko dla ważnych powodów schodząc na podłogę, którą zostawił Sierotce. Po niejakiem czasie nawet, pies i kot obywszy się z sobą, kilka razy przechodząc się powąchali, spotkali bez oznak gniewu, co niezmiernie ucieszyło Marysię; a kot, który o wiele był śmielszy i bardziej przedsiębiorczy, wkrótce odważył się przechadzać pod samym nosem Sierotki; uaresztie, gdy ten raz spał pod piecem, położył mu się na grzbiecie.

Pies zdawał się niezmiernie jakoś zdziwiony; głowę podniósł, popatrzał, zdawał się mówić: „Większa poufałość, niż znajomość;“ ale widząc, że kot ani się rusza, położył się spokojnie, i odtąd żyli z sobą w najścisłych stosunkach. Kot tylko jako słabszy, jako złośliwszy co za tém idzie, korzystał z téj wygranej, i wcale już nie oszczędzał towarzysza, rachując na wypróbowaną łagodność jego charakteru. Odjadał go, wylegał mu się na grzbiecie, a czasem bił go po pyskach, obmyśliwszy tylko do rejterady miejsce na wypadek wybuchu ze strony Sierotki. Ale Sierotka w najgerszym razie pokazywał mu tylko dwa rzędy ślicznych białych zębów, i burknąwszy a odpędziwszy natręta, z głębokiém westchnieniem ucisku kładł się spać na swoim miejscu.

Gdy Marysia wychodziła z chaty, pies towarzyszył jój wszędzie i zawsze; nawet na wieś, kędy go napały psy ze wszystkich podwórzy, wśród których z podkulonym ogonem, z najeżoną na grzbiecie sierścią, defilować musiał, coraz to im zęby pokazując.



Kot zaś do progu tylko dochodził, powracał nazad i chaty z garnkami pilnował.

Sierotka nie odstępując swojej pani, leżał u nóg jej na mogile, gdy przedła, szeleł za nią na wieś, choć go to wiele kosztowało, a w nocy, choćby mróz był największy, nie folgując sobie, wywdzięczał się szczekaniem za strawę. A tak sobie zawsze umiał dawać radę, że gdy go podchodzące wilki ściagały, włożył na dach, i ztamtąd bezpieczny, przyparłszy się do komina, ogromną wrzawą ich odpędzał.

Taki był skład dworu Marysi, która towarzyszków doli i karmiła, i pilnowała, i niemal jak ludzi tuliła pod swoją opiekę. Począwszy bowiem od gołębi do głupich gęsi i roznego Sierotki, do wszystkich stworzeń tych mówiła słowa, których do ludzi użyć nie mogła: rozmawiała z niemi, kłóciła się, radziła, gniewała, chwaliła, zachęcała... Jeden pies tylko zdawał się to rozumieć; kot bowiem, choć dość zły i opryskliwy, obojętny był, ośpały i gadać do niego, było to groch rzucić na ścianę; ptactwo zaś, głos jeden, jedno wołanie, na które przywykło się zlatywać, pojmowało.

Sierotka był niepospolicie rozumny, grzeczny i domyślny piesek. Uważała Marysia nieraz, że w przyjęciu przychodzących ludzi robił wyraźny, rozmyślny wybór form grzeczności: jednych witał milczkiem, nie wstając ze swego miejsca, innych machając ogonem, łaszcząc się i przysiadując, innych wachając za niemi powietrze, a niektórych burcząc z daleka, lub ujadając złośliwie i uparcie, jakby miał ochotę ich pożreć. Najnienawistniejszych szarpał za suknie, ale nie kąsał nikogo, nie czuł się dość wielkim psem na to.

Tych oznak przychylności i wstępu oduczyć go nie było można; odwołany słuchał wprawdzie pani, ale drugim razem toż samo czynił co wprzód. Miał w tém swoje widzi-mi-się.

---

Było to jakoś latem. Dzień skwarny kończył się jednym z tych wieczorów rzadkich u nas i wyjątkowych, bez chmar, bez wichru, pogodnym, cichym, błyszczącym kroplistą rosą, zwiastującą posuchę, a zwilżającą spragnione zioła i trawy. Marysia wróciwszy z cmentarza, ustawiła kądziolkę pod piecem, pogłaskała najeżonego Burka, wzięła wiadro i miała schodzić do źródła, bo jój wody zabrakło, gdy tętent konia ją zatrzymał.

Drogą ku wiosce jechał ktoś śpiesznie na małym szpakowatym koniku, pogwizdując wesoło hulacką piosenkę. Marysia przez ciekawość wstrzymała się, i stanąwszy, przypatrywać się zaczęła. Wieczór był jasny jeszcze, a przejeżdżający ujrawszy dziewczkę, zwolnił kroku, wlepił w nią oczy ciekawe i nawet gwizdać przestał. Był to młody chłopak z jasnymi włosy, skromnie, ale czysto odziany, wyglądający na leśniczego lub pisarza, z torbą myśliwską na plecach, w czarnych, długich po kolana bótach, z harapnikiem przez plecy, w wiejskim kapeluszu słomianym na głowie. Na ogorzałej jego twarzy znać było jeszcze rumieniec młodości wytryskujący z pod opalenizny, i ciekawość gorącą, patrzącą z piwnych, pełnych ognia źrenic. Na ustach błąkał się uśmiech wesoły i zalotny. Koń pod nim zwijał się i niespokojny wyrywał,

jakby zdziwiony tém, że go nieco wstrzymano: snadź nie przywykł był do wolnego chodu i zdradzał przez to charakter swojego pana, żywy i czynny. Ubranie młodzika, pomimo swój prostoty, z pewném było uszyte staraniem, bo mu kibić giętką i szerokie ramiona dobrze rysowało.

On i ona zatrzymali się nieco, spojrzawszy sobie niespodzianie w oczy. Przejeżdżający zwolnił kroku siwemu, by dłużej na śliczne dziewczątko popatrzeć; ona się zacofała, sądząc, że może potrzebować... choćby kropli wody po znoju i dziennym upale. Ale chłopak słowem się nie odezwał, obrócił się ku chacie, popatrzał, obejrzał na cmentarz, jeszcze raz na dziewczynę śmiałym rzucił okiem, konia śmignął i poleciał, świszcząc wesołą piosenkę. Marysia powoli zeszła ku krynicy.

A schodząc, jój oko mimowolnie zwróciło się w stronę, którą gnał nieznajomy chłopak, żywo pędzący przez sioło na parskającym siwoszku. Jakoś miło jój było widzieć, jak on koniem kierował, jak odważnie sadił przez groblę dziur pełną, jak się ze zwierzęciem borukał, gdy mu się płoszyło, i wychodził z walki zwycięzko. Piosnka jego wesoła i junacka miło się obijała o jój ucho,—i zatęskniła prawie, gdy się skrył za domami, a szum kół młyńskich zagłuszy śpiewkę ochoczą.

Wrażenie tego spotkania trafunkowego nie zatarło się jak tyle innych; a choć Marysia ani próżnować, ani marzyć nie miała czasu, często przed jój oczyma przelatywał ów jeździec na siwym koniku.

— Tfu maro! zawołała nareszcie: a to jakieś naslaucie!... Czegoż ja o nim myślę!

Rozśmiała się sama z siebie, ruszyła ramionami i powróciła do pracy.

Nazajutrz rano, gdy zwyczajem swoim przed próg wyszła powitać ptaszęta, obejrzeć gospodarstwo i okiem dać dzień dobry mogile, na widok pustego gościńca przyszedł jój na myśl znowu wczorajszy podróżny, i ciemne jego oczy z pod słomianego kapełusza tak ognistym patrzące wzrokiem.

— Któżby to był? pomyślała: kto taki?

Ale nie znając ani okolicy, ani swojej wsi nawet, domyślić się nie mogła, i rzuciwszy pytanie z wiatrem, a naprędce urządziwszy chatę, z Sierotką razem poszła na matczyną mogilę prząść do południa, poki- by jój skwar ztamtąd nie spędził.

Pies, który już dobrze wiedział drogę codzienną, naszczekując i wesoło się zwiłając, poprowadził ją do zielonego wzgórką, u którego stop Marysia na omszonym siadywała kamieniu, pod starą spróchniałą wierzbą.

Widok z téj wyżyny sięgał daleko, i w istocie mógł samotnicę zabawić; bo przez obalony parkan i niski wał z pagórka całą wioskę jak na dłoni i pola z drogami po za wsią, a w prawo jary, zarosła i bory widać było daleko. Choć ruch na gościńcu był maly, bo w tę stronę niebardzo kto jeździł, prócz w dzień jarmarku do miasteczka, do którego bliższa wprawdzie, ale gorsza tedy prowadziła droga,— za to oko z dala napaść się mogło ruchem okolicy i obrazem pracy ludzkiej. Co się działo we wsi, za wsią, na polach, we młynie, wszystko mogła ztąd rozeznąć Marysia; a czasem oko jój mimowoli chwytalo przechodzących, przejezdnych, i zgadywało łatwo, dokąd i po co dążyli, jaka tam ich myśl wiodła.

Każdy pług wychodzący na pole, każdy wóz zbliżający się do młyna, każde radło rażno lub leniwie wysuwające się na łan, policzyć mogła sierota, a poznawała je po koniach, po bydłach, po postawie przewodników.

Zaledwie nie poczęła wyciągać z kądzieli, gdy znowu tętent żywo lecącego konia ucho jej uderzył; oko się zwróciło na drogę, i chłopak na siwym koniku ukazał się ode wsi na pagórku ku cmentarzowi jadący. Znowu on gonił żwawo, a siwak pod nim wyrywał się zasapany, drapiąc ku górze. Dziewczę śledziło okiem i konia, i pana razem, niepostrzeżone dotąd, badając gdzie zmierzają oba. Chłopak zrównawszy się z chatką, przytrzymał zasapanego siwka i twarzą obrócił się ku lepiance, na którą pilnie poglądał; a widząc drzwi jej zaparte, już miał znowu konia zaciąć, gdy zwracając głowę, ujrzał po nad cmentarzem twarz Marysi siedzącej z kądzielą.

Przed nią zbudzony hałasem niczym zwykłym Sierotka, przedniemi łapami wsparłszy się na wierzbę krzywą, burczał i naszcze kiwał, choć widocznie wielkiój ku temu nie miał ochoty, ale czynił to z uczucia obowiązku raczej, niżeli gniewu. Widać to było z tego, że wśród szcze ku wyrwało mu się kilka razy szerokie ziewnięcie.

Siwek już się był spał i zerwał do galopa, gdy jeździec go powstrzymał, i zdziwiony począł głową potrząsać; a że nie wiedział może od czego począć z ładną dziewczyną rozhower, zawołał:

— Hej! dziewczczko! czy to wy może z téj chaty?

— Z téj chaty? A ja! a cóż?

— A cóż robicie na cmentarzu?

— To co zaw, ze: wyszłam prząść na grobie matki...

Chłopak zdziwiony ruszył ramionami.

— Dalibyście mi się wody napić?

— Ot zaraz, poczekajcie!

I Marysia ruszyła się, zostawując kądziolkę pod wierzbą; wybiegła z Sierotką razem, przeskoczyła drogę, otworzyła chatę, i kubek drewniany podała z uśmiechem nieznajomemu.

Wszystkim jej ruchom przypatrywał się młody chłopak z wyrazem nadzwyczajnego zajęcia, jak gdyby nie wierzył temu wdzięcznemu zjawisku, które miał przed oczyma.

Drżącą ręką wziął kubek, a niósł go do ust tak powolnie, jak gdyby mu się pić nie chciało. Siwek tymczasem nogą grzebał, a Sierotka wachając, obchodził dokoła przejezdnego na psi sposób, starając się poznać nosem, z kim ma do czynienia. Snadź śledztwo jego nic złego nie okazało, bo wkrótce ujadł spokojnie, i począł tylko w oczy patrzeć po cichu.

— Patrzcie-no! to w kubek, to na dziewczynę spoglądając, rzekł chłopak:—to wy tu mieszkacie?

— A cóż dziwnego, mój panie?

— Naprzeciw cmentarza! mruknął jeździec. A z wami kto? ojciec?

— Nie mam ojca....

— Matka?

— Nie mam matki!.. westchnęła Marysia.

— To słyszysz u kogo?

— Nie, panie.

— A z kimże tu siedzisz?

— Ot tak, sama jedna!

Chłopak podniósł głowę zadziwiony, a oczy aż mu się zaśkrzyły.

— Jak to! sama jedna? A jakże to może być?

— Bom sierota... odezwala się po cichu Marysia.

Podróżny napił się wody z widoczném jakimś roztargnieniem; znać było, że nie rozumiał wcale ani sieroctwa Marysi, ani jój ustronnego mieszkania, a pytać już nie śmiał dalej. Pokiwał głową, popatrzał, a że siwek się zrywał do biegu, uśmiechnął się skinąwszy głową, i jak strzała poleciał.

Sierotka, który dotąd siedział spokojnie, przerażony jak i pani jego, kopnął się za koniem, szczekając zajadle; ale wkrótce powrócił nazad, miarkując zapęd gwałtowny, i starannie począł obchodzić ślady stop konia, rozpatrując się w miejscu, z którego jeździec znikł tak prędko.

Marysia z na wpół wypróżnionym kubkiem stała długo, patrzyła tęskno za uciekającym, i bardzo powoli wróciła zamyślona na matczyną mogiłę, dokąd jój wierny psiak ze spuszczoną towarzyszył głową...

Wiele ludzi dnia tego przechodziło i przejeżdżało gościńcem, ale znajomi widząc sierotę na jój zwykłym miejscu, wcale się nie dziwili: każdy głową kiwnął, pozdrowił ją i mijał.

Zrazu było to dziwowisko dla wszystkich, widzieć ją przedzającą na mogilniku: ale po latach kilku oswoili się z tém i z sierotą; zwali ją tylko często *dziewką z cmentarza*, a choć ją po cichu stare baby o związek z duchami posądzały, nikt już temu wierzyć nie chciał.

Jeszcze był tuman pyłu wzniesiony kopytami siwego konika nie osiadł i nie rozwiął się w powietrzu, gdy pieśń grubym nóconą głosem, dobrze znajomym dziewczynie, rozległa się pod cmentarzem. Po niej Marysia poznała Rataja, a nawet domyślić się

mogła, że szedł wprost z karczmy, bo trzeźwy był milczący, a im więcej wychylił kieliszków, tém donośniejszym głosem pieśni pobożne wyśpiewywał.

Sierotka szczebkał tylko raz, jakby się oznajmował ślepemu; nastawił uszy i umilkł.

— Aha! już Maryś na cmentarzu! odezwał się Rataj. Dobry dzień dziewczyno! Bóg z tobą. A co słychać?

To mówiąc zręcznie zbliżył się do wnijscia, i wsuwawszy się na cmentarz, przysiadł ocierając pot z czoła pomiędzy dwiema mogiłami.

— Nic ojciec nie słychać, odpowiedziała dziewczyna,—nic nowego!

— Ho! ho! kłamiesz Cyganko! śmiejąc się odparł mąż Soloduchy. A kto tu wczoraj się przejeżdżał? a kto tu był dzisiaj?

Marysia zapłonila się jak wiśnia, i wrzeczono wypadło jój z ręki.

— Któż miał być? kto?

— Na siwym koniku, héj! był ktoś, był! dziewczyno! A tęgi chłopiec! Choć go oczy nie widziały, to go uszy zrozumiały.

— Jak wy wiecie?

— Ale ho! Maryś! krzyknął Rataj: Maryś Cyganko ślepy to zawsze więcej wie i lepiej widzi od tych, co oczy mają. Już to tak w świecie zawsze... Wczoraj cię wieczorem napatrzył, a dziś tu się zatrzymać musiał... Ot lepiej sama przyznaj się staremu.

— A czemużbym przyznać się nie miała? odpowiedziała Marysia: przed wami powiem wszystko. Ot jak to było: przejeżdżał wczorajszego wieczoru chłopak jakiś koło chaty; no prawda... obcjrzał się na



mnie, a dziś znowu tędy jechał i o wodę prosił, tom mu jój wyniosła; trochę popytał... A wy go znacie?

Rataj głową pokiwał milczący.

— To i ja ci powiem jak to było, rzekł: bo nie z czém, tylko z przestrogą przyszedłem. Młodemu jak ty kurczęciu, łatwo się dostać w szpony kobuzie... ale bądź ostrożna.

Marysia drżąca i czerwona patrzyła w twarz starego, który powoli dobywszy z torby chleba i cebuli, tymczasem śniadał, odpoczywając, kawałem razowej kromki, natartym główką aromatycznego warzywa.

— Ten chłopak toć ja go znam, mówił zajądając: to syn bogatego budnika z Rudni... kiedyś to byli szlachta... od tego Adama Choińskiego, co to wolami i wieprzami i zbożem handluje... a słyszę groszowity... Imię synowi Tomko. Znają go na okolicę: dobry słyszę chłopiec, ale urwisowaty i za dziewczętami gotów czy w ogień, czy w wodę! Ojciec, choćby mu to doma chleba nie zabrakło, kazał służyć; a to od niedawna przyjął u nas miejsce leśniczego. Bardzo się nam z nim nie bratać, bo to harde, czuje grosz w kieszeni i myśli, że wszystkiego za grosz dostanie, a jedynak u ojca. A szłaawiła! szłaawiła! Szlachcianek i naszych dziewczek nabałamucił już dość.

Marysia słuchała i zżymnęła ramionami.

— A co dziwnego, mój ojciec—rzekła hardo—że nabałamucił takie, które tylko wyglądały, żeby kto na nie palcem kiwnął?

— Zapewne, zapewne... ot i ta Kachna, Boże odpuść, zaczęła, powiadają, od parobczaka księdzowego, potem był ekonom z Wójtówki, a na ostatku Tomko. Czysto biedy szukała i znalazła... Ale to słyszę taki niebezpieczny chłopiec, bo i niczego, i tak się układa,

że gotów przysiądz, że się ożeni; aby mu nieboraczko w pole wywieść. Strzeż-no się i ty, bo słyszę wczoraj w karczmie zajechawszy w wieczór mocno pytał zaraz: kto to w chatynce mieszka? co to za dziewczyna tam siedzi? a że mu ludzie nie nie odpowiadali i śmieli się z niego, zmieszany umilkł. Dziś znowu chodził darmo na wzwiady, a to już zły znak, że drugi raz tu był. Aby-no się to licho do ciebie nie przyplątało; zaraz ludzie zaczną Bóg wie co gadać, a sierocie dosyć jednój biedy na ramionach.

— Bóg zapłać ojczu za przestroge, odparła po chwili namysłu Marysia; dobrze, żeście mi rozpowiedzieli kto on taki... Niech-no jeszcze spróbuje do mnie zajrzeć, będę wiedziała jak go ztąd wyprowadzić.

— O to mi zuch dzienka! zawołał stary plaskając w dłonie: naucz szlachcica rozumu... Jemu w głowie szlachectwo, ta może i ojcowskie grosze, i lichko gładkie, że sobie z nimi będzie broił bezkarnie; ale ty masz rozum!

— Ej! rozumu nie mam ojczu, ale mi Pan Bóg i matunia z nieba dopomagają... Sierota, jużem powinna była sto razy przepaść z głodu, chłodu i nędzy, a ot mnie przecię trzyma łaska pańska na nogach i syta, i okryta, i wesoła... to poraduje i dalej.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże, szepnął stary, kiwając głową. A sobie bardzo nie ufaj; ty młoda, on młody, krew nie woda; tobie tęskno samój jednój, przyszlaby zła godzina... człek się zdurzy i zapomni a co potem łez za to wylać potrzeba! a co oczu natchować! Czym to ja się nie nasłuchał? czyu się nie; nabywał między takimi?... Tomkowi jużta potrzeba kochanki, i zaraz sobio namotał na ciebie... bywajże mi ostrożna!

— Ale się ojcze nie bójcie! Bóg i od tego broni! odezwała się spokojnie Marysia. Jemu nie tak to źle z oczu patrzy.

— O o! słyszysz! krzyknął Rataj śmiejąc się: toś mu już w oczy zaglądała, łotrzyco!... Ostrożnie z tém, ostrożnie!

Sierota smutnie się tylko rozśmiała, dziad mówił dalej:

— Ha! ha! gdyby się chciał ożenić, nie mówię; ale to wielki pan, gdzie! gdzie! wysoko on patrzy, wyżej niżli wrona leci! Ale ja tu z tobą gadu, gadu, a i sy w krupach; a na jutrzejszy jarmark iść potrzeba, bo mi najlepsze miejsce zajmie kulawy Łajda!... No! pilnujże się Maryś, a chatę zamykaj od złodzieja.

Śmiejąc się, wyszedł żebrak z cmentarza, i ledwie na gościńcu rozpoczął znowu przerwana pieśń pobożną od tego wiersza, na którym ją porzucił. Marysia poczęła prężyć żywo, i Bóg tam wie jakie myśli krążyły po jej głowce, ale się często wstrząsała. To spoglądała na drogę, to rzucała okiem na pole, to zadumywała się, porzucając wrzeciono; aż nakoniec, jakby zwyciężywszy błędne rojenia jakieś, które ją trapiły, wzięła się żywo do kądzieli i do swojej godziny doprzędała.

Kiedy z Sierotką przez drogę wracała do chaty, przechodząc miejsce, na którym były ślady kopyt końskich, pies znowu się zastanowił, obszedł je z wielką uwagą i rozpatrzył. Marysię to zastanowiło, zrozumiała ten ruch jako dowód czujności stróża swego zawołała go, pogłaskała, pocałowała w czoło, a Sierotka jak oszalała z radości, bałasiwszy się przed swoją panią, wybiegł szczekać na cztery wiatry, głośniejąc jej sławę, a swoją gorliwość.

Dobrze już zmierzchać zaczynało, a Marysia zamknęła się była w chatce na skobel, gdy drogą znowu tętent konika dał się słyszeć, i pies ku drzwiom zaszcekał. Koń powoli zdał się zatrzymywać i przystanął... Tomko widać przed chatą go sadził. Marysia pobiegła do okienka, wyjrzała i szybko skryła się pod piecem.

Chwila upłynęła w milczeniu, aż puk! puk! słyszeć do zamkniętych drzwiczek. O! i serce puknęło biednej dziewczyninie, a pies rozgniewany na natrętność, na dobre szcekać począł.

I znowu puk, puk! do drzwi, potem do okienka.

— A kto tam? spytała drżącym głosem Marysia.

— To ja!

— Któż to *ja*? Czego to chcecie? odpowiedziała dziewczyna, śmiało zbliżając się do okna.

— E! to ja! nie bójcie się... Co to u was już i chata zaparta... tak zawczasu?

— Bo ja tu sama, zamykać się muszę i nikomu po nocy nie otwieram.

— Ja wam coś chciałem powiedzieć i wody się napić, a za ranny kubek tom wam coś przywiózł z jarmarku... Ale doprawdy mnie nie myślicie puścić?

— Jedźcie z Bogiem dalej; do wsi dwa kroki, szepnęła Marysia. Nocą to już do mnie nikt nie wchodzi: piesby mój pokaleczył.

— To choć podnieście okienko i przyjmcie gości-niec.

— A! cko się nie podnosi! odpowiedziała dziewczyna, — a gościńców ja nie biorę.

— Cóż to za chata przekłęta! zawołał chłopak.

A no! to dobranoc! zostawię gościńca na przyzbie...  
Bywajże mi zdrowa!

Odstąpił wkrótce odcedrzwi, bo zaraz i tętent konia dał się znów słyszeć na drodze, i piosenka wesółka uciekła z nim ku wiosce.

Marysi serce biło, a biło niezmiernie. W głowie naciło się biednej, i wyraz czarodziejski „*gościniar, podarek*“ błyskał przed jej oczyma tysiącem barw jasnych, świetnych, iskrzących... Chciało się jej bardzo wyjść zaraz, zobaczyć, ale strach jakiś instynktowy chwycił za ręce i odrętwiał nogi. Już Tomko był daleko, już nikt na nią nie patrzył, szła do drzwi niepokojna, gdy u progu siedzący Sierotka spojrzawszy w płonącą jej twarz, jakby ostrzegając czy łaszac się, zaszczekał. Marysia zatrzymała się, zaczęła myśleć i została przy piecu.

— Mogęż ja przyjąć podarek? spytała sama siebie. Co na to powiedzą ludzie?... Jak raz wezmę, nie odczepię się od niego.

Nikt jej nauczyć nie mógł, jak to pytanie rozwiązać, i gdyby na myśl nie przyszły przestrogi starego Rataja, byłaby skwapliwie chwyciła tę rzuconą pod jej okienko zagadkę.

Potrzeba było jednak walki z sobą, długiego i cichego w duszy boju, żeby w końcu sobie powiedzieć: „Nie pójdę, nie tknę, nie przyjmę.“

Nielatwo jej przyszło to postanowienie, a ciekawość, jaki to tam podarek być może? długo jej oczu zamknąć nie dała, i sen miała niespokojny.

Nazajutrz jak brzask, już wytrwać nie mogła. Wyszła się z lepianki, okiem szukając owego wczorajszego gościńca... tyle domysłów niepokoiło ją noc całą, co to być mogło? Z razu nic nie zobaczyła; ale

zbliżywszy się, spostrzegła krasną, czerwoną, ładną... a! jaką ładną, chustkę nowiuteńką i kilka łokci szerokięj karmazynowęj wstęgi. Oczy jęj nieprzywykłe do podobnych strojów, powiększały jeszcze piękność tych bardzo zresztą pospolitych gałganków, ale ona i takich nigdy nie miała...

Obejrzała je wzięwszy w drżące ręce ze strachem, pożądliwością, pokusą. z jakimś żalem nawet; ale przecucie nie pozwoliło przyjąć od nieznajomego tak wielkięj i podejrzanęj ofiary. Rozstała się biedna nie bez boleści z chustką i wstążką, zostawując je na tém miejscu, na którém były położone; a sama szybko schwyciła wiadro, i rozpoczęła dzień, lecąc jak zwykle do krynicy po wodę.

Sierotka po pani obwęchał podarek Tomka, obszedł go w koło, burknął, i nieodstępny pognął za Marysią do źródła.

Dziewczyna, choć ją to kosztowało wiele, nie spojrziała już nawet na gościniec, i zabrawszy kądziel, ze spuszczoną głową poszła smutnie ku mogile. Ale jęj oczy zwracały się ciągle na drogę, ale serce drżało jakimś niepojętym niepokojem. Słonko się już było dobrze podniosło, gdy tętent siwego konika dał się słyszeć z dala, a dziewczyna prężyć zaczęła coraz żywięj.

Leśniczy zatrzymał się naprzeciw chałupy, obejrzał, i szczekanie psa zwróciło oczy jego na siedzącą pod wierzbą dziewczynę.

— Co u kata? po co bo ona zawsze siedzi na cmentarzu? burknął nicukontentowany, zsiadając z siwego.

Jak wszystek lud prosty i budnicy, młody chłopak był przesądny, i za nicby był nie poszedł w umizgi

na cmentarzysko; markotno mu było, że Marysię tam zastał, spochmurniał i nie wiedział co poczyć.

— Dzień dobry! odezwał się zbliżając do drogi ku wałowi cmentarnemu i opierając się na zielonym garbie, który go oddzielał od niedaleko siedzącej dziewczyny.—Dzień dobry! A co? choćby Bóg zapłać należy mi za gościniec.

— Nic wam się nie należy, podnosząc głowę odezwała się powoli Marysia: znajdziecie gościniec wasz tam, gdzieście go wczoraj położyli, jeśli go kto w nocy nie wzięł.. Rosa tylko musiała go przypaść..

Tomko stanął zadziwiony.

— To go nie chcecie przyjąć odemnie?

— Bo nie mogę, odpowiedziała Marysia. A za cóż i na co miałabym od was brać podarki? a co by to na to powiedzieli ludzie?

— Czy to koniecznie ludzie o wszystkiém wiedzieć mają? rzekł kusiciel słodko, podkreśając wąsika i ze strachem a pożądlivością razem spoglądając na zakłętą cmentarzysko,

— A Pan Bóg? odezwała się Marysia.

— Alboż to Pan Bóg zakazał dawać i brać gościniec?

— Ja tam tego nie wiem, bom nie mądra, rzekła sierota po chwili namysłu; alem nigdy w życiu nic od nikogo darmo nie brała i nie wezmę..

Tomko nie dowierzając jeszcze, rzucił okiem ku chacie, ujrzał na przyzbie chustkę i wstążkę, i dźwignął ramionami zniecierpliwiony.

— No! to jak tam sobie chcecie, rzekł szydersko. Znajdzie się taka, co to weźmie.

— I takić sobie gościńca tego oddajcie, odpowiedziała Marysia,—choćby Kachnic... dodała z uśmie-

chem, przypominając opowiadanie Rataja—ja pewnie nie pozazdrosczę...

— Filut dziewczyna! rzekł w duchu, zagryzając usta, Tomko: trafiła kosa na kamień... Ale ba! nie ona jedna na świecie.

A że był to budniczuk i syn bogatego gospodarza, przywykły do łatwych umizgów i dumny dawném szlachectwem swoim, więc jakoś się oburzył na sierotę, że lekceważyć śmiała; świsnął piosenkę, siadł na koń, podjechał pod chatę, chwycił schyliwszy się chustkę, i wcisnąwszy ją za czamarkę, okiem nie rzucił na Marysię i poleciał.

Gdy się to działo, Marysia sobie przedła ze spuszczoną głową, przedła nie patrząc nań, a jednak widziała wszystko: każdy ruch zagniewanego chłopaka, każde jego ku sobie skierowane wejrzenie, i ścisnęło się jój serce, gdy bez pożegnania, bez dobrego słowa odjechał.

Pies jój naszczekiwał jeszcze na odjeżdżającego; a ona... ona płakała...

Z tych łez nie umiałaby się była wytlómaczyć przed nikim, przed sobą nawet; ale tak jój było smutno, tak ciężko po odjeździe Tomka, jak gdyby najdroższe ze swych stworzeń, najmilszy sprzęt straciła. Już się dnia tego nie przedło, nie wiodło, nie śpiewało... i gdy noc przyszła, nie spało.

Ucho jój mimowolnie szukało w powietrzu dźwięków znajomej piosenki i tętentu konia; ale głucha cisza panowała na gościńcu...

---



Tomko pomyślał sobie słowami piosenki:

„Ne welyka sercu tuha,

„Ne budeś ty, bude druha.“

I poleciał na tany do karczemki, za krasną twarzyczką, za białém liczkim i czarném okiem, ku któremu tęskno mu było przecie! Dużo było dziewcząt pod karczemką, gdzie grała muzyka, złożona ze skrzypka sławnego, szewca, z basetlisty, tkacza, i bębniarza, który, prawdę rzekłszy, był pastuchem przy dworskiém bydle. Leśniczy traktował, przymilał się, wywijał, ściskał, szeptał, poił i nahaśał się do sytn; ale gdy nahulawszy się, powrócił nocą już do swojej izdebki, zdziwił się, że mu wciąż ładna twarzyczka Cyganki stała przed oczyma.

— Co u licha! zawołał w duchu: toć pewnie ona z nich nie najładniejsza... A nie chce, to się bez niej obejdę i myśleć o niej przestane! Jeszcze się to czu-purzy i udaje panienkę dworską: kat ją bierz!

Stara to historia serc ludzkich: daj im najdroższe skarby, pełną zypiąc dłońią, odwróć się od nich obojętnie; odejm tylko ziarnko drobne i podróż się niemu trochę, już ci bez niego żyć nie potrafią. Próżno sobie wmawiał Tomko, że dla niego niczem jest Marysia: złość go na nią brała, a co gorsza, porównując ją z dziewczynami wiejskiemi, widział do-wodnie, że od wszystkich była piękniejsza, choć tego przyznać nie chciał.

— Już że piękna to piękna, mówił—ale nieznoś-nie harda. Nie będę się przecie lada Cygance kłaniał i w rękę ją całował!

I jak się zaciął Tomko, tak ani tą nawet drogą

przejechał, ani się pod chatą pokazał przez tydzień cały.

A co myślicie: tydzień dla młodych, to mało?? Wiek to cały w téj epoce szczęśliwej życia, która czarodziejską ma władzę z godziny robić lata, a z lat mgnienie oka... Tęskniła i smutna była Marysia, złościł się Tomko, i ani się spostrzegł, jak wreszcie jednego ranku siwek sam zaniósł go pod cmentarz.

Marysia przedła na mogile. Chłopak minął ją świszcząc, nie spojrzawszy nawet, ale oboje się widzieli, choć głowy mieli poodwracane; a pies, który był odwykł od konia i pana, wyleciał aż do fórtki naszczekiwać na nich. Mignął Tomko jak zjawisko, i znów go nie ma i nie ma.

Kilka dni tak przeszło, aż wyszpiegował dziewczynę, o której porze chodziła na cmentarz, i nadjechał raniuteńko, kiedy się dopiero z wiadrami wybierała po wodę.

— A! dzień dobry, krasawico!

— Dzień dobry!

— Cóż to? sami sobie wodę nosicie?

— A któżby mi miał nosić i na co, kiedy sama zdłużam?

— E! szkoda bo mi twoich białych rączek, Marysiu; bo doprawdy—rzekł zbliżając się—nie chłopskie rączki macie!

— A cóżbym niemi robiła? śmiejąc się odparła Cyganczka. Inżcie ja nie ta pani, o której gadają, że sobie siedzi założywszy ręce dzień cały; toćbym z nudy umarła!

— Jaka to z ciebie będzie gospodyni! rzekł kusiciel pochlebca, coraz się do niej przysuwając.

— Czemu mówicie „będzie?” odezwała się sierota:

alboż już nie jestem? A kto mi w domu gospodarzy, kiedy nie ja sama?

— Słyszałem ja, słyszał; ta to się we wsi wydziwić nie mogą waszój robocie i ochocie.

— Ale gdybym tak oto stała w pośród drogi, a codzień gawędziła z chłopcami jak dziś z wami—wiedzieli by, jakby szło gospodarstwo! Słońce wysoko, czas mi do krynicy...

— To i ja za wami! zawołał Tomko, rzucając konia na prędcę przywiązanego do kółka,—i ja z wami...

Marysia nie śmiała mu nic powiedzieć, wzięła wiadro i posunęła się naprzód, za nią Sierotka, za Sierotką Tomko. Ale ilekroć chciał napędzić ją i zbliżyć się do dziewczęcia, pies stróż czujny stawał, zęby mu pokazywał i nie dopuszczał.

— A! dobrego macie stróża! rzekł z przekąsem chłopak. Może i kasa jeszcze?

— Czasem, śmiejąc się po cichu odpowiedziała Marysia; ale byleby do mnie nic przystąpić, nic nie robi.

Tomko zwolnił kroku, śpiewać począł, i zachodząc ze strony, zrównawszy się z sierotą, w przyzwoitą jednak od niej odległości, rozmowę zawiązał.

— Czemu to wy nigdy nie przychodzicie na tanię do karczmy?

— Nic mam czasu.

— A w niedzielę?

— Trzebaż jeść ugotować, pokarmić kury, gęsi, gołębie, chatę oporządzić, spocząć.

— I nie nudno wam to na odludziu?

— Nic.. na nudę nie ma też czasu.

— Trzysta dyablów! rzekł w duchu Tomko: zkaż się ona tak pięknie mówić nauczyła?

— Prawda—dodał—że z was dziwne stworzenie. Innaby tak przepadła z nudy, a wy sobie cudem radę dajecie!

— Nie cudem paniczn, ale łaską bożą.

I westchnęła Marysia.

Tomko pożerał ją tymczasem oczyma. Pierwszy to raz był z nią tak długo i tak z bliska się jęj mógł przypatrzeć, a wydawała mu się co chwila ponętniejszą, porównywał ją ze wszystkimi, jakie dotąd widział, nawet z czarnobrewą Petronellą, garderobianą sąsiedniego dworu, i musiał przyznać, że przy Marysi gasła nawet biała, rumiana i świeża dworka.

Ma to do siebie samotność, że jeśli nie psuje, to dziwnie wznioślejsze zwłaszcza natury uszlachetnia, a dusza czysta musi się przelać w rysy twarzy, w każdy ruch, w spojrzenie, dźwięk głosu, rzekłbym, w barwy i kształty, uwidamiając je przed światem. Dziwił się Tomko, że sierota dla niego miała urok i powab, powagę, ponętę, jakich nigdy nie doświadczał wrażenia. Myśl jego zuchwała i do zuchwalstwa przywykła łatwemi zwycięstwami, porywała się na sierotę; ale gdy na nią oczy podniósł, uczuwał jakąś nieopisaną obawę i tchórzyl, ust nie umiejąc otworzyć. Wejrzenie jęj niepokoiło go, mieszało, języka zapominał w gębie, choć nim gdzieindziej zręcznie bardzo władał; słowem, przy Marysi czuł się jak skrępowany.

— To lichy! mówił w duchu: czy ja tu z tém kurczęciem ładu nie dojdę? tać to być nie może! Cóż to za jedna? zaklęta królewna? Tfu! Cyganka, sierota! przybłąda! A takby to było wygodnie się do niej umizgać: chata na odludziu, żywěj duszy, tylko nas dwoje; przyjeżdżaj kiedy chcesz, nikt nie zobaczy, nikt nie połaje, nikomu się nie kłaniasz.

Dumał tak idąc obok dziewczyny aż do studni, a coraz to na nią spozierał z nkosą, a co się chce zbliżyć, to Sierotka warknie, i leśniczy choćby mógł go harapem odpędzić, woli odstąpić trochę. Tak doszli do krynicy pod górą.

Ta krynica, była to sobie jaką niejednąście widzieli pewnie w życiu: studenka nie studnka, źródło sączące się z pod glinianego obrywu na białej opoce kredziastej, ostawione starym szerokim pniem spróchniałym. Dokoła niego sączyła się woda, spływając do blizkiego stawu drobnemi, wężykowatemi strumyczkami, przez które po rozmokłej ziemi, gdyby nie kładki, kamyczki i cegły, trudnoby nawet przejść było.

Na pniaku leżał kruk drewniany, służący do spuszczenia wiadra, choć tu niewiele kto czerpać przychodził, bo źródło było daleko ode wsi; ale wymyślniejsze gospodynie aż tu czasem z za grobli przybiegały, bo woda była wyborna. Dokoła w prawo i w lewo zarastały bujno po bokach wzgórza tarnina, leszczyna drobna, kaliny i bzy, migdałowym swym zapachem napelniające powietrze. Wśród tej drobnoty, jedna tylko obłamana, stara, kaleka czereśnia wyżej się wznosiła, litość budząc koszlawym pniem swoim, co rok nowemi pooranym bliznami.

Miejsce było puste a ładne. W dali staw, grobla, młyny i część wsi jak na dłoni... Tomko chciał dziewczęciu dopomódz do zaczerpnienia wody, ale nim się do tego po szlachecku przybrał, już Marysia przebiegła po znajomych kładkach, chwyciła kruk, zanurzyła wiadro, i śmiejąc się, pełne postawiła na ziemi, szybko toż samo z drugim robiąc.

Sierotka korzystając ze zręczności, napił się wody

ze strumyka, popiłnował aż Marysia wiadro dobyła, i znów poważnie na straży ku domowi iść począł. Tomko, który niepłonną miał nadzieję, że przy studni coś oberwie, choćby kradzionego całusa, rozpoczynającego wiejskie zaloty, powrócił całkiem z niczém i w dosyć złym humorze na psa i dziewczynę. Bo śmieszno mu było, że przed sobą wytłómaczyć się nie mógł, po co aż na dół schodził?

Po drodze rozmawiali tylko. Ale coby miał nabierać odwagi, a Marysia tracić, to on czuł się co chwila bardziej onieśmielonym, ona zaś coraz weselszą i odważniejszą.

— Ha! pomyślał Tomko: pójdę za nią do chaty, zobaczymy.

Ale dziewczyna u drzwi postawiła wiadro i siadła na przyzbie. Tomko znów kłął tę jej politykę, której się nie spodziewał. Usiadł wszakże koło niej. Cóż, kiedy jak na przekór Sierotka umieścił się między nimi na straży, co chwila białe ukazując mu zęby, byleby się ruszył.

Po chwili przekonawszy się, że nic nie zyska, Tomko zły, gniewny, choć niby żartował z tego, klnąc, że więcej nie powróci, poleciał do dworu.

Jeszcze była Marysia nie odeszła ze swego miesca, kiedy milcząca i zadumana zjawiła się przed nią Sałoducha.

Sierota radośnie rzuciła się ku niej, tak jej było pilno serce otworzyć i pogadać o świeżych wypadkach, maluczkich na oko, ale wielkich w życiu dziewczęcia, które czuło, że się los jego waży na szali pierwszego w życiu stanowczego kroku.

— A matuniu! matuniu! zawołała rzucając się ku niej Marysia: jakże ja wam rada, żeście do mnie

przyszli! To strach, co ja mam do was spraw pilnych... ażem już biedz chciała!

— Pewnie ten szalawiła, który tylko co ztąd odjechał, głowę ci zawrócił... No, przyznaj się? odczuwała się nśmiechając Soloducha.

— E! nie! bawiąc się końcem fartucha odpowiedziało dziewczę: ale co tu z nim poradzić, tak się do mnie uczeplił?

Baba kręciła głową.

— Jakże ci się zdaje? spytała, widocznie próbując.

— Szczerze powiedzieć matuniu?

— A szczerze!

I stara ciekawe oczy wlepiła w sierotę.

— No to tak! rzekła śmiało Marysia: ożenić się on nie ożeni, boby i dobry gospodarz za synową ani za żonę nie chciał sieroty, dla której nie ma komu ani wesela sprawić, ani nawet dać ręczników. A co dopiero budnicznik hardy i syn takiego bogatego ojca jak Choiński! Pokręci się, pokręci, porzuci, i żał tylko w sercu zostawi... Na co darmo się kumać, kiedy chrztu nie będzie?...

Soloducha jakoś się dziwnie rozśmiała z prostoduszną przypowieści dziewczyny.

— Nie głupio—rzekła—nie głupio. Już też on nam dosyć dziewczek nabałamucił. Pora, żeby go też która przytrzymała... A podobał ci się? spytała podejrzliwie i chytrze baba, spoglądając z podełba.

Marysia spuściła oczy i zapłonila się.

— A czemużby się nie miał podobać? szepnęła: chłopak niczego i taki to panicz! Ale témbardziej on nie dla mnie!

I westchnęła.

— E! gadaj zdrowa! Byle rozum, nie takie to się

na świecie dzieją rzeczy. A choćby syn Choińskiego ożenił się z córką cygańską, coby to był za dziw, kiedy się panowie nieraz z takimi floudrami żenią, co twego palca nie wartę! Tylko się umiść z sobą podrożyć, to go gdzie chcesz zaprowadzisz.

To rzekłszy, zamilkła chwilę.

— Ale! dodała jakby się namysliwszy: kiedy to już się te konkury zaczęły, czy nie lepiejby tobie teraz na jaki czas do naszej chaty się schronić? Byłoby bezpieczniej... Ej! byłoby bezpieczniej! Zwłaszcza kiedy i te przybłędy znowu się tu przywlokły... dodała ciszej.

— Kto? spytała Marysia.

— No! alboż to nie wiecie, że ta banda cygańska, z której był twój ojciec, znowu, słyszę, do wsi przysła?... .

Na te słowa dziewczę zerwało się z siedzenia nagle, rzekłoyś przeistoczone zupełnie, zmienione, przerażone, pobladłe i drżące.

Ręce załamała i słowa wyrzec nie mogła.

Stara nie pojmowała co się z nią stało, bo uczuć dziewczęcia odgadnąć nie była w stanie. A sierocie, sierocie wzmianka o jakiejś odległej rodzinie, która się jej nie zaprze, która ją przytulić może, uderzyła w serce dziwnym wrażeniem... Ona prócz matki nie miała nikogo, coby ją przytulił, coby przygarnął do siebie, ukochał i przyznał się do niej.

Sołoducha wzięła za przestach co było tylko silnym uczuciem wyrrywającego się serca... O! rodzina, czarodziejskie to słowo! Ile w nim ukrytych leży radości, ile pociech, ile węzłów łączących nas przcz nią ściślej ze społeczeństwem całym... Jest to niejako ogniwo łańcucha wielkiej całości, od której odezwani, błakamy się nie wiedząc co począć z życiem.



Kto nie miał nigdy rodziny, kto nie czuł słodkiego uścisku brata, ojca, krewnego, jakże marzy o nich i jak gorąco ich pragnie!

— Co tobie dziewczyno? zapytała po chwili Sołoducha: czy ty się tak boisz? No! to ruszaj ze mną! ja cię przechowam, nie masz się czego lękać.

— Ja? bać się? a czegożbym się swoich obawiać miała? odezwiała się dziewczyna. Toż to moi! to moi! Sołoducha oburzyła się.

— Jacy oni twoi? Pluć na marę! poganie! nechresty! Matka twoja była chrześcianką, a ojciec obwiesił się, nie chcąc ci być ojcem: czémże oni twoimi być mają?

— Bracia ojca! jęknęła dziewczyna.

— Co katowali go, aż od nich uciekać musiał?

— Lepsiż byli bracia matki?! spytała Marysia.

Sołoducha skrzywiła się.

— Ale wiesz-że ty co to za lud? spytała gorąco: matka ci tego nie powiedziała pewnie, a cudzy nie śmieli. Cały boży świat od nich jak od zapowietrzonych ucieka: złodzieje, zbójcy, czarownicy, i gorzej, i gorzej jeszcze: poganie, nechresty!

Marysia zadrżała.

— A czyż to prawda? spytała przerażona.

— Ja Bóg miły! Dowiedz się od ludzi, idź od wsi do wsi, nie ci innego nie powiedzą: to postrach okolic. A gdyby to było co dobrego, czyby to się tak włościło po świecie, nigdzie miejsca zagrzać nie mogąc? Im w to graj, dodała uśmiechając się stara: jak się tylko dowachają, że tu żyje córka ich brata Cygana, a sierota, a sama jedna, a jeszcze i młoda i ładna, zlecą się i gotowi gwałtem cię porwać z sobą. Te łotry i krwią własną i cudzą frymarczą... Ni-

by to nie pamiętają ludzie, jak tu ich dziewczka bałamuciła naszego pana!...

Marysia słuchała, drżała, i sama nie wiedziała co począć. Ogarniał ją przestrah jakiś, a żal było chatkę porzucić, a serce i ciekawość ku Cyganom ciągnęły... W głowie pomieszało się wszystko, załamała ręce, spojrzała na mogiłę matki.

— No! i cóż myślisz? spytała Soloducha.

— Ale bo to widzicie... odpowiedziało dziewczę, usiłując myśli pozbierać: cóż ja pocznę z gospodarstwem? Sądziecie, że mi tylko zabrać manatki i drzwi kolkiem podeprzeć? A toć mam i gęsi, i gołębie, i psa, i kota, których tu nie porzucę, boby to z głodu pozdychało marnie. Jużcié tego nie zabierzecie.

— A lepićże tobie ginąć?

— Wiecie co? zbliżając się zawołała dziewczyna: Cyganie długo nie popasają, kiedy już ich taka dola włóczyć się po świecie; Tomko mi też długo dokuczać nie będzie. A gdybyście wy pobyli u mnie tydzień jaki?

— Toby Rataisko z głodu umarł, a ja ze strachu, nocując podle cmentarza! odparła zrywając się starucha.

— Rataj teraz z jarmarku na jarmark chodzi, bo to wołowe targi poczęły się i odpusty w okolicy... No, a cmentarz! widzicie, że mi nic nie zaszkodził, to i wam przy mnie nicby się nie stało...

Stara zamyśliła się.

— Ot! podumam, rzekła wstając: jeśli starego w chacie nie ma, to przyjdę i posiedzę.

Marysia pocałowała ją w rękę, i tak się rozeszły.

---

Za wsią na rozłogu istotnie od wczoraj roztasowała się była banda Cyganów, też sama, która nawiedziła Stawisko przed kilkunastu laty—jeśli jest co na świecie, coby tém samém po upływie lat tylu nazwać się mogło!

Taż sama była i nie ta!

Dzieci Aprasza podrosły, Aprasz choć krzepki jak dąb, zgiał się od pracy, znoju i wieku, a Aza, owa prześliczna Aza, nie tą już była co przedtém! Musiała zostać w końcu żoną Cygana, i dziś panowała znów jemu i całej gromadzie: w miarę jak on się starzał i słabiał, ona nabierała sił i woli. Na jój skinienie drżał kował stary, chowały się jego dzieci, które nieraz smagała własną ręką, a gromada słuchała jój jak wodza. Po długiej po świecie pielgrzymce, nigdzie nie zagrzawszy kąta, przyszła znów po tulacku nawiedzić to siolo, w którego panięci tak krwawo zapisało się pierwsze ich przybycie. Kto wie, może ta dzika niewiasta zachciała tam grób czyj odwiedzić i pamiątkę oplakać?...

A gdy się im ukazała z pagórka znajoma okolica z zieloną mogiłą, z jasnym stawem i blonią, na której dwakroć już obóz ich stawał,—z oczu Azy błysnął jakiś ogień straszliwy, i sine jój usta się ścięły.

Aza nie była już ową wdzięczną, czarującą dziewczką cygańską, której oko paliło na kogo padło: znikła dawna jój świeżość i wdzięk młodości. A przecież po latach kilkunastu tulactwa, nędzy, cierpienia, jeszcze była piękna i ciągnęła oczy ku sobie. Zachowała swą dawną kibić i kształty, oczy powiększyły się jeszcze: nie wiem od lez wylanych, czy od srogić rozpacz, która przecz nie patrzała. Usta ścięte, gdy się otwierały,

świeciły jeszcze zęby białemi, a kruczy włos nie spadł ze skroni jak liść jesienny... Mimo smutku, który ją pożerał, Cyganka zachowała instynktowie jakieś pragnienie przedłużenia młodości i zachowania wdzięku: strój jój o niém zaświadczał. Gdy inne w jój wieku zwiędłe, zszarzone, zobojętniałe, ledwie się oszarpaną otulały płachtą,—ona szukała w odzieży barwy i kształtu, i stroiła się jak królowa.

Tylko co rok twarz jój surowszego, dzikszego nabierała wyrazu, usta pogardliwszym wykrzywiały się uśmiechem, oczy ognistszym w świat patrzyły wyrzutem. Jakby za swe cierpienia na wszystkich mścił się chciała, nieubłaganą, gniewną była dla tych, co ją otaczali. A Aprasz, który szalał i ginął za swoją *egazsi*, robił co tylko chciała...

Zaraz pierwszój nocy po przybyciu do Stawiska, Aza znikła z obozu. Aprasz schwycił się za siwe włosy, poleciał do dworu. Ale powrócił z niczém, bo nogą tam nie postąpiła. Domyślił się gdzie była, a z umarlými nie walczyć żywym w sercu kobiety.

W istocie Aza całą noc przesiedziała na mogile Tumrego, niema, zadumana, straszna jak widmo z grobu wywołane. Sercem tylko, nie pytając nikogo, znalazła zielony pagórek, który krył w sobie zwłoki jój ulubionego: bo lat kilkanaście wbiło go do ziemi i zasiało na nim wysokie burzany, za któremi go prawie widać nie było. Wśród ciemności, kalecząc ręce, zapalczywa Cyganka obrywała chwasty i krzewy z mogiły samobójcy, a gdy ranek zastał ją spoczywającą na ziemi, kurhanek już był oczyszczony z zakrywających go burzanów.

Błysnęło światło dzienne, i z nocą pierzchnęły dumy i żale. Wstała Cyganka ze śmiechem dzikim,

podniosła się i garść ziemi chwyconą, z mogiły rzucawszy na pierś za koszulę, pobięła ku dworowi.

We dworze chciała zobaczyć pana Adama, drugiego kochanka, by może szyderstwem żal ochłodzić. Była to chwila, w której nawrócony grzesznik, małym wózczykiem wyjeżdżał na mszę do przyległego kościółka... Dnia tego opóźnił mu się woźnica i brał za to różgi w stodołę, a pan Adam z książką nabożną i różańcem w ręku, czekał w ganku, ażeby po napomnieniu ojcowiskiem zajechał po niego chłopak... Wtém zjawia się Aza.

Aza nie tyle była zmieniona, co nawrócony rozpustnik... Poznał ją od razu, i z krzykiem zakrył twarz konwulsyjnym ruchem, a Cyganka rozśmiała się, po ruchu tym i po głosie poznawszy w nim dopiero zwiędłego młodzieńca, dziś w zgrzybiałego zmienionego starca.

— Patrziel taż to on! zawołała. A! jak mi się masz! Ha! ha! ha! a! co się z tobą zrobiło?

— Idź precz, idź precz wszetecznic! zakrzyczał pan Adam, zakrywając wciąż oczy. Precz szatanie, bo różgami osmagać cię i ze wsi wypędzić każę.

— A! grzecznie mnie przyjmujesz! rozśmiała się Cyganka. Ale popatrz-no, popatrz: jeszcze doprawdy nie taka stara i szpetna, jak ty zdechłaku! Nie dałój niż tydzień temu, dwóch młokosów pędzało za mną, żem się im kijem musiała oganiać! Zdejm z oczu *an-guszt* (palce), spojrzuj... przekonasz się, że nie kłamię.

Ale pan Adam już słów tych nie słyszał, i przelekły uciekł w głąb domu.

Aza popatrzała, splunęła, odwróciła się i poszła;— poszła wprost do chaty Tumrego.

Po drodze spotkała ludzi, zatrzymała jakąś dziewczynę, i dowiedziała się od niej o córce Tumrego. Z ogniem w oku wysłuchiwała powieści, i zadumana pociągnęła ku cmentarzowi.

Poważna i smutna zbliżyła się ku chacie, i zadziwiona stanęła nagle, gdy pies z pod wierzby u mogiły zajadł na nią zaszczał.

Sierotka, jak wszystkie oswojone stworzenia co nas otaczają, przywykł był już do pewnych twarzy, sukni i postaci, do swojskiej woni wieśniaka. Przestraszył się więc Cyganki z narzuconą na ramię *urakką* (plachta) kolorową, od której zaleciał go dym obozowiska i szatry Cyganów. Nie jak zwyczajnie bywało wsparty na drzewie z daleka, ale wybiegłszy na wał zielony, srodze ujadać na nią zaczął. Cygan-ka stanęła rozglądając się, i w téjże chwili postrzegła podniesioną głowę Marysi, której nazwiska wiedzieć, żeby ją poznać, nie potrzebowała. Było coś w rysach dziewczęcia znamionującego jój pochodzenie, przypominającego Tumrego, i zamglone wspomnienie ukochanego wydobyło się z piersi Azy, stając przed jój oczyma w postaci jego dziecięcia. Serce jój biło gniewem na świat cały, co jój odebrał kochanka: z pragnieniem zemsty na ludzi, łza gorąca pociekła z czarnego jój oka.

— A *Bynk!* zakłęła po cichu: to onal to jego córka! *Tumrego ciąj!* Jaka śliczua! jaka śliczna! Ja nawet nigdy nie byłam taką! I poszło to między *gadziców* na sieroctwo, na poniewierkę i nędzę, w niewolę, przykute do mizernej *khery!* (chaty).

Aza stała mrucząc te słowa, i wciąż patrzyła na Marysię, która z przestraczem wpatrywała się także w dziwną jój postać, pełną groźnego jakiegoś i dzi-

kiego wdzięku. I ona odgadła w niej Cygankę, może pokrewną... a serce biło niewytłómaczoném uczuciem bojaźni i miłości.

Sierotka tymczasem to z wału zeskakiwał, to na wał wpadał, i ujadał gryząc ziemię.

— Dziewczyno, *rakloro!* odezwała się Aza: zawołaj psa swego! chcę się zbliżyć do ciebie i pomóc z tobą.

Marysia odezwała się do Sierotki, ale ten ogonem pokiwał, zakręcił się i szczekał znowu.

Przybyła zbliżyła się tymczasem do cmentarza, przeszła przez fórtkę i postąpiła ku Marysi. Wzrok jój zatapiał się w rysach, na których czytała przeszłość swoją...

Siadła blisko, nie zważając na psa, podniosła oczy i zapatrzyła się nie mogąc nasycić wzroku widokiem sieroty, milcząca, ponura, zapłakana... Wzrok jój palił Marysię... Po długim spoczynku, łagodnym głosem spytała sierota:

— Czego mi się tak przypatrujecie, dobra kobieto? Aza rozśmiała się gorzko.

— Ja nie jestem *tutio egaszi* (dobra kobieta), nie, nie! Alem znała ojca twojego Tumrego, i patrzę na dziecko jego.. A nad tamtym płaczę...

— I matkęście moją znali? spytała dziewczyna.

Aza nie odpowiedziała.

— Dawno matka twoja umarła? odezwała się żywiej po przestanku.

— O! lat już temu kilka, zapłakany głosem odezwała się Marysia. A, ot... jój zielona mogiła. I wskazała pagórek, przy którym siedziały obie.

Aza ze wstrętem odsunęła się od niego, nie kryjąc się z uczuciem, które nią wstrząsnęło.

- A któż ci był matką? kto ojcem? spytała.  
— Jeden Pan Bóg! odpowiedziała sierota.  
— A ludzie?  
— Jam niewiele potrzebowała ludzi.  
— I żyłaś tak... sama?  
— Jak widzicie, w téj lepiance, sama samiuteńka.  
— A któż cię karmił? zdziwiona poczęła Aza.  
— Moich rąk dwoje, i opieka boża, i modlitwy matki...
- Nikt się nie zlitował? nikt nie dopomógł?  
— Ale nie! ja się nie skarzę! nie! żywięj przerwała Marysia: tyłkom nie potrzebowała pomocy i nie wołała o litość; nauczyłam się sama radzić sobie. A było, było pocziwych dwoje, co maie strzegli i strzegą, co pomagali chlebem, sercem i słowem... O! i więcéj niż dwoje!
- Któż to taki? przerwała ciekawie Cyganka.  
— Stara Soloducha, żona żebraka, i stary Rataj, jój mąż.
- Tak! cygańska dola nad cygańskiem zlitowała się dzieckiem, szepnęła Aza i zamyśliła się. Ale dość już tego życia! zawołała po chwili, wlepiając oczy w sierotę: tyś dziecko *Romów*, czas ci *gadziów* porzucić a iść z nami. Tyś piękna i młoda, lepiej ci u nas będzie. Co to za życie? życie *szukeli*, życie *zycaja* (psa, kota), których głupi nałóg przykuwa do chaty do progu, do kąta, i robi kamieniem. Codzień jedno przed oczyma, codziennie toż samo życie, ta sama nędza i praca. Pójdiesz z nami, pójdiesz i zobaczysz, jak świat się córce Tumrego, krwi *Romów* rozśmiejel! Tu na ciebie patrzą jak na obcą i brzydzą się tobą, a z nami będziesz królowała, będziesz *rani* (pani) jak ja!



I wstała, na świat potrząsając ręką...

— Jak świat szeroki, jak *pfuf* (ziemia) wielka, wszystko to nasze królestwo. Jak zajrzeć ojczyzna: granic jej nie stawia nikt! Żle tutaj! wóz zaprzęgą i dalej pod cieplejsze niebo za góry, na Węgry, he! he! aż nad sine morze, do miasta, co w wodzie pływał A idąc śpiewamy i nie mamy tęsknić czasu, bo w oczach coraz coś nowego! Zobacysz *rakloro*, zobaczysz! rzuć tylko chatę, pluń na tę kądziel *gadziów*, weź na ramiona *urakhę* i z nami, z braćmi twoimi...

Te słowa wymówione żywo, gorąco, choć połamanym językiem, pełne ognia i zapału, dziwnie przejęły sierotę, przywykłą do powszedniej chłodnej mowy wieśniaczęj. Ozwała się w niej może uśpiona krew cygańska i instynkt tułaczy. Zadrżało serce, ale usta otworzyć się nie umiały. A Aza mówiła, mówiła, i bujała jakby pieśń jakąś śpiewając, rajem czyniąc włóczęgę, rozkoszą nędzę, która ich jadła, na ustach nawet śmiech błędził pożyczany i straszny...

Skończyła, a Marysia słuchała jeszcze, bo ją ten obraz nieznanego życia, nieznanomiej rodziny pociągał ku sobie jak przepaść: obawiała się ich i pragnęła.

— Dobra kobieto—odezwiała się podnosząc oczy, które spotkały i mogiłę zieloną, i starą chatkę matczyną,—a! nie mnie to iść z wami. Jam już nie Cyganka, nie! nie! Ojca nie znałam, ssalam piersi matki mojej, z niej przywiązanie do kąta i strzechy... A ot grób biednej matki, a ot ojcowska praca! Ot ścieżki, które mi biegłam za młodu; ot i moi przyjaciele... dodała wskazując kury, psa i stado gołębi unoszące się nad cmentarzem.—Cóżbym ja poczęła z wami? co wy ze mną? mówiła dalej. Ja was, wybyście

mnie nie zrozumieli; a pierwszego dnia, gdyby mi z oczu znikła ta chatka i mogiła, z tęsknotybym po nich, umarła. Na co mi świat? albow to ja ciekawa szerokiej ziemi i siniego morza? Gdzie kogo posadziła dola, tam mu żyć i umierać! Co wam lepszego, że kości wasze leżą rozsypane po świecie, a serce nie ma się gdzie, nie ma do czego przytulić?

— No! to zgnijże tu *gadziów ciąj!* krzyknęła gniewnie Cyganka. Chcesz być kamieniem, bądź nim sobie? Głupiego nie wiąże sznurek, ale wola jego. I skomli jak pies na łańcuchu, a urwać się nie ma siły... Omyliłam się: w tobie już nie ma krwi cygańskiej.

To mówiąc, powstała oburzona; ale gdy znowu spojrzała na twarz zasmuconą Marysi, na te rysy, które jój Tumrego w całym blasku młodości przypomniały, zmiękła i zatrzymała się, zmieniając głos, który chciał zionąć nowemi przekleństwami.

— A co twoja za dola? spytała. Ot! młodość przesiedzisz na mogile! Kto ciebie zechce? kto cię przytuli? kto pokocha? Sponiewierasz młodość swoją, sprzedasz się, za chleb i za strach moźc, a potem pójdiesz o kiju żebrać obelg i szyderstwa... Szczenięta psa twego nogi ci będą obrywały!

— Niech i tak będzie! odpowiedziała Marysia: a czy to życie tak długie?

— Żal mi cię, dziewczyno, boś nie stworzona na poniewierkę, dodała Aza. O! o! jakbym ja ciebie po swojemu ubrała, a nauczyła skakać i śpiewać! Pano-wicby szaleli za tobą, pieniądzeby się sypały gradem... Kto wiel w złocie czasem chodzą Cyganki i garścią złoto rzucają.

Tych słów pokusy nie zrozumiała nawet dziewczyna, bo się rozplakała na wspomnienie matki, które jęj przyszło do serca.

— Ej! to darmo, szepnęła cicho: doli swojej nie przerobić, losu nie przetkać na nowo. Człowiek jak nić, co ją Pan Bóg przedzie: z grubéj na cienką wysnują ludzie, ale z cienkiej nie zrobią grubéj... Na cóżbym latać miała za lepszym, kiedy go dla mnie nie ma na świecie?

W téj chwili rumieniec jak krew trysnął na twarz dziewczęcia, bo posłyszała tętent siwego konika, i przyszło jęj na myśl, że gdy ją Tomko z Cyganką zobaczy, już i spojrzeć na nią nie zechce.

Aza dostrzegła niepokój Marysi, odwróciła się, powstała, najrzała chłopaka, który niespokojném okiem szukał sieroty, i odgadła wszystko.

Tomko widział w przelocie, że nie była sama. Nie zatrzymał się nawet, obejrzał się tylko, uśmiechnął i poleciał ku wiosce.

— Ha! teraz ja to rozumiem, śmiejąc zawołała Aza: dla tego to białowłosego nie chce ci się od chaty i mogiły... Za wcześnie dziewczeczko, za wcześnie! Gdybyś z nami była, ukochałabyś kogo chciała, porzuciła odchodząc, i ktoby tam wiedział, co ci przez serce przeszło! Ale tu! ot mizernie ci zginąć przyjdzie, nie zakosztowawszy życia! Jeden cię zbałamuci, a wszyscy palcem pokazywać będą! Myślisz, że się ten młokos z tobą ożeni? O! o! czy jemu to w głowie! Dość spojrzeć na niego, żeby cię pożałować: godzina wesela, reszta życia płaczu! Póty on tu jeździ, póki pierwszój lzy nie zobaczy. A potem bywaj zdrowa! Prosty nawet chłop cię nie weźmie, bo i jemu zechce się krasnego pasa, czerwoną wstążką związanéj flaszki na

weselu... Myślisz, że ludzie kochają? Al głupia! głupiał psy to jeszcze, ale ludzie!

Potrząsała głową. oczekiwała na odpowiedź, i udała, że odchodzi. Marysia milczała, łzy się jej w oczach kręciły.

— Nie pójdziesz z nami? spytała Aza.

— Nie, nie! odpowiedziała sierotka: niech się dola spełni, nie ucieknę ja od mój.

— To gnijże, gnij! odparła Cyganka gniewnie: na dolę człek ma wolę... ale głupiemu nie poradzić!

I wysunęła się ze cmentarza, ale oglądając się, zatrzymując, wahając, jakby ją co nazad ciągnęło. A Sierotka przeprowadził Cygankę szczekaniem i wyciem aż za górę.

Gdy się w człowieku gwałtowna rozbudza namiętność, wszystko, coby bieg jej tamować powinno, jeszcze go silniej przynagla. Jest w tém coś niepojętego. Walczymy z sobą, cierpimy, a z walki i boleści zarówno korzyść odnosi nieprzyjaciel. Owszem, przeciwności mają w sobie siłę podbudzającą, której nie posiada powodzenie. Tę uwagę—nie śmiejcie się czytelnicy—robimy z powodu przywiązania Tomka Chońskiego do córki Cygana. Ale Tomko nie takiż człowiek jak my wszyscy? i nie temuż ulega prawu, co bracia jego w Adamie, w słabości i upadku?

Tomko jak wszystka szlachta podupała, a nieco zamożniej-za, mimo swego skromnego leśniczowstwa i budki, w której jego rodzice mieszkali, dumny był jakby jeszcze przysłowie o zagrodzie i wojewodzie pamiętał.

Pierwszy krok jego do Marysi całkiem był tylko skierowany płochą myślą uwiedzenia biednego dziewczęcia. Zbliżył się, poznał, przypatrzył, postrzegł, że

trudnić to będzie, niż mu się zdawało. Ale w chwili gdy już postanowił porzucić głupie zaloty, po czasie było: poczuł, że bez tego ślicznego stworzenia, z którego oczu raz się napił rajskich nadziei, już żyć nie potrafi.

Chłopak tego sobie nie mówił, śmiał się z tęsknoty i serca własnego, ale rady nie było na nie. Gdzie pojechał, Bóg wie jak kierował drogą, a musiał przesunąć się mimo lepianki. Którego dnia dziewczyny nie zobaczył, tęsknił aż szalał. W ostatku spochmurniał, zadumał się, i zmiarkował, że to nie żarty.

— Czarownica czy co! mruknął w duchu. Już ciż to nie pierwszyna mi się kochać, a nigdy takiż z tego jak teraz nie miałem dokuki... Jeszcze лихо nadało: ładne, gole, a harde. że ani przystąpić. Oj! Cyganka! Cyganka! dała mi jakiegoś licha w tój wodzie, com to się jój na moją biedę od niój napił.

Tak rozmyślał Tomko, a rady sobie dać nie mógł. Już był postanowił, co będzie to będzie, formalnie się do niój począć zalecać, choć do reszty postradać głowę, gdy przejeżdżając koło chaty właśnie w czasie bytności Azy, temi stosunkami Marysi z łotrowską bandą włóczęgów tak się zgorszył, że postanowił już ani spojrzeć na dziewczynę.

Cały dzień latał łajac, wściekając się, srożąc, tłukąc za swoje grzechy nieszczęśliwego siwka, a na Cyganach się to skrupiło, bo ich zaraz ze wsi przepędził własnym domysłem, tak, że ledwie czas mieli rzucić na wóz manatki, i co prędzej ku sąsiedniej wiosce pociągnęli.

Tomko zaklął się nawet, szczęściem sam przed sobą, co go nie tak bardzo zobowiązywało: że zupełnie o Marysi zapomni, do chaty za wsią nie zajrzy

i pocznie się do Horpyny sotnikówny zalecać, gdzie pewien był, że go dobrze przyjmą. Ale wszystkie te postanowienia trwały niezachwianie niespełna dwadzieścia cztery godziny.

W ciągu nich nawet Tomko, nie gościńcem wprowadzie, ale kędyś drożyną po za cmentarzem przejechał raz mimo chaty i z ukosa spojrzął w stronę Marysi. Nazajutrz już mu z tém strasznie było ciężko. Ale na lekarstwo wprosił się do sotnika. Horpyna była niczego, zdrowa, hoża, młoda, i niezmiernie śmiała. Sotnik wdowiec, w chacie tylko stara milcząca najmitka: słowem, zaloty szłyby były jak po maśle, bo dziewczęciu panicz się wcale podobał. Ale Tomkowi po Marysi wydała się sotnikówna tak pospolitą, prostakowatą i bezwstydną, że pokręciwszy się chwilę koło niej, choć go zapraszano na wieczorynkę, pod pozorem objazdu lasów powrócił do domu.

Chmurny a gniewny sam na siebie, położył się spać i zasnął sprawę bardzo wczesnie z wieczoru. Ale sen, co go miał uleczyć, to mu w głowę napłatał jakichś obrazów, że z niemi wstał o zaraniu gorzej jeszcze niż był rozmarzony.

I tego dnia i kilku następnych kręcił się, włóczył jak Marek po piekle, i nic mu niby nie było, ale taka się do niego uwiązała tęsknota, że coś to aż na chorobę zakrawało.

Wszędzie mu było źle, nudno, samotnie; a że dawno dosyć rodziców nie odwiedzał, wzięwszy pozwolenie we dworze, pojechał na budki.

Owa szlachecka w lesie osada nie była tak bardzo oddalona od Stawiska. Leżała ona na samém pograniczu pomiędzy Rudnią a wioską pana Adama, i składała się z dziesiątka chat czynszowników daw-

nej szlachty, niegdyś sprowadzonej do wyrąbków lasów i palenia potażów, teraz zmienionych w rolników i przyrosłych do kąta, w którym się od pradziada zagnieździli.

Chaty czynszowników rozrzucone były na górzystej wśród lasu polance, co rok prawie szerzej wykarczowywaną. Każdą z nich oddzielał od sąsiednich ogród obszerny, półko, sad wiśniowy, pasieczka, stare grusze i czereśnie, a białe domki wdzięcznie malowały się w pośród lasu. Na pagórku od kraju leżała chata najbogatszego pana Choińskiego, który miał do dwudziestu roboczych koni, gospodarstwo zamożne, i handle prowadząc to wołami, to wieprzami, głośny był jako Krczus między swymi. Świeżo wzniesiony domek z dobrego drzewa, dość wysoki, z kominem i gaueczkiem o dwóch słupkach, okolony porządnymi zabudowaniami, powiadał wyraźnie czyjś był pomieszkaniem.

Adam Choiński był to już poszpakowaciany człowieczek, przebiegły, pracowity, który nie z jednego pieca chleb jadał, bywał na wozie i pod wozem. A że mu się wszystko dotąd, czego dotknął, udawało, więc przemyślał coraz coś nowego, by nie próżnować i groszowi nie dać darmo leżeć. Brał pola cudze na współ, kupował woły, karmił wieprze, sprzedawał masło i sery od licznej trzody bydła, koło którego Adamowa szczęśliwą miała pieczę, najmował się pod transporta drzewa i zboża, a wreszcie gdy zabrakło konceptu, to po sól do Konstantynowa, to po ryby jeździł do Pińska, co rok kapitałik powiększając obrotami. A że i pasieka się rozmnażała, bo jejmość była gospodynią co się zowie, i w domu żyło się oszczędnie, przeto co-dzień miał się lepiej Choiński.

Tomko był u niego jedynakiem, ukochaném dziećciem, a przez jejmość trochę nawet pieśczoneń. Pan Adam nie dawał mu jednak próżnować i baki strzelać. Oddawał go najprzód do parafialnej szkółki, potem na służbę choć lekką do Mińska, aby to niby coś robił. Że niedaleko otrzymał miejsce, widywali się z rodzicami niemal co tydzień, bo jeżeli Tomko nie przybył, to Adamowa kałamaszkę zaprząglszy, jechała do niego się dowiedzieć.

Stary był doma, i matuś aż na próg wybiegła gdy kopyta siwego zatętniały na podwórku. Pan Adam wybierał się tego dnia gdzieś na jarmark, i wóz już stał przygotowany przed chatą, a on sam we drzwiach, wdziewał szaraczkową kapotę, gdy się syu stawił. Choć się krzepko trzymał, pan Adam nie był już młody: włosy miał jeszcze dosyć, ale szpakowatego, twarz do zbytku może rumianą i ogorzałą, oczka szare biegające, usta szerokie i uśmiechnięte, a nad niemi wąs szczególnego rodzaju. Kształt jego wymyślić musiał ktoś, co wąsa ogolić żałował, choć znał z doświadczenia niedogodności jego i zapobiedz im usiłował przemyślnie. Coś to było naksztalt siwego sznurczka, w równém oddaleniu od ust, by w potrawy nie zaglądało, i od nosa, żeby go tabaką nie walać: niepostrzeżona prawie linijka twardego stojącego i krótko obciętego włosa, która pozwalała się pochwalić wąsem, a zimą i latem do niczego nie zawadzała. Bieda tam tylko być musiała z goleniem, żeby po tygodniowym lub dłuższym odroście trafić na pozycję owego wąsa; ale od czegoż doświadczenie? Golił się sam pan Adam, i nigdy wąsów nie wykasił, ani się im dozwolił do zbytku po twarzy rozpościerać.

Ledwie Tomko zsiadł z konia, troskliwe oko mat-



ki i baczne wejrzenie ojca już go objęły całego, i oboje postrzegli, że chłopak przymizerniał, a wesołość, która dawniej twarz jego okrywała, stracił. Pocałował w rękę rodziców, i milczący, powolnie, bez swawoli, bez głosu wszedł do chatki.

Ojciec go nie spytał, co mu jest? ale matka zaraz szepnęła na ucho:

— Co to? czyś nie chory Tomku? albo ci się co nie stało? Mizernie ci coś z oczu patrzy?

— Ot tak! rzekł leśniczy: coś mi na sercu ciężko.

— No! no! dodał zażywając tabaki stary Choiński, który i pytania i odpowiedzi dosłyszał: raz wraz bo z dziewczętami się parasz... *Dobra twoja brodnia... ale nie szczo dnia...* Jużby czas to porzucić, a to zdrowie stracisz i na jakie лихо trafisz, że ci kwaśnego piwa nawarzy!

Tomko, który się ojca bał i wstydził, zawołał zaraz:

— A gdzie mnie tam to głupstwo w głowie, tatusiu! Nie miałbym roboty... Ciężko lasu upilnować; nie ma dnia, żeby nie było trzeba siekiery odbierać... Pan nie żartuje, sam po drogach o kwitki pyta, tchnąć człek nie ma czasu.

— To i dobrze, że pracować musisz; to i dobrze!

— Ale jednakże—żeby zdrowia nie nadwerężył dodała matka.

— Porzuć jejmość, przerwał stary. Praca nie zaszkodzi; byle to prawda tylko była, co Tomko mówi, jeszcze pół biedy. Wyśpi się, naje i będzie zdrów.

Matka spojrzała, westchnęła i zamilkła. A przypomniawszy sobie, że syn może być głodny, pobiegła do komory po przekąskę. Stary z boku popatrzawszy na syna, sam wkrótce do ładowania wozu i wyboru

na jarmark pośpieszył, bo zwykł był mawiać: „Sprawa sprawy nie tamuje...” Jakoż wkrótce konie zaprzęgiwszy, siadł i pojechał, choć mu tęskno była syna porzucać, ale jarmarku opuścić nie mógł.

Adamowa była matką, syn jój jedyném dziećciem: jakże tu przenieść widoczną jego zmianę, smutek i troskę? Poczęła koło niego chodzić, żeby się prawdy dopytać.

Tomko nic dla niej skrytego nie miał; a choć matka do zbytku pobłażała mu może, serce też za to miała zawsze dla siebie otwarte. I teraz nie trudno jój było o przyczynę zadumy dopytać.

— Ot, licho się do mnie przyplątało... rzekł po ciachu, kryjąc oczy jak winowajca.

— Ani chybi, znowu tam jakieś przekłete dziewczyskol zawołała matka. Gadaj już, gadaj... niech wiem, co się święci.

— Teraz to chyba gorzej niż kiedy, odparł Tomko.

I nuż spowiadać się matce, a słów nie skąpił, bo mu się na nie długo zbierało. Gdy począł mówić, wygadać się nie mógł.

Adamowa stała, słuchała, głową kręciła i dumala zasmucona.

— Hm! hm! rzekła po chwili: lepijbyś to sobie z głowy wybił... Cyganka... dyabeł ją wie... *może co zna!* O jój ojcu i matce dziwy prawili: nasłuchiłam się, że włosy na głowie wstają... Cyganisko się w końcu obwiesił! Brndy i szkarady: potrzeba ci było tam nosa wtykać?

— Al kiedyż to ładna jak drugiej w życiu nie widziałem! zawołał Tomko: a pocziwe, a skromne!

— E! pluń ty mi na to! A zkąd się tu u niej pocziwość ta i skromność wziąć miała?.. Widać tylko

durzy ludzi... Ej! ostrożnie Tomku, ostrożnie, bo się doigrasz! Dziewczyny mi téj więcej ani patrz! Mało masz szlachty, gdzieby każda za ciebie poszła?... to się żeń już lepiej, niż masz tak bałamucić...

Długo jeszcze w ten sposób mówiła pani Adamowa. Słuchał jój syn w milczeniu, ale znać było, że do serca mu to nie szło, i matka pomiarkowała, że przekonać nie musiała, bo ciągle w jedno biła, powtarzając swoje, a słowa z niego nie mogąc wywołać. Gdy nareszcie milczący odjechał, rozpłakała się usiadłszy na ławie. Biedna kobieta przebiegła w myśli wszystkie możebne skutki synowskiej namiętności, i drżała nad dziecięciem; chciała go już z leśniczowstwa odebrać, chciała daleko gdzieś zasłać, tak jój Cyganki i czarów strach było.

Cała zadumana o przyszłości, ani spostrzegła, jak zmierzch padł na dworze. A w chacie noc się zrobiła, a drzwi powoli się rozwarły, i głos z nich chrypliw po cichu ją pozdrowił:

— Dobry wieczór imościuniu!

Dopiero odwróciła głowę, wstrząsła się, i nie mogąc poznać gościa, zapytała:

— A kto tam?

— Oj! a tożecie mnie widzę starój sługi nie poznali? dodała śmiejąc się chrypliwym głosem Sołoducha... Stara Ratajowa ze Stawiska! Byłam na budkach u Marcinowój, której Pan Bóg dał syna... i do jejmości przychodzę jako do kumy z *warem*.

Zerwała się szlachcianka, krzyknęła na sługę i wnet zaświecono łuczywo. Po przyjęciu podarku, kazawszy dziewce w zamian zań krupniku, to jest wódki z miodem i korzeniami, przyprawić, Adamowa poprosiła baby, żeby usiadła, i sama się przybliżyła

do niej. Na rękę jój były właśnie urodziny owe i przybycie Sołoduchy, bo nie wiedząc jak ściśle stosunki łączyły starą z Marysią, a znając z dawna lekarkę, chciała z niej coś o Cygance się dowiedzieć.

Zręcznie więc najprzód podpoiwszy babę, nuż wypytywać o to i owol

— Oj! rzekła nakoniec wdychając: bieda to moja, że Tomko u was w Stawisku. Chłopiec młody, strasznie do dziewcząt ochoczy, a z dawien dawna o waszych niedobrze słyhać. Wszystkie tam ladaco, gotowe mi go rozłajdaczyć.

— Moja jejmościunin, odpowiedziała stara: jak się co ma zepsuć, co chcesz rób, nie nie pomoże... A ja tak źle nie myślę o waszym synu; a nasze dziewczęta toż nie takie teraz jak bywały, kiedy to pan młodszy hulał i psuł ludzi.

— I teraz się tam znajdzie jeszcze niejedna, co mego bałamucić zechce... a może się już i znalazła? spytała szlachcianka ciekawie.

— Nie wiem... nie wiem... odparła baba śmiejąc się. At, zwyczajnie, nie do jednej się uśmiechnie, jak na przykład do sotniczanki Horpyny; ale to młodość na to.

— Tam bo u was—dodała Choińska, nie mogąc dłużej wytrzymać—jest jakaś Cyganka, którą chwala, że ma być bardzo urodziwa?

Sołoducha podpila już, miała wielką ochotę gadać i zerwała się z siedzenia jak oparzona.

— To o Maryś widzę mówiciel przerwała. O! o! daj nam Boże wszystkim takie dzieci, jak ta dziewczyna się udała! Cyganka nie Cyganka, a drugiej takić we wsi nie znajdziesz. Czy to wy nie wiecie nic o niej?

Matka rada się była jak najwięcej dowiedzieć, i nalawszy jeszcze kieliszek wódki Sołodusze, poczęła ją wypytywać.

Dopieroż Ratajowa dziwy o dziewczynie jeła jój śpiewać, o jój życiu, pracy, piękności, pocziwości, wytrwaniu, jakie to śliczne, jakie to dobre, i jak to Bóg sam sieroctwo jój wykołysał. Stara Adamowa zadrżała, zmarszczone jój czoło pokryło się potem, i ciężki niepokój sercem poruszył. Załamała ręce, wydając się ze swoją tajemnicą.

— To już nie ma co taić, zawołała: Tomko się mój w niój na zabój zakochał. Był tu u nas przed chwilą... przyznał mi się, że za nią szaleje... Co tu robić Sołoducho?

Baba spuściła głowę milcząca.

— Albo to ja wiem! rzekła.

— Żenić się z Cyganką, z sierotą, z ubogą, a jeszcze i poddanką waszego pana, ani myśleć Choińskiemu! dodała z dumą Adamowa. A chłopcu jakby kto co zadał!

— Dziewczyna pocziwa, przerwała Sołoducho: ona go bałamucić nie będzie; Tomko sobie ją z głowy wybije.

— A jeżeli to czary? spytała szlachcianka po cichu.

— Jakie czary? odparła ruszając ramionami Sołoducho. Czarne oczy, czerwone liczko, ot i po wszystkim...

— Ależ Tomko mój oszalał!

— Albo to jemu pierwszyzna!

Flasza stała gotowa, baba chwyciła ją pod pachę i zabierała się do wyjścia. Niepokojna szlachcianka

jeszcze do szafy poszła po grosz jakiś, i wetknąwszy go staruszcze, usiłowała ująć ją sobie.

— Słuchajcie-no! rzekła po cichu: a gdybyście wy mnie pomogli i oko tam mieli na mojego chłopaka? Dalipan gotowabym wam takiego gościńca dać, o jakim się wam ani śniło!

— A co ja mogę? szepnęła Sołoducha, odtrącając pokusę i szybko sunąc ku drzwiom. Bądźcie spokojni, ja do Marysi chodzę, z oka ich nie spuszczę, i co podolam to zrobię: nic się złego nie stanie! Bóg z wami! nie macie się strachać czego.

Mówiąc to baba wpół pijana, starała się jednak język za zębami utrzymać, i szybko wyszła z chaty, a ledwie była w podwórku, aż się za siwą uchwyciła głowę.

— Cyt! cyt! zawołała do siebie po cichu: ta to się na wielkie rzeczy kroil! Myślałam, że Tomko tylko ją bałamuci i szczęścia próbuje, a on na prawdę się zaszlapał! No! no! może Pan Bóg sierocie da szczęście!

A jak to w każdej ludzkiej czynności, by najlepszej, jest dyablego ogona kawalek, bo nim szatan musi każdą zamieszać potrawę,—więc do dobrych chęci dla Marysi starój Sołoduchy, wmieszało się i złe uczucie, dodając jak drożdże ciastu, siły robocie i wzrostu. Choińscy byli bogaci, stary trochę się nadymał i rękę kładł za pas. Adamowa w niedzielę na panią patrzyła, w chacie ich było dostatnio: a myśl upokorzenia ich dumy daniem im Cyganki, sieroty na synową, uśmiechnęła się starój Sołodusze.

— O! toby dopiero musieli nosy pospuszczać! dodała w duchu: oni co najmniej jaką ekonomównę lub pannę z garderoby dla syna rają! A tu im przyjdzie gołusieńkie Cyganiątko! i córka wisielca!

Ratajowa cała w rozmyślach stanęła na wpół drogi.

— Coby tu robić? spytała się sama siebie ożywiona wódką: jakby tu począć?

Chwilę tak stała głęboko zadumana, potem coś zapewne przemyśliwszy, kopnęła się wesoło do chaty pani Marcinowej. Tu choć dni jeszcze parę miała zabawić, ale tak się poczęła niepokoić o Marysię, że nazajutrz rano piechotą wyrwała się do Stawiska, nieczekając na podwoję. A że dobrze знаła okolicę, przez lasy wprost poszła ścieżką na cmentarzysko wiodącą.

Zbliżając się ku niemu, z dala już poglądała, czy nie zobaczy dziewczyny przy mogile. Ale choć dziecń był piękny, nikogo tam nie dopatrzyła, tylko z tumanem kurzawy Tomko na siwku przeleciał i mignął jój jak strzała przed oczyma.

— Leć! leć! uśmiechając się zawołała baba: złaپیemy cię ptaszku. Ale gdzie holubka moja? gdzie Marysia?

I przeszedłszy w poprzek drogę, zbliżyła się do chaty, w której izbie pies zaszczeakał. Drzwi były zamknięte, zapukała, i po chwilce Marysia przysła jój otworzyć. Stara bystrém okiem podejrzeń pełném, zmierzyła spokojną i smutną dziewczynę.

— A co to ty w chacie? zapytała.

— Ot tak! odparła Marysia: nie chciało mi się piec na słońcu...

— Balamucisz! gadaj-no prawdę!

— Ten się włóczy a włóczył po cichu szepnęła Marysia: raz wraz mnie zaczepia... musiałam się przed nim schować.

Sołoducha mrugnęła oczyma.

— I Cyganka się już do mnie jakoś dwa razy przy-

wlokła, dziwy mi prawiąc... Nie śmiem wyjść już na cmentarz.

— I dobrze robisz, odpowiedziała Sołoducha, siadając. Ja ze strachu, żeby ci się tu co złego nie stało, leciałam do ciebie aż z Budek od Rudni, i jak oparzona... Chłopcu ani końca nosa nie pokazuj! Już ja co wiem, to wiem!

— A cóż wiecie? spytała zarumieniona Marysia.

— On się w tobie do szaleństwa, na zabój zachochał na ucho ostrożnie szepnęła baba. Bylebyś rozum miała, to się z tobą ożeni.

— On! ze mną! czerwieniejąc coraz mocniej krzyknęła Marysia: chyba żartujecie ze mnie?

— Ale gdzie tam! tak jest! Miej rozum, a nie przypuszczaj go do siebie aui na staje, to go będziesz miała... Tyś głupia, ale ja żyłam na świecie, to wiem: mężczyźnie im gorzej dokuczysz, tém cię lepiej pokocha.

— Tego nie rozumiem, moja matko!

— Rozumiesz, nie rozumiesz, a rób co ci mówię! Zobaczysz, ja w tém, że pójdziesz za szlachcica i cała wieś będzie ci zazdrościła... A dopiero stara Sołoducha, wzięwszy się na weselu pod boki, całej wiosce powie: „A co? a co? ot, moja Cyganka poszła za męża! Nie chcieliście na nią patrzeć, teraz się jój będziecie kłaniali. A kto to zrobił? Sołoducha!”

I baba w istocie wzięła się pod boki, i podrygiwała, stanąwszy naprzeciw Marysi, która przeleżała i zdumiona więcej niż uradowana, patrzyła jak Sierotka na Sołoduchę czekać począł, widząc ją w tak niezwykły sposób uwijającą się po izbie.

— Matuniu! powtórzyła dziewczyna: ale ja was nie rozumiem.



— Cyt! zamykając jój usta dodała stará: tylko mnie słuchaj, a głowy nie masz czego łamać.

— Ale cóż mam robić? spytała Marysia.

— W chacie siedzieć, nosa na dwór nie pokazywać—to pierwsze... Zobaczysz, szczęście ci się samo położy na progu, i garścią je weźmiesz...

To powiedziawszy, Sołoducha usiadła na ławie, i nieco odetchnąwszy, wyraźniej się tłómaczyć poczęła.

— Musiał szlachcic poszłapać—rzekła—kiedy już i matka jego wie o tém, a ze strachu umiera, bo się przedemną aż wypowiadała. Teraz tylko podmuchać, a ogień będzie. Do cerkwi w niedzielę wystrój się moje dziecko, ale jeśli cię zdybie, zaczepi, zagada, ani się nawet oglądaj... Tomko zobaczy, że tu nie ma innej rady, tylko się ożenić. I albow ja już do niczego i głowy nie mam, albobym przysięgła, że się ożeni!... Rodzice krzyczeć będą, łajać, fukać i na niego i na ciebie, ale w końcu pozwolić muszą... Chłopiec niczego! chata raj! broszy u starego choć czapkę mierzyć... Nie zapomnisz, spodziewam się, i o starój Sołodusze.

Zdziwiła się stara, podniosłszy oczy na Marysię, gdy ją we łzach całą ujrzała.

— A tobież to co? krzyknęła.

— A, matuniu! cicho odpowiedziała Marysia: niby to ja rozumu nie mam! Gdyby się to i stało, a co by mnie tam w chacie czekało?

— Co? ofuknęła baba.

— Czyby mnie to tam jak dziecko przyjęli i ojciec i matka? A ktoby mi dobre słowo powiedział? Na niewolębym tam chyba poszła i na poniewierkę!

— Albo to starzy wieczni!

— A na co mam ich śmierci patrzeć? odezwiała się dziewczyna.

— I cóż myślisz? przerwała Sołoducha.

— A cóż? gdyby nawet takie szczęście spotkać mnie miało, ja go nie chcę.

Baba osłupiała z podziwu, załamała ręce, przeżegnała się, mruczając coś pod nosem niezrozumiałego.

— Albo to mi tu źle? spytała Marysia: albo mi brak wody i chleba? A na co mi więcój? Przywykłam do chaty, i wiek w niej przeżyję... Szlachcicy mi całe życie wytykał, że mnie z błota wyprowadził. Gdyby nie on, to i chłop, gdyby mnie wziął, nierazby w złą godzinę nazwał Cyganką i córką wisielca... Wolę, że mi tu ściany milczą, niżbym tego słuchać miała.

Sołoducha z usty otwartemi, milcząc, zdawała się chcieć zrozumieć słowa dziewczyny i nie pojmować ich wcale.

— Otoż tobie rozum! rozśmiała się nareszcie: oto tobie dola! Jak jój szczęście świta, toby się chciało, żeby Pan Bóg i wczorajszy dzień przerobił. Tfu! na marę... lichu tam wie, czego ci się zachciewa! Ja tego i słuchać nie będę. A co wiem, to wiem, i co mówię, to zrobię.

To rzekłszy, zerwała się z ławy, i cała oburzona, ale podtrzymując się jak mogła tém, że dziewczę bredzi nie wiedząc co, odeszła od Marysi, we łzach ją zostawiawszy.

Biedne dziewczę zostało samo i usiadło na ławie zadumane tak smutnie, jak nigdy jeszcze. Oczy jego oschnąć nie mogły, a niepokój bił piersią wzruszoną. Co tu począć i jak tyle różnych uczuć pogodzić? Sie-

rotka, jakby przeczuł co jego pani cierpiała, przyszedł, siadł przy niej po cichu, i począł ją lizać po rękach, łapą drapiąc po kolanach, żeby z zadumy rozbudzić. Ale ciężko to było! ciężko!

Pierwszy raz dziewczęciu ktoś się starał podobać i podobał. Pierwszy raz obcy przemówił do niej tym językiem, który tak słodkiem brzmieniem młode ucho kusi. A uśmiechnąć mu się, odwrócić do niego jak serce chciało, nie było podobna! Cała przyszłość czarna, ponura, straszliwa stanęła przed sierotą...

— I zawsze tak będzie, mówiła w duchu: i nigdy nie potrafię znaleźć równego sobie! Chybabym wzięła żebraczego syna i poszła w świat ze ślepym. Któż weźmie Cyganke? Kto wie! kto wie! dobrze może radziła stara Cyganicha—pójść z nimi na wieczną włóczęgę... Ale jakby moją kochaną cbatę i mogiłę porzucić i moje życie spokojne?... A!—dodała płacząc—już ono nie będzie jakim było! Jeden się zbliżył i spojrzał... podobam się drugiemu... nie dadzą spokoju, aż sponiewierają mnie bezbronną i bezsilną... Co tu począć! co począć!

I załamała ręce.

Ale w chwili największej rozpacz, przychodzi czasem otucha, świta pociecha niespodziewana. Marysia spojrzała przez okienko na jasne niebo, na uwiłające się ptaszki pod chatą, posłyszała szczebiotanie swych skrzydlatych przyjaciół, i trochę jęj przybyło odwagi.

— Bóg łaskaw! rzekła pocieszając się w duchu: co będzie, to będzie, ja do mojej roboty, do mogiły i do dawnego obyczaju powrócę... A przyjdzie umierać, to nie pożałuję świata, bom go nie zaznała! Tyle go dla mnie, co w oknie.

---

Tymczasem, jak łatwo można było przewidzieć, szalony chłopak, choć codzień się zarzekał, że Marysi więcej nie zobaczy, codzień więcej za nią przepadał; w końcu całkiem poddał się téj namiętności, i już na nic postanowił nie zważać.

Marysia udawała obojętną i w niczem nie zmieniła postępowania; ale czasem musiała choć poniewoli nań spojrzeć, a ten wzrok przeszywał go do duszy; musiała powiedzieć słówko, a mowa sprawiała mu dreszcze i sprowadzała sny dziwaczne; musiała się pokazać choć na chwilę, a ujrawszy ją leśniczy, głowę tracił do reszty. Przyszło w końcu do tego, że po pięć i sześć razy włóczył się około chaty, w której Marysia ze strachu, aby się z nim nie spotykać, siedzieć musiała zamknięta jak niewolnica.

Nie można się było z nim rozminąć: kręcił się po gościńcu, przy studni, po za cmentarzem, i czyhał tylko, żeby ją zobaczyć.

Ludzie dobre mają oczy, zwłaszcza na cudze sprawy: rychło też po wiosce wieść gruchnęła o zalotach leśniczego do Marysi, a sam pan Adam, który od razu gospodarzem i pobożnym został, codzień teraz prawie łapał na drodze do lasu wykradających drzewo bez kwitów. Tomkowi leśniczowstwo wcale nie było w głowie; zgromił go raz i drugi dziedzic; wysłuchał bury, ale się nie poprawił. Pan Adam zapowiedział, że go za trzecim razem odprawi; ale zaraz nazajutrz złapano w szkodzie z sąsiedniej wsi chłopaków, którzy korę dębową obdzierali do blizkiej garbarni. Pan Adam wpadł w gniew potężny, i Tomkowi natychmiast leśniczowstwo odebrał. Strata miejsca niewiele go obeszła, ale bał się ojca i nie wiedział jak się tłumaczyć; a że go serce wiązało do Stawiska, posta-

nowił do czasu utaić odprawę i przyzostać w chacie sotnika, dobiegając z niej do cmentarza i Marysi.

Przywiązanie do niej gwałtowne i niepoohamowane, dziwnie nad nim brało górę. W pierwszych chwilach była to tylko młoda fantazyja, płoche zachcenie i powab pociągający piękną twarzyczki. Tomko chciał się pobawić i porzucić. Ale teraz myśli jego całkiem barwę zmieniły: chciał się już żenić i nie tał z tém przed sobą. Widział on niepodobieństwo ożenienia dla rodziców, ale dziecinnie i wieśniaczo mówił sobie, że uciecze z dziewczyną, że się z nią gdzieś ukryje; a ożeniony gdy wróci, rodzice ich przyjąć będą musieli.

— A nie — dodawał w myśli — to pójdę służyć na kraj świata; pójdę dla niej i dla siebie pracować, ale jój nie porzucę.

Były nań jeszcze chwile oprzytomnienia, w których się sam z siebie naśmiewał, że za Cyganką lata, że oszalał; ale namiętność wnet brała górę, i powołał potém rajskie życie z piękną Marysią. We wsi, gdzie już wciąż o tém tylko mówiono na wieczornicach, na połudeńkach, pod cerkwią i w karczynie, Tomko się dowiedział, że Semenycha i oboje Ratajowie mieli jakąś władzę nad sierotą i opiekę nad nią, i jak tylko tę wiadomość pochwycił, nazajutrz rano poleciał do ich chałupy.

Sołoducha go czekała, bo wiedziała dobrze, iż w końcu musi przyjść koza do woza. Skoro go z dala postrzegła, zaraz męża za piec pchnęła, domyśliwszy się, że chłopcu przy nim niebardzo mówić się zechce. Dziad się z razu ofuknął, ale jak mu stara szepnęła na ucho, że to o sierotę idzie, wgramolił się na zapiecek i począł chrapać, choć dobrze ucha nadstawiał.

Sołoducha znowu udała bardzo zajęta, i nuż z zimnymi garnkami chodzić od stołu do komina i od komina do stołu. Nie zobaczyła nawet niby, gdy Tomko wszedł do chaty.

— Dzień dobry matko! rzekł trochę zmieszany szlachcic, rozglądając się dokoła.

— A to panicz! zdziwienie udając odezwała się stara. Może wrota na łąn zamknięte? zaraz pójde otworzyć...

— Nie, nie, nie trzeba... odparł siadając na ławie Tomko. Ja tu do wa: matuniu po radę...

— Panie Boże! a toż co! odezwała się stara ze śmiechem. Czy już mnie potrzebujecie? No, mówcież czego wam potrzeba? ale ja taki przestrzegam, że lubczyku u mnie nie ma, choć to wy i bezemnic i bez niego sposób sobie na dziewczęta znajdziecie.

— Co to długo gadać a bałamucić... wstając z ławy rzekł Tomko. Ot matuniu powiedzcie mi, czy to wam krewna, czy chrzestna córka, czy co... Marysia Cyganka?

— A co ona mi ma być? ruszając ramionami odparła stara: — nic...

— Ale wy z nią żyjecie?

— A to widzicie, matka nam ją przed samą śmiercią poleciła. Ale cóż wam do niej?

— Co mnie do niej?... wybuchnął chłopak. Tu nie ma co kłamać: ot ja za nią szaleję!

Baba udała zdziwienie wielkie, w ręce plasnęła, głowę zaczęła kiwać, brwi zmarszczyła, cmokała; wreszcie poufalęj przysiadła się na ławie.

— A na co się wam to zda? rzekła podpierając twarz zgrzybiałą na pomarszczonej dłoni. Wy myśli-

cie, że to dziewczyna sierota, sama jedna, to ją jak grzyba wziąć; ale widzę Marysi nie znacie.

— Jakże nie znam, kiedy mi głowa pęka, że jój dostać nie mogę!

— I taki to porzucicie! szepnęła Sołoducha. Wierzcie mi, z tego nic nie będzie: obalamucić jój nie obalamucicie — a cóż?... O ożenieniu wam ani myśleć; dopiero to szlachta krzyku narobiła!

Chłopiec się zamyślił smutnie.

— A ja bez niej żyć nie będę! rzekł cicho.

— Co wam się stało? zawołała baba. Młodemu tak się to zdaje... Oj! oj! albo to ona jedna? Krzyż z wami! Co wy mówicie? Już że Marysi tak nie dostaniecie, nie poszedłszy z nią do cerkwi, to pewna: dziewczyna stateczna, pobożna, pracowita, a i niegłupia, z chłopcem się nie wda... na gościńce jój nie złapać...

— No! to się z nią ożenię! rzekł zamaszysto Tomko. Niech co chce będzie, a taki się ożenię...

— A toż rozumna mowa? odparła starucha. Co wam paniczu? Czy o Marysi nie wiecie, że cygańska córka? czy swoich nie znacie, jak nosa do góry zadzierają? Ojciec i matka toby się was wyparli.

Tomko głowę zwiesił.

— Wy bo sobie tém darmo krwi nie psujcie; bo co nie można, to nie można... dodała Sołoducha. O! już to prawda, że takięj śliczności jak ta dziewczyna — kończyła stara powoli, poddmuchując ogień, którym leśniczy gorzał — takięj śliczności nietylko na okolicę nie ma, ale i na świecie poszukać! Gdyby człowiek nie wiedział, myślałby, że to pańskie dzieckol

Leśniczy westchnął głęboko.

— A tu — rzekł raptownie, jakby sam do siebie — ani się zbliżyć, ani pogadać, ani oczu napisać...

— Już to darmo... dorzuciła baba. Ona taka bojaźliwa i skromna, że ledwie zasłyszysz turkot na drodze, do chaty się chowa... Wybicie to sobie z głowy.

— Kiedy żyć bez niej nie mogę! zawołał Tomko rozpaczliwie, i zaklął się; a baba udała, że ją przstraszyło zakłęcie.

— O mój Boże! a cóż to będzie? zawołała. Co to będzie?

— Choćby przyszło dla niej zginąć.

— Cyt! cyt! cicho, nie mówcie w złą godzinę, ja na to nie poradzę...

— Gdyby choć zobaczyć! choć pogadać! rzekł Tomko. Wy tam chodzicie?

— To prawda! mruknęła stara: codzień.

— Słuchaj Ratajowa! gwałtowniej przerwał leśniczy: ot, rubla kładę na stół, nie odmawiajcie mi a pomóżcie.

Baba odskoczyła, oburzywszy się.

— Co to wy oszaleli na prawdę, żebym ja dla grosza dziewczynę gubiła i do bałamuctwa dopomagała?

— Ale posłuchajcież... dokończył Tomko. Ja złego nie chcę i o nic was niepocziwego nie proszę; tyle tylko, jak będziecie u niej w chacie, dajcie mi znać, wpuśćcie za sobą, niech ja przy was choć przebędę z nią jaką godzinę. Będiesz się na nas patrzeć.

Sołoduha jeszcze się oburzyła.

— Ale to nie może być!



— Na miłość bożą! zaczął zaklinać Tomko: widzicie, że ja nic złego nie myślę.

— A jak się Choińscy dowiedzą?

— Nie dowiedzą się... a gdyby i tak było, niech się sobie dzieje co chce. A to przyjdzie mi dla téj miłości zeschnąć i umrzeć, bo już dłużej nie wytrzymam!

Babie tak się wszystko ślicznie składało, że jój aż serce rosło; ale udawała zafrasowaną, i nierychło, nacmokawszy się, poczęła po cichu szeptać coś Tomkowi na ucho, który rozweselony, jakby ożył na nowo, wsiadł na siwka i poleciał.

Dopiero z za pieca dziad się zwłókł co najprędzej po rubla, o którym zasłyszał, i chyłkiem skradł się do stołu; ale Sołoducha przeczuwając napaść, dawno już była schowała grosz w węzelek i zatknęła w łóżko, a Rataj go nie znalazł.

Rozpoczęła się zwada, krzyk, targanie: wyparła się Sołoducha, że datku nie przyjmowała; Rataj parę razy kijem machnął, i burza ucichła jakoś wkrótce, zalana kwaterką wódki.

O zmierzchu Sołoducha wdziawszy świętę, zabrała się na wieś do Marysi, nie bez szyderskiego uśmiechu, przekradając się przez ulice wioski ku cmentarzowi i cygańskiej chałupie.

Wielka była radość samotnicy, gdy zobaczyła babę zbliżającą się do chaty: rzadki to bowiem był gość o mroku. Marysia właśnie odpoczywała na przyzbie przed sienią, otoczona całym swym dworem, gdy babcina się przywlokła, i na widok, który miała przed oczyma, stanęła, by mu się lepiej przypatrzeć.

W istocie było na co patrzeć.

Śliczne dziewczę, w białej koszuli, w krasnym

fartuszkę, dłonią hojną rozsiewało ziarno dokoła a wychowańcy Marysi, kłócąc się, wyprzedzając i bijąc po trosze, lecieli na nie łapczywie. Szare i białe gęsi, pstre gołębie, kurki czubate, wszystek dwór aż do psa i kota, otaczał panią swoją; nawet kilka dzikich śmiałych wróbli przyplątało się do rozdawanéj strawy, i ukradłszy ziarenko, uciekały z niém co prędzej pod strzechę. Zazdrosny Sierotka widząc, że kury i gęsi zajadają, coraz to poskoczył, dopędził je, powąchał tego rodzaju jadło, i nie mogąc go zrozumieć, odchodził zaunyślony, jakby powiadał: „Co też te głupie stworzenia jedzą!“

Marysia śmiała się z tych codzień prawie powtarzanych wybryków swojego ulubieńca. Na widok nadchodzącej Sołoduchy, i dziewczę się z siedzenia zerwało, i pies zaszczekał, i ptactwo pochwytawszy co mogło naprędce, wrzeszcząc rozbiegło się, a na miejscu swojego stadka, wnet drapieżny zastęp wróbli upadł na tokowisko.

Ostatnie promienie słońca oświecały blaskiem jaskrawym tę scenę wiejską, nacechowaną sielankową prostotą. Po chwili Sołoducha przybliżyła się, ująwszy za rękę Marysię, wiodła ją co prędzej do chaty.

— Słuchaj-no! rzekła: nie bądź głupia! Tomko się z tobą niezawodnie ożeni, bo ginie bez ciebie biedne chłopczyśko... Zaraz tu przyjdzie; tylko co go nie widać. Jużciż przy mnie oczyma cię nie zje: puść go do chaty, niech choć pogada z tobą.

Marysia zarumieniła się, jakby ją krwią oblał.

— Krzyż na mnie! Ach! ja nieszczęśliwa!... A cóż ludzie powiedzą? zawołała.

— A co gadać mają, kiedy ja tu! ofuknęła ją ba-

ba. Ja cię do złego nie poprowadzę; słuchaj mnie tylko, wszystko dobrze będzie. Cyt! cyt!

Położyła palec na ustach, a już tętent siwka dał się słyszeć. Marysia nie wiedziała już co począć, rzuciła się ku drzwiom, ale baba posadziła ją na ławie, i otworzyła drzwi nieco, a Tomko wpadł jak piorun.

Wpadł i wprost do dziewczęcia, chwytając ją za rękę:

— Marysiu! serdeczna Marysiu! nie uciekaj! rzekł zadyszany. Nie bój się, tyś mi miłsza nad życie! Choć chwilkę pozwól побыć z sobą, gołąbko moja! A jak każesz, to pójdę!

Baba uśmiechnęła się, Marysia zdawała się tracić przytomność, i powiodła ręką po czole.

— Al! to nie gubże mnie! odezwała się drżąca, wyrывая się od niego. Kiedym ci miła, jak mówisz, nie trujże mi życia!

— Ja! jabym za ciebie w ogień skoczył.

— O! nie mówcie słów takich! nie mówcie, bo im nie uwierzę. Wy się ożenić ze mną nie możecie: na co daremnie gubić sierotę? Rodzice wam nie pozwolą.

Tomko patrzył wciąż w czarne jęj oczy i pałał cały.

— Słuchaj — rzekł — na co to długo się spierać? Jeśli mi nie pozwolą rodzice, ja z tobą na kraj świata ucieknę.

— Nie — odparła Marysia żywszym i śmielszym głosem. Widzicie przez to okno dwie mogiły na cmentarzu: jedna z nich dziada mojego, druga matki. A wiecie z czego oni pomarli? Jeden, że przeklął dziecko swoje; druga, że na niej przeklęctwo było

ojcowskiel Nie chcę przeklęstw na głowę moją: porzućcie mnie, porzućcie!

Stara słuchała, i brew się jój namarszczyła, a usta zacięły. Tomko załamał ręce zdziwiony.

— Inaczéj mów! odparł. Ty chyba serca nie masz do mnie, Marysiu! No! to mów, i zabij mnie już od razu!

Dziewczę odwróciło się do niego z uśmiechem.

— Dla czegożbym serca do was nie miała? Wyście do mnie pierwsi przemówili dobrém słowem i zbliżyli się do sieroty. I gdyby, gdyby nie strach rodziców waszych, a... — Nie dokończyła.

Tomko znów pochwycił ją za ręce i począł całować; ale stara, której na myśl przyszło, że powinna była stać na stronie sieroty dla oka, odciągnęła go od niéj.

— Porzuć.. rzekła — porzuć! Ot siadaj na ławie i rozmówcie się po ludzku.

Marysia zobaczywszy, że stara zabiera się ku drzwiom, pobiegła i wstrzymała ją.

— Na krzyż pański, nie odchodźcie! krzyknęła. Zlitujcie się! Ja nie zostanę sama... to być nie może!

— Siadajcie! rzekł Tomko: mnie pozwólcie z daleka być... choć popatrzeć.

Marysia, na której to wszystko dziwnie smutne jakieś czyniło wrażenie, podparła się na rękę i rzewnie rozplakała. Chłopcu zrobiło się przykro, boleśnie: odsunął się do progu i stanął jak wryty.

— Ej! dzieciaki, dzieciaki! zawołała Sołoducha. Ot! głupie! coby mieli czasu użyć, pogadać ślicznie, oboje podurnieli i lichy wie jakie stroją fochy... A no porzućcie... Marysia tobie nie do smaku, a i ty jój

nie hydki: chcesz się żenić, czego tu płakać? Weselcie się, dziatęńki!

— Nie wesele mnie w głowie... odparła Marysia. Mnie tak straszno! tak straszno! Od czasu jak przestąpił próg chaty mojej, głowę tracę..

— Marysieńko! odezwał się Tomko: kłuję ci się na Boga, na wszystko, że się bać nie masz czego... Ja twój, zrobię co każesz, byleś mnie nie odpędzała.

— Co mam o tém mówić! odpowiedziała Marysia: a rodzice? a wasi? a nuż się dowiedzą! Jutro was zaszła daleko, a mnie ludzie osromocą i zginać przyjdzie marnie...

Trudno było odjąć obawę sierocie, i Tomko i Sołoducha próżno się o to silili. Rozmowa nie szła, a że wieczór się zbliżał, więc po krótkim rozhowerze baba kiwnęła na Tomka, chłopak westchnął i ujść musiał. Siwek paś się na wale cmentarnym, i ledwie go złapał; a Rataicha aż się za głowę pochwyciła, zobaczwszy, że w chwili właświe, gdy Tomko z chaty się wymykał, wóz Marcina z budek rudeńskich przesunął się mimo cmentarza. Choiński nie zważał na to, tak był Marysią i koniem zajęty; sierota nic nie widziała; lecz baba zaraz rozrachowała, co z tego wyniknąć może, i na wieś pobiegła zachmurzona tym wypadkiem.

Marcin dobrze był jój znajomy, bo świeżo chodziła pilnować jego żony. Chciała go Sołoducha dognać i uprosić o milczenie; ale gdzie starym nogom zdążyć za młodemi końmi!

Szlachcic popędził w tumanie kurzu w jedną stronę, Tomko w drugą; Sołoducha o kiju powlekła się ku karczmiu.

Wiedziała ona, że Marcin gaduła, jakiego świat drugiego nie miał, że karczmy pewno nie minie, i rachowała na to, że go tam jeszcze palącego fajkę zastanie. Omyliła ją wszakże nadzieja. Nim z góry zeszła, nim groblę przebyła, nim się z trzodą spotkawszy, rozminęła z bydłem, doszedłszy nareszcie do karczmy, postrzegła, że Marcin już konie zaciąwszy, boczną ulicą do Rudni poleciał.

Baba zła, na wzwiady tylko weszła do izby szynkowej. Szumko szynkarz z kilku innymi włościanami stał w pośrodku izby, gawędząc po cichu z nimi; nie zważali jak się baba wsunęła.

— Tak, tak! rzekł, rozdając tabakę, szynkarz do starosty cerkiewnego: on tu sobie hula i kręci się koło dziewczyny, a tam rodzice myślą, że jeszcze we dworze służy. Marcin aż ramionami do sufitu ruszył, gdym mu powiedział, że już leśniczowstwo oddane Pawłowi; a to wczoraj jeszcze stary Choiński, słysząc, chwalił się, że syn ma takie miejsce na początek! Ot co! ot co!

— A bodajże was! a bodaj długo-języczni! krzyknęła baba z za pleców Szumkowi, aż się cały wstrząsł. A świerzbiał was język spowiadać się przed Marcinem?

— A wiédźmo przekłetał toś mnie nastraszyła!... Bodaj cię febra trzęsła! krzyknął Szumko.

— Gaduło ty! gaduło! na ciebieby febrę nasłać, tobyś pleść o cudzém zapomniał.

— Czy to mnie kto o sekret prosił? odparł Szumko—he? Marcin pyta, dziwuje się, że Tomka widział wedle chaty u cmentarza, i mówi: „Co to u was leśniczy wierzb na mogiłniku pilnuje, czy co?...“ No, to miałem mu kłamać?

— Dajcie-no kieliszek wódki! machając ręką, zawołała Sołoducha z gniewem. A nu! wódki, i dosyć tego! Bodaj wam to słowo bokiem wylazło!

Szumko poszedł po flaszkę, reszta ludzi zamilkła, a Sołoducha wypieczy porcję jedną i drugą duszkiem, nie rzekłszy słowa więcej, milcząca, szparko ku domowi pobiegła.

Sąsiad z Bulek naturalnie wracając ze Stawiska, zaraz stanął przy chacie Choińskiego, bo mu niezmiernie pilno było ze złą nowiną.

Stary handlarz siedział na przyzbie, fajkę paląc, i dobytek swój wracający z paszy oglądał.

— Dobry wieczór, kumiel rzekł Marcin, biczysko w wóz wtykając.

— A! jak się macie, panie Marcinie? Co słyszać w miasteczku? sprzedaliście żyto? po czemu?

— Cena licha! jeszcze chcą, żeby im chłopską miarą dziesięcio garncową mierzyć, te Żydy niewiary! Ot!... i żyto do domu wraca!

Stary Choiński się uśmiechnął.

— A nie chcieliście mi sprzedać, com dawał cenę chrześcijańską, i darmo dzień stracili!

— Darmo albo i niedarmo... odparł z uśmiechem Marcin. Kumie! dajcie sześć złotych za korzec, to wam coś takiego powiem, że aż podskoczycie do góry!

— Pólszosta, ani szeląga więcej nie mogę. Bal ale coś takiego? spytał podchodząc Choiński.

— Jak pólszosta, to nie! rozśmiał się Marcin i zmierzył ku furze.

— Cóż to taka jakaś nowina, żeby od niej półzłotka gębowego płacić? Tfu! rzekł budnik: jeszcze czego nie stało. A toście handel wymyślili!

— Wola wasza, odparł fluternie Marcin. Nie chcecie dać półzłotego, zapłacicie to może później niejednym setkiem, ale będzie po czasie.

Stary, jakby co go kolnęło, wstrzymał odjeżdżającego sąsiada:

— Słuchaj kumie, czy ty kpisz, czy drogi pytasz?

— Co prawda, to prawda: zapłaćcie za żyto, a dam wam w dodatku takiego gościńca...

— No! cóż tam u licha... ki dyabel? Czy nie bałamucisz, panie Marcinie?...

— Jak Bóg niły, prawdę świętą mówię; ale kiedy wy sąsiadowi, kumowi półzłotka żałujecie za jego krwawicę, no! to niech będzie co Bóg chce, a ja też głębę stulę.

— A tegoroczne żyto? spytał mięknać stary.

— Przeszłoroczne, suchuteńkie.

— Ważne?

— Toż je znacie.

— Ale u was i groszku, i stokiosu pełno?

— No, to nie kupujcie... rzekł Marcin, idąc znowu do wozu, — nie kupujcie.

— Ej, kumie, kumie! jaka z was gorączka! Myślicie, że ja na was zarobku pragnę? odparł pan Adam. No! zsypujcie zboże, a pieniądze płacę. Ale cożeście to przywieźli? począł żywo stary.

Marcin się obejrzał.

— Ot co! rzekł: jak myślicie, co wasz synek robi w Stawisku?

— A cóż ma robić? ofuknął stary odskakując: toż wiecie, że służy.

— Tak? A no, wiedzcie, że już od dwóch podobno niedziel wypowiedzieli mu służbę we dworze.



— Co gadacie?

— Prawdę kumie! tak jest!

— Jamże go pozawczoraj pytał... a mówił...

— To łgał, to łgał kumie! Nie służy, wypędzili go, i ono się wałęsa...

— Wypędzili Tomka! cóż to jest? Gadajcie kumie Marcinie, a cicho, żeby Agata nie posłyszała, i nie cedź mi po kropelce... Cóż on tam zrobił?

— A co on miał zrobić? zawsze jedua historya... rzekł do ucha zbliżając się pan Marcin. Wpadła mu tam w oko jakaś dziewczyna Cyganka, czy ki lichu, i tak za nią głowę stracił, że wszystek obowiązek porzucił. Pan przestrzegał, przestrzegał, a nareszcie wypędził. Ot co jest kumie... I tak podwaryował słysze, że stancę sobie najął na wsi, przed wami się wyłgiwa, a co wieczór do dziewczyny chodzi. Sam go na moje oczy widziałem wychodzącego od Cyganki.

Stary porwał się za głowę.

— Kara z nim bozka! zawołał. Cyganka... cóż to za lichu?

— Co za lichu? rzekł Marcin. Ha! to dziewczyna, słysze, śliczna, że drugiej nie ma na okoliczność... a harda, a filut! Zaprowadzi go ona daleko! Jeszcze sierota, broń Boże biedy! Wy myślicie, że Tomko się sianem wykrci? Gadają nawet, że czarownica...

Mówił, ale stary już nie słuchał, tak go silnie to niespodziane uderzyło nieszczęście: stał wryty, wspartszy się o wrota, długą chwilę przebył w osłupieniu; dopiero głos żony go ocucił.

— Zsyp żyto, panie Marcinie! rzekł: zapłacę. Ale wara z tém przed moją Agatą się wygadać. Zjadłaby

mnie, żem go tam oddał, a i tak dość oczu nawypieka.

— A sześć złotych dacie?

— Ot i kieliszek wódki wypijecie u nas... rzekł Adam.

Ale gdy weszli do chaty, choć stary usiłował kłamać twarzą, niebardzo potrafił; żona wyczytała na niej zmartwienie.

— Co tobie, Adamie?

— Ot... siwą zdaje się spleczyli...

Była to ulubiona klacz Choińskiego, po której połowę prawie miał stada; jój był synem ow siwek, na którym Tomko tak dokazywał. Uwierzyła więc Adamowa kłamstwu, bo spleczenie siwój bardzo skłopotać mogło. Tymczasem Marcin napiwszy się wódki, uradowany sprzedażą, pojechał do chaty.

Nazajutrz jak świt, Choiński coś tam znów przed żoną skłamawszy, zły, gniewny, wściekły na konia siadł, i choć stary, poleciał do Stawiska kłusem. Po drodze miotало nim jak opętany, tak, że koń choć go znał, zrozumieć nie mógł. Zżymał się, gadał głośno i walił stępaka, że mu wierzgał co chwila.

Przede wsią zatrzymał się, i znówu dereszowatego uderzywszy po bokach, skierował wprost ku cmentarzowi, bo dobrze się był rozpytał kuma Marcina.

Zdało mu się z opowiadania, że dziewczyna niepoczciwa zalotnica, syna mu bałamuci umyślnie, i gotował się na nią wpaść z całym gniewem, ile go przez noc w sobie przyzbierał.

Jakkolwiek to było rano, już Marysia siedziała u mogiły. Tętent konia zwiódł ją: pomyślała, że Tomko znów jedzie, a gdy zamiast niego zobaczyła

starego z ponurą twarzą szlachcica, tknęło ją w serce jakieś przykre przeczucie, złąkla się, zadrżała.

Stary ani spojrzał na cmentarz, zsiadł z konia przed chatą i wprost drzwi jój otworzył.

Marysia wstała; Sierotka ujadać począł.

— Czego to chcecie? spytała podnosząc się.

Stary ją dopiero zmierzył oczyma.

— Ty tu mieszkasz? rzekł gniewnie.

— Ja, odpowiedziała Marysia.

Milczenie trwało przez chwilę namysłu. Stary obejrzał się na cmentarz, nie chcąc nań wchodzić, zawrócił się, zbliżył na kilka kroków.

— Chodź tu! rzekł rozkazująco.

Sierota posłuszna, drżąc cała, z psem swym razem wybiegła z wrot cmentarza i stanęła zarumieniona przed Adamem, który wciąż wlepione w nią miał oczy.

— A! to ty tu mieszkasz? powtórzył zapalając się. To ty... łotrzyco jakaś, syna mi zwodzisz... poganko!

— Czego odemnie chcecie? zmieszana, odstępując, zawołała sierota.

— Czego ja chcę? w złości krzyknął szlachcic, tupiąc nogą, na co pies ogromném szczekaniem odpowiedział, stając pomiędzy nim a panią swoją. Czego chcę? Otom ci umyślnie przyjechał powiedzieć, bezwstydnico jakaś, że jak tu ten łotr więcej do ciebie jeździć będzie, a ty go przyjmować, to jak mi Bóg miły!..

Wtém łzy puściły się z oczu sieroty, przerażonej popędliwością starca, a z niemi tak była piękna, tak wzbudzająca litość, tak niewinnie zdawała się pocziwają, że stary choć w przystępie złości, uczył się na pół rozbójny.

— A do kroćset dyabłów! zawołał—czego beczysz? Żle robisz, a płaczesz? A co tu łyzy pomagą? Dyabli cię wezmą i tego trutnia!

— Al! nie gniewajcie się na Boga! nie gniewajcie! cożem ja winna?... Ja wam wszystką prawdę powiem! z płaczem poczęła Marysia.

— Co ty mi pleść będziesz duby smalone!

— Ja wiedziałam, że to się tak skończy... odparła sierota. Klnę się wam na Boga, że go nie przyjmowała, nie słuchałam go, nie gadałam do niego. Wczoraj jeden, jedyny raz był tylko w chacie u mnie, i to przy ludziach.

Stary wciąż na nią patrzył, słuchał, i Bóg wie co się w duszy jego działo, ale twarz mu się mieniła, widocznie miękł i stygwał.

— Powiadam ci... odezwał się już wolniej — syna mi nie bałamucić... a nie! to źle z tobą będzie. Klnę się, że się z tobą nie ożeni, a ciebie dyabli wezmą, dyabli wezmą!

Szlachcic krzyczał jeszcze, ale go już gniew opuszczał.

— Ot, i ciebieby żał było... dodał. Dla jednego dudka świat sobie zawiązywać... On ci lichu wie co obiecuje, czego w ręku nie ma. Możesz pójść za męża, niczego jesteś, a on cię tylko zgubi, jak drugie pogubił... On szlachcic... jemu z lada włóczęgą poswatać się nie dam... Nie bądź więc głupia i nie wierz mu...

„Ale nie dziwota — rzekł sobie w duszy stary, poglądając na dziewczynę z ukosa — dalibóg! szelma piękna jak królewna... Oj! zła sprawa!“

I pokiwał głową.

— Ja się wam klnę — zawołała Marysia — żem

tu nic nie winna. Uciekałam i uciekam od waszego syna, pokoju mi nie daje... Bóg świadek, żem nie-winna!

— Winna czy niewinna— rzekł Choiński—a trzeba skończyć. Niech mi tu raz jeszcze noga jego po-  
stanie, a zobaczyciel

— Syna sobie sami trzymajcie... ja...

— A tyż co tu robisz? zapytał stary. Nie mogła-  
byś pójść gdzie służyć?

— Ja? służyć? Mnie nikt nie weźmie... A i na co  
mi to, kiedy mam swoją chatę? Mnie i tak dobrze:  
na chleb sobie zarabiam i żyję.

— Zarabiasz! co u dyabła? a któż tu z tobą  
mieszka?

— Nikt, ja sama.

— Sama? stary postrząśł głową. Sama! powtórzył:  
dobrze sobie rozpatrzył... Masz szczęście, dziewczyno!  
Ja go dziś nauczę tego chłystka. Ale jeżeli się tu  
zjawi, ani mu się pokazuj! ani nosa!

Marysia, zakrywając oczy, wpadła cała rozszocho-  
na do chaty. Szlachcic sam pośród drogi pozostał.  
Pies za panią, okrążywszy nieprzyjaciela, przebicł,  
stanął w progu i ujadać począł.

Stary Choiński rozmyślał.

— Niczego ma oczy ten łotr! dziewczyna śliczna!  
Sierota, aż żal... gotów ją zgubić... Ale teraz ani już  
do niej przystąpić za tym psem szatanem... Héj! krzyk-  
nęła: odwołajcie sobie sobakę, mam jeszcze słowo do was

Nie wiem czy Marysia słyszała to czy nic, czy!  
odwołała psa, ale Sierotka ustąpił, a Choiński roz-  
glądając się ciekawie, wszedł do chałupy.

Tu nędza sieroca, a przy niej ład i porządek  
w ubogiej lepiance uderzył go widocznie. Oniemiał na

chwilę: musiał powoli w głowie wystawiać sobie to życie, tę pracę ważyć, która je utrzymywała.

— To jednak nielada dziewczę! mówił w duchu. Jak to ona sobie rady daje! Bóg wie, może z grzechu żyje, ale nie głupia być musi.

Marysia stała obyczajem dziewcząt wiejskich przy piecu i płakała. Stary już począł wcale innym głosem.

— Ej! słuchaj-no bo... nie zjem cię przecię, nie jestem zbój, z tego ci nic nie zrobię.. Ta ty sama to musisz rozumieć, że nie na to syna hodował, żeby go z lada Cyganką żenić. Mnie i matce życiaby to skróciło.

— Ale ja nic nie winna! powtarzała zapłakana dziewczyna.

— Nie prowadźże na głowę swoją przeklęstwa naszego, — i niech go więcéj oczy twoje nie widzą... rzekł stary. Ty myślisz może: żarty! a to śmierć moja i śmierć matki na twoje spadnie sumienie... To jednak u nas; ja duszę gubię, żeby go wyprowadzić na ludzi, a miałbym pozwolić, żeby sobie fartachem świat zawiązał?

Stary z guiewu przechodził powoli w prośby prawie, i niemi skutecznieéj pewnie niż łajaniem dotknął serca Marysi.

— O! na Boga klęę się wam! zawołała żywo: nie chciałam i nie chcę być wam przyczyną znartwienia. Zrobię co każećcie, byleście mnie nie przeklinali.

Zży jéj i te słowa uczucia pełne, trafiły do serca szlachcicowi, który pragnął już tylko wyrwać się co prędzej: tak go jakoś samego dziewczyna obalamuciła, tak czuł w jéj ustach prawdę, cierpienie, i wyrzucał sobie niemal popędliwość swoją.

„Cóż ona bo winna? począł myśleć. To temu galganowi daćby ze sto bizunów... Ale bał młody też, krew nie woda, a dziewczyna gdyby jabłko... Licho ją tu nadało! Gdybym wiedział, nie dałbym go do Stawiska... Żeby do licha gdzie powędrowała... możeby ją z głowy sobie wybił. Ot, gdyby nie Marciu i nie jego żyto, byłby ten wisus nieszczęścia i wstydu narobił; ale natrę ja mu uszu!”

— Niechże mi tu więcej noga jego nie postanie! dodał Choiński głośno, ujął za klamkę, i mruczając a spluwając, więcej guiewuego niż był udając, wyszedł, dosiadł konia i pośpieszył na wieś zukać chaty sotnika.

Nie pytajcie mnie co się działo z sierotą. Padła ona na ławę przy piecu, i jak słup pozostała na miejscu nieruchoma, odrętwiała.

Myślicie, że proste dziewczę nie nad strach uczuć nie mogło? O! są chwile w życiu, w których spotęguje się człowiek i widzi więcej, i więcej czuje, i więcej może, niż zwykle. A Marysia była pustelnicą, była dziecięciem mogiły, wykołysaném dumami wśród samotności, i tém wyższą od otaczającego ją ludu, że cała żyjąc w sobie, sama sobą władać i kierować musiała. W sercu biednego dziewczęcia scena ta zostawiła bolesne wrażenie i przeczucie, że z losem swym dotychczasowym rozstać się musi. Było to jakby jakieś jasnovidzenie konieczności; i żal ciężki, żal srogi ucisnął jej serce, nieprzekarmione dotąd weselem. Nie wiedząc jeszcze co się z nią stanie, Marysia wiedziała już, że chatę swą opuścić będzie musiała. Myślała już tylko, co począć z sobą? a na przypuszczenie rozstania, żal ją brał niewysłowiony. Pożalowała wszystkiego, co ją otaczało, cale-

go tego maluczkiego światka, którego była środkiem: Sierotki, Burka, gołębi, gąsek i kur swoich, i wróbbi pod strzechą...

I wybiegła patrzeć na mogilę matki.

Cisza była na dworze, cisza jakaś złowroga,—parano, duszno i straszno. Przed chwilą marzyła jeszcze snuć dalej przędzę kądzieli i życia; teraz obojga nic była przerwana.

— A! mówiła w duchu, przebiegając chatkę, do której wróciła, i łamiąc ręce: ja tu już pozostać nie mogę. Pójdę w świat służyć, żebrać, a nie chcę, by mnie ten stary siwowłosy przeklinał... nie chcę na biedną głowę moją nazbierać łez cudzych i nieszczęścia... Dola moja być samotną i biedną: na cóż do niej drugą wiązać? Cierpieć, to cierpieć samój!

Jeszcze tak biegła nieprzytomna, gdy Aza niepostrzeżona weszła do chaty i stanęła w progu. W milczeniu patrzyła długo na dziewczynę, kiwając głową, czytając z jej ruchów, co się z nią działo; narreszcie zbliżyła się ze śmiechem. Marysia cofnęła się przelękniona.

— A! to wy!

— To ja, dziecko mojej odczuwała się Cyganka. Przyszłam już po ciebie.

— Po mnie? zapytała Marysia zdziwiona.

— Prawda, że teraz pójdziesz z nami? dodała Aza. A co? dobrze żyć z *gadziami*? można wyżyć z nimi?

— Wy wiecie wszystko?

— Wszystko! wszystko! rzekła Cyganka: i o nim, i o tobie, i o ojcu, który tu dziś z fukiem do was przychodził. Patrzyłam ja z daleka, i wiedziałam na czém się to skończy. Nie masz tu co bawić dłużej:



ludzie cię już ogadali. Choćby raz próg przestąpił obcy, zrobią ci zaraz z niego kochanka; to i choć nie winna, a dla nich już będziesz osądzona...

Dziewczyna stanęła i pobiłdła.

— Ej! — dorzuciła prostując się i przybierając poważną, proroczą postać Cyganka, dobierając słów, by dziewczynie głowę zawrócić: jest dola, jest los napisany dla każdego człowieka. Gdyby miał skrzydła, nie uleci przed nim; gdyby sto nóg miał, nie uciecze, i w *Jagaro* (piekle) przed nim się nie schowa... A po co myśmy przyszedł tu po latach tylu? a dla czego ci oto właśnie w tej godzinie *Mroden-oro* dał łyżę i przeklątko? Patrzej jak się złożyło — ażeby Romów krew poszła z Romami na wędrówkę... Krew ty nasza, nie czyja... Co ci ta chata? co ci ta mogiła? Nam świat chatą, niebo dachem, a mogiłą ziemia cała. Gdzie stąpisz, to kości depcesz praocjów i mattek... Nigdzie nie brak wody, by pragnienie ostudzić, i miejsca na rozbicie szatry, i gałęzi na ogień. A kto siedzi, ten gnije przykuty jak pies na łańcuchu...

Marysia słuchając drżała, ale widocznie poruszona była, i mało brakło, by rzekła:

— Otom gotowa iść z wami...

Ale każde wejrzenie na chatę żalem ją napawało.

— A! zawołała: jakże to wszystko opuścić!... Wy nie znacie tego żalu, boście przywykli wędrować; ja nie wiem jak się oderwać od swojego kąta? A cóżby się stało z niemi!

I wskazała na zwierzęta swoje.

Aza rozśmiała się białemi ostrymi zębami...

— Co? rzekła: kto twój, a bez ciebie żyć nie potrafi, ten pójdzie z tobą. Kot nie wart łyżę, zostanie. Tym stworzeniom, jak trawie, co na dachu rośnie, nie

ten potrzebny, kto żyje pod dachem, ale gródka ziemi, co je żywi... Maszże być ich piastunką?

— Kości dziada! kości matki! zawołała dziewczyna: i to miejsce...

— Dziecko! przerwała Aza: matki duch pójdzie za tobą, a miejsce wszędzie twoje, gdziekolwiek usiądziesz.

— A chata ręką ojca zbudowana?

— Już i tak się wali na głowę twoją. Nam wielki ojciec chatę wieczną zbudował. W drogę! w drogę! Dziś jeszcze w nocy idziemy, i ty z nami! Jutro obóz rozłożymy o mil kilka, i wszystko się zapomni.

— O! nigdy! nigdy!

Aza uśmiechnęła się.

— Mówimy *nigdy*, a jutro, dziecko mój! jutro! serce twardnieje jak kamień: śladu, kto na nim siedział, nie będzie.

I z dziką energią uderzyła się w pierś zeschłą.

— Nasz obóz w rudeńskim lesie. Masz cały dzień na sprzedaż twoich rupiec; o świcie ruszamy. Ale nie mów nikomu! Ja sama przyjdę po ciebie!

Tych słów domówiwszy, Aza rzucając je jak nasienie, które wyrosnąć miało powoli, wysunęła się z chaty, samą zostawując sierotę.

Marysia widziała już konieczność ucieczki, i uwierzyła w to przeznaczenie jakieś, które ją gnało za Cyganami, jedyną rodziną przyznającą się do sieroty. Bolała, ale nie widziała sposobu zmienić tego losu, i zakrzętnęła się wyborem do drogi.

Zamknąwszy drzwi chaty, pobiegła do Sołoduchy, której nie zastała w domu; potem do Semenychy, odnosząc jej motki i przędzę.

Zdziwiła się starucha, zobaczywszy Marysię w dzień powszedni, a więcej jeszcze, gdy w jej rękę niedopiętą lnu dziesiątki ujrzała.

— A to co? spytała.

— To, matko — odparła całując ją w rękę sierotę — to rękota przedziwa. Już go wam nie doprzedę... bo idę... idę służyć.

— Jak to? ze wsi? dokąd? po co?

— Niedaleko... nie wiem, do Rudni... zająkując się odpowiedziała Marysia.

— Do kogo?

Dziewczynnie strasznie ciężko było kłamać pierwszy raz w życiu, i kłamała tak niezręcznie, że stara głową kiwając, zrozumieć jej nie mogła.

— Robcie sobie co chcecie — dodała starucha — ale pamiętajcie duszy jeno nie gubić. Dotąd byłaś poczciwą, siedziałaś w domu, a chleba ci nie brakło; idziesz w świat, kto wie czy będzie lepiej... Przy stojna jesteś, ludzie nicpotém... Dobrze na się patrz, Marysiu!

Cóż odpowiedzieć? Ot zapłakała znowu, a nie czekając nawet zapłaty, wybiegła, żeby jej łzy i słowa nie zdradziły. Sołoducha szła drogą, i spotkały się na gościńcu.

Z tą trudniej było daleko.

— A wy nic nie wiecie? spytała Marysia żywo.

— A co mam wiedzieć?

Cyganka poczęła jej opowiadać przybycie starego Choińskiego i cały dzisiejszy poranek; a Ratajowa aż wargi z gniewu zakąsywała.

— Byłam tego pewna, że skoro Marcinisko tę sprawę powąchał, już się ona nie utai. A cóż teraz myślisz? zapytała.

— Dziś sprzedaję co mam w chacie, resztę na wolę bożą zostawiam, a jutro mnie tu nie ma! odpowiedziała stanowczo dziewczyna.

— Czyś ty oszalała?

— Mówcie sobie co chcecie, stało się... Przejeździł mieszczanin z Taborzysk, przyjechał służyć w miasteczku i wzięłam zadatek...

— Kiedy? jak?

— Dziś o południu...

Soloducha pokręciła siwą głową.

— A gdzie ci tu kto tak prędko co kupi?

— Resztę wam zostawię...

— Ale po co iść? na zgubę, na pohybel! Porzuć chatę, chodź do mnie, nikt cię u nas nie zobaczy; ludzie się przedziwiają i przegadają, a potem do chaty powrócisz.

Dziewczynie łza pociekła, ale głowę potrząsała w milczeniu.

— Niel nie! bywajcie zdrowi matusiu! To już być nie może... Wzięłam zadatek, dałam słowo... Tylkobym chciała starego Rataja pożegnać i za chleb jemu także podziękować.

— Stary włóczęga gdzieś w Brzozowej Górze na prężniku, ani słycho o nim...

— O! szkoda!... szkoda!...

— Nie odchodź łepiej, jeżeli masz żalować, rzekła wpatrując się w nią Soloducha. W mieście ty zginiysz z taką twarzyczką... Gładkie łiczko to dla dziewczyny utrapienie: spokoju ci nie dadzą.

Marysia przerwała jej mowę.

— Matko! odezwała się: jutro rano przyjdźcie do chaty; a co w niej się zostanie, to wasze... Tylko proszę was, proszę, weźcie do siebie Burka, gołębie

i ptactwo, niech z głodu nie zdycha: weźcie dla miłości bożej...

Sołoducha miała coś odpowiedzieć, gdy Marysia szybko ją pocałowawszy w rękę, biegiem od niej uszła. Pilno jój było nacieszyć się tą chatą, której więcej widzieć nie miała, swymi przyjaciółmi wiernymi i ostatnim dniem młodości. Pobiegła, pobiegła wprost na cmentarzysko, najprzód na mogiłę matki, twarzą na ziemię padając przy niej zapłakaną!

Nie wiem jak długo leżała tak na mogiłnej glinie; ale gdy wstała, zesłabła i złamana boleścią, znużenie samo sprowadziło w niej jakąś zmianę: zdrętwiała, ostygła. Podniosła się machinalnie, poszła do chaty powoli; krótki był wybór, i mały węzełek jój podróży: rzuciła go na ławę, zostawując wszystko, nie chcąc nic ruszyć z miejsca, aby dłużej patrzeć na nietknięte domowstwo swoje. Obeszła potem wszystkie kąty, żegnając każde miejsceczko, każdą ściankę, każdą komórkę chaty; niespokojny Sierotka sam jeden towarzyszył jój w téj pielgrzymce. Ani się spostrzegła, jak zgłodniałój i znużonej dzień przeleciał strzałą, a słońce zapadać zaczęło za góry i łąsy.

Z kawałkiem chleba, który gryzła, wyszła Marysia na próg, powtarzając usty najstraszniejszy z ludzkich wyrazów: „Ostatni raz! ostatni!”

A! czyż nie każda chwila w życiu naszym ostatnia? Choć o tém zapominamy, w każdej z nich obsypuje się jakaś cegła z téj ruiny, którą zwiemy życiem.

W mgłach tego wyrazu: raz ostatni — inaczej wydało się jój wszystko; pożałowała nawet boleści i sieroctwa swego. Sen ani myślał kleić jój powiek, i pozostała tak na przyzbie, aż ją krzyk ptactwa, dopominającego się strawy, przebudził.

Pobiegła i wyniosła im płacząc wszystko, co miała jeszcze, rozsypując po ziemi ziarno, o które obojętnie rozbijać się zaczęły zgłodniałe. Patrząc na to setne powtórzenie codziennój swój zabawki, usnęło biedne dziewczę zmorzone uczuciem i boleścią, której ciało znękanе poddać już nie mogło.

Gdy otworzyła oczy, księżyc już był wysoko na niebie, a przed nią stała czarna postać Azy Cyganki.

— Czas! czas! odezwała się do niej przybyła: wybieraj się i chodź ze mną!

Marysia wstrząsnęła się, krzyknęła, ale po chwili namysłu wbiegła do chaty, i szybko, jakby się sama lękała siebie, porwała przygotowany węzełek, nie patrząc, nie oglądając się, a biegnąc z Azą na szeroką drogę.

Przed nią był cmentarz. Aza ciągnęła za rękę, ale dziewczę co nie pożegnało chaty, musiało matki mogiłę pożegnać. Cyganka nie śmiała wejść za nią na pole umarłych, wśród którego jak duchy czarne wznosiły się geste krzyże.

Sama tam weszła sierota i ścieżką swoją trafiła na znane miejsce: pocałowała zimną ziemię, pomodliła się jeszcze.

— Matko! szepnęła w ostatku: ty widzisz, że mi iść potrzeba. Tu nie bracia moi, tu obcy; jeden był, a i za tego przeklinałiby mnie starzy rodzice... Ty wiesz co to przekłębstwo starego ojca za dziecko swoje! Trzeba iść w świat, w świat!

I objęła jeszcze rękami starą wierzbę, na której kądziel wieszała; a wtém niecierpliwym głosem Cyganki dał się słyszeć, i dziewczyna posłuszna mu jak głosowi przeznaczenia, wyrwała się z cmentarza.

A księżyc tak srebrzysto oświecał lepiankę starą, a na jój dachu gruchały gołębie, a na jój progu białały gąski, zbierające jeszcze resztki owsa, i Burek leniwy mruczał na przyzbie. Jeden Sierotka wierny szedł za swoją panią, liżąc jój rękę, jakby zaręczał, że jój nie opuści.

Przelotném wejrzeniem objęła ten obraz niezapomniany dziewczyna, i rzuciła się drogą, by od niego uciec co prędzej. Aza ledwie za nią podążyć mogła, mrużąc pod nosem:

— Krew ojca!

W milczeniu przeszły górę, okrążyły wioskę, i zbliżyły się do drugiej mogiły na rozdrożu, u której zatrzymała się Cyganka.

— Czekaj... rzekła do wylęklój Marysi:— i to mogiła, którą pożegnać potrzeba... mogiła ojca twojego... Modliłaś się za matkę, niech i ja powiem słowo duchowi przyjaciela...

Dziewczę wstrzymało się drżące i objęte jakimś strachem; a Cyganka powoli wstąpiła na pagórek, twarzą obróciła się do księżycy, wyrwała garść zeschlėj trawy z mogiły, dorzuciła garść suchych gałęzi, i dobywszy ognia, zapaliła tajemną jakąś ofiarę.

Rzuciła na nią ziola wonne i coś z chusty dobytego; zaczęła szeptać słowa i tajemnicze zaklęcia, a rękę zwróciwszy na dwór i wioskę, miotać zdawała się jakieś na nie przeklęstwa! Wiatr, który rozdał płomyk i susz rozpalił, wkrótce też zdmuchnął ten stos pogrzebowy, a ogień buchnąwszy do góry, opadł i zagaśł w mgnieniu oka. Świst tylko wiatru, który zdawał się z sobą unosić słowa Cyganki, rozległ się po okolicy.

— A teraz dalej! dalej w świat! ozwała się schodząc z mogiły Aza: w świat córko Cygana... Pamiętaj, że ci ojca zabili *gadziowie*... pamiętaj!

---

We dwa dni potem pan Marcin z budek rudeńskich powrócił do domu ze Stawiska, i znowu zatrzymał się u wrot podwórka Choińskich.

Adam siedział u chlewka na kłodzie, i chmurny fajkę palił, która mu co chwila zagasała.

— Dzień dobry kumie!

— Dzień dobry waszeci... A co? może znowu z żytem?

— A zkąd go nabrać? Jadę ze Stawiska od młyna.

— No, to jedźże z Bogiem! odparł pan Adam.  
A jaką tam miarkę biorą?

— Dziesiątą z czubem, odezwał się Marcin wzdychając. Otl iaki to czas! Ale, ale, kumie! mam i nowinę dla was w zanadrzu.

— A kat cię bierz z twojemi nowinami, co je po ról złotego sztuke płacić każesz! Może i tę masz na sprzedaj?

— A jakże! i złotabym się za nią wziąć nie powstydział.

— Patrzejcie! wydrwigrosz! Już mnie teraz nie złapiecie. Syn w domu... prawda, że coś nie domaga, ale to młode, to się wychoruje, i dyabli go nie wezmą.

— Bywajcie zdrowi kumie, rzekł z uśmiechem Marcin, zabierając się niby do odjazdu.

— No, a wasza nowina?



— Jest u mnie jeszcze ćwiartka grochu: cobyście mi za nią dali?

— Ot! Żydzisko! zaburzał pan Adam: a po dyabla mi twój groch?

— A dla wieprzów? Oddam niedrogo.

— Wiem ja go. Przez pół robaczywy i ludy w nim pełno... Ale nowina?

— A cóż dacie za groch?

— Dajcie pokój, kiepskie żarty!

— Dobranoc, kumie.

Właśnie gdy to mówili, ebory Tomek wywłókl się był do sieni, a ujrawszy ojca i wyjść dalej nie śmiejąc, słuchał mimowolnie rozmowy.

Marcin odchodził, pan Adam go wstrzymał.

— No, no! rzekł: kupię groch kumie. A co tam?

— A dziwy! odparł Marcin, któremu się gęba rozwiązała gdyby cudem. Taż to Marysia Cyganka, ja-keście ją nastraszyli, tak nieboga z chaty uciekla, wszystko porzuciwszy.

Choiński się zerwał z miejsca.

— Czy to może być?

— Jak Bóg Bogiem..

— A to uczciwsza dziewczyna niż myślałem!

— To też kto żyw wszyscy jęj we wsi żalują i rozpadają się po niej. A co się, słyszę, napłakała biedaczka, nim poszła! A na odejściu wyraźnie tak powiedziała Solodusze, że przekłętwa waszego nie chce mieć na głowie.

— A gdzież się podziała? spytał Choiński.

— Bóg wie! Jedni gadają, że poszła gdzieś służyć do miasteczka; drudzy, że ją zabrali i namówili Cygani, co to tu byli i niedawno nocką zniknęli..

— A! szkodać mi jój niebogi! westchnął stary: kiedy to takie pocziwe... Ha! ale może to i lepij!

— A kiedy mój groch przywozić każecie? zapytał Marcin.

Ale pan Adam poszedł zafrasowany do żony, i zapytania tego nie słyszał.

W chwili, gdy przez sień przechodził, Tomko, który stał jak wryty za drzwiami zaczaiwszy się, skoro ojciec izbę za sobą zamknął, wychwycił się na podwórze. Pan Marcin pokiwawszy głową i coś namruczawszy o grochu, zawrócił do domu. Chłopak tymczasem jakby nic nie wiedział co się koło niego działo, pobiegł wprost do stajenki, dopadł siwka, uzdę mu na kark zarzucił, i oklep nań siadłszy, ścisnął go kolanami.

Wrota były otwarte, i nim się w chacie postrzeżono, już Tomko był na drożynie, a wnet i skrył się w lesie.

Matka i ojciec ani się domyślali ucieczki, i gadali jeszcze z sobą po cichu, gdy syn na polance wśród dębniaku stanawszy, rozmyślał tylko co począć z sobą?

— Polecę za nią na kraj świata! mówił w duchu. Ale jak ją tu wyszukać? gdzie się ona biedna podziała? kogo tu spytać o nią?

Jakby na zawołanie koń prychnął ze strachu, i stara Sołoducha o kiju idącą ukazała się o kilka kroków.

— A ty wy paniczku! zawołała: tylko coście moich starych kości nie roznieśli.

— Sołoducha! a to ty! bieszę cię po nocy lasem wodził!

— Niosę Marcinowej lekarstwo. A wyż to dokąd?

Tomko westchnął.

— W świat! rzekł.

— O! to daleko paniczku, odczuwała się stara. W którąż stronę? możebyście się komu poklonili odemnie?

— Albo ja wiem gdzie pojadę! odparł chłopiec. Tylkom co się dowiedział o mojem nieszczęściu. Polecę ję szukać, choćbym miał kark skrócić...

— Paniczku, a ojciec? a matka rodzona?

— Nie chcieli mojego szczęścia, niech i mnie nie mają! zawołał Tomko. Ale nie wiesz gdzie się ona podziała?

— Gdzie? jużćie pewnie z Cyganami poszła.. bo ją ta bestya kusiła niemalo. A jak wasz ojciec pogroził, musiała nieszczęśliwa posłuchać włóczęgów.

— A Cygani dokąd poszli?

— Ale! szukaj wiatru w polu!... Jeszcze dwa dni temu byli w rudańskim lesie, terazby o nich ludzi pytać...

— A! prawda! jakiż ja głupi! zawołał Tomko. Od tutejszych ludzi dowiedzieć się muszę i pójde tropem.

I ścisnął siwego; a babie nie powiedziawszy nawet „Bóg zapłać“ za radę, znikł w lesie, gdyby wicher pędząc bez drogi.

Sołoducha się uśmiechnęła i mrugnęła okiem.

— Ot tobie szlachcicu zalecanki! ot tobie stary górą głowę nosić! Będiesz cygańskie dzieci kołysał.

Nazajutrz lament i zamieszanie w Choińskiego chacie. Syn jak w wodę wpadł, nie wiedzieć gdzie się podział. Ojciec winuje matkę, matka na ojca narzeka, a oboje płaczą. Całe budki zeszły się pod ich podwórko, każdy z radą, ubolewaniem, z dobrém słowem, a pan Marcin z grochem. Sołoducha także przyparła się do płotu, niby nic nie wie, milczy i wzdycha tylko.

Na dziedzińcu zagrody, jak w wielkie dni nie szczęść i klęski, wszyscy razem: i pan Adam z załamanemi rękoma, i Agata rwąca włosy z siwój głowy, i czeladka szepcząca o Tomku różne wiadomości pochwytnane z przeszłości, różne domysły Pan Bóg wie na czém oparte.

— A niechby się był żenił z kim chciał! wołała Agata: z Cyganką, Żydówką, ostatnią łajdaczką! Mogłoby się to licho powoli nawrócić i poprawić naszym staraniem i modlitwą. Ale tak pójsć, uciec od nas na kraj świata!

— Niewdzięczne dziecko! krzyknął pan Adam: dałbym mu sto łóz, gdybym go złapał.

— Otoż to twoje pięćdziesiąt i sto, coś je raz wraz powtarzał, tego licha narobiło, odparła matka. Tybyś mu nie dał i pięciu, a na języku tylko wasze ci batogi a batogi.

— Ależ to nie może być! zawołał ojciec, chodząc po podwórku. Ja go taki wynaleźć muszę, żeby się wśród ziemi schował!

— A jeżeli poszedł za kordon? odezwał się jeden z sąsiadów.

Choiński westchnął ciężko na samą myśl, która i jemu do głowy już przychodziła, bo Rudnia nie dalej dwóch mil leżała od galicyjskiej granicy.

— Cygani musieli pewnie do Węgier pociągnąć, to i ona i on za nimi poszli—potwierdził drugi.

— A! nieszczęśliwa godzina moja! już go oczy moje więcej nie zobaczą! płakała matka. Adamie zlituj się na rany Chrystusowe, gonić ich potrzeba!

— Co gonić? kogo gonić? gdzie? odrzekł ojciec niemniej zafrasowany: wiatru w polu! A któż go wie gdzie jest?

Wtém Sołoducha ukazała się z za płota.

— Za pozwoleniem waszeci, odezwała się: a ja tu jego wczoraj w lesie na siwku oklep jadącego spotkałam...

— Spotkałaś go? krzyknęli ojciec i matka podbiegając ku niej—gdzie? jak? kiedy?

Wszyscy otoczyli Sołoduchę. A ta rada, że na nią tak obrócili oczy i nastroili uszy, zabrała się do opowiadania. Nie myślcie jednak, żeby po prostu powtórzyła jak było. Starucha miała zwyczaj chwalebny zawsze coś z głowy dorzucić, i teraz też nie omieszkła dodatków.

— Idę ja, idę wczoraj drogą—mówiła,—a był sobie tak zmierzch już dobry. Idę drogą, tą drogą, co to na budki ze Stawiska prowadzi przez las mimo piasieki dobrodzieja. Idę, i modłę się sobie... Jednym razem, Chryste Jezu! jakby dąb leciał na mnie, szum, trzask, ledwie miałam czas odskoczyć: patrzę przestraszona, żegnam się... a to Tomko tak gna na siwym. Ot tak oklep siedział na nim, a taki straszny, taki błady jak chusta, bez czapki, z włosiem nasrożonym na głowie... Czy nie swój, czy chory, czy nawiedzony? Ażem krzyknęła... A on stanął i patrzy... patrzy,

a oczy mu się świecą, Boże jedyny, tak straszno!! A potem do mnie, bo on mnie znał i dawniej, i taki nie minął, żeby dobrego słowa nie powiedział:—Dobry wieczór matko!—A ja:—Dobry wieczór paniezu. A dokądże tak?—On tylko ręką rzucił. — W świat, gdzie oczy poniosą! — Ja tedy: Miły Boże, dokąd? jak? co? cóż to jest? — Ten tedy westchnie, aż mi ciarki po skórze poszły. — Nie chcieli szczęścia mojego, niechże i mnie nie mają. Ot za Cyganami pojedę i z Cyganami na włóczęgę.—Ja widząc, że to nie żarty, kiedy go nie zaczęę prosić i odwozić! ale gdzie? tylko że mnie nie wybil... Potem powiada:—Słysz stara, na to już nie ma rady: ja za nią pójdę choć by w piekło, bo bez niej żyć nie mogę. A jeśliby mnie i złapali... dodała chytra Soloducha—to sobie śmierć zrobię... bo mi życie obrzydło...

Długie milczenie nastąpiło po tém opowiadaniu. Matka spojrzała na starego Choińskiego, on wargi zaciął, głowę spuścił, a Marcin nielitościwy zlą dobrał porę spytać go, gdzie groch zsypywać?

Nic nie rzekł pan Adam, ła mu się jakaś zakręciła w oku, i do wozu kazał co najrychlej zaprzęgać. Z zimną krwią wydawał rozkazy, dobrał trzech sąsiadów, wyznaczył dla nich konie, sam sobie wózek opatrzył i rozdysponował pogonią.

Matka stała, patrzała, ale ze strachem widząc tę zimną krew nadzwyczajną Choińskiego, czekała tylko pory, żeby coś z niego wydobyć, żeby go nieco zmiekczyć. Namarszczona brew, ścięte usta, błądźca twarzy pana Adama, przerażały ją. Nie mogła się domyślić co postanowił, nie wiedziała więc od czego zaczynać. Dopiero gdy rzuciwszy ciekawych paplających

w podwórku, Choiński wszedł do chaty po trzosik podróżny, żona pośpiesznie się za nim wcisnęła.

Sami byli w izbie.

Stara siwowłosa kobieta ukłękła przed mężem i panem, i nie mówiąc słowa, przyciągnęła do ust spracowaną dłoń jego.

— Adamiel rzekła po chwili: odezwij się, powiedz, co ty myślisz o dziecku naszym? co u ciebie w duszy? Nie zabijaj mnie przed czasem... Po co go doganiać, jeżeli nie chcesz mu ani przebaczyć, ani pofolgować biednemu?...

Nie uważała, że staremu ojcu ręce się trzęsły, gdy woreczka z pieniędzmi dobywał, że oczy miał łez pełne i chlipał prawie. Nie dopatrzyła się, że wszystko już gniew ojca przepaliła żalostí po jedynaku, że jedyną jego myślą było tylko odzyskać Tomka.

— A! Agato! zawołał wybuchając: na rany Boże! czyż ty mnie jeszcze nie znasz? Daj Boże, byśmy go odszukali, a nie bój się o chłopca. Ludzie świadczą, że dziewczyna pocziwa: niech się dzieje wola pańska! dodał poważnie. Chciał nas Bóg upokorzyć w oczach ludzi tą synową, żeby nas grosz zapracowany w dumę nie wzbijał: niech się dzieje wola Jego... Niech się stanie... Byleśmy go odzyskali! A że koni, i siebie, i grosza nie pożałuję, możesz być pewna. Klękniej ty przed Najświętszą Panną i świętym Antonim, niech nam odda zgubę naszą...

To mówiąc, pocałował ją w czoło wydarłszy rękę, którą do ust cisnęła, i poważnym krokiem wyszedł z chaty. W podwórku wszystko już było gotowe: trzech szlachty, konie, wozy. A ciekawi tłumnie wyprawę otoczyli.

Adam stanął w pośrodku.

— No! rzekł: waszeć panie Wincenty, jeśli łaska na Stawisko; choć tędy Cygani iść nie mogli, ale żadnego szlaku minąć nie chcą... Wy kumie Macieju, mimo Porwańca ku granicy pociągniecie. A żywo, i koni moich nie żałujcie... Ty Bartku, przez lasy na karczemkę mecherzyniecką. A ja od wsi będę szukał języka, i za nim się powlokę. Jeżeli z Cyganami się zetkniecie, chwytajcie mi Tomka i dziewczynę... Niech się dzieje wola boża, kiedy już inaczej być nie może. Powiedzcie mu, że przebaczam wszystko i pobłogosławię... pobłogosławię! powtórzył głosem drżącym.

Sołoducha posłyszawszy to, rozparła tłum i przybliżyła się.

— Czekaście-no! rzekła: najprzód potrzeba jechać do wioski, napytać języka, potem wprost śladem Cyganów, bo taki mówił, że ich dogoni... Byle pośpieszyć nim się do granicy dostaną, bo jak kordon przejdą, to wszystko przepadło.

Już szlachta na konie wsiadła i Adam na wózek się zbierał, gdy Sołoducha plasnęła w ręce, ujrzawszy Rataja zbliżającego się drogą od wsi do budek.

— Postójcie! postójcie! zawołała znów głosem donośnym: ot mój stary się wlecze, onże wie co się dzieje na trzy mile w kolo, jego tylko popytajcie, on wam najlepší powie gdzie Cyganów szukać!

Choiński z wózka skoczył, szlachta z koni, i nim Rataj się zbliżył, o płot się opierając, już go pytaniami zasypali.

— Czekaście-no, powoli—rzekł żebrak stając—a na co wam Cygani? czy koni nakradli?

Sołoducha zbliżyła się, a stary poznał ją po chodzie, nim gębę otworzyła.



— Al i moja stara tutaj — rzekł — ha! chatę porzuciła i po świecie się włóczy!

Ale Sołoducha nie dając mu się rozwodzić, poczęła szeptać na ucho. Stary głowę pokiwał, i czapkę zdjął udobruchany.

— A na co was tyle? rzekł powoli. Ot niech pan Adam mnie z sobą na wóz weźmie, ja go do Cyganów doprowadzę.

— Ty ślepy?

— Ale ba! lepiej ja bez oczu widzę, niż wy, co ich macie po dwoje na jednego. Siadajcie, a czasu nie traciecie — stary Rataj nie zawiedzie.

Choińskiemu nie w smak było brać z sobą na wóz żebraka; ale cóż miał począć? Rataj tylko się za koszyk pochwycił i rzeźko wskoczył do środka.

— Wy bratku za nami — rzekł Choiński.

Zacięli konie, i dalej w las manowcami, jak dziad pokazywał.

---

Od Rudni i budek rudeńskich, przestrzeń lasów przecinana tylko polankami i łąkami, na których stoją odwieczne dęby i brzozy, ciągnie się bez przerwy prawie do samej galicyjskiej granicy, której szlak przechodzi wzgórzystym zaroślem. Mało kto tak znał dobrze tę okolicę jak Rataj stary, który póki oczu nie postradał, przekradał paczki, a i teraz jeszcze w sakwie pod pozorem żebractwa, niejedną kontrabandę modląc się przemycal. Wszyscy nad granicą uwijający się Żyd-kowie i ich pomocnicy byli mu doskonale znajomi. Żadna w lesie kryjówka nietajna, a ścieżkę każdą tak

opisywał, że Adam wydziwić się nie mógł, jak on bez oczu wszystko tak mógł pamiętać!

Bili się tak po lasach dzień cały po szkaradnej drodze, dwa razy trochę oddychali, a gdy noc nadeszła, Rataj wóz poleciwszy zostawić z chłopakiem w gęszczach, sam z Choińskim i Bartkiem począł prowadzić piechotę.

Wprędce jednak namyśliwszy się, znowu za sobą koniom iść kazał. Tu dopiero pokazało się, że lepiej czasem oczu nie mieć, bo dla jednego Rataja nocy nie było. Wiódł ich jak we dnie, ani na chwilę się nie zastanawiając i ani razu nie zgubiwszy drogi.

W milczeniu tak zbliżyli się ku dolinie zewsząd pagórkami opasanej, wśród której stary Choiński pierwszy dostrzegł rozpalone ognie. Zatrzymali się na wzgórkach, i podkradając się po cichu, ujrzeli widok malowniczy, dziki i w swoim rodzaju dziwnej surowej piękności.

Cały tabór Cyżanów leżał w dolinie u wielkiego ogniska, rozpalonego pod rozłożystym dębem wypróchniałym. Szatra płócienna przyparta była do pnia jego i przytwierdzona do grubych pokręconych gałęzi. Tuż stał wóz i para spętanych koni się pasła.

Widać było kociełek (kakabia) na trzech laskach zawieszony nad ogniem, zwijające się przy nim baby, i siedzącą z głową na rękach opartą Azę, i leżącego u nóg jej Aprasza, i kilkoro Cyganiek wyrostków, kręcących się w kółko przy starszym, który im grał na drumli. Z razu oczy niespokojne szlachcica nie dostrzegły ani syna, ani dziewczyny, i serce bić mu zaczęło niepokojem.

— Nie ma tu ich, nie ma! zawołał łamiąc ręce.

Ale w téjże chwili Bartek wskazał mu na uboczu w cieniu ledwie odbłaskiem słabym oświeconą parę, w której oko starego rozeznało Tomka i Marysię. Sierota siedziała na pniu spróchniałym, zakrywwszy oczy rękami; u nóg jój mały leżał węzełek. Tomko stał z boku, mówił coś do niój i jakby zaklinając bił się w piersi. Pies z nastawionemi uszami siedział przy swój pani, poglądając niespokojnie dokoła.

Niekiedy wzrok Azy padał na nich, ciekawy, sztyderski, pełny jakiegoś uczucia mściwój prawie radości. Choiński rozpoznawszy to wszystko, chciał się zaraz rzucić do syna; ale go drudzy, a zwłaszcza Rataj, opamiętali, że uciec mogą, że Cyganów siła większa, a licha drażnić niebezpiecznie. Poczém wskazawszy ręką staremu, żeby pozostał na uboczu, sam odsunął się nieco, i wszedłszy w blizki wąwóz, prosto się skierował na ciepły dym cygańskiego ogniska.

Dobrze się zbliżył, a nikt go nie dostrzegł jeszcze. Dopiero gdy Sierotka zaszczekał i za nim dwa psy cygańskie ujadac zaczęły, Aza spojrzała, Aprasz się podniósł, i co żywo kupić się i zbiegać jęli, na dziada kierując.

— Dajcie-no pokój, to stary Rataj ze Stawiska, rzekł Tomko. Pewnie przenosi Żydom paczki, a powąchawszy dymu, przyszedł się ogrzać.

Cygani zdawali się naradzać co począć? a stary śmiało się zbliżył do obozowiska. Kijem namacał miejsce, uczuwszy się przy ogniu, psy odpędził i usiadł na trawie, ani się troszcząc o otaczającą go gawiedź cygańską.

Na widok Rataja Marysia aż krzyknęła z radości, tak jój Stawisko, chatę i życie dawne przypomniał,

i zabywszy wszelkiego strachu, nie myśląc taić się z sobą, rzuciła się zaraz ku niemu.

— Jak się macie ojczy? jak się macie?

— A! to ty Maryś! he? zawołał stary, który tylko na to czekał, by mu się odezwała. Nie nowina mi to, żeś ty tutaj. Domyślałem się, że za Cyganami pójdziesz, rozkochawszy Lacha, a i Lach, lichy go nie brało, za tobą pociągnął: wszakci i jego głos słyszę. Otoście się harno domyślili oboje.

Marysia stanęła milcząca.

— Ojczy! zawołała po chwili: widać, że kiedy komu z doli wypadnie być przeklętym, to już się od przeklęstwa nie wychodzi. Wiecie, że nigdy, ach! prze-nigdybym była i chaty mojej, i mogiły matki nie porzuciła, gdyby się Lach nie upędział za mną, gdyby mi ojciec jego nie pogroził przeklęstwem... Nie chcia-łam, żeby mnie ubogą kłęli starzy jego rodzice. Ale widać była w tém wola Boga!

Dziewczę westchnęło głęboko.

— Prosiłam go na kolanach, płakałam, żeby po-wracał do domu. Zaklinam go jeszcze, on nie chce... O! powiedzcie wy mu, powiedzcie, niechaj powraca!

— Idę z Rudni, rzekł stary Rataj: ta to sądny dzień u Choińskich... Żleś zrobił chłopczy: ojciec i matka rozbijają się za tobą, aż mi ich żal było, że po takim jak ty płaczą włóczędze... Jak tobie nie wstydl jak nie żal!

Tomko milczał ponuro. Marysia łamiąc ręce za-wolała:

— Ojczy! mówcie mu, mówcie, może serce jego ruszycie. A! czyż to się godzi dobrych rodziców tak rzucać!.. O! gdybym ja takich miała!

— Chybabyś ty wróciła ze mną, inaczej nigdy!  
rzekł Tomko—nigdy...

— O doloż ty moja nieszczęśliwa! zawołała Marysia.

— Gdzie ty, tam i ja! albo się zatracę! dodał chłopiec.

Rataj wydobył z torby kawał chleba i począł go krajać powoli. Aza zbliżyła się, stanęła i przysłuchując się rozmowie, wpatrywała się w starca, a dziki uśmiech błdził po jej ustach.

— Poszaleją rodzice starzy, zawołała: poszaleją! Dobrze im tak! Chcieli innego szczęścia dla syna, niechże innego syna szukają.

— Kobieto! ty chyba nie masz dzieci! odezwał się Rataj surowo.

— Nie, nie! dodała Aza: już ani ona, ani on do was nie powrócą; muszą iść z nami! To dziecko krwi naszej, a to jej mąż, wyparł się wszystkiego dla niej i dobrze zrobił. dobrze! Godzina szczęścia lepsza niż wiek grzybiego pustego życia.

— Moja kochana! chleb zjadając odparł Rataj to tak jak komu do serca. A jabym godzinę mojej nieszczęśliwej doli na krótszą chwilę lepszego szczęścia nie pohandlował: taki to się żyje..

— Tyś Cygan jak i my i włóczęga! odpowiedziała Aza: a nie ma jak cygańskie życie, i tobie ono smakuje. Plung na dołę, bo ja za sobą zostawiam, co dzień mam nową, nowe niebo, nowe życie... Héj! da-lój a dalej, aby dzień do wieczoru!

— Jak wy tak mówić możecie! nieśmiało prze-rwała Marysia. A! mój Boże, mój Boże! a ja za ten kątek mój, za mogiłę, do której serce przyrosło, i za

dolę dawniejszą, dałabym życia połowę, gdyby je choć we śnie zobaczyć... Niedawnom ztamtąd poszła, a spokoju nie mam od tęsknoty, aż mi głowa pęka... aż szaleję od płaczu...

— Boś niedawno poszła! zawołała śmiejąc się Aza.

— A nędzy mi to jeszcze dodaje, że Tomko z nami, i za nim gonią przekłętwa poczciwych ludzi. Zdaje mi się, że czuję jak je każdy wiatr przynosi, jak mię z nóg wałą i suszą duszę moją.

— No! to powracaj nazad! rzekł Rataj.

— Ja! alboż mogę? westchnęła dziewczyna. A! nigdy już! nigdy! pomiełzy tamtych ludzi, na śmiech, wzgardę, na przekłętwo!

Rataj mocno kaszlać począł, a tak robił pierśią, że go o staje słyhać było...

— Ot, co mi dasz Marysiu! rzekł—to cię odprowadzę do domu?

— O! jabym tam i sama trafiła, gdyby mi wolno było, odpowiedziała dziewczyna. Lepiej tam Lacha zaprowadź...

— Nie mówże tego Marysiu! oburzył się Tomko: wiesz, żem przysiągł: i nie opuszczę cię nigdy.

— Nieszczęście! nieszczęście! zawołała Marysia, i twarz utuliła w dłoń.

Wtém Rataj się zerwał, wyprostował i obrócił twarzą po za siebie. A na znak ten umówiony, z blizkich krzaków jakby cudem wystąpił stary Choiński, który całej wysłuchał rozmowy.

Zaledwie blask ognia oblał twarz jego, a krzyk Tomka, którego żebrak silną uchwycił dłonią za rękę, rozszedł się po lesie, cały obóz cygański ruszył się jak stado dzikiego ptactwa po wystizale myśliwca.

Aza zawolała na swoich, Aprasz, jego dzieci, baby, co żyło skoczyło do kijów, do siekier i wrzawą niesłychaną zapelało dolinę.

Cygani nie wiedząc jeszcze dobrze co się stało, sądząc się napastowanymi, krzyczeli:

— *Katarsol? katarsol?* (z kąd? kto to?).

Marysia upadła na ziemię jak nieżywa ze strachu, zakrywając sobie oczy. Tomko wyrwał się, szamotał. I możeby jakim krwawym razem skończyło się to zamieszanie, gdyby Rataj nie krzyknął głośniejsz od wszystkich:

— Czekajcie, słuchajcie, Cygani, poganie, psie plemię! Nas dwóch, toć was nie pojemy... A ty głupi Lachu, co masz od szczęścia uciekać, jak długi do nóg ojca razem z nią...

— Ja do domu nie powrócę! zawołał zapamiętały Tomko.

— Cicho! milcz! przerwał żebrak: ojciec ci przebaczył, powróćcie we dwojgu... Do nóg staremu, do nóg!

Na te słowa Tomko, któremu Rataj puścił rękę, osłupiały stał chwilę, a potem skoczył, objął i pocałował nogi ojca całować. Ale Marysia usłyszawszy to, zerwała się z ziemi, i drżąc skryła się za Azą, pomiędzy Cyganami.

Choiński stary milcząc, groźny razem i rozczulony, słowa wyrzec nie mogąc, cisnął syna do piersi.

— Przebaczam cił odezwał się nareszcie: bierz ją i powracaj do domu. Ale pamiętaj chłopcze...

Tu łzy mu słowa przerwały.

Tomko wychylił się z objąć ojca szukać Marysi, która opodal stała sze, cąc z Cyganką.

Obóz cygański jakby czarnoksiężką dotknięty laską, kupił się, zwijał i zabierał szybko do opuszczenia ogniska. Namiot na wóz rzucono, konie wprzęgano z pośpiechem, wszyscy pomagali do pakunku, a Aprasz nic patrząc na kogo padną, gęsto razami okładał otaczających.

Tomko przecisnął się do dziewczyny.

— Ojciec nam przebaczył! zawołał: chodź, chodź! i padniój mu do nóg ze mną.

Ale Marysia płacząc, schowała się za Azę.

— Ona nie chce! odezwała się Cyganka; słyszysz. Że nie chce...

— Jak to nie chce? krzyknął Tomko.

— Spytaj jój samój. Idzie z nami...

— To i ja z wami! zawołał Tomko, ale to być nie może!

— Dziewczyna nie chce! czy co? odezwał się stary Choiński. Na rany Boże! czyż jój jeszcze prosić będziemy?

Rataj z szlachcicem zbliżył się do sieroty.

— Co tobie się stało, dziecko! począł Rataj Oszałałaś, takie szczęście odpychać? Mów! To cygańska sprawa, odurzyli, czy oczarowali?

— Nikt mnie nie oczarował, odezwała się zbierając siły Marysia: ale mogę ja, powiedzcie sami, narzucić się komu za niewiastkę? Czy to tam szczęście będzie, gdzie miłości nie ma, gdzie woli nie było? Wy mną gardzicie jak Cyganką, a ja jałmużny nie chcę. Przyjmujecie mnie z żalem, żeby mieć syna, a jutro precz wygnać możecie z torbami, lub za rok, jeśli dożyjem, wykłówać mi oczy cygaństwem, sicroctwem i ubóstwem... Nie! ja tego nie chcę!



Choiński milczał zadumany.

— Słuchaj! odezwał się po chwili namysłu: słuchaj i zawierz mi dziewczyno, bo to, co mówię, mógłbym i przed ołtarzem bożym powtórzyć... Miałem cię za ładacę, nie taję, ale kiedy cię zobaczyłem i posłyszałem, a teraz bardziej jeszcze... klęę ci się na Boga, że gdybym temu hultajowi wybierałem żonę, a sobie synową, tobym już inną nie żądał... Poczciwą jesteś i hardą, a ja do chaty grosza nie potrzebuję, tylko szczęścia...

Dziewczyna stanęła wryta. Łzy puściły się jej z oczu, podbiegła, pocałowała w rękę starego i cicho rzekła:

— Bóg zapłać ci za dobre słowo. Ale ludzic! ale matka!...

— E! głupia jesteś! krzyknął Rataj, podnosząc się katęgo kija: at! nie durzyłabyś się darmo... A mało ci to, że powrócisz do chaty swojej, do swego kąta i mogiły matczyną, a włóczyć się nie będziesz gubiąc duszę z Cyganami! Do nóg, plackiem do nóg staremu, i w drogę!

Gdy to się działo w maleńkiem kółku złożoném z Choińskich, Rataja, Bartka i Marysi, cygańska tłuszcza odstąpiwszy nieco, stała w milezeniu. Rzuciwszy nawet pakunck i wybór w drogę, tak się dziwowali, nie rozumiejąc, dziwnym, niezrozumiałym dla nich targom.

Aza stała milcząca, chmurna, zagniewana; a gdy wreszcie ujrzała, że Marysia pada do nóg staremu, rozśmiała się śmiechem szatańskim, jak przeklęstwo przerażliwym.

— Głupia dziewczyna! przerwała: idź na zgubę kiedy chcesz, idź..

I odwróciła się do swoich.

— Aprasz, w drogę! na Węgry!

— I my w drogę! zawołał Choiński: w chacie nas tam modląc się czeka matka...

Gdy sierota odwróciła się, chcąc się zbliżyć, by pożegnać Cyganke, Aza cofnęła się, odpychając ją ręką:

— Idź precz! krew gadziów nienawistnych! zamruzczała przez zęby: idź na stracenie do swoich... Nie warta jesteś ogniska Romów i Romów serca... precz biał!

Porwali ją otaczający i na wóz wsadzili. Wsiadł zaraz stary, Tomko i Bartek, a tak szybko unosili się obawiając napadu Cyganów, że nawet o starym Rataju zapomnieli, który o kiju pomrukując, powlókł się za nimi. W istocie posłuszna Azie banda zdawała się cicho tylko narażać, by odbić i porwać dziewczynę, ale nim się tam rozmyślili co począć, konie zaciąwszy Choińscy po bezdrożach popędzili ku Rudni przez lasy.

W popłochu tym tylko siwy koń Tomka padł ofiarą, bo go Apraszowie uprowadzili z sobą na Węgry.

---

W kilka tygodni potem—skończmy jak się kończą bajki—sprawiono huczne wesele... A było obfite, a było wesołe, a było ochocze i gości na niém co nie-miara. I ja tam byłem, miód, wino piłem, po brodzie ciekło, w gębie nie było...

Chata za wsią stoi jeszcze staruszka; ale obok na gruncie, na czynsz puszczonej Choińskim, osiadł Tomko i pobudował dworek, o którym kiedyś, kiedyś, gdy mi na duszy będzie weselej, na sercu swobodniej, a na świecie lepiej, może wam kiedy opowiem: bo w bajce tylko kończy się wszystko weselem, na świecie od niego się poczynają... a chata za wsią stoi jeszcze...

K O N I E C .







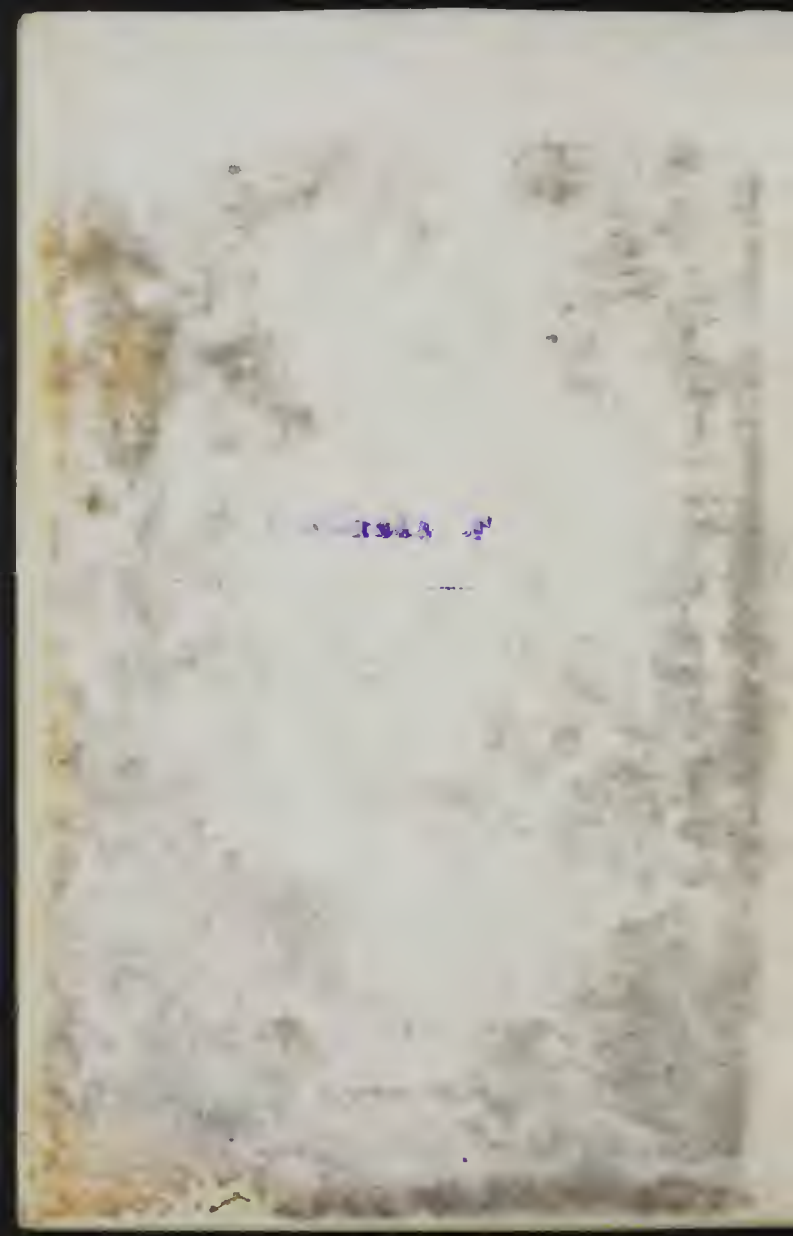


251-

111

2. 1. 1.

.





Gerold 17

Biblioteka Raczyńskich

**JK 1460**



JK1460